

NASZE DŁUGI
Czy Polska może
zbankrutować

UZDRAWIANIE GEJA
Fałszywa terapia
wbrew nauce

CO DZIEŃ REKORD
Biurokracją wirusa
nie zwalczymy

MAREK EDELMAN
Spis lektur dobrych,
złych i koniecznych

GRZYB KUSICIEL
Narodowa pasja
w porze urodzaju

Kraków 4 października 2020 nr 40 (3717)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Co maskuje Kaczyński

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

- KATALOG FESTIWALOWY
COPERNICUS 2020
- DODATEK HISTORYCZNY
ZJEDNOCZENIE NIEMIEC.
30 LAT PÓŹNIEJ



Jesień we Wrocławiu Mieście Literatury

3-10.10.2020

Tydzień noblowski

7-18.10.2020

Bruno Schulz. Festiwal



12-18.10.2020

międzynarodowy

Silesius

festiwal

poezji

Międzynarodowy Festiwal Poezji
Silesius

17.10.2020



ANGELUS
LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ

Literacka Nagroda Europy Środkowej
Angelus

17.10.2020



Wrocławska Nagroda Poetycka
Silesius

1-10.10.2020



16. Opowiadania

International Short
Story Festival

Międzynarodowy
Festiwal Opowiadania

17-25.10.2020



Wrocławiu,
MARSZ
do księgarni!

Wrocławiu,
marsz do księgarni!

literatura.wroclaw.pl



Wrocław Mieście Literatury



Wrocław miasto spotkań

Fundacja
Młode
Talenty



Wrocław
Miasto
Literatury
UNESCO



RADIO
NOWY ŚWIAT

kino | nowe horyzonty

POLITYKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pismo.

www.wroclaw.pl

ZNAK

wyborcza.pl

DICE

TOKE

KS. ADAM

Boniecki: Co ma zrobić spowiednik

FRANCISZEK OSTRZEGA KSIĘŻY, ŻEBY NIE ZAMIE-
niali sakramentu przebaczenia w salę tortur. Papieżowi chodzi o los penitentów u niewyda-
rzonych spowiedników. Ale wiercie mi, tortura
dla spowiednika bywają sytuacje, gdy nie może
udzielić rozgrzeszenia. Przypomnijmy: w sakra-
mencie pokuty występuje on w imieniu Kościo-
ła. Ci, którzy się tam zjawiają, nie przychodzą, by
usłyszeć jego prywatne opinie, ale by pojednać
się z Bogiem za pośrednictwem Kościoła. Wynika to z wiary,
że to Kościół „administruje sakramentami”. Delegując księ-
dza, ogranicza tę delegację, np. zastrzegając prawo rozgrze-
szenia niektórych grzechów dla papieża lub biskupa. Okre-
śla też obowiązujące zawsze i powszechnie warunki rozgrze-
szenia: wyznanie grzechów ciężkich, które się pamięta, i żal,
i wolę poprawy. Bywa tak, że Kościół coś ocenia jako grzech
ciężki, a człowiek, wiedząc o tym, nie czuje tak tego. Zwłasz-
cza kiedy z innych źródeł słyszy, że coś, co Kościół uznał za
grzech ciężki, nie wyczerpuje znamion grzechu: nie jest wy-
kroczeniem przeciw rozumowi, prawdzie, prawemu sumie-
niu, ani brakiem prawdziwej miłości względem Boga i bliź-
niego z powodu niewłaściwego przywiązania do pewnych
dóbr, nie rani natury człowieka i nie godzi w ludzką solidar-
ność. Czyli nie jest „słowem, czynem lub pragnieniem prze-
ciwnym prawu wiecznemu” (por. KKK 1849).

Przejdźmy do konkretnych sytuacji: co ma zrobić spowie-
dnik, kiedy zjawia się przed nim człowiek żyjący w stałym
i szczęśliwym związku homoseksualnym? Kościół, w imieniu
którego spowiednik przyjmuje tego człowieka, głosi, że „akty
homoseksualizmu z samej swojej wewnętrznej natury są
nieuporządkowane (...), sprzeczne z prawem naturalnym (...) i
w żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaaprobowane”.
Kościół przyjmuje tę zasadę, zdając sobie sprawę z tego, że
„pewna liczba mężczyzn i kobiet przejawia głęboko osadzone
skłonności homoseksualne”, że „skłonność taka – czytamy
w Katechizmie – obiektywnie nieuporządkowana, dla więk-



szości z nich stanowi trudne doświadczenie”. Za-
leca, by te osoby „traktować z szacunkiem, współ-
czuciem i delikatnością” (KKK 2358). Katechizm,
zwróćmy uwagę, nie wspomina w ogóle o terapii
reparatywnej. Mówi jedynie, że jako „osoby ho-
moseksualne są wezwane do czystości”, że „dzięki
cnocie panowania nad sobą, które uczą wolno-
ści wewnętrznej, niekiedy dzięki wsparciu bez-
interesownej przyjaźni, przez modlitwę i łaskę
sakramentalną, mogą i powinny przybliżyć się one – stop-
niowo i zdecydowanie – do doskonałości chrześcijańskiej”
(por. KKK 2359). Tymczasem – przypomnijmy – współczesna
nauka stwierdza, że „homoseksualizm, o ile człowiek go uzna
i scali ze swoją osobowością, jest jego tożsamością seksualną”
(mówi o tym ks. Jacek Prusak w dziale Wiara). Kościół jednak,
podobnie jak osobom rozwiedzionym i żyjącym w niesakra-
mentalnych związkach, powtarza, że „są wezwane do czysto-
ści” w sensie powstrzymania się od aktów fizycznych.

Papież Franciszek odzegał się od prawa osądzania relacji
z Bogiem osób homoseksualnych. Mam nadzieję, że wolno
do nich odnieść także wezwanie św. Jana Pawła II skierowane
do ludzi żyjących w związkach niesakramentalnych: „Razem
z Synodem wzywam gorąco pasterzy i całą wspólnotę wier-
nych do okazania pomocy rozwiedzionym, do podejmowa-
nia z troskliwą miłością starań o to, by nie czuli się oni odłą-
czeni od Kościoła, skoro mogą, owszem, jako ochrzczeni, po-
winni uczestniczyć w jego życiu. Niech będą zachęceni do
słuchania Słowa Bożego, do uczęszczania na Mszę świętą, do
wytrwania w modlitwie, do pomnażania dzieł miłości oraz
inicjatyw wspólnoty na rzecz sprawiedliwości, do wycho-
wywania dzieci w wierze chrześcijańskiej, do pielęgnowa-
nia ducha i czynów pokutnych, ażeby w ten sposób z dnia na
dzień wypraszała sobie u Boga łaskę. Niech Kościół modli się
za nich, niech im dodaje odwagi, niech okaże się miłosierną
matką, podtrzymując ich w wierze i nadziei” („Familiaris con-
sortio”, 84).

© P

Teatr
w Krakowie

TYGODNIK
POWSZECHNY

4.10.2020 17:00
Scena MOS
ul. Rajska 12

POEZJA
POW
SZECH
NA

MIĘDZY WERSAMI

Darek Foks
Magdalena Kicińska
Agnieszka
Wolny-Hamkało
Jacek Podsiadło
Bohdan Zadura
Rudka Zydel

jubileusz 75-lecia
Tygodnika Powszechnego

TEMAT TYGODNIKA

12 Co maskuje Kaczyński

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Konflikt w koalicji pokazał, że są dwa PiS-y. Jeden wierzy w Morawieckiego jako przyszłego lidera. Ale drugi, liczniejszy, jest mu wrogi. Prezes stawia na ten pierwszy, ale na razie uległ drugiemu.

15 Główne nurty kaczynizmu

ROZMOWA Z POLITOLOGAMI:

To, co w polskiej polityce jest poza prezesem PiS, wydaje się tak jałowe, doraźne i nieinspirujące, że Kaczyński jawi się na tym tle jak kolos.

**32 Jak naprawić geja**

KRZYSZTOF STORY

30 lat temu Światowa Organizacja Zdrowia uznała, że homoseksualizm nie jest chorobą, u nas jednak wciąż prowadzi się tzw. terapię reparatywną. Ze wsparciem państwa i Kościoła „leczy się” ludzi zdrowych.

**42 Liderem****jest naród**

MAŁGORZATA

PROCHAL

I AGNIESZKA

ZIELIŃSKA

Z MIŃSKA

I BORYSOWA

Kiedy milkną echa niedzielnych protestów, życie Białorusinów tylko pozornie wraca do normy. O zmianę władzy po partyzancku walczą każdego dnia.

**80 Plotkę****kupię, plotkę****sprzedam**

ROZMOWA

Z ZYGMUNTEM

KONIECZNYM:

Kiedy w radiu usłyszysz coś, co mi się nie podoba, zaraz chciałbym to zmienić. Tak, to sprzeciw jest moją inspiracją.

**96 Czytanie na głos**

JOANNA SZCZESNA

Śluchaczem był kapryśnym i po dziecięcemu niecierpliwym. Jak coś mu się nie podobało, krzyczał: „Bzdury, co mnie to obchodzi?”. Marek Edelman literaturę przyswajał jak to on: nieżnośnie i wspaniale.

102 Pewny jak grzyb

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Polacy w temacie prawdziwków czy opieniek zawsze się dogadają. Choćby dzielił nas temat „Rydzik”, połączy nas rydz. Mimo że grzyb to przeciwieństwo czysta ambiwalencja.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

6 Biurokracją w wirusa MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ /
PAWEŁ ŚPIEWAK /
O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ KRAJ

22 Lepiej wydać za dużo ROZMOWA Z WOJCIECHEM PACZOSEM, EKONOMISTĄ: *Dług publiczny nie jest „obciążeniem”, jeśli służy sensownym celom*

26 Kraje dobre i kraje złe KLAUS BACHMANN: *Nowy pakt migracyjny Komisji Europejskiej będzie nieskuteczny*

28 Udowodnij, że jesteś potrzebny JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: *Przedsiębiorstwa społeczne w czasie pandemii*

■ WIARA

32 Jak naprawić geja KRZYSZTOF STORY

36 Wiara bez wiedzy ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ, PSYCHOTERAPEUTĄ: *Gdy mnie homoseksualny katolik pyta, co ma robić, odpowiadam: kochaj!*

39 Gramy w zielone DOROTA BIDZIŃSKA *o parafiach, które zwiastują nowe*

■ ŚWIAT

42 Liderem jest naród MAŁGORZATA PROCHAŁ, AGNIESZKA ZIELIŃSKA

46 Brexit w cieniu wirusa PATRYCJA BUKALSKA: *Jego skutki mogą być poważniejsze niż epidemia*

DODATKI SPECJALNE



53 Zjednoczenie Niemiec: 30 lat później 3 października 1990 r. powstało na powrót jedno państwo niemieckie. Było to punktem zwrotnym także dla Polski. W dodatku:

■ Filip Gańczak: jak kanclerz Kohl wykorzystał
„okienko możliwości”

■ Łukasz Grajewski: jak bilans zjednoczenia
oceniają sami Niemcy

■ Jacek Lepiarz:

niemieckie zjednoczenie a sprawa polska

■ Ehrhart Neubert: były NRD-owski opozycjonista
patrzy na minione 30 lat

■ Florian Mausbach:

dłaczego wciąż potrzebujemy pomników

Katalog Copernicus Festival: Czas

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 79 WOJCIECH BONOWICZ
95 PAWEŁ BRAVO 106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JAROSŁAW KACZYŃSKI
FOTOGRAFIA: ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM
Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

48 Przeciąganie liny

MARTA ZDZIEBORSKA
Z SAN DIEGO: *Spór o wakacje po Ruth
Bader Ginsburg, zmarłej sędzi Sądu
Najwyższego USA, zaognił wyścig
o Białą Dom*

50 Na barykadach z ulicy Żelaznej

DARIUSZ KAŁAN Z BUDAPESTU:
*Uczelnia artystyczna
kontra zaufani Orbána*

■ NAUKA

74 Druga wieża Babel

ROZMOWA Z PAWEŁEM
RUTKOWSKIM o języku migowym

■ KULTURA

80 Plotkę kupię, plotkę sprzedam

ROZMOWA
Z ZYGMUNTEM KONIECZNYM

84 Kronika upadków

ANDRZEJ STASIUK: *Krzysztof
Varga nurza się w kulturze*

86 Koniec świata w Legnicy

DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Teatr Modrzejewskiej
i życiowe scenariusze*

89 Dziedzictwo

podporządkowanych
JAKUB MAJMUREK o serialu
„Lovecraft Country”

92 Portret dwuznaczny

ANITA PIOTROWSKA
o filmie dokumentalnym „Tony
Halik” Marcina Borchardta

94 Życie rodzinne

LEKTOR o „Calypso”
Davida Sedarisa

■ Z ODDECHEM

96 Czytanie na głos JOANNA SZCZĘŚNA

■ ZMYŚŁY

102 Pewny jak grzyb MICHAŁ KUŻMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

To bardzo dobrze, że Kościół otwarcie nawołuje do solidarności
z migrantami. Jednak powinien uważać, by nie popaść
przy tym w pułapkę hipokryzji – pisze w cyklu **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Należę do pierwszego pokolenia kobiet wykształconych,
które nie budują swojego życia na karierze męża i generalnie
na tym, że pierwszeństwo ma rodzina
– opowiada **ANDA ROTTENBERG** powszech.net/podkast



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY

BIUROKRACJĄ W WIRUSA

Jeśli mniej testujemy, a wykrywamy coraz więcej zakażeń, oznacza to, że maleje nasza zdolność do szybkiego wykrywania i izolowania ognisk COVID-19.

MACIEJ MÜLLER

TYCH KILKA LICZB DEFINIOWAŁO EMOCJE społeczne w ubiegłym tygodniu: 974, 1136, 1587, 1584. Liczba dziennych zakażeń SARS-CoV-2 przekracza kolejne psychologiczne bariery, choć na mapie Europy zdajemy się być może nie zieloną, ale przynajmniej żółtą wyspą. Liczba prowadzonych testów nie przekracza 24 tys. i wiąże się z wprowadzoną po dymisji Łukasza Szumowskiego zmianą strategii walki z epidemią. Nowy szef resortu zdrowia Adam Niedzielski optuje za „testowaniem celowanym”. Badań jest mniej niż miesiąc temu (liczba testów sięgała 35 tys.), bo poddaje się im głównie osoby objawowe, zrezygnowano też z testowania kończących izolację lub kwarantannę.

Minister i Główny Inspektor Sanitarny Jarosław Pinkas są na tyle zadowoleni z nowej strategii, że zalecają ją całej Unii. Tyle że nie przypadkiem większość krajów podąża w kierunku przeciwnym: ułatwienia dostępu do testów dla osób dostrzegających u siebie objawy COVID-19. Światowa Organizacja Zdrowia przyjmuje wskaźnik 5 proc. testów pozytywnych jako granicę, powyżej której rośnie ryzyko utraty kontroli nad epidemią. Dlaczego? Jeśli mimo mniejszej liczby testów wykrywamy coraz więcej zakażeń, oznacza to, że maleje nasza zdolność do szybkiego wykrywania i izolowania ognisk choroby. Oszczędzamy na kosztach testów, ale infekcje wykrywamy na stosun-

*Centrum testowe
COVID-19 przy
Stadionie
Energa Gdańsk,
25 września 2020 r.*

kowo późnym etapie – dajemy więc koronawirusowi czas na transmisję. W krajach południowoamerykańskich, gdzie SARS-CoV-2 szaleje, uśrednione wskaźniki testów pozytywnych wynoszą 49 (Argentyna), 28 (Paragwaj) czy 51 proc. (Meksyk). W Polsce obecnie 4,4 proc.

Koronawirus rośnie w siłę, tymczasem minister trwoni kredyt zaufania, z jakim rozpoczynał urzędowanie. Nad jego strategią załamują ręce lekarze rodzinni, którym przypisano rolę sanepidu i *call center*. „To miks e-medycyny z epoką kamienia łupanego” – skomentował lekarz POZ Maciej Biardzki opublikowane przez ministerstwo algorytmy postępowania. Lekarze rodzinni zyskali wprawdzie możliwość kierowania pacjentów na testy, ale muszą ich zbadać osobiście. Chyba że wystąpią naraz cztery objawy: gorączka, kaszel, utrata węchu lub smaku i duszność – wtedy wystarczy teleporada. Od dawna protestuje Porozumienie Zielonogórskie, jednoczące właścicieli przychodni POZ, w minioną niedzielę zabrało głos na ogół stroniące od mocnych słów Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce. W liście otwartym wskazało, że zakażonych pacjentów z pełnymi objawami jest stosunkowo niewiele, a przepis „prowadzi do niepotrzebnego narażenia szerokiej grupy pacjentów oraz personelu przychodni”. Dokument podkreśla też, że „błędnym podejściem jest zachęcanie do »normalności« i większego »otwarcia« właśnie wtedy, gdy w populacji przybywa osób zakażonych”.

Problemów ze strategią jest więcej. Do najpoważniejszych należy konieczność skierowania pacjenta „pozytywnego” na konsultację ze specjalistą chorób zakaźnych. Zakaźników jest w Polsce ok. 1100, realnie pracujących w systemie – kilkuset mniej. „Tylko pierwszy dzień funkcjonowania tego zarządzenia spowodował zatkanie izb przyjęć – napisał do ministra prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych prof. Robert Flisiak. – Napór chorych skąpoobjawowych lub wręcz bezobjawowych (...) uniemożliwi hospitalizację i leczenie osób faktycznie wymagających leczenia”. Według wielu ekspertów powstał system czysto administracyjny, zapominający o medycynie i epidemiologii, nie mówiąc już o dobru pacjenta. © P

Gospodarka: dmuchanie na COVID-19

MAREK RABIJ



MOGŁO BYĆ GORZEJ – TO NAJTRAFNIEJSZE podsumowanie danych Głównego Urzędu Statystycznego o spadku PKB Polski w drugim kwartale 2020 r. Nasza gospodarka skurczyła się o 8,2 proc. w porównaniu z drugim kwartałem 2019 r.

Tak głębokiego załamania nie zanotowano nad Wisłą od początku wolnego rynku – piszą w komentarzach ekonomiści. Inni przypominają jednak, że w sparalizowanym lockdownem świecie jednocyfrowy spadek dowodzi siły rodzimej gospodarki. Istotnie, poza Polską tylko siedem krajów może dziś wykazać się podobnym rezultatem.

Analitycy i komentatorzy zgadzają się co do jednego: pełną skalę traumy, jaką zafundował polskiej gospodarce COVID-19, pokażą dopiero dane za trzeci i czwarty kwartał. To z nich uda się wyczytać, ile firm zdołało przetrwać wiosenne zamrożenie w stanie umożliwiający podjęcie rynkowej gry. Ilu miejsc pracy zagraża likwidacja bez subwencji z tarczy antykryzysowej. I wreszcie – jak mocno konsumenci zacisnęli pasa w obawie przed niewiadomą kolejnych miesięcy?

Sądząc po tym, co widać na ulicach, zagrożenie epidemią COVID-19 mocno spo-

wszedniało. Jedni kwestionują istnienie samej pandemii, inni wierzą w informacje od lekarzy i epidemiologów łączą z wybiórczym przestrzeganiem ich wskazówek, stawiając własną wygodę nad bezpieczeństwem. Gwałtowny wzrost liczby wykrywanych ostatnio zachorowań pokazuje jednak, że to błąd, za który koronawirus może wkrótce wystawić wysoki rachunek właśnie polskiej gospodarce. Nikłe prawdopodobieństwo przywrócenia pełnego lockdownu nie oznacza przecież, że w obliczu drugiej fali epidemii rząd nie wyłączy znów z obiegu wybranych branż o drugorzędnym znaczeniu dla gospodarki. Kina, teatry, kluby fitness, organizatorzy koncertów, szkoleń i wystaw dopiero podnoszą się po wiosennym ciosie, jakim było pełne odcięcie od możliwości zarobkowania. Kolejnej blokady wielu z nich już nie przetrwa.

Argumenty natury ekonomicznej nie trafiają do twardych sceptyków, którzy całą pandemię mają za humbug, ale może przemówią do wyobraźni tym, którzy noszenie maseczek i zachowywanie dystansu uważają za przesadę. Nawet jeśli to błąd, to nas na niego stać. © P MAREK RABIJ

Czechy: gwałtowna druga fala

KRAJ, KTÓRY WIOSNĄ dobrze poradził sobie z pierwszą falą epidemii, teraz zмага się z szybkim wzrostem liczby nowych infekcji: w drugiej połowie września w Czechach wykrywano już średnio 2-3 tys. zakażeń dziennie. Pod koniec miesiąca kraj znalazł się na drugim miejscu w Europie, jeśli chodzi o liczbę zakażeń na 100 tys. mieszkańców – według zestawienia Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) z 27 września były to 262 nowe przypadki na 100 tys. mieszkańców. Więcej w Unii było tylko w Hiszpanii: 320. Na Słowacji wskaźnik nowych zakażeń wynosił 58 na 100 tys. mieszkańców, a w Polsce 32.

W Czechach liczba dziennych zakażeń może nadal rosnąć – tymczasem ocenia się, że system opieki zdrowotnej może odczuwać skutki przeciążenia przy poziomie ok. 4 tys. nowych zakażeń dziennie. Największa

od początku epidemii jest też obecnie liczba osób wymagających hospitalizacji; w Pradze zajętych jest 90 proc. „covidowych” łóżek szpitalnych. Stąd nowe restrykcje – lub raczej powrót starych. Wiosną Czesi jako jedni z pierwszych wprowadzili ograniczenia i potem jako jedni z pierwszych z nich zrezygnowali.

Epidemiolog prof. Roman Prymula, który wiosną odpowiadał za udaną strategię walki z epidemią, właśnie został nowym ministrem zdrowia (jego poprzednik podał się do dymisji). Teraz Prymula wykluczył powtórny *lockdown*, ale wezwał do osobistej odpowiedzialności obywateli i przestrzegania ostrzeżeń. Na razie ograniczono np. godziny otwarcia barów i restauracji, przywrócono też obowiązek noszenia maseczek w środkach transportu publicznego oraz w zamkniętych przestrzeniach publicznych, w tym w szkołach.

To jednak nie koniec – nowy minister zapowiada kolejne kroki w najbliższych dniach: „Im później wprowadzimy ograniczenia, tym dłużej będziemy je znosić”.

© P PATRYCJA BUKALSKA

Kopalnie wyprowadzić

MAREK RABIJ



OSTATNIA KOPALNIA WĘGLA KAMIENNEGO ZAKOŃCZY w Polsce działalność w 2049 r. – to kluczowy punkt porozumienia, które rząd wynegocjował z górnikami. W komentarzach nie brak głosów o ostrym zwrocie władz centralnych; jeszcze kilka miesięcy temu z Warszawy dobiegały deklaracje obrony „suwerenności energetycznej” budowanej właśnie w oparciu o kopalnie.

W ostatnich miesiącach rząd PiS rzeczywiście łagodził – czy raczej racjonalizował – narrację o krajowej energetyce. Miejsce opowieści o czarnym złocie śląskiej ziemi, zapewniającym nie tylko energię, ale też pozostającym jednym z filarów tradycyjnych polskich wartości (cokolwiek miałyby to znaczyć), faktycznie stopniowo zajmuje merytoryczna dyskusja o gospodarczych i ekologicznych kosztach subsydiowania trwale nierentownej branży. Nie znaczy to, że pod presją Brukseli, aktywistów ekologicznych i młodzieżowych strajków partia władzy stopniowo zmienia zdanie na temat zagrożeń klimatycznych – jak większość polskich ugrupowań PiS nie ma tutaj programu, lecz punkty do zgarnięcia w doraźnej politycznej robocie. To raczej znak, że rząd zaczyna dostrzegać, iż obnoszenie się z romansem ze związkowcami na Śląsku denerwuje innych potencjalnych wyborców. Porozumienie wydaje się w tym kontekście sprytnie skleconym politycznym pakietem – pokazuje, że władza umie jednak postawić warunki.

Wygranymi porozumienia są także górnicy, którym rząd dał gwarancję zatrudnienia. Z perspektywy pracowników wiecznie niedofinansowanych szkół, urzędników czy statystycznego Polaka, którego od bezrobocia dzieli miesiąc lub kwartał okresu wypowiedzenia, pracownicy kopalń rzeczywiście dostali przywilej. Z czysto politycznego punktu przyjęcie porozumienia można jednak uznać za kapitulację związkowców, którzy oficjalnie przyznali, że polskiego górnictwa nie da się już zrestrukturizować.

Nie jest to też zapewne najlepszy sposób na osłonę Śląska przed skutkami tej transformacji. Jakies decyzje trzeba było jednak podjąć i dobrze, że mamy je wreszcie za sobą.

© P MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

63

miliardy złotych; to łączna wartość lokat, które Polacy wycofali z banków od lutego br. Niskie stopy procentowe w połączeniu z wysoką inflacją sprawiają, że trzymanie pieniędzy w banku przestało się opłacać.

KRAJ W SKRÓCIE

IDEOLOGIA

Nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt jest w Senacie, część komentatorów spodziewa się weta Andrzeja Dudy, a na razie pogląd na jej temat wyraził minister rolnictwa. PiS, „partia, która wydawała się prawicowa, wpisuje się w wojnę ideologiczną, która ze zwierzęcia robi boga i dehumanizuje człowieka” – powiedział zawieszony już członek tego ugrupowania Jan Krzysztof Ardanowski.

TECHNOLOGIA

Rada Miasta Kraśnika sprzeciwiła się wprowadzaniu technologii 5G bez wcześniejszego zbadania jej wpływu na zdrowie mieszkańców i poparła zastąpienie sieci Wi-Fi w szkołach instalacjami ethernetowymi lub światłowodowymi. Burmistrz miejscowości nie zamierza się podporządkowywać postulatowi radnych.

PAPIEROLOGIA

Poczta Polska zapowiedziała złożenie w Krajowym Biurze Wyborczym wniosku o zwrot kosztów za majowe przygotowania do wyborów korespondencyjnych. Wydrukowanie kart do nieprzeprowadzonego głosowania mogło kosztować nawet 70 mln zł.



KAROLINA WISZTAŁ / REPORTER

GEOGRAFIA

Za sprawą przekopu Mierzei Wiślanej oraz pogłębienia toru żeglugowego na Zalewie Szczecińskim na mapie Polski pojawiły się trzy wyspy: Estyjska, Świecka i Brysna.

Wojna w Karabachu

W NIEDZIELĘ 27 WRZEŚNIA armia Azerbejdżanu zaczęła ofensywę w Górskim Karabachu – samowzwaną republice ormiańskiej, powstałej w początku lat 90. XX w. na fali rozpadu Związku Radzieckiego (konflikt ten zaczął się jeszcze pod koniec lat 80. i był poniekąd „wzorem” dla sporów etnicznych na obszarze posowieckim). Skala działań azerskich jest bez precedensu: przewyższa ostre walki, które toczyły się na pograniczu Armenii i Azerbejdżanu w lipcu, przewyższa też tzw. wojnę czterodniową z 2016 r. (zakończoną ograniczonymi sukcesami Azerbejdżanu) i wszystko, co działo się w rejonie konfliktu od 1994 r.

Choć dopływ informacji jest ograniczony, a obie strony prowadzą działalność dezinformacyjną (twierdząc, że wróg stracił setki zabitych i liczny sprzęt), to intensywność walk jest na pewno wielka. Na pewno też Azerowie zdobyli kilka wsi i ważną z wojskowego punktu widzenia górę. Dynamika sytuacji wskazuje, że nie jest to „zwykła” wymiana ciosów, i że Azerowie próbują zająć Karabach lub zmienić sytuację strategiczną. Stawka jest ogromna: chodzi o przyszłość regionu i jego mieszkańców oraz stabilność rządów w Armenii i Azerbejdżanie – ewentualnej klęski może nie przetrwać żaden z liderów.

Jest to też rozgrywka o pozycję Rosji na Kaukazie. Moskwa, dotąd główny arbiter w sporze, przyjęła postawę wyczekującą – z wyrachowania (chęć osłabienia Armenii, gdzie rządzi premier wyniesiony do władzy przez ulicę) albo ze świadomości własnych ograniczeń. Konflikt jest też testem dla mocarstwowych ambicji Turcji, która politycznie i militarnie (sprzęt, instruktorzy) wspiera Azerbejdżan i mierzy w strategiczne uniezależnienie Baku od Moskwy. Tym samym Ankara próbuje narzucić Moskwie te same reguły, które panują w Syrii i Libii: mieszankę współpracy na poziomie strategicznym i realnej „wojny zastępczej”, mającą wzmocnić pozycję przetargową Turcji.

Sytuacja nie zostawia zbyt wiele miejsca dla Zachodu, którego interesy i instrumenty w regionie są dziś minimalne, a korzyści z umacniania czy to Rosji, czy Turcji – nieoczywiste.

© KRZYSZTOF STRACHOTA



INSTAGRAM @NAVALNY / AFP / EAST NEWS

„JESTEM BARDZO WDZIĘCZNY kanclerz Merkel, że odwiedziła mnie w szpitalu” – napisał Aleksiej Nawalny na Twitterze w miniony poniedziałek. Wizyta Angeli Merkel u otrutego rosyjskiego opozycjonisty, który przechodzi rehabilitację w berlińskiej klinice Charité, miała charakter prywatny. Choć być może nieprzypadkowo odbyła się teraz: w najbliższych dniach można spodziewać się decyzji Unii i rządu Niemiec w sprawie sankcji wobec Rosji, której władze nie przedstawiły dotąd wyjaśnienia tej sprawy. Tymczasem, gdy ustalono, że Nawalnego otruto nowiczekiem, Merkel zażądała ultimatywnie wyjaśnień od Rosji. Na zdjęciu: Nawalny z żoną Julią w Berlinie, 21 września. ©P



APOPO.ORG

Mały saper z Kambodży

NAZYWA SIĘ MAGAWA. Szczur Magawa. Ma siedem lat, na koncie wykrytych 39 min lądowych i 28 niewybuchów, a od ubie-

głego tygodnia – także złoty medal za „odwagę i poświęcenie służbie, która ratuje życie ludzi”.

Kambodżańska armia od dawna wykorzystuje tresowane szczury do szukania min i innych niebezpiecznych pozostałości po amerykańskich bombardowaniach z okresu konfliktu na Półwyspie Indochińskim oraz po wojnie domowej z 1975 r., w wyniku której władzę w kraju przejął reżim Czerwonych Khmerów. W statystykach wypadków spowodowanych eksplozjami min i niewypałów Kambodża od lat plasuje się w czołówce: liczba amputacji kończyn po eksplozjach przekroczyła już 40 tys. Organizacja Cambodian Mine Action Centre szacuje, że na terenie kraju, zwłaszcza na obszarach wiejskich, nadal może zalegać ok. 6 mln min i niewybuchów.

Magawa (na zdjęciu z medalem) został wyszkolony przez belgijską organizację pozarządową APOPO, która przyucza szczury do wykrywania min i groźnych chemikaliów. ©P MR

Inauguracja w cieniu protestów

WOJCIECH KONOŃCZUK



PRZEPROWADZONE KILKA DNI TEMU ZA-przysiężenie Alaksandra Łukaszenki stało się kolejnym impulsem wpływającym na utrzymywanie się w społeczeństwie powszechnego nastroju buntu. Białoruski lider w tajemnicy zwołał kilkuset wyższych urzędników, aby w ich obecności dokonać swojej inauguracji. Uroczystość nie tylko nie była zapowiedziana, ale nawet nie pokazano jej w telewizji państwowej (co stanowiło złamanie prawa). Sposób jej przeprowadzenia wiele mówi o strachu reżimu, który obawiał się, że wcześniejsze ogłoszenie zaprzysiężenia mogłoby doprowadzić do zablokowania pałacu prezydenckiego przez protestujących.

Zgodnie z oczekiwaniami marsz w niedzielę 27 września – zorganizowany już po raz ósmy w ostatnich tygodniach – ponownie zgromadził w Mińsku ok. 100 tys. ludzi. Ani rosnące represje, ani brak efektów politycznych nie zrażają Białorusinów, którzy wciąż pokazują, jak wielką tkwi w nich determinacja. Reżim stopniowo przykręca śrubę – czego rezultatem są zatrzymania protestujących, które w weekendy dotyczą kilkuset osób, i zemsta na kolejnych środowiskach, które publicznie wypowiadają się przeciw reżimowi. Z kolei białoruscy aktywiści stopniowo wypracowują nowe formy oporu. W ostatnich dniach szczególną uwagę zwraca działalność tzw. cyberpartyzantów, wywodzących się z prężnego sektora IT. Atakują oni rządowe strony internetowe, w tym telewizji państwowej, oraz upublicznili dane ponad 3 tys. funkcjonariuszy służb MSW. Wszystko to tworzy warunki dla stopniowego demontażu reżimu od wewnątrz. Obecnie zarówno władza, jak też społeczeństwo są zbyt słabe, aby doprowadzić do rozstrzygnięcia na swoją korzyść. Impas zatem trwa.

Szkoda, że zawodzi Unia Europejska, która po raz kolejny nie była w stanie uzgodnić wspólnego stanowiska w sprawie nałożenia sankcji na białoruskich urzędników. Wszystko z powodu weta Cypru, który domaga się reakcji Brukseli w sprawie swojego sporu z Turcją. Tymczasem własną listę sankcyjną wobec funkcjonariuszy reżimu Łukaszenki rozszerzyły o niemal sto nazwisk trzy państwa bałtyckie, które – wspólnie z Polską – zdają egzamin z sąsiedzkiej solidarności. ©

Co dalej z Kongregacją

ARTUR SPORNIAK



KONGREGACJA NAUKI WIARY PONOW- nie potępiła eutanazję, wspomagane samobójstwa i współudział w nich. 22 września prefekt tej dykasterii kard. Luis Ladaria SJ przedstawił zaaprobowany przez Franciszka list „Samaritanus bonus” o opiece nad osobami w krytycznych i końcowych fazach życia.

Nie jest prawdą, że dokument prezentuje dotychczasowe nauczanie „w znacznie ostrzejszym języku” (brytyjski „The Tablet”). Pojawiające się ostre sformułowania odnoszące się do eutanazji – „przestępstwo przeciwko życiu ludzkiemu” czy „akt zabójczy” – znajdują się w cytatach z wcześniejszych dokumentów. Zaskakująca jest natomiast objętość listu – to po soborze najobszerniejsza dotychczas wypowiedź Kongregacji Nauki Wiary. Zajmujący się dość wąskim tematem „Samaritanus bonus” jest np. o jedną trzecią dłuższy od instrukcji „Dignitas personae” z 2008 r. odnoszącej się do wielu nowych zagadnień bioetycznych.

Tylko po części tę zagadkę wyjaśnił sam kard. Ladaria, tłumacząc, że tym razem kongregacja chciała podejść do tematu „całościowo” – nie tylko doktrynalnie, ale też duszpastersko. Stąd obszerne fragmenty o teologii cierpienia i o znaczeniu opieki nad osobami terminalnie chorymi. Ważnym kontekstem są tu zmiany legislacyjne w niektórych krajach – np. w lutym eutanazję i wspomagane samobójstwo zdekryminalizowała Portugalia.

Najważniejszym kontekstem jest jednak zapowiedź degradacji KNW – zgodnie z priorytetami papieża ma ona zająć drugie miejsce po superdykasterii zajmującej się ewangelizacją. Kongregacja próbuje odnaleźć swoją tożsamość w nowych warunkach. Z jakim rezultatem?

Niestety spadkobierczyni inkwizycji wciąż trudno pozbyć się doktrynalnej sztywności. Np. dokument słusznie kładzie nacisk na duszpasterską obecność przy osobach dążących do wspomaganej samobójstwa („potrzebna jest bliskość, która zawsze zaprasza do nawrócenia”). Niedopuszczalna jest jednak obecność kapłana przy samym akcie: „Obecność tę można interpretować jedynie jako współudział”. Naprawdę jedynie tak? ©P

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

KŁAMSTWA

„To, co do tej pory mówiliśmy o prawach człowieka i wartościach europejskich, to tylko kłamstwa. Nie można mówić o chrześcijańskiej tożsamości Europy, chodzić do kościoła, modlić się, wiedząc, że na granicy tej Europy ludzie cierpią i umierają, a my nie robimy nic” – powiedział kard. Jean-Claude Hollerich, przewodniczący Komisji Konferencji Biskupów UE.

ŚWIĘTOŚĆ

10 października zostanie beatyfikowany Carlo Acutis, zmarły w 2006 r. na białaczkę 15-letni Włoch. Acutis codziennie uczestniczył w mszy św., tworzył strony internetowe o cudach eucharystycznych, doprowadził do nawrócenia swoich rodziców. Zmarł w opinii świętości. „Wypracował ją w normalnym życiu nastolatka” – mówią o nim przedstawiciele włoskiego duszpasterstwa młodzieży.



MATERIAŁ PRASOWY

HOŁD

Szczątki abp. Marcela Lefebvre'a przeniesiono z seminarium w Ecône do krypty kościoła seminaryjnego. Były przełożony Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X bp Bernard Fellay powiedział, że to oddanie arcybiskupowi „synowskiego hołdu, który mu się należy”. Zdaniem prof. Ewy-Marii Faber, teolożki z Chur, akt ma „raczej podkreślić znaczenie osoby schizmatycznego biskupa i skonsolidować schizmę, niż spowodować stopniowe zbliżenie ze Stolicą Apostolską, którego kilka prób podejmowano w ostatnich latach”.

Kaja Godek dzieli biskupów

POLSCY HIERARCHOWIE dbają o to, by przedstawiać się jako grono jednomyślne. Ostatnio sekretarzowi KEP, bp. Arturowi Mizińskiemu, udało się krótkim listem skutecznie to grono podzielić. Prosił w nim biskupów o umożliwienie zbierania w kościołach podpisów pod sygnowanym przez Kają Godek projektem ustawy „Stop LGBT”.

Zabronili tego metropolici: warszawski, poznański oraz lubelski. Natomiast zgodę wyrazili m.in. metropolici: białostocki abp Tadeusz Wojda i szczeciński abp Andrzej Dzięga. Biskup bielsko-żywiecki Roman Pindel decyzję zostawił proboszczom, elbląski zaś, bp Jacek Jezierski, administrujący także archidiecezją gdańską, zezwolił na zbieranie podpisów na terenach przykościelnych. Żaden biskup nie wspomniał, że projekt zakazuje m.in. publicznej dyskusji o prawach osób LGBT, godząc tym samym w konstytucyjną wolność słowa. ©P ARTUR SPORNIAK

Watykan: kardynał bez szans

„BYŁEM PRZYJACIELEM PAPIEŻA DO GODZ. 18.02” – powiedział kard. Angelo Becciu, jeden z najbliższych współpracowników Franciszka, prefekt Kongregacji ds. Kanonizacyjnych, niespodziewanie zdymisjonowany i pozbawiony wszystkich „praw i obowiązków kardynała”. W latach 2011-18 był substytutem w Sekretariacie Stanu (czyli watykańskim ministrem spraw wewnętrznych) i właśnie tego okresu dotyczy zarzuty sprzeniewierzenia pieniędzy ze „świętopietrza” (a więc przeznaczonych na cele charytatywne), które lokowane były w podejrzanych funduszach inwestycyjnych i w luksusowych nieruchomościach.

Jednak nie te afery były powodem ubiegłotygodniowego trzęsienia ziemi w Watykanie. Dochodzenie toczy się od roku i jeśli dymisja miałaby być jego efektem, poinformowano by o niej w codziennym komunikacie prasowym. Skoro przekazano informację mediom tuż po wyjściu kardynała od papieża, musiał być inny powód.

Prawdopodobnie chodziło o dziennikarskie śledztwo na temat wielomilionowych sum, jakie z watykańskiej kasy trafiały na konta braci kardynała (jeden produkuje meble, drugi piwo, trzeci współpracuje z sardyńskim Caritasem). Artykuł tygodnika „L'Espresso”, szykowany do wydania niedzielnego, miał być zapowiadany już w piątkowy poranek. Uprowadzająca reakcja Watykanu była próbą rozbicia medialnej bomby.

Zdymisjonowany kardynał zapewnia o niewinności, której jest gotów bronić przed sądem, i sugeruje, że papież „został zmanipulowany”, co chętnie by sam mu wyjaśnił, gdyby dostał taką szansę. Ale na to się nie zanoszą. ©P EDWARD AUGUSTYN

Więcej na powszech.net/becciu

KULTURA W SKRÓCIE

KINO FESTIWALU PRZEMIANY

wystartuje 1 października na stronie Narodowego Instytutu Audiowizualnego ninateka.pl. Widzowie zobaczą pokazywane dotąd tylko na festiwalach dokumenty, m.in. „Antropocen: epoka człowieka”, „Kto zabił sekretarza generalnego ONZ”, „The Wolfpack”, „Davos. Centrum świata”, a także fabulę Michaela Hanekego „Siódmy kontynent”. Wydarzenie potrwa do 10 października, udział jest bezpłatny.

FILM PAWŁA

WYSOCHAŃSKIEGO

„Jutro czeka nas długi dzień” nominowano w kategorii „najlepszy zagraniczny film dokumentalny” na festiwalu filmowym we Florencji. Zrealizowany w Indiach dokument znalazł się również w konkursach festiwalu filmowych w Buenos Aires i Meksyku, a także w konkursie niemiecko-czesko-polskiego Neisse Film Festival.

WYBÓR FOTOGRAFII

MIKOŁAJA GRYNBERGA

– fotografia, reportera i pisarza – trafił do zbiorów Muzeum Warszawy. Z tej okazji Muzeum Warszawskiej Pragi zaprasza na cykle „Czas pokaże” (portrety młodych ludzi u progu dorosłości) i „Zawodowcy” (pracy rzemieślnicy i kupcy w swoich miejscach pracy). Zdjęcia Grynberga można oglądać do 6 grudnia, wstęp wolny.



ŁUKASZ GRAJEWSKI,

autor tekstu o zjednoczeniu Niemiec (s. 59), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w środę 30 września o godz. 15.20. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



DAVID ZUCHOWICZ / AGENCIA GAZETA

Więcej niż kolejna szlachetna porażka

STOŁECZNE MUZEUM NARODOWE uczciło stulecie urodzin Jana Pawła II umieszczając na dziedzińcu pracę Jerzego Kaliny, autora m.in. „Przejęcia” z 1977 r. oraz pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej. Przed laty włoski artysta Maurizio Cattelan przedstawił papieża przygniecionego przez wielki meteoryt. U Kaliny kroczy on przez czerwoną wodę, trzymając w podniesionych wysoko rękach ciężki głaz.

„La nona ora” Cattelana budziła kontrowersje, ale też prowokowała do głębszych i niejed-

noznacznych interpretacji. Pokazywała wadzenie się papieża ze światem i z własną cielesnością. Kalina – polemizując z dziełem Włocha – chciał, by w Janie Pawle II ujrzano przede wszystkim nadludzkiego herosa. Jednak „Zatrute źródło” prowokuje przede wszystkim do żartów i humorystycznych przeróbek, które zalewają internet. Nie było dotąd pracy polskiego artysty o tak ogromnym memotwórczym potencjale.

Skonfrontowanie zamysłu Kaliny z wykonanym obiektem dodatkowo pogрузило artystę. W niecce fontanny niedbale wyłożonej płachtą czerwonej folii ustawiono postać papieża naturalnej wielkości, o dziwacznych rysach twarzy i zaburzonych proporcjach ciała. Ta nieporadna rzeźba nie współgra z monumentalną przestrzenią muzealnego dziedzińca. Wygląda, jakby Jan Paweł II przypadkowo tu przystanął.

„Zatrute źródło” to czasowa instalacja i można by ją uznać za kolejną szlachetną porażkę. Polska jest zagracona nieudanymi pomnikami papieża. Nawet toporność dzieła Kaliny mogłaby skłaniać do głębszych, nie tylko żartobliwych odczytań, gdyby artysta nie dopowiedział: to Jan Paweł II walczący z... LGBT jako formą odradzającego się komunizmu. Zamiast uhonorowania mamy ideologiczną agitkę.

W ciągu kilku dni Jerzy Kalina dokonał więcej niż krytycy papieża, od lat starający się strącić go z piedestału. „Zatrute źródło” to nie tylko spektakularna autokompromitacja artysty i ośmieszenie muzeum, ale przede wszystkim spostponowanie pamięci Jana Pawła II. Doprawdy, nie na takie uczczenie zasługiwał w tym szczególnym roku. © PIOTR KOSIEWSKI

Ptasi sukces komunikacyjny

W MÓZGACH PTAKÓW nie występuje kora nowa – najbardziej zewnętrzna struktura, złożona z sześciu warstw neuronów, spotykana tylko u ssaków. U ludzi to właśnie ona odpowiada za wyższe funkcje poznawcze, np. planowanie i rozwiązywanie problemów. W świetle tych dwóch spostrzeżeń doniesienia o zaawansowanych zdolnościach umysłowych ptaków były kłopotliwe – bo wielojądrowej, bardziej prymitywnej strukturze ptasich mózgów przypisywano ograniczenia w sferze poznawczej. Opublikowane w „Science” artykuły dwóch zespołów badawczych przekonują, że mózgi ptaków i ssaków mimo wszystko są bardzo podobne.

Martin Stacho i współpracownicy przeanalizowali struktury połączeń pomiędzy neuronami w mózgach ptaków. Skupili się na włóknach w tzw. Wulst (jądrze najbardziej przypominającym korę nową, odpowiedzialnym m.in. za

analizę bodźców wizualnych) oraz w regionach sąsiednich, współtworzących płaszcz mózgu. Okazało się, że u dwóch odległych ewolucyjnie gatunków – gołębi i płomyków – analizowane włókna mają strukturę przypominającą korę wzrokową u ssaków.

Jak interpretują badanie sami autorzy, klucz do zaawansowanego poznania nie leży w samej strukturze anatomicznej mózgu, lecz w organizacji połączeń pomiędzy tymi strukturami. Zaś zdaniem Andreasa Niedera i współpracowników aktywność w części płaszczu mózgowego zapewnia ptakom świadomość percepcyjną. Badacze przeprowadzili eksperyment, w którym wrony miały reagować ruchem lub jego brakiem na widok prezentowanych im bodźców. Reakcją ptaków odpowiadał wzorec aktywności neuronów w korze płaszczu. Neurony te aktywowały się, gdy ptaki dostrzegły sygnał (i odpowiednio na niego reagowały), a pozostawały nieaktywne, gdy bodziec nie został zauważony (czemu także towarzyszyła poprawna reakcja). © KATARZYNA DZIADOWICZ

CO MASKUJE KACZYŃSKI

Konflikt w koalicji pokazał, że są dwa PiS-y.
Jeden wierzy w Mateusza Morawieckiego
jako przyszłego lidera.
Ale drugi, liczniejszy, jest mu wrogi.
Prezes stawia na ten pierwszy,
ale na razie uległ drugiemu.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

NA PIERWSZY RZUT OKA SYTUACJA wygląda tak: Zbigniew Ziobro – główny konkurent Mateusza Morawieckiego na prawicy – odmówił poparcia dla ustawy autorstwa PiS, zawierającej zapis wyłączający odpowiedzialność urzędników za łamanie prawa podczas działań związanych z pandemią koronawirusa. To „lex Morawiecki” – chodzi o ochronę premiera przed odpowiedzialnością za decyzje w sprawie organizacji wyborów prezydenckich w wersji korespondencyjnej.

Sytuację zaogniło to, że posłowie Solidarnej Polski, czyli partii Ziobry, zagłosowali przeciw projektowi drugiej ważnej dla Jarosława Kaczyńskiego ustawy zwanej „Piątką dla zwierząt”, która miała wprowadzić m.in. zakaz hodowli zwierząt na futra i drastyczne ograniczenie uboju rytualnego. Ta ustawa przeszła, ale tylko dlatego, że poparła ją opozycja z Koalicji Obywatelskiej i Lewicy.

Żuł wcześniej Ziobro realizował konsekwentny plan obliczony na radykalizację swych postulatów wewnątrz koalicji i punktowanie w ten sposób Morawieckiego, który jest bardziej umiarkowany. Były spory o stosunki z UE, o LGBT+, o konwencję w sprawie przemocy wobec kobiet, o kontrolę nad organizacjami pozarządowymi.

Ale sprzeciw wobec bezkarności i ustawy o zwierzętach przełał czarę goryczy. Kaczyński gotów był wyrzucić Ziobrę i jego ludzi z rządu, powołać gabinet mniejszościowy albo

dział m.in. zakaz hodowli zwierząt na futra i drastyczne ograniczenie uboju rytualnego. Ta ustawa przeszła, ale tylko dlatego, że poparła ją opozycja z Koalicji Obywatelskiej i Lewicy.





rozpisać wcześniejsze wybory. Przynajmniej takie groźby pod adresem Solidarnej Polski formułowali politycy PiS.

Warunki kapitulacji

Buńczuczny zazwyczaj Ziobro wyraźnie spuścił z tonu. Przyjął narzucone przez Kaczyńskiego warunki kapitulacji. Przede wszystkim zrezygnuje z ideologicznych wyskoków, bo wszystkie projekty musi uzgadniać z PiS. W dodatku odda resort środowiska, którym kieruje jego człowiek Michał Woś.

Ziobro poddany też zostanie szczególnemu nadzorowi. Do rządu – wszystko na to wskazuje – wejdzie sam Kaczyński, by jako wicepremier od bezpieczeństwa nadzorować pracę ministrów siłowych: Ziobry, a także szefów MSWiA Mariusza Kamińskiego oraz MON Mariusza Błaszczaka.

Na pierwszy rzut oka to porażka szefa Solidarnej Polski, który zyskał nadzorcę. Być może taktycznie tak. Ale strategicznie Ziobro wygrał, bo osiągnął swój cel – skłonił Kaczyńskiego do włączenia się w jego spór z Morawieckim. Wejście prezesa PiS do rządu to marzenie ziobrystów. Przyczyna jest prosta: spowoduje to drastyczne osłabienie Morawieckiego.

Koniec teatru

Po pierwsze, Kaczyński ma niezaprzeczalny autorytet w obozie władzy i jeśli wejdzie do rządu, to znacznie się na niego pozycjonować część ministrów. Po drugie, to jego głos podczas posiedzeń rządu będzie kluczowy – dotąd decydował Morawiecki. Wreszcie: do tej pory prace całego gabinetu i poszczególnych ministrów Kaczyński oceniał na podstawie relacji, które składał mu Morawiecki. A były to relacje, których celem było umocnienie premiera i osłabienie jego przeciwników. Teraz Kaczyński zobaczy wszystko na własne oczy. ➔

→ A więc to koniec jednoosobowego teatru premiera i najpoważniejszy test dla relacji Kaczyński–Morawiecki od momentu dojścia PiS do władzy.

Nie ma się zatem co dziwić, że ludzie Ziobry są wniebowzięci, a współpracownicy Morawieckiego rwą włosy z głowy.

Do tej pory Ziobro praktycznie nie przychodził na posiedzenia, wysyłając zastępstwa. Przy wicepremierze Kaczyńskim na pewno zacznie na Radę Ministrów chodzić, by toczyć boje z Morawieckim w obecności szefa PiS.

Już kilka razy w ostatnich kilkudziesięciu miesiącach prezes groził, że wejdzie do rządu jako wicepremier-rozjemca lub nadzorca. Ostatni raz ogłosił taki zamiar w maju, gdy Morawiecki nie był przekonany do organizowania wyborów prezydenckich w wersji korespondencyjnej. Kaczyński oznajmił, że on jako wicepremier takie wybory przygotowuje. Dlatego Morawiecki – wystraszony perspektywą Kaczyńskiego w rządzie – wziął na siebie przygotowanie do głosowania pocztowego i podpisał dokumenty w tej sprawie, które właśnie zakwestionował sąd administracyjny. Z tego właśnie powodu premier potrzebuje ustawy o bezkarności. Ale jednocześnie cała ta sytuacja pokazuje, że ustawa ta – choć formalnie ma chronić Morawieckiego – w rzeczywistości dotyczy decyzji wymuszonych na premierze przez Kaczyńskiego. W ten sposób szef Solidarnej Polski odmawiając podniesienia za nią ręki uderzył oświadczeniem w szefa PiS.

Czemu zatem Kaczyński mu darował? Czemu pozwolił mu zatriumfować, osłabiając Morawieckiego? Bo tu nie chodzi tylko o Ziobrę. Znacznie ważniejsza była sytuacja wewnątrz PiS.

Przeskoczyć wiarusów

Nie jest tajemnicą, że Kaczyński od kilku lat wyraźnie umacnia pozycję Morawieckiego, wysyłając jednoznaczne sygnały, że typuje go na przyszłego lidera polskiej prawicy. Dlatego właśnie lider Solidarnej Polski zgrzyta zębami, bo sam ma ambicje przejęcia władzy po 71-letnim prezesie. Jeszcze przed wyborami prezydenckimi Ziobro sondował Kaczyńskiego, czy może wrócić do PiS na stanowisko wiceprezesa. Tak było dekadę temu, zanim obaj rozstali się w atmosferze wojny w 2011 r. Powrót dziś miał jeden polityczny sens: Ziobro chciał zwiększyć swe szanse na przejęcie sztytu PiS. Kaczyński

się nie zgodził, co wielu ludzi w partii odebrało jednoznacznie: że ich szef postanowił przekazać insygnia władzy Morawieckiemu.

Milioner, były prezes zagranicznego banku, Morawiecki związał się z PiS dopiero po wygranych wyborach parlamentarnych w 2015 r. – został wicepremierem i ministrem rozwoju w rządzie Beaty Szydło. Dwa lata później jego zabiegi u Kaczyńskiego o usunięcie Szydło się udały – został premierem. W tym roku, po wyborach prezydenckich, Morawiecki dostał zgodę Kaczyńskiego na przeprowadzenie rekonstrukcji rządu, która znacznie wzmocniłaby pozycję jego samego

Niechętni Morawieckiemu
politycy PiS najczęściej
wcale nie przepadają za Ziobrą.
Pamiętają, że już raz zdradził
i gdy nadszedł Smoleńsk,
to nie wrócił.

oraz Kancelarii Premiera, a osłabiła Ziobrę. W finale na listopadowym kongresie PiS miał zostać pierwszym wiceprezsem partii, czyli przeskokczyłby wieloletnich działaczy, zwyczajnych wiceprezesów. Poza Szydło także Joachima Brudzińskiego, Mariusza Błaszczaka, Mariusza Kamińskiego, Adama Lipińskiego i Antoniego Macierewicza. To miał być widowiskowy dowód na to, że jego akcje rosną i że w związku z tym warto na niego stawiać, myśląc o karierze w PiS.

Zderzenie światów

Konflikt w koalicji pokazał wyraźnie nie tylko desperację Ziobry w walce z Morawieckim (naiwna jest jego kalkulacja, że mógłby użyć prokuratury, by oskarżyć premiera za decyzje w sprawie wyborów korespondencyjnych, które *de facto* podejmował Kaczyński). Znacznie istotniejsze jest coś innego. Otóż wygenerowany przez Ziobrę konflikt obnażył wewnętrzny podział w PiS wokół decyzji Kaczyńskiego, który postanowił wymusić na partii akceptację dla przekazywania władzy obecnemu premierowi.

Tak naprawdę ów konflikt koalicyjny – choć zaczął się od ustawy o bezkarności i ochrony zwierząt – w finale dobitnie pokazał, że są dwa PiS-y. Jeden to ten wierzący w Mateusza Morawieckiego jako przyszłego lidera partii. Ale drugi, wciąż liczniejszy, jest mu wrogi.

Te dwa PiS-y są jak zderzenie światów. Wrogowie Morawieckiego są niechętni Unii, uważają się za reprezentantów mniejszych miejscowości, są nieufni wobec biznesu, zakochani w programach socjalnych partii, konserwatywni i bliscy Kościołowi. Często to wieloletni działacze PiS, a wcześniej Porozumienia Centrum, czyli pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego.

Ludzie Morawieckiego są młodszy, pro-unijni, wielkomiejscy, bardziej liberalni gospodarczo. Najczęściej też po prostu znacznie zamożniejsi, zwłaszcza ci, którzy – jak minister finansów Tadeusz Kościński, minister klimatu Michał Kurtyka czy szef Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys – przyszli do rządu PiS za Morawieckim z rynków finansowych. Przez przeciwników zwani są w najlepszym razie „bankomatami”, a częściej mniej elegancko „banksterami”, przeciwnymi szczodrej polityce socjalnej. Sam Morawiecki jeszcze jako wicepremier w rządzie Beaty Szydło krytykował plany wprowadzenia 500 plus, argumentując, że przez to część kobiet odejdzie z rynku pracy. Nie przeszkadza mu to dziś stać w pierwszym szeregu chwalców tego programu.

Ludzie niechętni Morawieckiemu uważają, że bliżej mu do Platformy, i z pietyzmem wyłuskują wszelkie tego poszlaki. Nie tylko wypomina się obecnemu premierowi, że był doradcą Donalda Tuska, nawet po Smoleńsku. Nie tylko tropi się nominacje w spółkach Skarbu Państwa, do których Morawiecki czasem wysyła menadżerów z czasów Platformy. Pamięta się także o tym, że jako jedyny dziś człowiek PiS został nagrany w restauracji Sowa i Przyjacieciele podczas biesiady z ludźmi PO ze spółek państwowych. Na nagraniach od nich nie odstawał – towarzysko, mentalnie ani językowo.

Sukcesja się zacięła

Wśród wspomnianych wiceprezesów tylko Lipińskiego można uznać za przychylnego Morawieckiemu – tyle że Lipiński został właśnie wysłany na emery-

talną synekurę do zarządu Narodowego Banku Polskiego. Wszyscy inni premiera zwalczają, z różnych powodów. I to właśnie jest kłopot w PiS „antymorawieckim” – poza niechęcią do szefa rządu niewiele go łączy.

Jakie wpływy ma w tej chwili Morawiecki w PiS? Jego przeciwnicy szacują, że w liczącym niemal 200 posłów klubie parlamentarnym pozycjonuje się na niego około 60 posłów. Ale nie kontroluje struktur terenowych, na których rękę trzyma Brudziński – a to kluczowa władza.

Jednocześnie przeciwnicy Morawieckiego są w kłopotcie: nie ma w tym gronie wyrazistego lidera, na którego wszyscy by grali. W tym sensie ich sojusznikiem stał się Zbigniew Ziobro, który ma identyczny interes – zatopienie obecnego premiera i wstrzymanie sukcesji.

Niechętni Morawieckiemu politycy PiS najczęściej wcale nie przepadają za Ziobrą. Pamiętają, że już raz PiS zdradził i gdy nadszedł Smoleńsk, to nie wrócił. Uważają go za porywczego. Podejrzewają o zbieranie haków na przeciwników politycznych. Sądzą także, że nie jest w pełni samodzielny, bo sterowany przez ambitną małżonkę Patrycję Kotecką, która po dojściu do władzy PiS dostała lukratywną posadę w państwowej spółce finansowej z grupy PZU.

Dla nich bunt Ziobry stał się użytecznym momentem do przeprowadzenia operacji obliczonej na osłabienie Morawieckiego. Nie przypadkiem w aranżowanie kompromisu między Kaczyńskim a Ziobrą zaangażowany był Maciej Łopiński, kiedyś mentor, a dziś narzędzie szefa TVP Jacka Kurskiego, jednego z najbardziej zajadłych wrogów Morawieckiego wewnątrz PiS.

Palicho ustawy o bezkarności czy o zwierzętach – konflikt w koalicji pokazał Kaczyńskiemu, że partia nie godzi się na wymuszoną, narzuconą sukcesję.

Dlatego właśnie prezes zrobił krok w tył na ścieżce do przekazywania premierowi władzy. Nie tylko wyraził gotowość wejścia do rządu, ale także – o czym się plotkuje – może przełożyć partyjny awans Morawieckiego na wiceprezesa PiS.

Nakręcany od co najmniej trzech lat mechanizm sukcesji wyraźnie się zaciął.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Główne nurty kacyzmu

ADAM WODEHAM*, JAN ZELIG*, POLITOLODZY:

To, co w polskiej polityce jest poza prezesem PiS, wydaje się tak jałowe, doraźne i nieinspirujące, że Kaczyński jawi się na tym tle jak kolos.

RAFAŁ WOŚ: Co to jest kacyzm?

ADAM WODEHAM, JAN ZELIG: To filozofia polityczna Jarosława Kaczyńskiego. Od mniej więcej dekady próbujemy esencję tej filozofii wydestylować z uprawianej przez niego polityki. Nasze wieloletnie rozmowy zaowocowały szeregiem tez składających się na spójną doktrynę polityczną.

Teza 1.11: „Formy kacyzmu mogą się zmieniać w zależności od sytuacji historycznej. O aktualnej formie kacyzmu decyduje Jarosław Kaczyński”.

To tylko wycinek większej całości. Uważamy zupełnie szczerze i na poważnie, że Jarosław Kaczyński jest w polskiej polityce postacią pierwszej wielkości. Po transformacji ustrojowej – jedyną.

My to znaczy kto?

W styczniu 2019 r. zaczęliśmy publikować nasze tezy na Twitterze, dając początek Uniwersytetowi Hermeneutyki Kacyzmu (UHK). Zachęcamy do śledzenia profili @AWodeham i @JanZelig na Twitterze. To oczywiście nie są nasze prawdziwe nazwiska.

Zacznijmy od tego, co się działo w ostatnich dniach, czyli od kryzysu koalicyjnego. Wasza teza 2 brzmi: „Stan wyjątkowy jest naturalnym stanem polityki”. Z kolei np. teza 6.11 głosi, że „Zdraycy mogą zostać zrehabilitowani, jeśli wymaga tego potrzeba strategiczna. Zapomnieć nie wolno nigdy”. W kontekście politycznego sporu o „Piątkę dla zwierząt” Wasze tezy brzmią profetycznie.

Polityk klasy Kaczyńskiego – liczący tak wysoko – zwykle gra naraz

o różne stawki. Tym razem liczą się przede wszystkim cztery. Po pierwsze, obrona własnej pozycji przed aspirującymi konkurentami: wyzwanie, z którym osoba o tej pozycji musi mierzyć się co kilka lat – najlepiej samemu wybierając czas i miejsce starcia. Po drugie, nieuchronnym następstwem wyniku wyborów parlamentarnych okazało się przesilenie rządowe. Ułożenie list wyborczych doprowadziło do tego, że dwa podmioty niedysponujące siłą polityczną – mierzoną w demokracji zwłaszcza wielkością elektoratu – uzyskały zbyt duży wpływ na centrum władzy. Ten problem trzeba było rozwiązać. Po trzecie, zwrot ekologiczny PiS-u, bo w tle „Piątki dla zwierząt” ukryło się też odchodzenie od węgla – a i to pewnie nie koniec. Ten zwrot ma za zadanie normalizować kacyzm w oczach dużej grupy Polaków, nawet kosztem chwilowego niezadowolenia skrajnego skrzydła elektoratu władzy. Ale trzecia kadencja rządzenia jest tego warta. Po czwarte wreszcie, jest to nie pierwsza, raczej nie ostatnia, ale być może decydująca próba sił w kontekście walki o sukcesję po Kaczyńskim.

Zanim pójdziemy dalej, musimy czytelnikom pokazać, że nie jesteście żadnymi internetowymi śmieszkami ani trollami...

To, że posługujemy się zrozumiałym dziś dla każdego językiem Twittera i w ogóle, że działamy w obszarze internetu, nie znaczy, że jesteśmy niepoważni. Przeciwnie, dzięki tej formie możemy odpowiadać na wyzwania naszych czasów. Wyobraźnia filozoficzna zaczęła żywić się technologią – także, a może przede wszystkim, fenomenem internetu. Tezy kacyzmu są jednym z owoców internetowej kultury, a ich kształt wyznacza w dużej mierze →

→ narzucona przez Twittera forma komunikacji. Tweet jest nie gorszym nośnikiem idei niż opasłe księgi. Jest to również nasza odpowiedź na upadek współczesnego uniwersytetu i intelektualną pustkę, którą powoli zapełniają nowe świeckie religie: teorie spiskowe, neoliberalizm i geopolityka.

Ambitnie.

Chcemy również oswajać czytelników z myślą, że „nie ma nie-polityki – wszystko jest polityką”. Polacy nie potrafią myśleć politycznie, a pojęcie polityczności rozumieją w wąskich kategoriach przygodnej gry parlamentarnej. Z kolei doraźna polityczna debata ogranicza się do „licytacji na hipokryzję”. Antypisowcy czyhają, by zakrzyknąć, że PiS robi coś odwrotnego, niż zapowiedział. Pisowcy zaś wytykają Platformie, że – będąc u władzy – ganiła opozycję za to, co sama dziś robi. Na tym tle Kaczyński to jedyny polityk, który proponuje rozmowę głębszą. Stawia fundamentalne pytania o Polskę.

Jakie to pytania?

Na przykład o to, jak radzić sobie z kompleksem Polski. Polacy radzą sobie z nim na dwa sposoby. Niektórzy – uciekając w historię i te wszystkie husarskie sukcesy polskiego oręża. Inni – przyjmując nabożną cześć wobec wszystkiego, co obce. Jedni biegają więc dziś „wilczym tropem”, a drudzy szydzą z parawanów na polskich plażach. Ale Kaczyński tych debat nie obsługuje, ma swoją odpowiedź.

Jaką?

Od samego początku lat 90., czyli od ostatecznego odłączenia się od prezydenta Wałęsy, oraz stronnictwa, które z czasem wyewoluuje w tzw. liberalny salon, Kaczyński występuje z postulatami wyrównania zaniedbań transformacyjnych. Naszym zdaniem nie jest to zabieg tylko retoryczno-symboliczny. W gruncie rzeczy przez cały czas odnosi się on do spraw materialnych. To w niedostatku ekonomicznym kaczynizm sytuuje główny problem współczesnej Polski. Głosi, że nie można sensownie dyskutować, czy będzie tu państwo liberalne czy neoliberalne, dopóki nie zniesiemy tego pseudokolonialnego stanu uzależnienia. Tak od zagranicy, jak i od siebie nawzajem. Innymi słowy: ludzie nie będą Euro-

pejczykami, dopóki nie będą mieli co jeść. I nie będziemy normalnym suwerennym krajem, dopóki będą istniały dwie Polski, z których jedna wyzyskuje drugą i na dodatek jej nie zna. A druga się tej pierwszej boi i nią pogardza.

Wielu krytyków za to właśnie Kaczyńskiego wini, że podsycą antagonizm.

To jest mylenie skutków z przyczynami. Kaczyński diagnozuje antagonizm. Ale nie przechodzi nad nim do porządku dziennego. Mówi o pilnej potrzebie zmiany. Za to go w gruncie rzeczy nienawidzą. Bo ani kompleksów, ani ich materialnych przyczyn nie zamiata pod dywan – jest najbardziej rewolucyjnym politykiem w Polsce w ostatnim 30-leciu.

Jako badacze kaczynizmu nie darzymy ziobrystów szczególnym sentymentem.

To zakała całego obozu.

Duchowi spadkobiercy najgorszego polskiego warcholstwa.

Gdzie to widzieć?

Cofnijmy się do roku 2015. Początkowo liberałowie myśleli, że jest niemożliwe, by zastany porządek neoliberalny tak łatwo dało się wywrócić do góry nogami. Panowało przekonanie, że cały ten PiS potrwa – najwyżej – trzy miesiące. A potem, po zderzeniu z „obiektywnymi realiami”, skończy się ta fanaberia. I wtedy Kaczyński ku zaskoczeniu przeciwników zaczął od razu przewalczać coś, co ktoś mógłby nazwać radykalną politycznością. A ktoś inny – populizmem. Było to w dużej mierze postawienie poważnych pytań o państwo. I za to PiS dostaje cięgi.

Może dostaje je zasłużenie?

Jedną z miar samodzielności Kaczyńskiego jest to, że potrafił wyemancypować się spod kurateli opinii środowi-

ska, z którego przecież wyrósł. Dzięki tej emancypacji uniknął losu tych wszystkich polityków, którzy podejmują kluczowe decyzje pod wpływem tego, co o nich mówią „zaprzyjaźnione” media. To jest droga donikąd. Wystarczy spojrzeć na narracje antykaczystowskie, zmieniające się szybciej niż pogoda nad morzem. W tych opowieściach z pokrytego łupieżem dziadunia w zniszczonych butach Kaczyński przeistacza się w wojowniczego biznesmena, który potrafi obracać pieniędzmi i skorzystał na transformacji, budując dwie wieże.

I nie uważacie, że w haśle o autorytarnym charakterze rządów prezesa PiS jest prawda?

Ani trochę. Pierwszy z brzegu przykład. Gdyby naprawdę był zwolennikiem rozwiązań antydemokratycznych i chciał rozpędzenia parlamentu, co zrobiłby w pierwszej kolejności? Zacząłby podsycać antypolityczne emocje, które są w każdym demokratycznym społeczeństwie. Powiedziałby, że tym wszystkim posłom-darmozjadom trzeba poobniżyć pensje i zlikwidować dotacje dla partii politycznych z budżetu. Rząd by się przecież jakoś wyżywił. Taki ruch w krótkim czasie wykończyłby opozycję. Po cichutku i w białych rękawiczkach. I jeszcze by za to Kaczyński zebrał trochę punktów. Tak się buduje przecież system oligarchiczny. Tyle że Kaczyński jest demokratą i on lubi tę całą parlamentarną grę. To jest jego żywioł. To różni go np. od Piłsudskiego. Widać to było także w pandemii.

Co to znaczy?

Z jednej strony mieliśmy do czynienia z opozycją, która ciągle – na przekór deklarowanemu przez siebie liberalizmowi politycznemu – nawoływała do wprowadzenia stanu nadzwyczajnego i przełożenia wyborów. Z drugiej – był ten rzekomy antydemokrata Kaczyński, który prze do wyborów, w końcu je przeprowadza, a ostatecznie zwycięża jego kandydat przy 70-procentowej frekwencji. Czy tak postępuje antydemokrata?

A zarzut autorytaryzmu? Tutaj też nic nie ma?

Wprost przeciwnie. Kaczynizm jest pod wieloma względami ruchem antyautorytarnym, czyli upodmiotawiającym szerokie masy społeczne. Niesmak budzi to, że Kaczyński poszerza pole wolności. Robi

obywateli z tych, którzy – zdaniem jego przeciwników – obywatelami być nie powinni. Dla krytyków PiS-u to „hołota”, „pięćsetplusy”, „chamstwo”. To jest w ogóle szerszy problem podszyty jeszcze niezgodą elit z własnym rodowodem: chłopskim przecież i mało-miasteczkowym. Kaczyzm się go nie wypiera, bo nie boi się ludyczności. Nie boi się Zenka Martyniuka. Ale nie dlatego, że Zenek mu się podoba, tylko dlatego, że ten kraj tak wygląda. On będzie wyglądał inaczej – i Kaczyński często o tym mówi. Ale ta zmiana nie nastąpi, dopóki nie będzie wyrównania pewnych materialnych różnic.

Czyli kaczyzm wychodzi na ruch radykalnie lewicowy.

Emancypacyjny?

Tyle że dochodzi tu do chaosu pojęciowego. Dzisiejsza lewica w Polsce – i nie mówimy tu tylko o politykach, lecz także o ich wyborcach – z masami się nie identyfikuje. To jest dramat lewicy tracącej zainteresowanie emancypowaniem ludzi, którzy się jej nie podobają: bo nie mają takich jak trzeba poglądów na rodzinę, seksualność, tradycję etc.

To chyba nie takie proste. Lewica dużo mówi o emancypacji przez instytucje czy usługi publiczne.

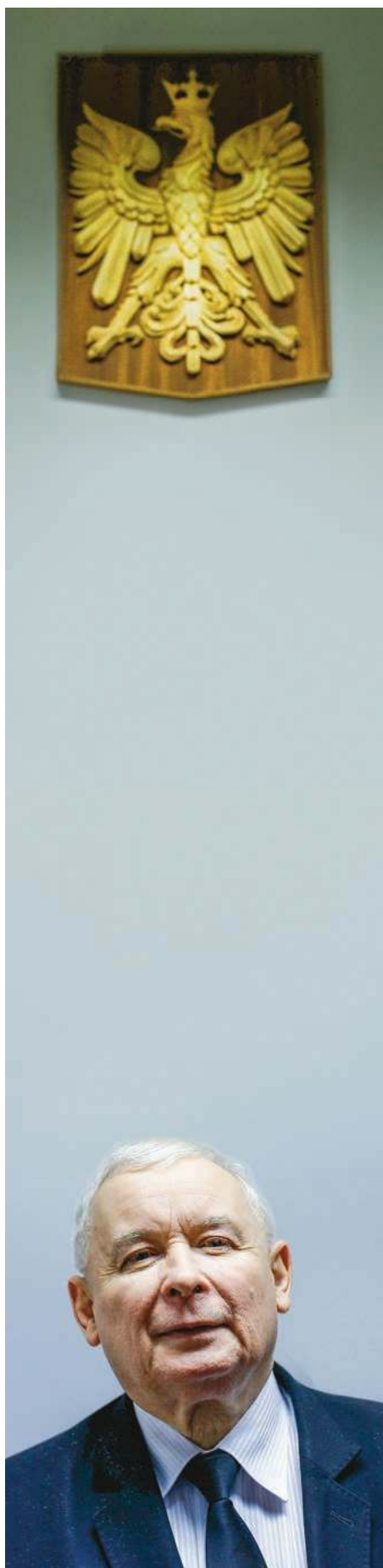
Ich jednak przeraża „dawanie pieniędzy do ręki”. Zresztą wielu ludzi w PiS-ie też tak myśli.

Przypomnę pomysł ziobrystów, by 500 plus przelewać na specjalną kartę, żeby beneficjenci nie mogli „przepić”. Albo bon turystyczny, czyli pomysł Jadwigi Emilewicz.

Lewica w Polsce jest w gruncie rzeczy liberalna. Podobnie jak część prawicy. Jako badacze kaczyzmu nie darzymy ziobrystów szczególnym sentymentem. To zakała całego obozu. Duchowi spadkobiercy najgorszego polskiego warcholstwa.

To kaczyzm w końcu jest lewicą czy prawicą?

Jest to, rzecz jasna, złożona sprawa. Korzenie są raczej lewicowe. Kaczyzm wyrasta z dorobku takich ludzi jak Macierewicz, Olszewski czy właśnie Kaczyński, którzy początkowo byli związani z lewicową opozycją.



To prawda. Dwaj pierwsi byli wśród czołowych postaci KOR-u. Obok Lipskiego, Kuronia i Michnika. Kaczyński dołączył na pewnym etapie dzięki protekcji swojej mamy, która Jana Józefa Lipskiego znała z pracy.

Środowiskowo były to w dużej części domy wywodzące się z tradycji PPS-owskiej. Lewicowej, wspólnotowej, solidarystycznej. Na pewno nie darwinistycznej społecznie. Ani żadnej tam społecznie liberalnej lub – nie daj Boże – obyczajowo.

No to dlaczego kaczyzm jest uważany za ideologię prawicową? Nawet sam Kaczyński tak o sobie mówi.

Bo Kaczyński jest politykiem prawicowym, choć nie w sposób, w jaki chcieliby to widzieć jego przeciwnicy, a także część zwolenników. Do pewnego stopnia został w rolę „prawaka” wepchnięty. Starczy prześledzić narrację na jego temat w głównych liberalnych mediach: autokrata lub przynajmniej polityk o osobowości autorytarnej. Faszyzujący Polskę. Oczywiście Kaczyński wchodzi w tę rolę chętnie. Ona czegoś go pozbawia, ale coś mu jednak daje. To w dużej mierze dzięki Kaczyńskiemu nie było w Polsce przez ostatnich 20 lat żadnej znaczącej siły politycznej o skrajnie prawicowym charakterze. Ta narracja „na prawo od nas tylko ściana” przez lata udawała się świetnie.

Ostatnio słabiej.

Dopiero ostatnio zaczyna ją podważać Konfederacja oraz wróg wewnętrzny w postaci ziobrystów, którzy próbują nieustannie wepchnąć kaczyzm na mielizny tożsamościowo-katolickie. Ale wciąż nie jest pewne, czy to się im uda. Kaczyński gra w tę grę od 20 lat. Od 20 lat przyjmuje i neutralizuje wszystkie największe strachy, że nad Wisłą zawsze wygra jakaś forma antysemitkiej endecji radiomaryjnej. A PiS te głosy zbiera. I wcale nie wychodzi im z tego żadna neoendecja. Tylko kaczyzm.

Ale czemu obóz kaczystowski nazywa się Zjednoczoną Prawicą? A nie Nowym Porozumieniem Centrum albo Sojuszem dla Polski? ➔

→ Bo kaczystowskie rozpoznanie świata jest jednak jednoznacznie konserwatywne. W największym skrócie chodzi o odpowiedź na pytanie, czy człowiek z natury jest zły i słaby, czy też – skoro naturalnie dąży ku dobru, jak twierdzą optymiści – wolno pozwolić mu na dowolne zmienianie rzeczywistości wokół siebie.

I jak odpowiada na to Kaczyński?

Na tym poziomie oparliśmy teorię kacyzmu na antropologii filozoficznej Arnolda Gehlena. Nie wiemy, czy Kaczyński go zna. I czy byłby zachwycony takim porównaniem. Ale to nie ma znaczenia. Rozpoznanie kacyzmu pokrywają się naszym zdaniem z tezami Gehlena.

A co mówił Gehlen?

On mówił tak: biologicznie rzecz biorąc człowiek jest aberracją. Nie ma kłów, pazurów, skrzydeł, pancerza czy skrzel, żadnych narzędzi przetrwania. Niemożliwością jest, żeby taka istota przetrwała. A jednak właśnie ten wybrakowany ewolucyjnie twór wygrał i opanował ziemię. Dlaczego? Bo w miejsce kłów i pazurów wytworzył instytucje, język, naukę, technikę. Instytucje nie powstają w jednej chwili. Wykuwają się długo. Gdy więc Kaczyński mówi: „będziemy twardo bronić tradycyjnych wartości”, to tak naprawdę opowiada się za tym, by nie pędzić za każdą modną nowinką. Trzymać się sprawdzonych wzorów.

I to wystarczy?

Od początku prezes odnosił się głównie do spraw materialnych.

To w niedostatku ekonomicznym kacyzm diagnozuje problem współczesnej Polski.

To, co jest w polskiej polityce poza prezesem PiS, wydaje się tak jałowe, doraźne i nieinspirujące, że Kaczyński jawi się na tym tle jak kolos. Powstaje oczywiście pytanie, co będzie dalej. Czy za dziesięć lat kacyzm będzie ciągle punktem odniesienia dla sensownej rozmowy o Polsce? Myślę, że tak. Czy będzie tak za lat 20 i 30? Tego nie jesteśmy pewni. A wie pan dlaczego?

Wiem, pytanie, czy Wy wiecie?

Mistrzostwo codziennych gier politycznych Kaczyńskiego ma cenę: jakość powoływanych przez niego instytucji obliczonych na długofalową i trwałą zmianę. Spójrzmy na pierwszy PiS: z dwuletniej konserwatywnej rewolucji pozostały IPN i CBA. Instytucje, które powołuje, to wy-

dmuszki, a ich celem jest obejście instytucji już istniejących – jak było choćby z Radą Mediów Narodowych.

Ostatnia kwestia to sukcesja.

Co z kacyzmem po Kaczyńskim?

PiS to partia, która musiała poradzić sobie z olbrzymią stratą po katastrofie smoleńskiej. W Smoleńsku zginęła jej elita, ludzie, którzy mieli być tymi słynnymi następcami Kaczyńskiego. Szefując kilku instytucjom i pracując w Pałacu Prezydenckim, pozostali w strukturach państwa po przejściu kacyzmu do opozycji, z dala od linii frontu, na której na co dzień kompromitują się partyjni harcownicy. Po Smoleńsku Kaczyński wykonał sporo pracy, by te straty nadrobić. Wyciągnął wielu zdolnych ludzi z samorządów: to przykłady Szydło i Obajtka. Z biznesu: Morawieckiego i jego świtę. Oraz z antypisowskiej akademii: to wicepremier Gliński. Gdyby nie Smoleńsk, kacyzm byłby dziś zapewne atrakcyjniejszą opcją. A opozycji byłoby trudniej utrzymać narrację głoszącą, że to rodzaj okupacji, którą trzeba przeczekać. Ale drogi powrotnej nie ma.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

* ADAM WODEHAM i * JAN ZELIG

to pseudonimy badaczy filozofii polityki, orbitujących wokół jednego z czołowych ośrodków akademickich w Polsce.

Posługują się nimi prowadząc profil na Twitterze i stronę internetową Uniwersytetu Hermeneutyki Kacyzmu.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięć (kierownik),
Marcin Żyła
Historia Wojciech Pięć
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmieńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania
autorskich cykli podkastów
„Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małą ojczyznę

LEKtura
czyli Grzegorz Jankowicz o tym,
co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która
odkrywa dla nas na nowo
średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny
Przewrockiej-Aderet

**weź,
słuchaj!**

powszech.net/podkast



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

PAWEŁ

Śpiewak: Zmartwychwstały



„POTEM WRÓCIŁ ABRAHAM DO SŁUG SWOICH i wstawszy, poszli razem do Beer Szeby. I mieszkał Abraham nadal w Beer Szebie” (Rdz 22, 19). Wszystko wskazuje na to, że Abraham z góry Moria sam powrócił do domu. O Izaaku księga milczy. Nie

był przy łożu śmierci Sary. Nie był na jej pogrzebie. Babilońscy mędrcy uważali, że Abraham na trzy lata posłał swojego syna do akademii Szema, syna Noego. Praojciec Abraham miał sobie powiedzieć: „Wszystko, co osiągnąłem, zdobyłem studiując Torę i wypełniając Boże przykazania. Dlatego chcę, by moje nasienie trzymało się tej zasady. Niechaj więc mój syn studiuje w domu studiów Szema i Ebera”. Jeszcze inni starożytni badacze Tory mówili o Izaaku: Święty błogosławiony On zawiódł go do ogrodu rajskiego, gdzie pozostawał trzy lata. Tam napotkał go sprawiedliwy sługa Abrahama Eliezer, który za swe wielkie zasługi nie poznał smaku śmierci. Pytają, dlaczego Rebeka, zobaczywszy Izaaka, spadła z wielbłąda, bo zobaczyła swojego przyszłego męża, jak szedł niczym martwy z głową do dołu, a nogami w górę. Wyłonił się z ogrodu edeńskiego, gdzie był przez trzy lata kurowany po strasznym zdarzeniu na górze Moria. Pewien uczony z miasta Walencja w Hiszpanii, mąż o długiej siwej brodzie i o palających ogniem oczach, powiadał, że Pan w nagrodę za dotkliwe rany zabrał go do raju na trzy lata.

Wiemy, że anioł Michael zabronił czynić krzywdy Izaakowi, a rabini powiadali, że gdy tylko nóż dotknął gardła Izaaka, wyfrunęła dusza z jego ciała i powróciła na głos anielski. Wtedy ojciec rozwiązał syna, Izaak wstał, i od tego momentu wiemy, że zmartwychwstanie jest faktem, dusza powróci do zmarłego w przyszłości. Niech więc nikt nie popada w rozpacz, gdy miecz zbliża się do gardła. Abraham wraz z aniołami błogosławił i dziękował Panu za to, że ożywia zmarłych.

Pośród wielu głos do historii Izaaka pojawia się uporczywie jedna wersja pozornie niezgodna z Torą. Czytamy tam, że „gdy ojciec Izaak leżał na ołtarzu ofiarnym sprowadzony do prochu i ofiarnego popiołu, Święty Jedyny, błogosławiony On, sprowadził na niego niebiańską rosę i ożywił go”. Jak to, przecież ojciec Abraham nic Izaakowi nie uczynił? Komentatorzy mają odpowiedź. Izaak leżał na drwach, które płonęły, zanim ojciec zabił syna. Języki ognia pochłonęły Izaaka. Abraham co do joty wypełniał prawa. Nim syna związał i położył na drwach, najpierw je podpalił. Postąpił, jak trzeba. Wszak nie kładzie się ognia na drwach, tylko drwa na ogniu. Izaak zmarł i zmartwychwstał. Dlatego na pamiątkę tego zdarzenia Żydzi za Abrahamem odmawiając co dzień osiemnaście błogosławieństw, zawsze dziękują Bogu za dary, które otrzymaliśmy: „Błogosławiony jesteś Ty Haszem, który wskrzeszasz umarłych” (Amida). ©

O. WACŁAW

Oszajca: Gdzie jest twój brat



KTOŚ NABAZGRAŁ COŚ NA POMNIKU JANA Pawła II, gdzie indziej powiesił tęczową flagę, a jeszcze inny przerobił święty obraz, coś tam dorysowując. Tego typu wyczyny, jeśli mają znamiona przestępstwa, są sprawami dla policji i wymiaru sprawiedliwości.

Nam pozostaje zastanowić się, co takiego jest w nas, czyli w Kościele, w winnicy Pańskiej, że symbole naszej wiary budzą agresję. Może z nami dzieje się podobnie, jak za czasów Izajasza działo się z Izraelem. Zamiast rodzić dorodne, smaczne winogrona, wydajemy cierpkie jagody. Taki Kościół nie smakuje. „Oto wam teraz oznajmię – mówi Pan – co zamierzam uczynić mojej winnicy: usunę jej ogrodzenie, aby stała się pastwą ognia; mur jej rozwalę, aby ją strатовano”. „Uczynię z niej pustkowie! Nie będzie przycinana ani okopywana, zarosną ją ciernie i osty. Chmurom nakażę, aby nie zraszały jej deszczem!”. Bóg, który z miłością troszczył się o winnicę, o swój lud, „oczekiwał od nich prawości, a oto bezprawie, sprawiedliwości, a oto krzyk grozy”.

W Ewangelii Mateusza Jezus opowiada podobną przypowieść. Bogaty właściciel wydierzałwinie dobrze urządzonej winnicy dzierżawcom i kiedy nadszedł czas winobrania, posłał najpierw urzędników, a potem syna celem odebrania należnej mu części plonów. Dzierżawcy nie dość, że nie oddali tego, co powinni byli oddać, to jeszcze zamordowali syna właściciela. Przypowieść Jezus puentuje pytaniem: „Kiedy wróci właściciel winnicy, co zrobi z tymi rolnikami?”. Odpowiedzieli: „Każe zabić tych złoczyńców, a winnicę wydierżawi innym rolnikom, którzy w odpowiednim czasie oddadzą mu należne plony”. Ta odpowiedź jest jak najbardziej zdroworozsądkowa, ale niekoniecznie po myśli Jezusa, skoro mówi słuchaczom, że królestwo Boże zostanie im zabrane „i dane narodowi, który wyda jego owoce”.

Słuchaczy Izajasza i słuchaczy Jezusa łączy poczucie pewności, że są nieomylni w kwestii obowiązków Boga względem nich. Jedni i drudzy czują się niesłusznie atakowani, krzywdzeni, prześladowani. Dlatego ponagłają Boga: „Niech Bóg się pospieszy i prędko dzieła dokona, abyśmy mogli je zobaczyć. Niech Święty Izraela szybko wypełni swój zamiar, abyśmy mogli poznać Jego dzieła!”, oczywiście po ich myśli.

Jeśli już mamy urządzać przebiegające nabożeństwa, przy okazji odsądzając od czci i wiary dopuszczających się niecnych czynów, to najpierw pomyślny, czy my sami nie dopuszczamy się nie tylko symbolicznej, ale rzeczywistej profanacji Chrystusowego Krzyża i ikony Jego Matki, nie tylko jako pojedyncze osoby, ale jako naród, państwo oraz Kościół. Wciąż przecież zawzięcie bronimy ojczyzny i Kościoła przed uchodźcami.

Ablu, kto dzisiaj jest twoim bratem?

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Prawdziwe przebaczenie

Kiedy byłem w mojej
Pierwszej Przyczynie (...)
byłem tym, czego chciałem,
a chciałem tego, czym byłem.

MISTRZ ECKHART



Odejmij osąd, odjęte zostało
„doznałem szkody”.
Odejmij „doznałem szkody”,
odjęta została szkoda.

MAREK AURELIUSZ



„NIE PRZYSZEDŁEM
powołać spra-
wiedliwych, ale
grzeszników”
(Mt 9, 13) – mó-
wił do nas Jezus

w zeszłym tygodniu słowami litur-
gii. Właśnie tak: „powołać grzeszni-
ków”. Grzesznik potrzebuje powoła-
nia. Nie tylko rozgrzeszenia. Potrze-
buje wezwania do dobra – zlecenia,
zawierzenia mu, posłania do jakiejś
misji.

Choć zapewne także i samo roz-
grzeszenie/przebaczenie nie jest
czymś ani oczywistym, ani łatwym.
Potrzebujemy niejednokrotnie lat,
by przebaczyć – przełamać lub przy-
najmniej wyciszyć emocje, jakie
za każdym razem wzbudza w nas
od nowa sam widok dawnego wi-
nowajcy. Nie jest łatwo nabrać dy-
stansu do bolesnych wydarzeń,
słów, gestów, które „usłużna” pa-
mięć przekształca w „pamiętliwość”.
Tak, to wszystko nie jest z całą pew-
nością łatwe.

Jezus jednak wzywa do czegoś
„jeszcze większego”, objawiając
w ten sposób istotę miłosierdzia:
„Idźcie, starajcie się zrozumieć,
co znaczy: Chcę miłosierdzia, nie
ofiary!”.

Miłosierdzie polega na powołaniu
grzesznika. W przypadku Jezusa to

powołanie jest najpierw powoła-
niem do uczniostwa – powiedział do
Mateusza: „Pójdź za Mną!”, a więc za-
prosił go do wspólnoty życia, do by-
cia razem. Z czasem – wiemy o tym
dobrze – to powołanie do uczni-
stwa stanie się powołaniem do mi-
sji: do bycia apostołem. Również
ewangelistą.

Miłosierdzie Jezusa wobec Ma-
teusza nie polega na odpuszczeniu
mu grzechów „celnika”: chciwości,
kradzieży, kolaborantstwa z rzym-
skim okupantem itd. Ono polega
na wezwaniu owego chciwca, zło-
dzieja i kolaboranta do apostołstwa;
a wcześniej na przekonaniu, że ten
– powtórzmy raz jeszcze – chciwiec,
złodziej i kolaborant jest zdolny, by
ową misję podjąć.

Taka wiara, takie przekonanie
w odniesieniu do Mateusza (grzesz-
nika *par excellence*), przełożona na
czyn: na zaproszenie, przygotowa-
nie, towarzyszenie w nawróceniu
i wzroście, wyposażenie i, wreszcie,
posłanie – taka wiara jest miłosier-
dziem.

„Idźcie, starajcie się zrozumieć...”
– mówi Pan.

Jakże mizerne wobec tej wizji
i tego czynu Jezusowego jest to, co
my uważamy za (do czego reduku-
jemy) miłosierdzie i wybaczenie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 X)

27. niedziela zwykła: Iz 5, 1-7; Ps 80;

Flp 4, 6-9; Mt 21, 33-43;

Poniedziałek: Ga 1, 6-12; Ps 111;

Łk 10, 25-37;

Wtorek: Ga 1, 13-24; Ps 139; Łk 10, 38-42;

Środa: Ga 2, 1-2. 7-14; Ps 117; Łk 11, 1-4;

Czwartek: Ga 3, 1-5; Ps: Łk 1, 69-75;

Łk 11, 5-13;

Piątek: Ga 3, 7-14; Ps 111; Łk 11, 15-26;

Sobota: Ga 3, 22-29; Ps 105; Łk 11, 27-28;

28. niedziela zwykła: Iz 25, 6-10a;

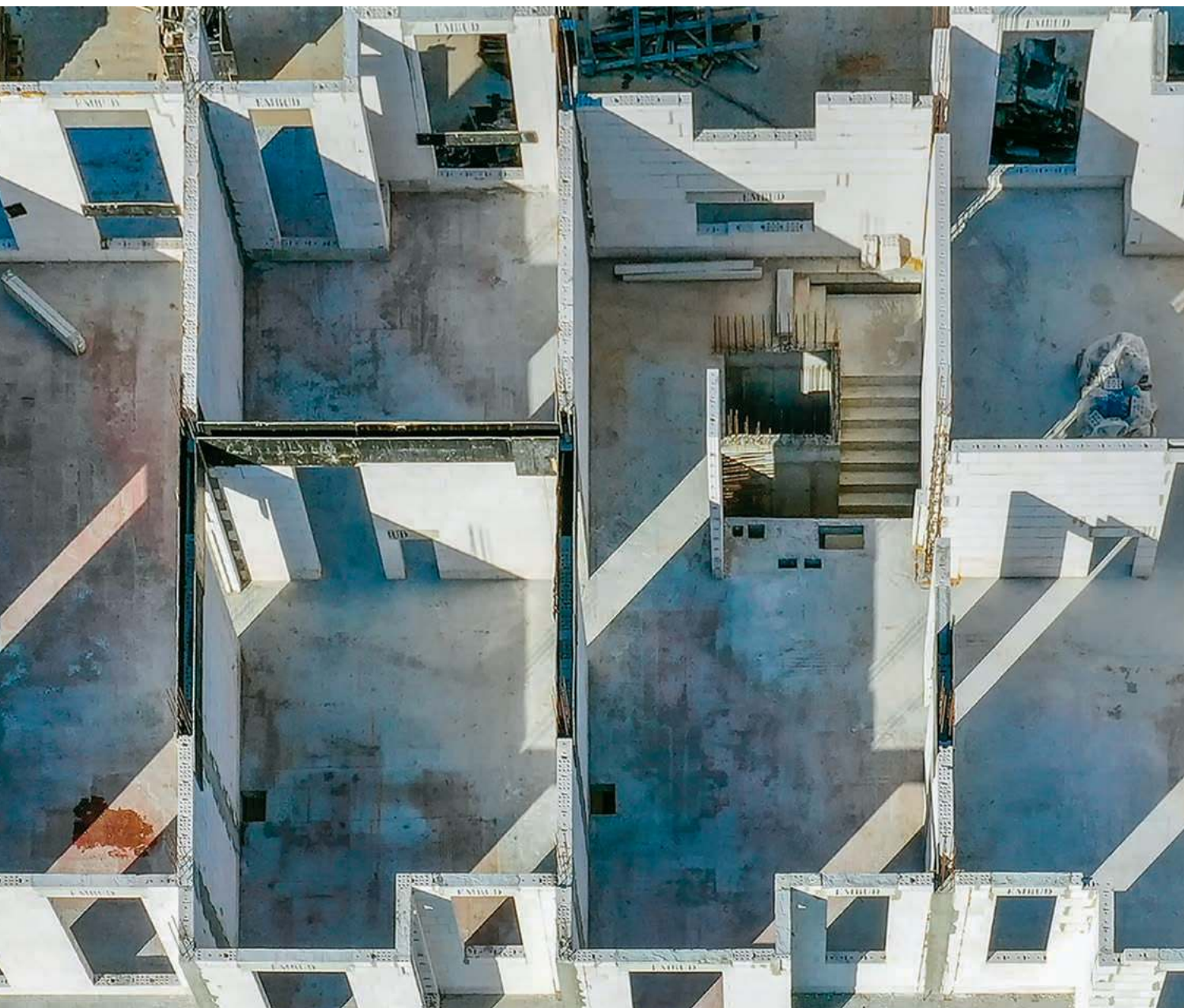
Ps 23; Flp 4, 12-14. 19-20; Mt 22, 1-14.

Wybrał PIOTR SIKORA

LEPIEJ WYDAĆ ZA DUŻO

DR WOJCIECH PACZOS, EKONOMISTA:

Dług publiczny nie jest „obciążeniem”, jeśli służy sensownym celom.
Na przykład zapobiega wchodzeniu kolejnego pokolenia w dorosłość
w warunkach głębokiego kryzysu.



MAREK RABIJ: 109,3 mld zł – tyle wyniesie tegoroczny deficyt budżetowy. Ubiegły rok zamknęliśmy zaledwie 13,7 mld zł pod kreską.

W tym po raz pierwszy Polska miała się cieszyć budżetem bez deficytu.

WOJCIECH PACZOS: Przywołuje pan zapowiedzi z innej epoki.

Oczywiście. Ale nie dziwi Pana ton polskiej dyskusji o długu publicznym? Uwaga koncentruje się na jego wielkości, a nie na tym, dlaczego i po co się zadłużamy.

Myślę, że rozeszły się nam dwie perspektywy – pierwsza to ta wiosenna, kiedy cały świat się zatrzymał, żeby walczyć z pandemią, a potem ruszył do ratowania gospodarek. A druga to dzisiejsza,

w której już nie chcemy pamiętać, co się działo wiosną. Proszę przypomnieć sobie kampanię prezydencką. Wątek pandemii, wymuszonego przez nią zamrożenia gospodarki i wreszcie konsekwencji lockdownu był w niej praktycznie nieobecny. Śledziłem to, przynajmniej z dużym zażenowaniem, bo kampania, w której tak ostentacyjnie lekceważy się kluczowe wyzwania, wydawała mi się chwilami wręcz nieprzyzwoita. W marcu prawie jedna trzecia polskiej gospodarki przestała funkcjonować dosłownie z dnia na dzień. Rząd początkowo stał na stanowisku, że to gospodarka, a dokładnie pracodawcy, pracownicy i klienci mają sobie z tym sami poradzić. Na szczęście szybko zmienił strategię.

Inaczej się nie dało?

Przede wszystkim trzeba było działać szybko i na wielką skalę. Także po to, żeby uniknąć fatalnego wrażenia, że Polska to spory i całkiem już zamożny kraj, który w obliczu pandemii pozostawia obywateli i podatników bez wsparcia. Pamięta pan słowa prezydenta Macrona, który obiecywał, że Francja nie pozwoli upaść z powodu pandemii ani jednej rodzimej firmie? Londyn, w którym u władzy jest obecnie konserwatywny rząd, uważający dyscyplinę budżetową za jedną z politycznych wizytówek, również zapowiedział największy pakiet stymulacyjny w dziejach kraju. Powiedzmy to dobitnie: dobrze, że do tej zmiany doszło. Działania rządu z wiosny były rodzajem kosztownej kropelki, która jednak pozwoliła wielu firmom przetrwać najtrudniejszy czas. Część z nich być może nie przeżyje kolejnych trudnych miesięcy, ale dzięki pomocy państwa mogły przynajmniej zacząć przygotowania do tej batalii.

Słowem – cel uświęcał środki. Ale rachunek będzie wysoki.

Wielkość deficytu nie jest żadnym zaskoczeniem! Już w kwietniu ocenialiśmy, że efektywna pomoc dla sparaliżowanej polskiej gospodarki powinna kosztować ok. 10 proc. PKB – mniej więcej tyle, ile kosztowała faktycznie. Był to zresztą – na całym świecie – specyficzny moment dla

relacji na styku rządzący–ekonomiści. Bo zazwyczaj my tam sobie coś mówimy, publikujemy, doradzamy, ale wpływ naszych analiz na decyzje polityczne jest, delikatnie mówiąc, symboliczny. Tym razem, być może z braku alternatywy, a może po prostu pod wpływem powagi sytuacji, politycy w większości krajów rozwinętych posłuchali ekonomistów i bez ociągania wdrożyli w życie ich recepty.

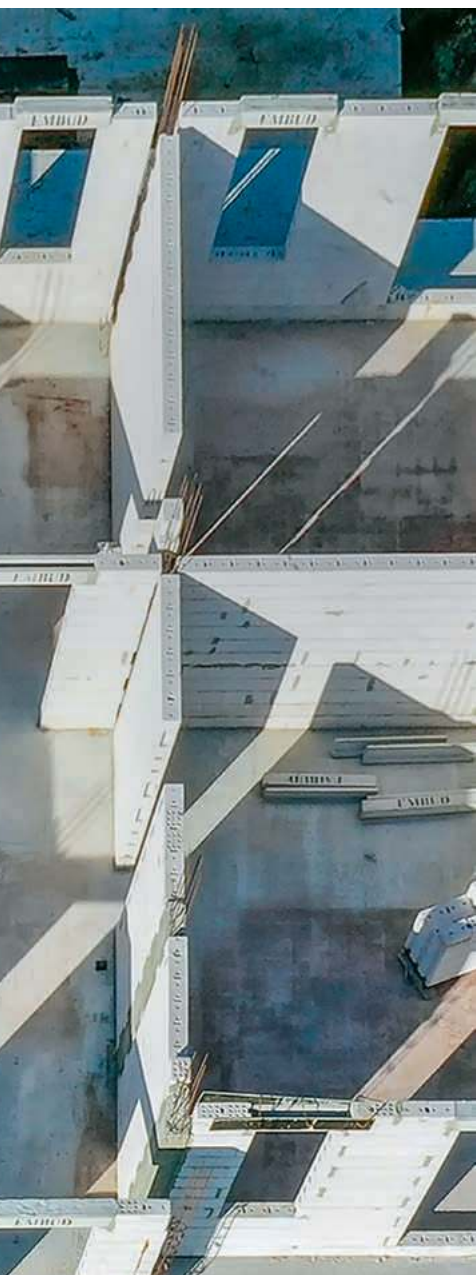
Słabością polskiego pakietu stymulacyjnego nie była wielkość, lecz podporządkowanie propagandowym celom władzy. Rząd wspierał w ten sposób kampanię Andrzeja Dudy.

Zaangażowanie całego sektora publicznego, od premiera przez telewizję publiczną po strażaków, w kampanię kandydata partii rządzącej było skandaliczne. Oczekuję, że w przyszłości opozycja to rozliczy – bez tego trudno będzie utrzymywać zaufanie obywateli do instytucji państwa.

Natomiast czy tarcza była zrobiona tylko pod wybory? Nie jestem pewien, czy ująłbym to aż tak radykalnie jak pan.

„Tylko pod wybory” – oczywiście, że nie. Oburzające moim zdaniem było już samo wmieszanie tego programu do akcji propagandowych. Nawet bon, który miał ratować polską branżę turystyczną, przeistoczył się w bon na dziecko, czyli w element polityki prorodzinnej, którą PiS wymalował sobie na sztandarach.

Skoro już o tym mówimy: bon turystyczny był w ogóle nieporozumieniem. Wspierał branżę, która nie tylko nie potrzebowała pomocy, ale wręcz zanotowała w tym roku rekordowe obroty. Ograniczenia w podróżowaniu i strach przed koronawirusem sprawiły, że ci, którzy zwykle spędzają wakacje za granicą, tym razem wybrali wypoczynek w kraju. Pieniądże, które przeznaczono na bon, powinny były zasilić branżę, które ucierpiały znacznie bardziej niż polska turystyka, bo tej się zwyczajnie poszczęściło; przed wakacjami *lockdown* został praktycznie zniesiony. W Londynie rząd dopłacał np. od poniedziałku do środy do lunchów, żeby pomóc restauratorom, którym doskwierał brak turystów i pustki w biurach, odkąd wiele firm przeszło na zdalny tryb pracy. Tego typu działania nie mają nic wspólnego z protekcjonizmem czy rozdawnictwem. ➔



LUKASZ DEMAROWICZ / FORUM

Buildynki gdańskiej spółdzielni mieszkaniowej Ujęsisko zajęte przez komornika sądowego. Gdańsk, 29 maja 2020 r.

→ Dlatego też dziwią mnie głosy w Polsce, które sugerują, że gwałtowny wzrost polskiego deficytu miał związek z zakończoną kampanią wyborczą i transferami socjalnymi rządu PiS. Mieszanie tych dwóch spraw uważam za intelektualne nadużycie.

Jeśli opozycja coś rządowi w tej mierze wytyka, to raczej nadmierną ostrożność.

Ale słysząc już przedsiębiorców, komentatorów, bankierów, którzy załamują ręce nad stanem finansów publicznych. Sugerują, że rząd znów pomógł roszczeniowym cwaniakom i dekonnikom, a biznes jak zawsze musiał sobie radzić sam. Według mnie lepiej było się pomylić i wydać za dużo niż za mało. W skali całej gospodarki znaczenia tej publicznej kropłówki nie da się przecenić. Gdybyśmy jako państwo nie zdecydowali się wiosną na ten wydatek, musielibyśmy wspólnie wychodzić ze znacznie głębszego dołka niż ten, w którym się znajdujemy.

W tej chwili prognozy na przyszły rok zakładają recesję rządu 3-4 proc., co po uwzględnieniu wcześniej prognozowanego tempa wzrostu naszej gospodarki oznacza hamowanie na poziomie minus 8 proc. Normalnie oznaczałoby to katastrofę, ale dziś wszyscy się z tego cieszą, bo gdy się porówna polskie dane z prognozami dla innych gospodarek, nasza sytuacja wydaje się stosunkowo łagodnym wymiarem kary. Wyobraźmy sobie, że w przyszłym roku czekałaby nas recesja na poziomie nie 4, lecz 10 proc. rok do roku. Co by to w praktyce oznaczało? Falę upadłości i gwałtowny skok bezrobocia – i to na dłużej, bo zlikwidowane miejsca pracy nie odradzają się jak feniks z popiołów, kiedy tylko w gospodarce robi się nieco ciepłej.

Bezrobocie na razie utrzymuje się grubo poniżej pesymistycznych wiosennych prognoz. Zdaniem rządu nadal znajdujemy się także bezpiecznie poniżej przewidzianego w konstytucji progu zadłużenia na poziomie 60 proc. PKB

Zgadza się, ale tylko jeśli użyjemy do obliczeń krajowej metodologii. Rządowi statystycy do długu publicznego zaliczają jedynie to, co stanowi ten dług według definicji zawartej w ustawie budżetowej. Jeśli coś nie jest w niej nazwane długiem publicznym, to się do niego

nie zalicza – nawet jeśli w rzeczywistości nim jest, jak np. ostatnie miliardowe wydatki Polskiego Funduszu Rozwoju na tarczę antykryzysową. Politycy chętnie ukrywają rozmaite publiczne zobowiązania w funduszach celowych, bo zgodnie z ustawą budżetową nie wlicza się ich do deficytu – tym samym nie istnieje ryzyko przekroczenia konstytucyjnego limitu.

Wedle metodologii unijnej jednak go przekraczamy – i to wyraźnie.

Bo metoda obrona przez Unię bardziej odpowiada rzeczywistości. Anglosasi mówią, że jeśli coś wygląda jak kaczką, chodzi jak kaczką i kwacze jak kaczką, to jest kaczką, nawet jeśli nazwiemy to inaczej.

2878 zł

w przeliczeniu na jednego obywatela
– pożyczycy do grudnia państwo polskie,
żeby pokryć wszystkie
tegoroczne wydatki.

Podobnie traktuje się dług: jeśli władza się zapożycza, to jest to jej dług, nawet gdy podrzuci go sprytnie do zaksięgowania jakiejś podległej sobie jednostce. Efekt jest przecież ten sam: to podatnicy zrzucą się na spłatę. W tym roku dług publiczny Polski liczony sposobem unijnym przekroczy zapewne 62 proc. PKB. W przyszłym zbliży się do 64 proc. Wszyscy w Europie to wiedzą, ale na szczęście wszyscy zdają też sobie sprawę z tego, czemu ma służyć ten teatrzyk.

Dlaczego rynki finansowe mają nadal ufać polskiemu rządowi zdając sobie sprawę z tego, że uprawia de facto kreatywną księgowość?

Bo od połowy lat 90., kiedy szkicowaliśmy kształt obecnej konstytucji, w globalnej gospodarce zmieniło się nie tylko podejście do zadłużenia. Nauczyliśmy się wykorzystywać deficyt budżetowy do swoich celów, trochę tak, jak robią firmy z kredytem obrotowym. W międzyczasie kilka krajów UE przekroczyło też próg traktatu z Maastricht i okazało się, że świat się jednak nie zawalił, gospodarki nie straciły sił witalnych.

Ale przede wszystkim zmieniła się sama Polska. Dług na poziomie 62 proc. PKB brzmi inaczej w odniesieniu do gospodarki, która dopiero staje na wolnorynkowych nogach, uczy się reguł tej gry i musi zaskarbić sobie zaufanie globalnych inwestorów. Inaczej rzecz ma się z Polską dzisiaj. Jesteśmy uważani za stabilny kraj, w którym władza nie stroni, owszem, od populizmu, ale też nie łamie w rażący sposób reguł wspólnej gospodarczej gry – rząd jeszcze nie wywłaszcza prywatnych właścicieli. Nie mamy też niebezpiecznego przechyłu w stronę jednej lub kilku branż, który mógłby – jak na południu Europy uzależnionym od turystyki – pociągnąć na dno całą gospodarkę. A przede wszystkim mamy sprawnie działające instytucje państwa. Wiem, że to brzmi wciąż dziwnie dla polskiego ucha, ale to prawda: poza tym, że się zadłużamy, to potrafimy też egzekwować podatki. Kraje bankruci mają z tym zawsze problem. Ryzyko, że państwo polskie przestanie spłacać bieżące zobowiązania, jest dzisiaj bardzo niskie, nawet jeśli całkowite zadłużenie przekroczy tę magiczną granicę 60 proc. długu do PKB.

Nie boi się Pan, że wypuścimy w ten sposób dzina z butelki? Rząd PiS pokazał już, że nie waha się interpretować konstytucji tak jak mu wygodnie.

Takie ryzyko rzeczywiście istnieje, dlatego warto już dziś rozmawiać o tym, w jaki sposób powinniśmy się przed nim zabezpieczyć. Wielka Brytania, jak już mówiliśmy, uruchamia teraz największy pakiet stymulacyjny w historii kraju, ale debacie na ten temat towarzyszy od początku konsensus ekonomistów, że spłata zadłużenia powinna ruszyć dopiero po zwalczeniu pandemii. Całość ma zostać spłacona w ciągu 8-10 lat, czyli w okresie jednego cyklu koniunktury. Podobne opinie słysząc także w innych stolicach oraz w Komisji Europejskiej.

Tylko nie w Warszawie.

Rzeczywiście. I to mnie najbardziej niepokoi, bo może świadczyć, że także w polityce fiskalnej bawimy się już w grę „byle do najbliższych wyborów”.

Albo – jak chcą politycy opozycji – budujemy drugą Grecję.

Takimi porównaniami proponuję nie zawracać sobie głowy. Grecja straciła wy-

płacalność, kiedy jej zadłużenie sięgnęło 126 proc. PKB. Przede wszystkim porównujemy dwa kompletnie odmienne państwa. Wie pan, co się stało w Grecji po ogłoszeniu bankructwa? Przez dwa lata z rządu rosła konsumpcja. Obywatele nie płacili podatków, powstałe w ten sposób nadwyżki wydawali w sklepach. A państwo, któremu Unia narzuciła drakońską kurację odchudzającą, miało na tyle słabą administrację, że nie było w stanie skutecznie pobierać danin, co osłabiało je jeszcze bardziej. Takie podatkowe sprzężenie zwrotne.

Polska administracja i służby podatkowe działają nieporównywalnie lepiej od greckich. Mamy również bardziej konkurencyjną i wydajniejszą gospodarkę, a do tego jeszcze korzystniejszą strukturę długu publicznego, bo z każdych stu złotych jakieś 75 pożyczaliśmy w krajowej walucie i od rodzimych instytucji. W Grecji te proporcje były inne – połowę długu Ateny były winne wierzycielom zagranicznym, a rodzime instytucje okazały się niewypłacalne, nie miały więc jak dostarczyć rządowi płynności.

Nie był to chyba największy problem Grecji?

Gwoździem do trumny okazało się rosnące zadłużenie połączone ze stagnacją. Kiedy rośnie PKB, dług spłaca się niejako sam, bo maleje automatycznie jego relacja do wielkości gospodarki. Mieliśmy do czynienia z tym zjawiskiem w minionych kilku latach w Polsce, kiedy rząd wciąż pożyczał pieniądze, ale w relacji do znacznie szybciej rosnącego PKB dług publiczny i tak nam malał. Za to kiedy produkt krajowy spada, działa mechanizm odwrotny – nawet gdy rząd już nic nie pożyczka, dług i tak rośnie.

Tymczasem w greckiej gospodarce produktywność latami praktycznie stała w miejscu, szara strefa zajmowała – ostrożnie szacując – jedną czwartą PKB, a deficyt w handlu zagranicznym nie spadał poniżej 5 proc. przez 40 lat z rządu. Tylko dług rósł systematycznie, bo dzięki cięciom budżetowym nigdzie nie wygrywa się wyborów – był co do tego konsensus wszystkich sił politycznych. Aż w pewnym momencie inwestorzy doszli do wniosku, iż ryzyko kolejnych pożyczek jest tak duże, że żądali w zamian oprocentowania, na które Greków już nie było stać. Państwo utraciło płynność i musiało odmówić spłaty kolejnych

Poza tym, że się zadłużamy, to potrafimy też egzekwować podatki.

Kraje bankruci mają z tym zawsze problem. Ryzyko, że państwo polskie przestanie spłacać bieżące zobowiązania, jest dzisiaj bardzo niskie.

transz zadłużenia. Na mapie świata widnieje sporo krajów, które przeżyły ten scenariusz. Niektóre, jak Argentyna, bankrutują wręcz systematycznie.

Co zrobić, żeby Polska nie dołączyła do tego grona?

Ryzyko wydaje się dziś niewielkie, ale nie ma gwarancji, że do tego nie dojdzie. Problematyka długu publicznego jest szalenie skomplikowana. Ktoś, kto podpowiada rozwiązania streszczone w tweecie na 140 znaków, udowadnia jedynie, że jej nie rozumie. Tu proste rozwiązania okazują się zwykle prostackie. Nie da się np. wskazać krytycznej relacji zadłużenia do PKB. Parę lat temu powstało opracowanie, które szacowało ją na poziomie 90 proc. Potem okazało się, że autorzy badania pomylili się tworząc model obliczeniowy. Jak mielibyśmy to zresztą ujednolicić? Argentyna bankrutowała przy zadłużeniu o połowę mniejszym niż Grecja. Japonia ma dziś dług publiczny na poziomie 250 proc. PKB, ale 230 proc. pożyczyla od swoich obywateli. Dzięki temu obsługa długu polega właściwie na przekładaniu pieniędzy z kieszeni do kieszeni – bo to, co rząd wypłaci wierzycielom w formie odsetek, odbiera zaraz w dużej części w podatkach.

Podobnie musimy spojrzeć na dług Polski. Koncentrować się nie na samej jego wysokości, ale na planie dalszej obsługi. Tymczasem mam wrażenie, że tutaj i rząd, i część polskich ekonomistów robi dziś rodzaj zakładu, że problem rozwiąże się sam. Rzeczywiście, jeśli polska gospodarka będzie nadal rosła, a stopy procentowe pozostaną na niskim poziomie, część tegorocznego zadłużenia spłaci się niejako samoistnie – mówiliśmy już, w jaki sposób. Nie można jednak całej polityki fiskalnej sprowadzić do hazardu, opierając ją na założeniu, że

za rok będziemy bogatsi niż dzisiaj. Uważam, że czas na rodzaj polityczno-społecznej umowy, która ustali warunki obsługi naszego zadłużenia w kolejnych latach.

A konkretnie?

Przede wszystkim umawiamy się, że nie spłacamy zadłużenia za pomocą cięć budżetowych, bo to nas zaprowadzi do nikąd. Polska zasługuje na wysoką jakość usług publicznych, od których zależy rozwój kraju. Po drugie czas na poważną rozmowę o reformie polskiego systemu podatkowego, który obecnie najsurowiej traktuje najbiedniejszych. Nie może być tak, że praca na etacie jest objęta zwykłą progresją podatkową, a jednoosobowa działalność gospodarcza korzysta z absurdalnego przywileju, jakim jest podatek liniowy. I po trzecie – spłata zadłużenia nie może się rozpocząć przed zakończeniem walki z pandemią i jej skutkami.

Czyli część rachunków zostawiamy jednak kolejnym pokoleniom.

I pan, i ja spłacamy dziś rachunki sprzed dziesięciu, dwudziestu, nawet trzydziestu lat. A jednak żyjemy na nieporównywalnie wyższym poziomie, niż żyło się wtedy. Dług publiczny nie jest „obciążeniem”, jeśli służy sensownym celom – np. ratowaniu gospodarki przed dotkliwą recesją. Nie ma nic gorszego od zafundowania kolejnym generacjom startu w dorosłość w warunkach głębokiego kryzysu. Mamy wiele badań, które pokazują nie tylko to, że ci, którzy weszli na rynek pracy podczas recesji, zarabiają gorzej od tych, którzy zadebiutowali w okresie hossy. Więcej – tych różnic nie można już nadgonić. W USA absolwenci tych samych kierunków, którzy pierwszą pracę podjęli pod koniec 2008 r., czyli w szczytowej fazie kryzysu finansowego, nadal zarabiają statystycznie mniej od kolegów z rocznika, który wszedł na rynek pracy zaledwie rok wcześniej.

To nie o deficyt budżetowy roku 2020 przyszłe pokolenia będą miały do nas pretensje.

©© Rozmawiał MAREK RABIJ



ARCHIWUM PRYWATNE

DR WOJCIECH PACZOS jest ekonomistą, obecnie pracuje na uniwersytecie w Cardiff. Specjalizuje się w badaniach długu publicznego i polityk fiskalnych.



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Pracownicy z Ukrainy na przejściu polsko-litewskim w Budzisku, marzec 2020 r.

Kraje dobre i kraje złe

KLAUS BACHMANN

Nowy pakt migracyjny Komisji Europejskiej sprzyja autorytarnym tendencjom w Unii. I będzie nieskuteczny.

DLACZEGO BOGATE PAŃSTWA ARABSKIE nie przyjmują uchodźców? To jedno z najczęstszych pytań w polskiej dyskusji na temat imigrantów, zadawane przeważnie przez przeciwników ich przyjmowania. W domyśle: dlaczego one nie przyjmują, a Unia chce nas do tego zmusić?

Problem w tym, że kraje arabskie przyjmują uchodźców. Wpuścili setki tysięcy Syryjczyków, zatrudniają ich jako tanią siłę roboczą na budowach i w usługach, gdzie nie rzucają się w oczy i nie mają żadnych praw. I formalnie nie są uchodźcami, lecz imigrantami zarobkowymi albo robotnikami sezonowymi. Zupełnie jak Ukraińcy, Białorusini i ostatnio rów-

nież obywatele Pakistanu, Indii i Bangladeszu w Polsce.

Oficjalnie i na użytek propagandy rządu PiS przeciwstawiały się relokacji uchodźców w ramach UE, uzasadniając to obawami przed terrorystami islamijskimi, ale bez rozgłosu i w tajemnicy przed własnym elektoratem przyjmowały więcej muzułmańskich imigrantów niż jakikolwiek polski rząd wcześniej. Takie podejście ma też swoje zalety dla samych imigrantów, ich krewnych i krajów pochodzenia. W Niemczech, które – jak głosi fama – „przyjmują uchodźców”, przybyszów chcianych od niechcianych odsiewa biurokracja, sprawdzając, czy spełniają oni wymogi prawa azylowego, i to niezależnie od tego, czy mają szansę zintegrować się, znaleźć pracę i czy mówią po niemiecku.

W Polsce i w innych krajach, które „nie przyjmują uchodźców”, to przedsiębiorcy i rynek pracy decydują, kogo się wpuszcza, niezależnie od tego, czy są to osoby prześladowane. Dzięki temu imigranci mogą od razu pracować, co też oznacza, że mogą przekazać część zarobków swoim krewnym, którzy często tkwią w obozach dla uchodźców, bo nie chcą albo nie mogą przepłynąć się przez morze do Europy.

W przypadku Ukraińców takie przekazy stabilizują horyzont, podnoszą poziom życia na Ukrainie i pośrednio pomagają finansować wojnę w Donbasie.

Gdyby ci Ukraińcy, którzy obecnie zarabiają w Polsce, udali się do Niemiec i przechodzili tam procedurę azylową, to najpierw siedzieliby kilka miesięcy lub nawet lat bezczynnie (i bez zarobków) w ośrodkach dla szukających azylu, z czego oni sami, ich krewni i sama Ukraina nic by nie mieli.

Wbrew swojej retoryce Beata Szydło i Mateusz Morawiecki nie byli i nie są przeciwnikami imigracji muzułmanów. Chodziło o opór wobec UE, nie o islam. Od środy Szydło i Morawiecki mogą otwierać szampana: Komisja Europejska, która doprowadziła do skazania Polski i innych krajów „niechętnych przyjmowaniu uchodźców” przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości, skapitulowała. Nowy „pakt o migracji i azylu” Komisji, który w negocjacjach z rządami i Parlamentem Europejskim pewnie jeszcze zostanie okrojony, rezygnuje z mechanizmu relokacji.

Delegowanie brudnej roboty

Zamiast „solidarności przy przyjmowaniu” będzie teraz „solidarność przy uszczelnianiu granic” i „solidarność przy deportacji migrantów”. Plan ten przewiduje m.in., że Unia nadal będzie walczyć z „przemytnikami ludzi”, choć doświadczenie dowodzi, że łapać może i tak tylko tych nielicznych, którzy przemycają imigrantów już po ich dotarciu do Europy

z jednego kraju do drugiego. Jeśli na Morzu Śródziemnym dryfuje łódka ze 130 imigrantami z Afryki, to który z nich jest „przemysłowcem”: ten, który akurat wiosłował, kiedy włoska straż przybrzeżna ich znalazła?

W Afryce powstała infrastruktura transportowa, hotelowa i przemysłowa nastawiona na wędrowników uchodźców. Twarda ręka Ursuli von der Leyen nigdy nie dosięgnie prowadzących tę działalność. Większość ludzi nielegalnie przebywających w Europie wjeżdża legalnie na podstawie wiz turystycznych albo w ramach łączenia rodzin, z tym że po upływie ważności wiz po prostu zostają, a rodziny, które ich przyjmują jako rzekomych krewnych, zarabiają na tym, aby udawać, że to naprawdę są ich krewni. Tego procederu nie da się ukrócić tak długo, jak niektóre kraje afrykańskie nie chcą albo nie mogą wyposażać swoich obywateli w dokumenty biometryczne.

Plan Ursuli von der Leyen przewiduje zwiększenie liczby etatów Fronteksu, którego budżet przywódcy Unii okroili w ramach negocjacji budżetowych. Nic dziwnego, niektóre kraje UE, w tym Polska, na swoich granicach stosują tak drastyczne metody odstraszenia uchodźców, że nie zależy im na świadkach z Fronteksu.

Unia będzie też rozszerzać „partnerstwo” z krajami, w których przebywają imigranci. Przykłady możemy obserwować w Turcji, gdzie UE opłaca autorytarny reżim, aby powstrzymał migrantów przed opuszczeniem kraju, dając prezydentowi Erdoğanowi narzędzie do szantażowania Grecji, Niemiec i całej UE. W Libii Unia i Włochy opłacają po prostu tych, którzy dotąd przemycali uchodźców (wymuszając na nich haracze), aby przestali to robić. To podobny przykład hipokryzji jak w przypadku Polski i Węgier: Unia i niektóre państwa członkowskie chcą uchodzić za humanitarne, ale jednocześnie opłacają autokratów i libijskie milicje, aby to oni zagroźili uchodźcom drogę do Europy. Wtedy europejscy policjanci nie muszą tego robić, a obywatele państw Unii mogą pójść spać ze spokojnym sumieniem.

Zabrakło marchewki

Jeśli mimo to uchodźcy dotrą do Europy, Europejczycy mają ich solidarnie odsyłać. Według nowego planu Komisji Europejskiej państwa mogą wybrać: przyjmując uchodźców albo okazać solidarność

z Grecją, Włochami i Hiszpanią przejmując od nich imigrantów, którzy nie kwalifikują się jako uchodźcy, i deportować ich na własny koszt. Ale ta oferta ma poważne wady, nawet z punktu widzenia antyuchodźczych państw, które faktycznie chętniej deportują imigrantów, niż dają im ochronę.

Są powody, dla których tylko jedna trzecia osób, którym urzędy w UE odmawiają ochrony, potem faktycznie wraca do siebie. Większość krajów UE jest jednak praworządna i ma prężne społeczeństwo obywatelskie. Dzięki temu procedury wydalania trwają tak długo, że dzieci nieuznanych uchodźców chodzą już do szkoły, mówią w miejscowym języku i mają przyjaciół, którzy ich potem bronią przed deportacją. Na tym tle plan Ursuli von der Leyen nie oznacza niczego innego, jak rozciąganie hipokryzji stosowanej wobec Libii i Turcji na mniej praworządne kraje Unii.

Uchodźcy będą odtąd przyjmowani przez „dobre Niemcy”, „dobry Luksemburg” i inne „dobre kraje”, a kiedy okaże się, że nie zasługują na ochronę, wtedy „dobre kraje” przekażą je do krajów nieco gorszych i bardziej autorytarnych, gdzie sądy są mniej skrupulatne, a społeczeństwo obywatelskie słabsze, podzielone i nie stawia oporu w przypadku deportacji. Rządy takich krajów będą potem mogły wypominać Komisji, że posiadanie wymiaru sprawiedliwości, który je rządzącym z ręki, ma też zalety, a krytycy „reform sądownictwa” w Berlinie i Paryżu sami z nich korzystają. Jak widać, ze swoich doświadczeń jako minister obrony Niemiec Ursula von der Leyen wyniosła umiejętności strzeleckie, tyle że na razie strzela sobie w stopę.

W praktyce jednak odsyłanie przez inne kraje Unii ludzi, którym ochrona nie przysługuje, będzie jeszcze bardziej czasochłonne i prawnie zawile niż dotąd. Każdy imigrant z prawomocnym wyrokiem odmawiającym mu ochrony w Niemczech może zaskarżyć przed niemieckim sądem decyzję o przekazaniu go Polsce – niemieckie sądy, które Polski już od dawna nie uważają za kraj praworządny, taką skargę chętnie uwzględnią. A nawet jeśli zdecydują inaczej, to taka osoba może też zaskarżyć decyzję o jej wydaleniu do kraju pochodzenia przed sądem polskim.

I nieważne, czy może liczyć na sukces (raczej nie), to i tak cała procedura się wydłuży. Tymczasem zaś mogą powstać warunki uzasadniające przyznanie ochrony – np. w kraju pochodzenia tej osoby wybuchnie wojna albo zdarzy się pucz, jak ostatnio w Mali. Takie kłopoty łatwo przewidzieć i polski, węgierski lub inny niechętny uchodźcom rząd nie ma powodu, by je sobie ściągać na głowę. Nic się więc nie zmieni i kraje Unii Europejskiej nadal będą tak solidarne, jak były dotąd – to znaczy wcale.

Von der Leyen zapowiedziała wielką reformę i odejście od systemu dublińskiego, niewspółmiernie obciążającego pierwsze kraje, do których imigranci przybywają. Była na to szansa. Doświadczenie po roku 2015 pokazało, że karanie krajów niechętnych podporządkowaniu się decyzjom UE nic nie da, bo one tak czy owak wolą kary. Można było zamienić kij na marchewkę i stworzyć system, w którym każdemu opłaca się przyjmować, integrować i humanitarnie traktować uchodźców. Niestety będzie nadal tak, jak jest.

© KLAUS BACHMANN

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 302/20 toczy się postępowanie z wniosku Marii Widoty, Marzeny Małek i Konrada Widoty o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonych w Zarszynie, składających się z działek oznaczonych: numerem ewidencyjnym 1091 o powierzchni 0,0194 ha – dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS15/00043785/9, oraz działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1090 o powierzchni 0,0939 ha – dla której prowadzona jest księga wieczysta KS15/00043784/2.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Michała Burzyckiego, Władysława Burzyckiego, Stanisława Burzyckiego, Władysławę Burzycką, Mieczysława Burzyckiego, Tadeusza Burzyckiego, Józefa Burzyckiego bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Udowodnij, że jesteś potrzebny

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

Działające w branży gastronomicznej przedsiębiorstwa społeczne ledwo przetrwały pierwszą falę pandemii koronawirusa. Kolejna może oznaczać dla nich katastrofę.

JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ DOTKNIĘTYCH PAN-demią gałęzi gospodarki jest gastronomia – i to pomimo tego, że wiele miejsc dość szybko zaczęło wykorzystywać w swojej działalności opcję zamówień na wynos przez internet. Nie mogło to jednak w całości zrekompensować związanego z zamknięciem restauracji spadku obrotów o, jak szacował Polski Instytut Ekonomiczny, aż 80-90 proc.

W jeszcze gorszej sytuacji znalazły się przedsiębiorstwa społeczne, których głównym celem nie jest zarobek, tylko pomoc osobom wykluczonym. W takich kawiarniach czy restauracjach zatrudnienie znajdują osoby z różnego rodzaju niepełnosprawnościami (także psychicznymi) oraz mające problemy na rynku pracy. Trafiają do miejsca, w którym – dzięki stworzonemu ku temu warunkom – mogą uczestniczyć w życiu społecznym także jako pracownicy i pracownicy. I to właśnie w te przedsiębiorstwa kryzys uderzył najmocniej.

Część z nich, jak gdańska Kawiarnia CiekAWA czy warszawska Klubokawiarnia Życie Jest Fajne, zamknęła się kilka dni przed rządowym nakazem. Już wtedy przychodziło coraz mniej ludzi, nie zawsze był sens otwierać lokal. Najwięcej pecha miała Kawiarnia Caffè Aktywni z Gdańska, której misją jest usamodzielnienie młodzieży z niepełnosprawnościami przy wsparciu seniorów.

– Zaczęliśmy działać 15 stycznia, pięć dni później było wielkie otwarcie, a już 13 marca trzeba się było zamykać. Funkcjonowaliśmy tylko przez dwa miesiące, a i tak ludzie zdążyli się przyzwyczaić, przychodzili, interesowali się, skąd taki pomysł, jak to wszystko działa, etc. Teraz musimy rozkręcać wszystko od nowa – opowiada Jolanta Rychlik z Caffè Aktywni.

Ale także innym nie było łatwo, tym bardziej że obiecywali sobie nikogo nie zwalniać. Osoby wymagające wsparcia, zanim podejmą pracę, potrzebują często długotrwałych szkoleń lub terapii. Dopiero po nich są gotowe na nowe wyzwania.

– Przygotowanie czterech osób z niepełnosprawnościami trwało dwa lata. Wkład w to, by ich zmotywować, przekonać ich rodziny, by pozwoliły podjąć zatrudnienie, był ogromny. Dlatego stanę na rękach, żeby utrzymać wszystkie miejsca pracy – zapewnia Krzysztof Skrzypski z działającej w Gdańsku Kawiarni CiekAWA. – Kilkunastu naszych podopiecznych, osoby z niepełnosprawnościami intelektualną, zaburzeniami mowy, spektrum autyzmu lub zespołem Downa, po wielu latach terapii w końcu osiągnęło samodzielność i można było ich zacząć aktywizować do pracy zawo-

*Klubokawiarnia Życie Jest Fajne,
Warszawa, czerwiec 2020 r.*



MARTA RYBICKA



MARTA RYBICKA

dowej. Przez dwa lata mieliśmy wzloty i upadki, ale generalnie wszystko działało nieźle. Przed pandemią weszliśmy wręcz w okres *prosperity*. Na nasze wydarzenia przychodziło mnóstwo osób, którym opowiadaliśmy o niepełnosprawności. Konieczność zamknięcia była więc dużym ciosem – dodaje Małgorzata Młynarska z wrocławskiej Cafe Równik.

Przytulić lodówkę

Cios był związany z finansami, ale także – a może przede wszystkim – kwestiami mentalnymi. Pracownicy przedsiębiorstw społecznych często traktują miejsce zatrudnienia jak dom, a opiekunów i resztę zespołu jak rodzinę. Chodzenie do pracy organizuje im dzień, uczy samodzielności i odpowiedzialności, wyrabia nawyki. W obliczu zamknięcia wszędzie pojawiał się strach i smutek, trudno było się pożegnać nawet z samym lokalem, stanowiącym znaną, bezpieczną przestrzeń. W ostatnich chwilach każdy rozglądał się dookoła siebie, chcąc zapamiętać wszystko i jednocześnie obiecując, że tu wróci. Pracownik warszawskiej Kuchni Konfliktu, Sultan, na odchodne przytulił nawet lodówkę.

– Podczas przygotowywania naszej kawiarni do zamknięcia czułam, że pracowników wręcz rozrywa ból. Kiedy skończyliśmy sprzątać, wszyscy się objęliśmy, ścisnęliśmy za ręce, spojrzeliśmy



ANTONINA GUGAŁA

Po lewej: Milana i Madina z Czechenii pracujące w kuchni Klubokawiarni Życie jest Fajne, Warszawa, czerwiec 2020 r.
Po prawej: Sultan z Afganistanu, Liza z Dagestanu, Marianna z Polski przed Kuchnią Konflikty, Warszawa, sierpień 2018 r.

sobie w oczy i zapewniliśmy, że wrócimy – wspomina Małgorzata Młynarska.

– Te trzy miesiące to była kara za coś, czego nie widać, do tego trzeba było siedzieć w czterech ścianach. Niektórzy całe dni grali na komputerze, inni patrzyli w sufit, ktoś płakał. Nasze miejsce daje pracownikom kontakt z wieloma osobami, możliwość porozmawiania o wszystkim: to ich życie, mały świat, rodzina. To tym ważniejsze, że często są to ludzie zmagający się z depresją – tłumaczy Aleksandra Smereczyńska z Klubokawiarni Życie Jest Fajne.

Osoby prowadzące przedsiębiorstwa społeczne, często robiące to za darmo, starały się zadbać o swoich podopiecznych. Jak wspomina Blanka Popowska z Klubokawiarni Pożytecznej w Warszawie, już pierwsze spotkania *online* przy pomocy aplikacji pokazały, jak ważne jest to, by regularnie się ze sobą komunikować. Daje to namiastkę wspólnoty. Wsparcie okazało się szczególnie ważne w przypadku pracującej w Cafe Równik Klaudii, której w trakcie pandemii zmarła mama.

– Wszystko to pomogło im zrozumieć, jak bardzo są dla siebie ważni, że są przyjaciółmi, że mają gdzie wracać. Obawialiśmy się, że sytuacja wywoła u nich regres, pojawiają się problemy komunikacyjne. A wszystko jest w porządku – cieszy się Małgorzata Młynarska.

Tarcza nie wystarcza

Prowadzący kawiarnie społeczne musieli też cały czas walczyć o finanse. Przychody zwykle spadły do zera, za to koszty wciąż trzeba było ponosić. Wydawać by się mogło, że dużą pomocą będą zarówno rządowe tarcze antykryzysowe, jak i rozwiązania, które zaproponowały samorządy. Szybko okazało się jednak, że nie w każdym przypadku można z nich skorzystać. A nawet jeśli jest to możliwe, to wsparcie jest zdecydowanie niewystarczające.

Caffe Aktywni mogła skorzystać tylko ze zwolnienia ze składek ZUS, inne przepisy tarcz jej nie obejmowały, bo zaczęła działać w 2020 r., więc nie było do czego porównać spadku dochodów rok do roku. Kawiarnia CieKAWA szybko przekonała się, że przepisy są tak skonstruowane, że trzeba będzie liczyć, co się bardziej opłaca.

– Dostajemy dofinansowanie z PFRON na część wynagrodzenia pracowników. Złożenie dokumentów o zaniechanie płatności ZUS automatycznie powodowało zmniejszenie dotacji z PFRON. Czyli, jak coś się uda uzyskać, to jednocześnie coś się traci. Zamknięte koło – tłumaczy Krzysztof Skrzypski. Podobnie kalkulować musiała Kuchnia Czerwony Rower, w której wynagrodzenia pracowników również są dotowane przez PFRON.

Pomoc od samorządów wygląda różnie. Dzięki inicjatywie prezydenta War-

szawy Klubokawiarni Pożytecznej obniżono czynsz o 90 proc. Podobnie było w przypadku Kuchni Konflikty oraz Cafe Równik. Ale już Klubokawiarnia Życie Jest Fajne musiała bardzo długo czekać na decyzję w tej sprawie. Do tego przedsiębiorstwa społeczne zwykle i tak korzystają z czynszów na preferencyjnych warunkach, więc nie są one najważniejszą pozycją na liście kosztów.

Wszyscy zresztą podkreślają, że chociaż doceniają wsparcie zarówno samorządowe, jak i rządowe, to jest ono, po pierwsze za małe, po drugie często nieprzemyślane oraz, po trzecie, za wolne. – Przez trzy miesiące nie dostałam żadnej odpowiedzi na zgłoszenie do tarczy antykryzysowej. Ostatecznie udało się uzyskać postojowe dla pracowników na umowach-zleceniach. Proponowane przez tarczę wsparcie dla osób zatrudnionych na umowie o pracę było poza naszym zasięgiem. Nie mogłam ryzykować tym, że przy utrzymaniu pełnego zatrudnienia nie dostanę dofinansowania do wynagrodzeń – tłumaczy Jarmila Rybicka z Kuchni Konflikty. Ostatecznie Kuchnia postanowiła na pewien czas zawiesić działalność. Przez kilka miesięcy organizowała tylko czwartkowe benefity oraz dawała możliwość kupna przetworów. Pomogło to powoli likwidować narosłe przez kilka miesięcy pandemii długi. Od października wraca w nowej formule. ➔



JĘDRZEJ NOWICKI

„Mikro market na Wilczej” – to jedna z inicjatyw integracyjnych Kuchni Konfliktu. Zargan z Czeczenii sprzedaje produkty kuchni regionalnej. Warszawa, sierpień 2018 r.

Zrzutka przyjaciół

→ Ostatecznie Kuchnia Konfliktu postanowiła zawiesić działalność. Co jakiś czas organizuje tylko czwartkowe benefity oraz daje możliwość kupna przetworów. Pomaga to powoli likwidować narosłe przez kilka miesięcy pandemii długi. Przedsiębiorstwa społeczne to specyficzna gałąź gospodarki – zwykle nie mają możliwości odłożenia pieniędzy na czarną godzinę, cały czas funkcjonują z dnia na dzień i walczą o przetrwanie.

Dlatego też, gdy został zniesiony *lockdown*, stojące przed nimi wyzwania wcale się nie skończyły. Po pierwsze wciąż obowiązują obostrzenia dotyczące liczby osób przebywających w restauracji lub kawiarni. Maseczki, przyłbice i płyny do odkażania też kosztują. Po drugie o klientów nie jest łatwo. Ludzie z jednej strony mogą bać się wizyty w lokalu, z drugiej – bardziej oszczędzają.

– Sytuacja jest trudna, bo utargi są dużo poniżej przewidywanych. Obecnie są one ciut wyższe niż w zimie, a wtedy zwykle jest najgorzej. Tak naprawdę sezon jest stracony: zarabiamy 300 zł, a powinniśmy 1500. Widać, że ludzie ograniczają wyjścia z domu – mówi Krzysztof Skrzypski. – Są weekendy, kiedy zarobimy zaledwie 70 zł, co jest wynikiem katastrofalnym. Ludzie nie przychodzą. Jestem w stanie zrozumieć, że się boją. Nie mamy też cateringów, bo organizuje się mniej imprez oraz konferencji – dodaje Aleksandra Smereczyńska.

W tak trudnym czasie przydała się rozpoznawalność, którą udało się zbudować niektórym przedsiębiorstwom społecznym. Ponieważ wsparcie od instytucji było niewystarczające, zwróciły się one po pomoc do swoich przyjaciół. Klubokawiarnia Pozyteczna uruchomiła internetową zrzutkę, w której udało się zebrać 20 tys. zł. Cafe Równik też przygotowała internetową zbiórkę na stworzenie ogródka przy kawiarni. Wspierały ją filmiki: pracownicy opowiadali, jak spędzają czas w trakcie pandemii.

– Nasi podopieczni bardzo mocno zaangażowali się w tę akcję i każdego dnia śledzili, jak wygląda sytuacja. Po każdym filmiku kwota się zwiększała, aż w końcu osiągnęliśmy cel i udało się stworzyć ogródek – cieszy się Małgorzata Młynarska. Kawiarnia CieKAWA reaktywowała bazarek na swoim facebookowym profilu – zrobiono 200 licytacji najróżniejszych przedmiotów, co przyniosło spory dochód. Kuchnia Czerwony Rower postarała się z kolei o wsparcie biznesu i je otrzymała.

Będzie jeszcze trudniej

Być może ludzie tak chętnie wsparli przedsiębiorstwa społeczne zarówno dobrym słowem, jak i finansowo, bo po prostu widzą, ile dobrego się w nich dzieje. Pomagają one nie tylko osobom z niepełnosprawnościami czy wracającym na rynek pracy, ale też wielu innym. Nawet w trakcie pandemii angażowały się w najróżniej-

sze akcje. Klubokawiarnia Życie Jest Fajne przygotowywała posiłki dla osób w kryzysie bezdomności. Kuchnia Konfliktu i Kawiarnia CieKAWA karmiły lekarzy pracujących w okolicznych szpitalach.

Tym bardziej szkoda, że politycy i urzędnicy najczęściej nie widzą potrzeb przedsięwzięć społecznych albo traktują je tak jak wszystkie podmioty komercyjne. – Ciągłe musimy udowadniać, że jesteśmy potrzebni miastu. Osoby z niepełnosprawnościami świetnie sobie u nas radzą, więc tym bardziej nasza kawiarnia powinna być wizytówką Warszawy. Jestem pewna, że przetrwamy, ale głównie dzięki naszym stałym gościom, a nie urzędnikom – mówi Blanka Popowska.

Nie są to tylko opinie osób prowadzących takie przedsiębiorstwa. Jak wynika z tegorocznego raportu Najwyżej Izby Kontroli „Wsparcie osób z autyzmem i zespołem Aspergera w przygotowaniu do samodzielnego funkcjonowania”, system wsparcia działa do momentu opuszczenia przez takie osoby szkoły. Później stają się niewidoczne, wsparcia nie ma.

– Temat autyzmu dorosłych nie jest sexy. Po okresie edukacji człowiek wraca do domu i zwykle jest, przynajmniej w pewnym stopniu, obciążeniem dla rodziców. Kryzys, który w trakcie pandemii przechodziło wiele rodzin, dla rodzin z osobami ze spektrum autyzmu stanowi stan permanentny. Działalność takich miejsc jak nasze jest tym ważniejsza – mówi Aleksandra Smereczyńska. I dodaje: – Ten biznes nigdy nie będzie działał jak normalna gastronomia. Zawsze walczymy o przetrwanie. Musimy być kryształowi, jeśli chodzi o przestrzeganie przepisów, żeby nikt się do niczego nie mógł przyczepić. Bywało jednak, że wyłączałam prąd w całej klubokawiarni, by mieć niższe rachunki. Naprawdę trudno funkcjonować w takich warunkach, więc dobrze by było, gdyby politycy przygotowali rozwiązania prawne specjalnie dla nas.

Nie jest bowiem tak, że gdyby nie pandemia, przedsiębiorstwa społeczne nie miałyby na co narzekać. Koronawirus tylko wzmocnił problemy, z którymi mierzą się na co dzień. To także czas, gdy prowadzące je osoby coraz częściej myślą o tym, jak zmienić swoją działalność, by przygotować się na chwile jeszcze trudniejsze. Jesienią mogą wrócić obostrzenia, a kolejnego drastycznego spadku dochodów te przedsiębiorstwa mogą po prostu nie przetrwać. © JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

ANNA

Dziewit-Meller:

Powrót do przyszłości



PORTRET ZBIOROWY MŁODYCH POLAKÓW w „Dużym Formacie”, autorstwa Igi Dzieciuchowicz, potwornie mnie przynębił. Oczywiście pamiętam z własnego dorastania wiele trudnych momentów, emocjonalnych zmagania z sobą

i światem: dojrzewanie wydaje mi się z perspektywy czasu okresem koszmarnym i gdy mnie ktoś pyta, czy chciałabym być na powrót młoda, z przerażeniem w głosie krzyczę: przenigdy! Doświadczenia chwiejności własnego ustroju wylaniającego się z mozolnej rewolucji, która się we mnie toczyła, za żadne skarby nie chciałabym powtórzyć i współczuję każdemu, kto męczy się w tym okresie burz i naporów.

Zwłaszcza że być młodym na przełomie tysiącleci a być młodym dziś to – nie ujmując niczego naszym millennialsowym przeżyciom – wielka różnica. My przynajmniej mieliśmy do dyspozycji przyszłość, oni zdają się żyć jej pozbawieni. Bo gdy 16-letnia dziewczyna mówi dziennikarce, że boi się, „co się stanie z naszym systemem ubezpieczeń społecznych. Nie sądzę, że rząd obniży podatki i będziemy mogli sami zadbać o naszą starość” – to widzę, że sama, mając lat 16, borykała się z zupełnie innymi problemami. „Zmiany klimatyczne mnie przerażają, żyłam spokojniej, gdy nie wiedziałam o nadchodzącej katastrofie. Ta wiedza mnie czasem przytłacza” – mówi inna bohaterka, a ja myślę o tym, że po raz pierwszy leciałam samolotem dopiero na studiach. W jej wieku nie mieliśmy pojęcia o śladzie węglowym i gdy wsiedliśmy do tych coraz tańszych samolotów, zachwyciliśmy się światem na wyciągnięcie ręki – a oni mają świat na powrót zamknięty. Gdy kończyłam studia, Polska weszła właśnie do Unii, można było ruszyć na Zachód. Po obietnice, które – już dziś to wiemy – były na wyrost, ale wtedy wciąż mieliśmy przyszłość. A ich przyszłość została zwekslowana w doprawdy paskudny sposób.

Kiedy myślę o bohaterach tekstu Igi Dzieciuchowicz, żyjących razem ze mną w realizującej się na naszych oczach dystopii, jestem jeszcze silniej przekonana, że tym, czego dziś potrzeba, jest myślenie utopijne. Tak, by nadać rozpoczętemu w kiepskich czasach młodego życia jakiś sens i kierunek.

Do lektur obowiązkowych przed maturą włożyłabym im więcej Platona, Morusa i Saint-Simona, a może – niech tam! – „Miasto słońca” Campanelli, a na koniec – już dla czystej przyjemności – piękny reportaż Katarzyny Boni o Auroville, wcielanej w życie utopijnej wizji miasta otwartego, miasta z marzeń. *Mehr Licht!* – więcej światła!, jak rzekł ponoć Goethe na łożu śmierci. Weźmy to sobie do serca, zanim i nas na nim położą.

Utopie są przeciw zastanym porządkom, dlatego wszelka władza tak bardzo się ich boi, przeciwstawiając je twardemu realizmowi, który sama ponoć reprezentuje, i nazywając utopistów „marzycielami”. Czy jednak dystopia, przez którą brniemy co dzień, nie potrzebuje marzycieli? Czy naprawdę nie chcemy mieć przyszłości dla swoich dzieci?

Myśląc więc dużo o dzisiejszej młodzieży i wizji utopii, którą trzeba stworzyć, by w ogóle dało się jakoś żyć, natknęłam się na tekst poświęcony nowemu pełnomocnikowi rządu do spraw teje. Młodzieży, nie utopii. Kolejny raz ucieszyłam się z faktu, że mam już prawie 40 lat i nie jest to pełnomocnik w żadnej mojej sprawie.

Sprawy młodych ze sprawami starych łączyć będzie 27-letni Piotr Mazurek, miłośnik żołnierzy wyklętych, inicjator akcji „Goń z pomnika bolszewika”, współpracownik ministra Glińskiego, nominat w wielu słusznych radach i komitetach, wreszcie radny warszawski znany z niechęci względem Dariusza Stoli – poprzedniego dyrektora muzeum POLIN. Będzie on planował strategię rządu w zakresie polityki młodzieżowej. Na rządowych stronach piszą tak: „Utworzenie urzędu Pełnomocnika Rządu ds. Polityki Młodzieżowej jest kolejnym działaniem Rady Ministrów, po m.in. powołaniu Rady Dialogu z Młodym Pokoleniem w 2019 roku, odpowiadającym na postulaty zgłaszane przez środowiska młodzieżowe w celu zwiększania udziału młodego pokolenia w rządowych procesach decyzyjnych”.

I tu pytanie do młodych: fajnego wam dali pełnomocnika? Będziecie korzystać z jego usług? Czy też czujecie się jak ten papież, co na dziedzińcu Muzeum Narodowego chce cisnąć w coś wielkim głazem? Choć może tylko w bolszewika z innego pomnika...

©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 414/19 postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Kozłowskiej, zm. 18 marca 2018 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku, I Wydziałem Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 604/19 z wniosku Michała Czerepaniaka i innych toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadków po: Teodorze Czerepaniak, Katarzynie Czerepaniak, Mikołaju Czerepaniaku oraz po Parascewii Paszkowskiej – wszyscy ostatnio stale zamieszkał na terenie Ukrainy, przy czym stwierdzenie nabycia spadków ma dotyczyć majątku znajdującego się w Polsce (art. 1110 kpc i art. 1108 § 2 kpc).

Sąd wzywa w szczególności spadkobierców po ww. osobach, aby zgłosili się do tut. Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w orzeczeniu spadkowym.

JAK NAPRAWIĆ GEJA

30 lat temu Światowa Organizacja Zdrowia uznała, że homoseksualizm nie jest chorobą, u nas jednak wciąż prowadzi się tzw. terapię reparatywną. Ze wsparciem państwa i Kościoła „leczy się” ludzi zdrowych.

KRZYSZTOF STORY

O SIEMNASTEGO MARCA 2017 R. w Ministerstwie Rozwoju odbywa się rozdanie nagród Prawda-Krzyż-Wyzwolenie, przyznawanych przez oazowy Ruch Światło-Życie. Galę otwiera minister Henryk Kowalczyk. – Instytucje rządowe służą dobru, a Ruch Światło-Życie jest samym dobrem – mówi.

Wśród nagrodzonych: Radio Maryja, prof. Bogdan Chazan i premier Beata Szydło. Oraz lubelski ośrodek Odwaga, który otrzymuje statuetkę za „pomoc duchową i terapeutyczną osobom o niechcianych skłonnościach seksualnych oraz ich rodzinom”. Ta pomoc to w rzeczywistości próby „wyleczenia homoseksualizmu”, mimo iż terapie takie są

odrzucone przez naukowców i lekarzy, a w kilku krajach (np. na katolickiej Malcie i w Niemczech) zakazane prawnie.

28 sierpnia 2020 r. Konferencja Episkopatu Polski przyjmuje stanowisko dotyczące społeczności LGBT+. Jeden z fragmentów: „Wobec wyzwań tworzonych przez ideologię gender i ruchy LGBT+, a zwłaszcza mając na uwadze trudności, cierpienia i duchowe rozdarcia przeżywane przez te osoby, konieczne jest tworzenie poradni (również z pomocą Kościoła, czy też przy jego strukturach) służących pomocą osobom pragnącym odzyskać zdrowie seksualne i naturalną orientację płciową”.

Episkopat chciałby, żeby takich ośrodków jak Odwaga było więcej. Ale już dziś lubelska „klinika” nie jest jedyna. W Polsce działa kilkanaście ośrodków, poradni i grup wsparcia, które zajmują się „leczeniem homoseksualizmu” albo przywracaniem „naturalnej orientacji”. Ich oferty znajdziemy w internecie.

Terapia konwersyjna ma własny słownik. Prowadzące ją instytucje przez wszystkie przypadki odmieniają słowo „zmiana”: „zmiana jest możliwa”, „zmierzyć się z problemem i dokonać zmiany”, „przemiana rodziców powoduje przemianę ich dzieci”. Obiekt zmiany: „problem homoseksualny”, „skłonności”, „odczucia homoseksualne”

Zdjęcie z fotoreportażu Mario Topicia „Same sex” o życiu codziennym homoseksualnych par w Chorwacji. Zagrzeb, 2011 r.



(ang. SSA – *same sex attraction*), „przekleństwo”. Cel: „wygaszenie SSA”, „wewnętrzne wyzwolenie”. Droga: „zamiana przekleństwa w błogosławieństwo”.

Wspinaczka na K2

12 lat temu podczas jednej sylwestrowej nocy Piotr (imię zmienione) poszedł do łóżka dwa razy. Z dwoma różnymi facekami. Wtedy uznał, że już czas.

– Miałem 27 lat. Przeszkadzały mi skłonności homoseksualne, przeszkadzał mi przypadkowy seks. Zadzwońłem do Odwagi.

Grażyna Tokaj, założycielka lubelskiego ośrodka, rozmawiała z Piotrem trzy godziny. Tłumaczyła mu, że tak naprawdę jest hetero, tylko musi to w sobie odkryć.

– Był koniec stycznia, a nowa grupa w Lublinie ruszała dopiero w październiku. Nie chciałem czekać, trafiłem do krakowskiego oddziału Paschy – wspomina Piotr.

Pascha to „modlitewna grupa wsparcia dla mężczyzn doświadczających niechcianych odczuć homoseksualnych”.

Działa w kilku miastach. Z liderem grupy krakowskiej Piotr po raz pierwszy spotkał się w schronisku na Turbaczu.

– Początek marca, nieprzetarty szlak, pełno śniegu – opowiada. – Od początku miałem sygnały, że to będzie ciężka droga.

Pascha w swoich materiałach porównuje terapię reparatorną do wspinaczki na K2. Piotr chce wspiąć się jak najszybciej. Czyta książki, chodzi na spotkania, wkrótce sam zostaje liderem krakowskiej grupy. – Bardzo ostro w to wszedłem – wspomina.

Pascha ma swoją rutynę. Poza spotkaniami grupy każdy powinien znaleźć sobie psychoterapeutę i przewodnika duchowego (pełniącego też rolę spowiednika). Podczas spotkań młodzi geje rozmawiają o tym, jak radzą sobie z pornografią, pokusą seksu. Oczywiście wskazane jest zachowanie absolutnej czystości.

– Chodzi o to, by nie karmić się obrazami, które chcemy wyrzucić z życia. Te spotkania były trochę jak samobiczowanie. Spowiadaliśmy się z pornosów,

z masturbacji, z fantazji. Ale dużo było też autentycznego wsparcia, miłosierdzia.

Piotr poświęcił terapii ponad pięć lat życia. Parę razy miał erotyczne sny z kobietami. Nawiązał relację z jedną dziewczyną, ale do niczego nie doszło. Terapię zakończył, bo poznał innego faceta.

– On był kandydatem do zakonu, ja byłem członkiem Paschy. Wyrwaliśmy się razem. Nasz związek dość szybko się rozpadł, ale do „leczenia” już nie wróciłem. Było nieskuteczne. Znam ludzi, którzy po terapii weszli w związki hetero, ale oni też nie pozbyli się fantazji homoseksualnych. Nie znam nikogo, w kim zaszłaby kompletna zmiana.

O tym, że jest gejem, wie niewiele osób. Tych pięciu lat nie nazwie stratą czasu. Dały mu zrozumienie siebie, poczucie własnej wartości. Trochę szkoda mu tylko pieniędzy, bo może lepiej byłoby odłożyć je na mieszkanie.

Uścisk ojca

– Działania mające na celu zmianę orientacji są w świetle współczesnej wiedzy niemerytoryczne i nieetyczne – mówi dr hab. Grzegorz Iniewicz z Zakładu Psychologii Klinicznej UJ, autor podręczników i psychoterapeuta, który od lat zajmuje się psychologią osób LGBT+. – Po pierwsze, jeśli coś nie jest zaburzeniem, to jakie mamy prawo to zmieniać? Zwłaszcza jeśli jest to tak ważna sfera czyjegoś funkcjonowania. Nie mamy naukowych podstaw, aby twierdzić, że zmiana orientacji jest możliwa i trwała. Kiedyś dzieciom przekładano kredki z lewej ręki do prawej. Potem badania pokazały, że to szkodliwe: że dziecko powinno spontanicznie wybrać, w której ręce trzyma kredkę. →



→ Dzisiaj nie zabieramy już kredek i nie zmieniamy orientacji.

20 lutego 2019 r. do Sejmu trafił projekt ustawy zakazującej terapii reparatywnych. Złożyli go posłowie Nowoczesnej we współpracy z Kampanią Przeciw Homofobii. Propozycja zakłada co najmniej 1000 zł kary dla każdego, kto stosuje (nawet za zgodą pacjenta), promuje lub oferuje praktyki konwersyjne. Jeśli oskarżony jest profesjonalistą (np. lekarzem lub psychoterapeutą) – co najmniej 2000 zł.

Projekt utknął w sejmowej zamrażarce na etapie konsultacji. Ale wraz z nim powstała strona popierwszenieszkodzic.pl. Znajdziemy tam relacje ludzi, którzy poddali się terapii konwersyjnej.

Relacja pierwsza: „Wyszukałem sobie grupę terapeutyczną w Krakowie. Nie było tam ani psychologa, ani psychiatry. Sami amatorzy. Wymienialiśmy się doświadczeniami i dzieliliśmy się intymnymi szczegółami naszego życia. To było żenujące. Nie chciałem słuchać, kto ile razy się masturbował i co sobie przy tym wyobrażał. Nikt nam nie wyjaśnił, czemu to miało służyć. Terapia dała mi fałszywą nadzieję, że mogę zmienić się w mężczyznę hetero. Wpędziła mnie w myślenie, że homoseksualizm jest chorobą. Zmarnowałem dużo czasu i energii, żeby próbować być kimś, kim nie jestem i nigdy nie będę”.

Grzegorz Iniewicz: – Terapie konwersyjne nie mają jasnych podstaw teoretycznych. Przykładowo w sławnych badaniach Spitzera, które miały pokazać ich skuteczność, są błędy metodologiczne. Brakuje opisu grup, nie wiadomo, czy badani nie są osobami biseksualnymi, nie wiadomo, ile osób odpadło w trakcie badania, weryfikacja hipotez odbywała się przez rozmowę telefoniczną itd. Sam Spitzer jest zresztą dość interesującą postacią – brał udział w procesie usuwania homoseksualizmu z klasyfikacji Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, potem starał się udowodnić skuteczność terapii reparatywnych, by niedługo przed śmiercią przeproszać na swojej stronie internetowej wszystkich, którzy w wyniku tych nierzetelnych badań mogli ucierpieć.

Relacja druga: „Skontaktowałem się z Mirosławem, który prowadził ośrodek w Radomiu, oferujący ozdrowienie ze »skłonności« homoseksualnych. Lekarstwo polegało m.in. na kontakcie fizycznym, rozbieraniu się i przytu-

laniu z samym Mirosławem. Inną metodą było wspólne spanie bez ubrań. Na pierwszym spotkaniu poprosił mnie, żebym położył mu głowę na udach, aby mógł mnie pogłaskać. Na wspólne spanie nigdy się nie zgodziłem. Wiele razy opowiadał mi, że inni u niego spali. Mieliśmy wspólne msze, zajęcia sportowe, pogadanki motywacyjne. Były kary pieniężne za masturbacje. Gejem jestem nadal, akceptuję siebie”. To opis terapii w grupie Pomoc2002, prowadzonej przez Mirosława „Pawła” Chmurę.

Grzegorz Iniewicz: – Dawniej homoseksualizm „leczone” technikami awersyjnymi, np. elektrowstrząsami. Dziś częściej zwraca się uwagę na relacje. Przytulanie ma imitować ojcowski uścisk. Szczerze mówiąc, nie rozumiem takich sposobów pracy terapeutycznej. Są szkoły, gdzie pracuje się z ciałem, z dotykiem. Tylko że tam jest spójna koncepcja, która wyjaśnia taki rodzaj stosowanych technik. Tutaj jej nie ma. I łatwo o przekraczanie granic. O zrobienie komuś krzywdy.

– Krzywdy?

Grzegorz Iniewicz: – Terapie reparatywne są szkodliwe, a ich skutki mogą być bardzo poważne. Obserwuje się obniżenie nastroju, zaburzenia lękowe, poczucie winy. Potem jeszcze trudniej jest zaakceptować własną orientację. Pojawia się rozczarowanie sobą, ale też otoczeniem. Terapia często powoduje kryzys w relacjach rodzinnych – przecież za homoseksualizm najczęściej „odpowiada” nieobecny ojciec lub nadopiekuńcza matka.

– Skrajne przypadki?

– Miałem kilku pacjentów, którzy przeszli takie terapie. Zawsze prowadziło to do rozchwiania, czasem do myśli samobójczych. Niektórzy planowali pójść do seminarium. Chcieli się oddać pod opiekę instytucji: Kościół miał ich kontrolować, pilnować ich seksualności.

– Homoseksualizm zniknął z listy chorób 30 lat temu. Dlaczego ludzie dalej decydują się na ryzykowną terapię?

– Presja otoczenia, które nie przyjmuje, że jest to jeden z wariantów rozwoju. Które uważa, że homoseksualizm jest chorobą, dewiacją, anomalią. A często przede wszystkim grzechem.

Uwierz i wylecz się

Pascha, Odwaga, Nowe Drogi, Cyrenejczyk, Pomoc2002, Stowarzyszenie Psychologów Chrześcijańskich – to tylko

niektóre z ośrodków prowadzących terapie reparatywne. Wszystkie odwołują się do nauczania Kościoła, są przez niego wspierane, pracują w nich księża.

Grzegorz Iniewicz: – Głównym oddziaływaniem w terapii konwersyjnej jest presja religijna. Czy w ogóle powinniśmy nazywać to terapią? To bardziej tłumienie potrzeb. Chodzi o to, żeby każdą pojawiającą się fantazję homoseksualną jak najszybciej stłumić. Nie ma tu rozwiązywania problemu, poszukiwania przyczyn. Wszystko odbywa się w atmosferze groźby potępienia. Niestety, Kościół nie oferuje osobom LGBT+ żadnej przestrzeni. Dlatego większość opuszcza Kościół. Zostają ci najbardziej związani – byli ministranci, oazowicze. Często to oni decydują się na „naprawianie” swojej orientacji. Stoją przed wyborem – albo się wyleczą, albo pójdą do piekła.

Katechizm Kościoła Katolickiego, punkt 2358: „Pewna liczba mężczyzn i kobiet przejawia głęboko osadzone skłonności homoseksualne. Skłonność taka, obiektywnie nieuporządkowana, dla większości z nich stanowi trudne doświadczenie. Powinno się traktować te osoby z szacunkiem, współczuciem i delikatnością. Powinno się unikać wobec nich jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji”.

Ojciec dzwoni do terapeuty

Ciepły, spokojny głos: – Rozumiem, że chodzi o skłonności homoseksualne. Widzę, że pan to bardzo przeżywa.

Do pani Ewy dzwonię jako zatroskany ojciec 17-letniego Mateusza. Jej ofertę znalazłem w internecie. Pani Ewa jest psychologką, ma poradnię w Warszawie. Chwali się: „Moim szczególnym osiągnięciem jest opracowanie autorskiej, skutecznej terapii homoseksualizmu opartej na połączeniu terapii indywidualnej i rodzinnej. Terapia skłonności homoseksualnych jest możliwa szczególnie u ludzi młodych do 27. roku życia”. Kilkanaście minut rozmowy pokaże wiele aspektów, na których oparta jest terapia reparatywna.

Aspekt pierwszy: wiara w skuteczność.

Ewa: – Syn na pewno ma przekonanie, że tego się nie da leczyć. Tak mówią media, internet, ale to nieprawda. Homoseksualizm leczy się na świecie i w Polsce też. Tylko wydaje mi się, że w Polsce jestem jedyna. Jak na razie mam sto procent skuteczności.

– Czyli jest szansa, że syn założy normalną rodzinę?

– Tak. Ale nie o to chodzi, bo wielu homoseksualistów się żeni, chce mieć dzieci, np. żeby mieć przykrywkę. Chodzi o to, żeby syn miał skłonności heteroseksualne.

Aspekt drugi: patologizowanie homoseksualizmu.

– Terapia nie polega na przymusie, tylko na cofnięciu się, spojrzeniu wstecz, przeżyciu jeszcze raz pewnych faz z dzieciństwa. Homoseksualizm to zatrzymanie w rozwoju psychoseksualnym na niższym etapie. Terapia ma za zadanie uruchomić ten rozwój i doprowadzić do pełni, czyli do heteroseksualizmu. Mówienie o orientacji homoseksualnej jest błędem. Orientacja jest tylko jedna – heteroseksualna.

Aspekt trzeci: leczenie trudne jak wspinać się.

– Terapia trwa trzy lata. Syn będzie musiał spotykać się ze mną przynajmniej raz w tygodniu, państwo – raz na dwa tygodnie. Terapia nie jest łatwa, ale szczęście, które się potem dostaje... nie do opisania.

Aspekt czwarty: obwinianie rodziny.

– Przyczyny często wychodzą dopiero po roku terapii, przez telefon nic nie mogę powiedzieć. Mogę panu zaraz przytoczyć kilkadziesiąt, które i tak nie wyczerpują zagadnienia. Układ między rodzicami. Zbyt bliska relacja z matką. Wroga matka. Nieobecny ojciec. Ojciec podporządkowujący się. Kompleks Edypa. Kiedy dziecko wygrywa bliską relację z matką, a przegrywa relację z ojcem, zamyka się na relacje z kobietami.

Później Ewa dodaje: – Homoseksualizm jest... jak gorączka. Różne przyczyny mogą spowodować ten sam objaw.

Aspekt piąty: presja religijna.

– Jeśli syn jest wierzący, to tym bardziej powinien mieć motywację. Powinien chcieć potraktować to jako zaburzenie rozwoju i pracować nad tym.

– A jeśli się nie zgodzi z panią spotkać? Naciskać dalej?

– Wtedy radzę się modlić. Swoimi słowami albo różaniec. Najlepiej z żoną.

Na koniec Ewa cytuję Ewangelię wg św. Mateusza: „Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyć im mój Ojciec, który jest w niebie”.

Przepaść

Czy terapia konwersyjna może w ogóle być skuteczna?

– Ludzka seksualność nie jest monolitem – stwierdza Grzegorz Iniewicz. – Zmienia się, jest plastyczna, więc czasem obserwujemy pewne zmiany również w obszarze orientacji. Jednak współczesna wiedza nie pozwala na jej zmienianie.

Trudno oszacować skalę terapii konwersyjnych w Polsce. Ośrodki nie udostępniają statystyk. Na ich stronach znajdziemy tylko pojedyncze historie ludzi, którym terapia miała pomóc. Opowieści często kończą się ślubem, narodzinami dzieci.

– Niestety ślub i dzieci nie oznaczają jeszcze sukcesu terapii – mówi Iniewicz. – Gej może mieć trójkę dzieci. Mam pa-

cjenta, który regularnie uprawia seks z żoną, cały czas fantazjując o koledze z duszpasterstwa. Nie spotykam ludzi, którym udało się wyleczyć z homoseksualizmu, za to znam wielu skrzywdzonych przez taką terapię. Skąd się biorą piękne wpisy na stronach? Jeśli ktoś poświęca kilka lat i mnóstwo energii, aby coś zmienić, potrzebuje efektu. Niełatwo przyznać się, że wszystko poszło na marne. Jeden z moich pacjentów dwa lata po terapii reparatornej pojechał na spotkanie z trzema kolegami z ośrodka. Pierwsze, co powiedział po powrocie, to: „Uff, wszyscy w związkach homo”. Poczul ulgę, że nie tylko jemu się nie udało, i dopiero wtedy zaczął pracować nad akceptacją własnej orientacji.

© KRZYSZTOF STORY

Dzieje nibychoroby

■ **1973** – homoseksualizm zostaje wykreślony z listy chorób i zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

■ **19 MAJA 1990** – znika także z międzynarodowej klasyfikacji opracowanej przez Światową Organizację Zdrowia. Klasyfikacji, która stanowi podstawę prawną wszystkich rozpoznań medycznych w Polsce. 19 maja do dziś obchodzony jest jako Dzień Walki z Homofobią.

■ **2012** – Kalifornia jako pierwszy stan USA zakazuje leczenia homoseksualizmu u nieletnich.

■ **2013** – Amerykanin John Paulk po raz trzeci w życiu dokonuje coming outu. Pierwszy coming out: nastoletni John powiedział najbliższym, że jest gejem. Drugi: kilkanaście lat później ogłosił: „wyleczyłem się”. Stał się żywym dowodem na skuteczność terapii konwersyjnej. Ożenił się, został ojcem trójki dzieci i ambasadorem społeczności byłych gejów. Napisał dwie książki, w 1998 r. trafił z żoną na okładkę amerykańskiego „Newsweeka”. Trzeci coming out: po kilkunastu latach życia hetero Paulk rozstaje się z żoną. W kwietniu 2013 r. deklaruje: „Kiedyś naprawdę w to wierzyłem. Ale choć wiele

się w moim życiu zmieniło, odkąd jestem chrześcijaninem, orientacja się nie zmieniła. Chcę powiedzieć jasno: nie wierzę, że terapia konwersyjna zmienia orientację seksualną; odwrotnie – wyrządza wielu ludziom wielką szkodę”.

■ **2015** – prof. Zbigniew Lew-Starowicz publicznie przeprosza pacjentów, których z homoseksualizmu leczył elektrowstrząsami. Tłumaczy, że działał w dobrej wierze, a pacjenci sami prosili o leczenie. Mówi, że terapia strachem skutkuje tylko na pewien czas, a „orientacja seksualna jest w sercu i mózgu, a nie w genitaliach”.

■ **2016** – oświadczenie Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego: terapie konwersyjne są „niezgodne ze współczesną wiedzą na temat seksualności człowieka i mogą zaowocować poważnymi niekorzystnymi skutkami psychologicznymi”. To stanowisko wesprą towarzystwa psychologiczne, psychiatryczne, rady naukowe uczelni wyższych, organizacje pozarządowe.

■ **2016** – Malta jako pierwsze państwo w Europie zakazuje stosowania terapii konwersyjnej, cztery lata później w jej ślady idą Niemcy. Praktyki konwersyjne są zakazane m.in. w Brazylii, Ekwadorze i wielu stanach USA.

Wiara bez wiedzy

KS. JACEK PRUSAK SJ,
PSYCHOTERAPEUTA:

Gdy mnie homoseksualni katolicy pytają, co mają robić, odpowiadam: kochaj! Musisz wziąć odpowiedzialność za miłość.

ARTUR SPORNIAK: Czego osoba homoseksualna może się o sobie dowiedzieć w Kościele?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Rzeczy, w których trudno jej się będzie rozpoznać. Usłyszy, że nie ma takiej tożsamości jak homoseksualizm, więc jeśli się uważa za osobę homoseksualną, to dlatego, że ktoś jej narzucił taką identyfikację. Ma jedynie odczucia czy preferencje homoseksualne, ale one jej nie identyfikują, bo są przejawem zahamowanego rozwoju. Zaczną ją identyfikować, gdy na podstawie tych odczuć dojdzie do czynów, które przez Kościół są jednoznacznie potępiane. Jeśli te czyny będzie z premedytacją powtarzać, usłyszy, że jest grzesznikiem, któremu należy się szacunek pod warunkiem, że będzie żałował tego, co robi, i pokutował za to, że jest gejem czy lesbijką.

Łagodnie powiedziane. W Biblii taka osoba przeczyta, że współżycie mężczyzny z mężczyzną jest „obrzydliwością w oczach Pana”, a od Kongregacji Nauki Wiary dowie się, że jej skłonność jest obiektywnie nieuporządkowana. Gdy natomiast zapozna się z ostatnim dokumentem polskiego episkopatu, będzie wiedziała, że nie jest zdolna do prawdziwej miłości seksualnej, gdyż taka miłość wymaga komplementarności płci.

To, czego się dowiadują osoby homoseksualne z opisów homoseksualizmu, jaki obowiązuje w kościelnym nauczaniu, jest etykietą na to, czego Kościół w homoseksualistach nie akceptuje.



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Jacek Prusak SJ

Natomiast nie jest to uchwycenie tego, czym jest homoseksualizm.

Czym zatem jest?

W świetle nauki homoseksualizm jest jedną z orientacji seksualnych, która nie jest wadą rozwojową, nie jest zaburzeniem psychicznym i nie jest perwersją. Dzisiaj mówimy też, że homoseksualizm to tożsamość seksualna, kierunek pożądania, a więc fantazje o partnerze tej samej płci oraz reagowanie fizjologiczne na bodźce związane z daną płcią, i kierunek emocjonalnego przywiązania, czyli możliwość zakochania się, dawania i przyjmowania miłości. Inaczej niż u osób heteroseksualnych uznanie i połączenie ze sobą tych wymiarów orientacji seksualnej u osoby homoseksualnej jest procesem i specyficznym krokiem rozwojowym, który wymaga wsparcia społecznego i nieraz ciężkiej pracy nad sobą.

Homoseksualista może mieć homoseksualne pragnienia, może je nawet realizować w czynach, a mimo to może zaprzeczać swojej tożsamości seksualnej albo nigdy jej nie rozwinąć.

Rozumiem, że z psychologicznego punktu widzenia to nie jest stan optymalny.

Taki człowiek funkcjonować będzie w wewnętrznym rozbiściu, wywołującym wiele cierpienia. Ten stan może prowadzić do wielu problemów, aż po zaburzenia psychiczne czy samobójstwo.

Kościół traktuje taki opis sytuacji homoseksualistów jako jedynie opinię, mającą w dodatku charakter ideologiczny.

Ideologią staje się wiara stroniąca od wiedzy. Oczywiście, że nauka formułuje opinie. Ale nie każda z nich, łącznie z prywatnymi opiniami naukowców, tworzy naukę. Żeby opinia naukowca była wiedzą naukową, musi przejść test badań empirycznych. Naukę od innych form szukania wiedzy odróżnia właśnie to, że ma metodę, za pomocą której zdania opisowe mogą być weryfikowane na poziomie hipotez czy wniosków.

Ktoś może w imię ideologii zaprzeczać istnieniu osób homoseksualnych albo ich orientacji. Jako naukowiec pytam wtedy, co jest kryterium dla takiej opinii?

Co jest naukowym kryterium?

Spór nauki z religią w tej materii dotyczy głównie wskaźników orientacji seksualnej. W nauce mamy definicje orientacji seksualnej odnoszące się albo

do zachowań, albo do ich stałości bądź do kierunku pożądania czy samoidentyfikacji, a więc tożsamości. Nie ma doskonałej definicji, która cieszy się ogólną akceptacją. Nie miejsce tu na szczegóły, ale w odróżnieniu od nauki Kościoła nie uznaje tożsamości homoseksualnej, a pozostałe wskaźniki interpretuje jako zaburzenie orientacji heteroseksualnej. Poza tym wielu psychoterapeutów chrześcijańskich uważa, że powstrzymywanie się od czynów homoseksualnych sprawia, że się przestaje być homoseksualistą, gdyż same pragnienia wynikają z heteroseksualnych deficytów emocjonalnych.

Problem w tym, że takiej hipotezy nie potwierdzają badania. Tożsamość „eksgeja”, mająca potwierdzać skuteczność terapii reparatywnej, to nie „odzyskana” tożsamość heteroseksualna, tylko celibat nałożony na homoseksualność z powodów religijnych. Kościół, odrzucając tożsamość homoseksualną, uniemożliwia homoseksualistom samoidentyfikację. Czyni to w imię własnej teologii czy antropologii teologicznej, ale jest to wiara bez wiedzy.

Czyni to – jak się sam broni – z pozycji moralnych. Nauka tylko opisuje i nie powinna oceniać.

Nauka też ocenia – np. wskazuje na zaburzenia, ale czyni to według normy adaptacyjnej. Zaburzenie jest odwrotnością normy adaptacyjnej.

Czyli?

Nauka bada zachowania. Jeśli jakieś zachowania prowadzą do adaptacji do środowiska, do przekazywania życia, do dobrostanu psychicznego i fizycznego, to oznacza, że są one pożądane ewolucyjnie. Gdy coś temu przeszkadza lub szkodzi, nauka ocenia to negatywnie – są więc zachowania rozwojowe i antyrozwojowe, pożądane i niepożądane, budujące dobrostan i szkodzące mu itp.

Psycholodzy chrześcijańscy prowadzą terapię reparatywną też tak się tłumaczą: przychodzą do nas osoby ze swoim bólem spowodowanym odczuwaniem pragnień homoseksualnych – my go próbujemy zlikwidować.

Tylko że ten ból nie jest objawem „chorej orientacji”, ale polega na tym, że przeżywają swoją orientację niespójnie

ze swoim „ja”. Pytanie: co lub kto zabrania im ją zaakceptować?

Z badań wiemy, że takiej pomocy szukają w większości biali, religijni mężczyźni. I wśród osób homoseksualnych są oni najbardziej obciążeni problemami emocjonalnymi. Swoją orientację traktują jako grzech, siebie jako zepsutych ludzi. Nie potrafią się pozbyć swoich pragnień homoseksualnych, choć próbują, a terapia reparatywna nie tylko im w tym nie pomaga, lecz często szkodzi. Mają dwie drogi: akceptują swoją orientację, ale pozostają w celibacie, albo akceptują i nie pozostają w celibacie. Ta druga droga jest przez Kościół odrzucana.

Według dokumentu polskiego episkopatu grzechem jest już wewnętrzna akceptacja orientacji homoseksualnej.

Ta definicja doprowadza taką osobę do wojny z samym sobą, z której wyjdzie jako ofiara.

Dokument mówi o „zdrowiu seksualnym” czy „zdrowej orientacji”.

Ten język nie należy do domeny Kościoła. Antynaukowość tego dokumentu polega na tym, że Kościół przekroczył swoje kompetencje. Wyszedł z języka normatywnego, teologiczno-filozoficznego i wszedł w język nauk behawioralnych i społecznych dotyczących ludzkiej seksualności, wprowadzając własne normy zdrowia seksualnego, zdrowej orientacji, zaburzenia i niedojrzałości oraz ich leczenia.

Co może pomóc osobie homoseksualnej, która chce pozostać w Kościele?

Prawda, a nie uprzedzenia. Przyjęcie tożsamości geja-katolika, a nie „aseksualnego eksgeja”.

Czyli celibat?

Pozytywną stroną celibatu jest zaniechanie kompulsywnego seksu homoseksualnego, bo w sytuacji tych osób, pełnej psychicznych napięć, seks często jest oddzielony od miłości i przywiązania. Ale celibat ma też drugą stronę, marginalizowaną w Kościele: te osoby nie będą wiedziały, co to znaczy kochać i być kochanym inaczej niż w relacji rodzic-dziecko. W dodatku skoro tożsamość homoseksualna jest nieakceptowana, taka osoba boi się też przyjaźni z osobami tej samej płci. Boi się, że zostanie uwiedziona albo sama

uwiedzie, a także tego, że zostanie odkryta jako osoba homoseksualna i odrzucona.

Co zatem oznacza być gejem-katolikiem?

Świadomość, że jestem osobą homoseksualną, nie jestem w oczach Boga gorszy od osób niehomoseksualnych. Bóg mnie kocha, a ja umiem z tym żyć.

Co się powinno zmieniać w Kościele?

Już się zmienia. Choć tej zmianie towarzyszy wiele napięć i traktowana jest wciąż jako duszpasterski eksperyment. Na przykład w Kościele katolickim na Zachodzie funkcjonują duszpasterstwa homoseksualne, które nie są skierowane do osób żyjących tylko w celibacie.

A co się powinno zmieniać w nauczaniu Kościoła?

Na pewno powinno ono pozostać kontrkulturowe, jeśli chodzi o prawdę, że seks nie jest tylko przyjemną rozrywką. On powinien być związany z miłością i odpowiedzialnością. Ale to nie oznacza, że ślub jest kościelną licencją na seks. Ślub jest znakiem, że ludzka miłość zostaje podniesiona – nie zasługami ludzi, tylko darem Boga – do bycia sakramentem. Daje coś, czego sami nie mogą sobie dać, równocześnie przemieniając ludzką miłość.

Pary homoseksualne tego nie doświadczają.

Doświadczają, jeśli żyją w związkach stabilnych. Tak o tym same mówią i można to zobaczyć, jeśli się je zna.

Także doświadczają Bożego błogosławieństwa i wyniesienia, mimo że Kościół nie dopuszcza ich do sakramentu małżeństwa?

Tak uważam i wysnuwam to z lektury Pisma Świętego, a nie własnych przemyśleń. W ewangelicznym opisie sądu ostatecznego na pierwszym miejscu znajdują się nie poglądy, tylko uczynki. Będziemy sądzeni z rozpoznawania Jezusa w bliznim, a nie ze znajomości dogmatów czy siły przekonań religijnych. To po pierwsze. Po drugie, Jezus mówi, że w niebie nie będziemy się żenić ani za mąż wychodzić. Paweł wtóruje: będziemy żyć jak aniołowie. Nie wiemy, co to do końca znaczy. Ale z tych wypowiedzi możemy wnioskować, że dopiero w przyszłym życiu osiągniemy pełną komplementarność, →

→ czyli będziemy kochać wszystkich w maksymalny sposób, co tu, na ziemi, jest niemożliwe. Zostanie przekroczona granica mojego egoizmu i moich ograniczeń: bo jestem mężczyzną albo kobietą, bo mam taką orientację albo inną. W Jezusie każdy zbawiony dostąpi pełni i będzie ją w pełni przeżywał. To nie są moje wyobrażenia, tylko kanoniczny przekaz: w niebie są tylko te osoby, które kochają, ale ta miłość nie ma już aspektu seksualnego, choć ma aspekt erotyczny – kocha się całym sobą. Ponieważ po zmartwychwstaniu zbawieni będą mieć ciała, ich miłość będzie zmysłowa, gdyż będzie miłością także cielesną, ale nie będzie ograniczona negatywnymi aspektami pożądania.

U Pawła znajdziemy czyny homoseksualne na liście grzechów społecznych, ale wyprzedza je np. kłamstwo, a nie słychać lamentu Kościoła nad tym grzechem jako nadciągającą na nas „zarazą”. Ilu ludzi współżyje homoseksualnie, i to bez zobowiązań, a ilu kłamie? W czasach Pawła homoseksualizm oparty był nie tyle na więzi uczuciowej, ile na statusie społecznym – rozumiano go jako inicjację młodych chłopców w życie erotyczne dokonywaną przez dojrzałych, opiekujących się nimi mężczyzn. I to ich pragnienia się liczyły, w ten sposób usprawiedliwiano dominację.

Proponuję, byśmy patrzyli w perspektywie eschatologicznej: ludzka miłość jest ci dana po to, abyś odziedziczył niebo, wobec tego rób z niej użytek! Gdy homoseksualni katolicy pytają mnie, co mają robić, nie mówię: rób to, a nie rób tamtego! Odpowiadam: kochaj! Musisz wziąć odpowiedzialność za miłość. To nie jest moja opinia – tak mówi Kościół od dwóch tysięcy lat. Jak będziesz kochał, to nie będziesz miał problemów ze swoją orientacją. Możesz kochać w celibacie, możesz kochać nie w celibacie. Musisz wiedzieć, czy kochasz, i podjąć ryzyko – wtedy nie będziesz się skarżył, że ktoś zabiera ci życie.

Rozumiem, że takie podejście będzie człowieka rozwijać. Czy nauka to potwierdza?

To właśnie miłość rozwija. Definicje seksuologiczne zwracają uwagę, że rozwój seksualny powiązany jest z uznaniem obecności innych osób i zależności od nich, a seksualność oparta na tzw. normie partnerskiej może pomóc w rozwoju miłości.

JACEK PRUSAK SJ:

Na Zachodzie funkcjonują już duszpasterstwa, które są skierowane do homoseksualistów żyjących nie tylko w celibacie.

Praktykowany zgodnie z tą normą przygodny seks będzie człowieka rozwijać?

Ta norma jest pewnym minimum chroniącym od ewidentnej krzywdy. Natomiast relacja seksualna ma – gdy odpowiednio się do niej podchodzi – olbrzymi potencjał, by rozwijać człowieka.

Co Kościół ma pozytywnego do powiedzenia w tej kwestii?

Kościół ma pozytywną wizję, ale jest ona przysłonięta przeakcentowaniem dziewictwa i zbyt dużym lękiem przed seksualnością. Restrykcyjną katolicką naukę można potraktować pozytywnie, sprowadzając ją do reguły głoszącej, że poziom bliskości fizycznej powinien być proporcjonalny do poziomu odpowiedzialności za siebie. Podejście, które na podstawie anachronicznej metafizyki i antropologii próbuje precyzyjnie nakreślić, co wolno, a co nie, dzisiaj już nie przemawia do młodych ludzi, gdyż oni zwykle wszystkie te poziomy bliskości fizycznej przechodzą znacznie szybciej.

Dlaczego wiele par katolików odwleka dzisiaj małżeństwo? Właśnie dlatego, że życie według szczegółowych norm kościelnych traktują albo jako ideał nieosiągalny i zarazem groźny, jeśli chodzi o religijne konsekwencje, albo w najlepszym przypadku jako ideał, do którego trzeba długo dojrzewać, żeby mu sprostać. Nie wynika to jednak, jak można usłyszeć z ambony, z „czystego egoizmu”.

Założmy, że para homoseksualna

tworzy stabilny miłosny związek.

Pojawia się pragnienie dzieci.

W Kościele słychać opinie, że jeśli taka para postara się o dziecko lub je adoptuje, wyrządzi mu wielką krzywdę.

Odmienne role rodzicielskie przypisywane mężczyźnie i kobiecie – on wymagający, a ona łagodna – są kulturowymi

stereotypami. Bywa, że w konkretnej rodzinie jest na odwrót: łagodny jest ojciec, a wymagająca matka. A zatem w te role równie dobrze mogą wejść homoseksualiści stanowiący parę. Poza tym dziecko ma dostęp do wzorców męskich i kobiecych w dalszych członkach rodziny: w babciach i dziadkach, w ciotkach i wujkach albo w przyjaciółach rodziny.

Badania naukowe obaliły tezę, że dzieci wychowywane w parach homoseksualnych stają się „z automatu” homoseksualistami. Nie potwierdzają także tezy, że takie dzieci będą miały z definicji jakieś zahamowania rozwojowe czy deficyty osobowościowe. W rozwoju dziecka najbardziej liczy się stabilność więzi między rodzicami i ich uczuciowa bliskość z dzieckiem. Można się nawet zastanawiać, czy dziecko wychowywane przez parę homoseksualną nie otrzymuje więcej niż dziecko wychowywane przez jednego rodzica.

Zresztą w tym drugim przypadku dziecko też nie wychowuje się w izolacji i nie jest zasadą, że będzie na całe życie skrzywione emocjonalnie. Aczkolwiek rozpad więzi i rozwód rodziców pozostawia ślad i może stać się urazem, jeśli dziecko nie otrzyma właściwej pomocy. Wyjątkiem są rodziny przemocowe. Wtedy izolacja od agresywnego rodzica zawsze jest czymś lepszym dla dziecka, co nie znaczy, że ono tego chce, rozumie to bądź się na to godzi.

Na czym polega zagrożenie, jakie dla tradycyjnej rodziny stanowią związki homoseksualne?

Właśnie tego nie wiem. Za tym się kryje akulturowe podejście zakładające, że „tradycyjna” jest rodzina nuklearna, która przecież pojawiła się dopiero pod koniec XIX wieku wraz z uprzemysłowieniem miast. Czy rodziny arystokratyczne, w których dzieci były wychowywane przez guwernantki, także mieściły się w modelu „rodziny tradycyjnej”?

A co z normatywną wizją Księgi

Rodzaju: Bóg stwarza człowieka jako kobietę i mężczyznę po to, aby stworzyli rodzinę?

Osoby homoseksualne też mają płeć i tworzą rodziny. Ich ocenę pozostawiam Bogu, a nie Księdze Rodzaju, w której ten opis należy do funkcji mitu religijnego.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAN



Ekosłupek przy kościele pw. Nawrócenia św. Pawła Apostoła w Warszawie, lipiec 2020 r.

Gramy w zielone

DOROTA BIDZIŃSKA

Montują zbiorniki na deszczówkę i modlą się o ochronę stworzenia. Czy pojedyncze rozsiane po Polsce parafie są zwiastunem nowego?

MA OKOŁO METRA WYSOKOŚCI. STOI tuż za bramą, na placu kościoła Bogurodzicy Maryi na warszawskich Jelonkach. Wyglądałby jak zwyczajny słupek, gdyby nie świecąca na zielono końcówka. To znak, że powietrze jest czyste. Urządzenie wykrywa pyły i szkodliwe gazy, a system kolorów ostrzega przed smogiem. Zielone światło oznacza dobrą jakość powietrza, żółte – umiarkowaną, czerwone – złą.

– Kiedy zamontowaliśmy ekosłupek, wiele osób mówiło, że to świetny pomysł. Ale byli też tacy, którzy dopytywali: czy kościół to odpowiednie miejsce? Dlaczego nie w parku? Czy w parafii nie ma ważniejszych problemów, bardziej związa-

nych ze zbawieniem dusz? – opowiada Małgorzata Zawilska, pomysłodawczyni akcji. – Dla mnie ten niepozorny słupek to coś w rodzaju symbolu. Znak, że Kościół wreszcie odzyskuje ekologię dla siebie.

Nawrócenie ekologiczne

Montaż ekosłupka mierzącego jakość powietrza to jedna z wielu propozycji przygotowanych przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska (GCCM) w ramach akcji Zielona Parafia. Organizatorzy zachęcają, by przed zbliżającą się niedzielą św. Franciszka (4 października) wierni zaangażowali się w działania ekologiczne na terenie parafii: zamontowali zbiornik na deszczówkę, wymienili za-

rówki na energooszczędne lub po prostu powiesili w salkach parafialnych kartki przypominające o oszczędzaniu wody i gaszeniu światła.

– Parafie to dla nas, katolików, naturalny i najbardziej oczywisty obszar działania – mówi Piotr Abramczyk, prezes GCCM Polska. – Mają ogromny potencjał. Co tydzień odwiedza je wiele osób. Zielona parafia może być wyraźnym znakiem. Może skłonić do zadawania sobie pytań, być impulsem do osobistego nawrócenia ekologicznego.

– Montaż ekosłupka okazał się banalny – opowiada Małgorzata. – Fundacja Krajowy Indeks Powietrza szuka miejsc, gdzie mogłaby postawić urządzenia monitorujące. Robi to za darmo. Jedyne koszty to zużycie prądu, ale wychodzi około 2,5 zł na miesiąc. Moim zadaniem było przekonanie proboszcza, że warto się w to włączyć. Na szczęście miałam sprzymierzeńca, wikarego.

– Przyszła do mnie grupka osób, w tym Małgosia, którym troska o środowisko mocno leży na sercu – mówi ks. Grzegorz Mazur, wikary. Rozmawiamy przez telefon, ks. Grzegorz właśnie spaceruje po parku z psem. – Uświadomiłem sobie, że choć mam wykształcenie teologiczne, to w gruncie rzeczy niewiele wiem o ekologicznym nauczaniu papieża Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Dla mnie to okazja, by poszerzyć horyzonty. Druga sprawa: ani ludzie, których spowiadam, ani ja sam raczej nie wymieniamy wśród swoich grzechów niedbałego segregowania śmieci czy marnowania wody. To dało mi do myślenia. Skoro w odpowiedzi na nauczanie Kościoła jest w ludziach chęć działania właśnie na tym polu, to warto się temu przyjrzeć. Ksiądz proboszcz z dużym zrozumieniem odniósł się do tej inicjatywy. Natomiast reakcje wiernych bywały różne. Ktoś zarzucił mi nawet, że promuję nieodpowiedzialne pomysły.

Małgorzata z wykształcenia jest inżynierem środowiska. Kiedy została matką, tematy dobrze znane jej od strony technicznej zaczęła sprawdzać w domowej praktyce: – Dzieci były dla mnie motywacją do zmiany. Kiedy zobaczyłam, ile piełuch wyrzucamy do śmieci w ciągu miesiąca, zaczęłam kombinować, jak przetrwać się na wielorazowe.

Prowadzi blog „Inżynier w zielonych okularach”, w którym dzieli się doświadczeniami i inspiracjami, jak

→ ekologicznie prowadzić gospodarstwo domowe. Pisz o śladzie wodnym, o tym, co się dzieje z odpadami w sortowni, jak samemu zrobić jogurt lub herbatę z liści drzew owocowych. Prowadzi warsztaty upcyklingu (przetwarzania wtórnego), organizuje osiedlowe wymiany odzieżowe.

– Przez lata blogowania nieraz przekonałam się, że tematy ekologiczne mocno przyciągają osoby o lewicowych poglądach, z którymi nie jest mi po drodze. Z drugiej strony należymy z mężem do Domowego Kościoła i wśród przyjaciół ze wspólnoty moje zaangażowanie ekologiczne często budzi niezrozumienie. Czasem trudno jest być ekologiem wśród katolików, a katoliczką wśród ekologów – mówi.

To dlatego tak zależało jej na ekolupku przy kościele: – Tak, wzbudził kontrowersje. Ale cieszę się, że przynajmniej pobudził do dyskusji.

Niedawno z jej inicjatywy odbyło się pierwsze spotkanie parafialnej grupy ekologicznej: – Przyszło sześć osób – opowiada. – Zgodziliśmy się, że ekologia od zawsze jest obecna w nauczaniu Kościoła: asceza, post, minimalizm, troska o człowieka i o całe stworzenie. Po prostu trzeba zacząć głośniej o tym mówić.

Perlator na rozesłanie

W ogrodzie Anny rośnie rokitnik, dereń, świdośliwa. Są warzywa i dużo ziół. W zaroślach chronią się jaszczurki, żaby

i ślimaki. Pod ogrodzenie wieczorami przychodzą sarny.

– Bliskość natury zawsze oznaczała dla mnie bliskość Boga, jej Stwórcy. Jako dziewczyna dużo wędrowałam po górach. Niedawno wybudowaliśmy dom i stałam się pasjonatką ogrodnictwa. Zresztą tak się życie ułożyło, że mamy dziecko z niepełnosprawnością i ten ogród to dla naszej rodziny prawdziwy azyl – mówi Anna Hemperek z Nowego Sącza.

Wiosenne susze dały się we znaki nie tylko jej. Problem mocno dotknął jej sąsiadów.

– Mieszkamy na obrzeżach miasta. Żyje tu wielu rolników, dla których susza oznacza ogromne straty. My, już planując budowę domu, zainwestowaliśmy w duży podziemny zbiornik na deszczówkę. Ale nie wszyscy byli na to przygotowani. W wielu miejscach wysychały studnie.

Anna działa w parafialnej grupie Caritas przy kościele św. Jana Chrzciciela. Kiedy dowiedziała się o programie Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej „Moja woda”, dofinansowującym instalacje małej retencji, od razu poszła do proboszcza.

– Ksiądz powiedział o programie w ogłoszeniach duszpasterskich, a ja zebrałam materiały informacyjne i pomagałam przygotować wnioski – opowiada. – Wielu parafian stwierdziło, że to działanie ma sens. Problem braku wody jest czymś namacalnym.

W niedzielę św. Franciszka po mszach w parafii wraz z zespołem Caritas będą rozdawać ulotki przygotowane przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska na temat oszczędzania wody: – Do każdej z nich chcemy dołączyć perlator, który można zamontować na kranie i w ten sposób zmniejszyć zużycie wody – mówi Anna.

W planach jest też montaż pojemnika na deszczówkę na terenie parafii i instalacja ekolupka.

– Nasza parafia jest bardzo tradycyjna i na pewno niewielu z parafian przyznałoby, że interesuje ich ekologia – tłumaczy Anna. – Zresztą samo to słowo budzi złe skojarzenia. Dla wielu starszych osób ekolog to radykał przykuwający się do drzew. Dlatego staram się przede wszystkim mówić o ochronie naszego otoczenia. Pewnie niewiele osób myśli o płonących lasach w Amazonii i zastanawia się nad skutkami tych pożarów. Każdy jednak

Rozwiązać dramaty świata

ENCYKLIKA „LAUDATO SI”

z 2015 r., której tytuł papież zaczerpnął z pieśni autorstwa św. Franciszka z Asyżu, jest pierwszym dokumentem kościelnym tej rangi poświęconym w całości kwestiom ekologii. „Dorastaliśmy – pisze we wstępie Franciszek – myśląc, że jesteśmy jej [ziemi] właścicielami i rządcami uprawnionymi do jej ograbienia. Przemoc, jaka istnieje w ludzkich sercach zranionych grzechem, wyraża się również w objawach choroby, jaką dostrzegamy w glebie, wodzie, powietrzu i w istotach żywych”. Przytacza nauczanie patriarchy Konstantynopola Bartłomieja, honorowego zwierzchnika światowego prawosławia, który nie ukrywa, że „każdy z nas na miarę swych skromnych możliwości przyczynia się do małych katastrof ekologicznych”.

Papież daje do zrozumienia, że nie chodzi mu o dostarczenie materiału do rozważań, tylko o skłonięcie czytelników do realnych działań. Krytykuje rządy, koncerny i organizacje międzynarodowe za bezczynność bądź działania pozorne, ale do czynnego chronienia środowiska wzywa każdego.

Ważna jest wspólna globalna polityka przeciwdziałająca skutkom ocieplenia klimatu, ale istotna jest też indywidualna decyzja o segregowaniu śmieci, niemarnowaniu jedzenia i ograniczeniu niepotrzebnej konsumpcji w myśl hasła „użyj i wyrzuć”. Papież podkreśla, że wszystkie te problemy „są ściśle związane z kulturą odrzucenia, która dotyka zarówno ludzi wykluczonych, jak i przedmiotów, które szybko stają się śmieciami”.

W wymiarze politycznym konieczne jest odrzucenie zasady maksymalizacji zysku, która nie chce widzieć dalekosiężnych skutków tego, że „produkcja odbywa się

kosztem przyszłych zasobów lub środowiska. Jeśli wyrąb lasu zwiększa PKB, to nikt nie uwzględni w tych rachunkach strat, jakimi są pustynienie danego terytorium, zniszczenie różnorodności biologicznej czy zwiększanie zanieczyszczeń” – pisze papież. Franciszek dostrzega szkody spowodowane przez literalne odczytywanie biblijnego wezwania Boga do „czynienia sobie ziemi poddanej”. Z tego polecenia „nie można wywnioskować absolutnego panowania nad innymi stworzeniami”. Bóg przecież wzywa człowieka do „uprawiania i doglądania” ogrodu Eden, co oznacza „chronienie, strzeżenie, zachowanie, bronienie, czuwanie”. Prawdziwie chrześcijańskie odczytanie Biblii zobowiązuje do „nawrócenia ekologicznego”, które prowadzi każdego do „rozwijania swojej kreatywności i entuzjazmu, by rozwiązać dramaty świata”.

© © MACIEJ MÜLLER

widzi, że coraz częściej brakuje u nas wody. I że musimy coś z tym zrobić.

Gwiazdeczko, po co ci to?

– Kiedy pierwszy raz przeczytałam encyklikę „Laudato si”, pomyślałam, że to takie oczywiste. Szczerze mnie zdziwiło, że słowa papieża wzbudziły tyle kontrowersji – mówi Katarzyna Kościelecka. – Wychowałam się wśród przyrody i jej piękno zawsze było dla mnie odbiciem Bożej chwały. To dla mnie naturalne i oczywiste, że musimy ją chronić.

Aktywnie angażuje się w działania na terenie kieleckiej parafii św. Wincentego Pallottiego, a sojuszników znalazła wśród tutejszych pallotynów: księży Marcina Krzysztoszka, Wojciecha Winka i Jana Oleszki – wicerektora w kościele św. Karola Boromeusza na Karczówce.

– Zarówno przy parafii, jak i przy klasztorze są łąki kwietne. Są ule, zbiorniki na deszczówkę. Kiedy na Karczówkę przyjeżdżają wycieczki szkolne, staramy się w oprowadzanie włączyć element edukacji ekologicznej – opowiada. – Księża organizują dla grup ministrantów spacerów w przyrodę.

W niedzielę św. Franciszka po mszy będzie adoracja Najświętszego Sakramentu z modlitwą w intencji stworzenia.

– W ten sposób chcemy dotrzeć z przesłaniem ekologicznej encykliki także do starszych parafian, którzy nie angażują

się tak bardzo w nasze wycieczki, spotkania dyskusyjne i spacer – tłumaczy Katarzyna.

Przez cały miesiąc, od 1 września, księża przygotowywali specjalne komentarze do niedzielnej liturgii Słowa, w których nawiązywali do encykliki.

– Pan Bóg przemawia do mnie przede wszystkim przez Pismo Święte – wyjaśnia ks. Wojciech Winek. – Gdy otwieram Księgę Rodzaju, czytam, że Pan Bóg stworzył świat, który dla człowieka jest darem, ale też zadaniem. Mamy tak zarządzać tym powierzonym dobrem, by zachować je dla przyszłych pokoleń, a przez to siebie uświęcać i dążyć do zbawienia.

– Jeszcze kilka lat temu, gdy poruszałam tematy ekologiczne w środowisku religijnym, wywoływało to duże zdziwienie – wspomina Katarzyna. – Pamiętam, jak kiedyś znajomy ksiądz rzucił do mnie: „Oj, gwiazdeczko, ale po co ci ta cała ekologia?”. Dziś moja aktywność chyba nie budzi już tylu emocji.

A jednak zielone parafie, jak te Małgorzaty, Anny i Katarzyny, to wciąż pojedyncze punkty na mapie Polski. Dlaczego?

Piotr Abramczyk zauważa, że samo słowo „ekologia” budzi w środowiskach kościelnych dużą nieufność: – Dopiero kiedy doprecyzuję, że chodzi nam o chrześcijańskie podejście, oparte na nauczaniu papieża, zmienia się nastawienie moich rozmówców.

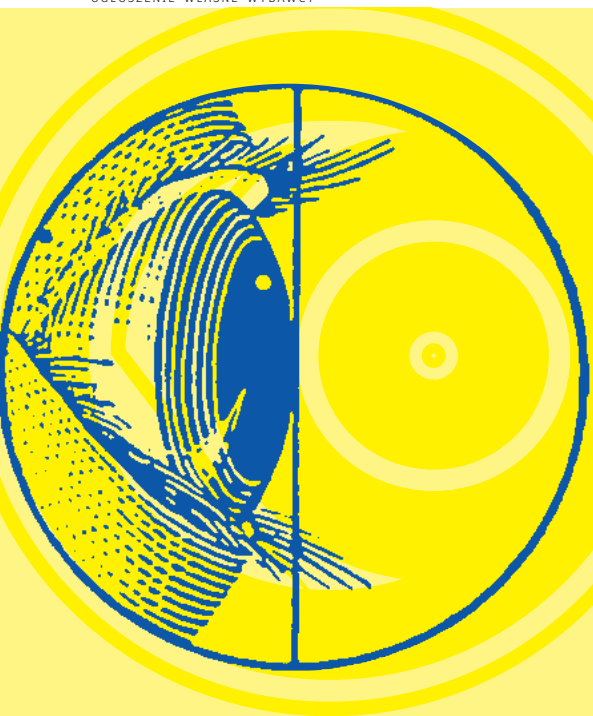
– Do pewnych narracji na temat ekologii podchodzę ostrożnie – potwierdza ks. Wojciech Winek. – Na przykład, gdy słyszę o „walce o prawa zwierząt”. W takim ujęciu opartym na konflikcie, walce uciskanej mniejszości z dominującą większością, od razu dostrzegam wpływy filozofii marksistowskiej i trzymam się od tego na dystans.

– Na pewno decydują o tym pewne przyzwyczajenia kulturowe – zastanawia się Małgorzata. – Święte prawo do szabowego na niedzielny obiad. Ale widzę też inny problem. Nierzadko tego doświadczaliśmy w oazie. Kiedy do parafii przychodzi osoba z jakąś nową inicjatywą, to pierwszą myślą proboszcza jest: muszę oddelegować do tego zadania kogoś z wikariuszy. A księża i tak mają dużo obowiązków i niekoniecznie chcą brać odpowiedzialność za kolejne zadanie.

– Dotykamy tu szerszego problemu, z którym zmagają się wiele parafii – zauważa Piotr Abramczyk. – Z jednej strony brakuje zaangażowanych świeckich, którzy czują, że są częścią swojego lokalnego Kościoła. Z drugiej księża podtrzymują *status quo*, patrzą wiernym na ręce i boją się powierzyć im odpowiedzialne zadania. To dlatego zależy nam, żeby nasi animatorzy byli związani ze swoimi parafiami. Takie pojedyncze zaangażowane osoby mogą wiele zdziałać.

© DOROTA BIDZIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już ponad **1200 osób** z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku czyta regularnie „Tygodnik”!

Bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” umożliwia im rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto”.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

TYGODNIK
POWSZECHNY

LIDERM JEST NARÓD

Kiedy milkną echa niedzielnych protestów, życie Białorusinów tylko pozornie wraca do normy. O zmianę władzy po partyzancku walczą każdego dnia.

MAŁGORZATA PROCHAL, AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MIŃSKA I BORYSOWA

*Przemian żądają nasze serca,
Przemian żądają nasze oczy,
W naszym śmiechu i w naszych łzach,
I w pulsowaniu żył
Przemian!*

NA SZKOLNYM KORYTARZU, ZZA DRZWI KANTORKA nauczycielskiego, wybrzmiewa cicho hymn białoruskich protestów. Song „Pieremien!” („Chcemy zmian!”) autorstwa Wiktora Coja ma już swoje lata: jego twórca, znany rockman, zmarł jeszcze w czasach Związku Sowieckiego, w 1990 r. Dziś pieśń wraca, nagle znów aktualna.

Polina, bo to ona słucha właśnie Coja, pedagogiem jest od 20 lat. Za chwilę poprowadzi lekcję. Wie, jak trudno będzie realizować program, gdy w oczach dzieci zobaczy znajomy strach. Od razu rozpoznaje, czyj ojciec lub matka zostali wczoraj aresztowani. Jeszcze gorzej, gdy krzesło będzie puste.

Od tamtej wyborczej niedzieli 9 sierpnia codziennie ktoś znika. Wtedy rodzina rozpoczyna dramatyczne poszukiwania, które prowadzą zwykle do tego samego miejsca: mińskiego aresztu przy ulicy Akreścina. Do celi może trafić każdy: uczestnik protestu, ale i przypadkowy przechodzień, który akurat wyszedł po chleb. Bo gdy nadjeżdża OMON (specjalne jednostki milicji służące do rozpę-

dzania demonstracji), nikt nie może czuć się bezpieczny.

Słuchanie Coja zakłóca Polinie dochodzący z korytarza krzyk: – Jak pani może? To trzeba wyłączyć!

– Oho! Będzie donos – Polina patrzy na rozwścieczoną koleżankę i czuje w kościach, że ta nie zawaha się naskarżyć na nią do dyrektorki. Na palcach jednej dłoni może policzyć kolegów, z którymi otwarcie rozmawia o sytuacji w kraju. Wyczuwalna jest atmosfera strachu przed zwolnieniami.

Polina pracuje w szkole w Mińsku. Podczas wyborów prezydenckich było u nich w szkolnym budynku kilka komisji, w większości złożonych z nauczycieli. I to właśnie nauczycielom wielu Białorusinów nie potrafi wybaczyć podpisania się pod sfałszowanymi protokołami z wynikami głosowania. Niezależni obserwatorzy nie mogli nadzorować przebiegu wyborów, bo gdy pojawili się na terenie szkoły, dyrektorka Tatiana wezwała OMON. Według oficjalnych danych większością 80 proc. wygrał urzędujący od 26 lat Alaksandr Łukaszenka.

„Nauczyciele, ile kosztuje wasze sumienie?” – takie hasła zaczęły pojawiać się po 9 sierpnia na drzwiach i ogrodzeniu budynku. Część rodziców zapowiedziała, że nie będzie dokładać się do materiałów edukacyjnych czy remontu szkoły. „Kup-



VIKTOR TOLOCHKO / EAST NEWS

cie to wszystko ze sprzedaży własnego sumienia” – mówili. Uczniowie pisali na korytarzach: „Pomożemy Tatianie przeliczyć głosy”. Personel szkoły starał się je zamalowywać.

Rewolucyjna bielizna

Kiedy spotykamy się z Poliną, wielokrotnie powtarza, że dzieci się buntują, i podaje przykłady: – Podczas przerw uczniowie wykrzykują „Żywie Biełaruś!”. Kiedy ostatnio dyrektorka podeszła, żeby ich uciszyć, zapytali ją o przebieg wyborów. A ona szybko uciekła do swojego gabinetu.

Na szkolnych tablicach regularnie pojawiają się namalowane kredą białoczerwono-białe flagi. Uczniowie noszą na rę-



Mińsk, niedziela 20 września 2020 r.

kach smartwatche z patriotycznym tłem albo białe opaski – na znak sprzeciwu wobec reżimu Łukaszenki.

Polina też ma taką. – Ostatnio kupiłam sobie koszulkę z Pogonią. Mąż zapytał mnie, jak będę w tym chodzić w pracy. Odpowiedziałam, że to proste: na przerwach będę zapinać marynarkę, jak na przykładną nauczycielkę przystało. A podczas lekcji rozpinąć.

Swoje poglądy Polina manifestuje też poza pracą: – Usłyszałam, że flaga narusza fasadę budynku. Powiesiłam więc na balkonie majteczki kupione w second-handzie: rozmiar XXL, w kolejności białe, czerwone i białe. Przyszedł pewnego dnia dzielnicowy i zapytał: „Czy to pani balkon? Pani bielizna?”.

Odparłam, że nie jestem anorektyczką, ale na wyrost było widać, że to nie jest mój rozmiar. Poprosił, żebym powiesiła tak: białe, białe, czerwone, bo wtedy nie będzie to przeszkadzać jego komendantowi. Odpowiedziałam, że tego nie zrobię, bo lubię symetrię.

Polina tłumaczy, że wśród milicjantów są i tacy, którzy rozumieją, że czas na zmianę władzy. Ludzie z sektora informatycznego zaproponowali, że tym milicjantom, którzy odejdą ze służby, zapewnią pomoc finansową i kurs IT, żeby mogli się przebranżowić [patrz tekst o branży IT na Białorusi w „TP” nr 37 – red.].

– To walka z własnym sumieniem. Niektórzy uważają, że nie ma wyboru. Ja my-

ślę, że wybór jest zawsze – przekonuje Polina.

Czarna lista

Pracownikom Fabryki Preparatów Medycznych w Borysowie – 160-tysięcznym mieście, położonym 80 km na wschód od Mińska – dyrektor dał wybór: albo siedzisz cicho i masz pracę, albo protestujesz i zostaniesz zwolniony.

Była to powszechna taktyka zastraszania, gdy po sfalszowaniu wyników wyborów w zakładach produkcyjnych w całym kraju zaczęły wybuchać strajki.

Na obrzeżach Borysowa rozmawiamy z Nikitą, który od sześciu lat pracuje w tu-tejszej fabryce. – Nasz dyrektor przygotował listę osób, które chodziły na protesty. →

→ Powiedział, że albo ich zwolni, albo sam zostanie zwolniony. Musieli podpisać, że odchodzą na własne żądanie – opowiada.

Spis robotników nieprzychylnych władzy powstał na podstawie donosów. Ale, jak mówi Nikita, wystarczyło też, żeby dyrektor przejrzał profile w mediach społecznościowych, aby znaleźć tam dowody na niesubordynację wobec władzy.

Na Białorusi obowiązuje system kontraktowy, który umożliwia zwolnienie pracowników bez uzasadniania po roku. To daje kierownictwu narzędzie, by rozprawić się z niewygodnymi osobami.

Zastraszanie robotników przez dyrektora fabryki w wielu przypadkach zadziało. Nikita z troski o żonę i trójkę dzieci już na protesty nie chodzi.

Ale, jak mówi, to z myślą o nich chce, aby w kraju coś się w końcu zmieniło.

Rewolucja ma twarz kobiety

– Moje serce jest rozdarte – mówi 25-letnia Ilaria, była już aktorka Narodowego Teatru Janka Kupały (to najstarszy teatr w kraju, powstał w 1920 r.). Spotykamy się z nią na 22. piętrze Biblioteki Narodowej w Mińsku, skąd widać panoramę całego miasta.

Gdy po wyborach Ilaria zobaczyła na ulicach tłumy, poczuła dumę z tego, jak Białorusini potrafią się zjednoczyć: – Zrozumiałam, że wielu ludzi podobnie jak ja pragnie zmian. Taką więc poczułam po raz pierwszy w życiu.

Kiedyś częściej myślała o wyprowadzce z kraju. Dziś, choć ciężko jej żyć w reżimie Łukaszenki i płacić podatki dla tego rządu, już tak często nie mówi o wyjeździe.

Z pracy w teatrze, który jest instytucją państwową, zrezygnowała 1 sierpnia.

– Artyści są kreatywni, ale ja od dawna czułam, że jesteśmy niewolnikami ideologii. Nasza ścieżka rozwoju jest mocno ograniczona – tłumaczy.

Kilkanaście dni później, po fali brutalnych zatrzymań przez OMON, do strajków dołączyli jej koledzy, którzy przestali grać. Na budynku teatru zawisła białoczerwono-biała flaga. Za aktorami wstał się dyrektor Paweł Łatuszka (potem Łatuszka dołączył do Rady Koordynacyjnej opozycji; dziś jest w Polsce). A kiedy został za to zwolniony przez samego premiera, odeszło blisko 60 pracowników. Teatr jest zamknięty do listopada. Ilaria, choć żałuje, że swoich kolegów nie



Postulat na plakacie głosi, aby ten plac w centrum białoruskiej stolicy nazwać Placem Zmiany. Mińsk, 13 sierpnia 2020 r.



Ilaria (druga od prawej) na Marszu Kobiet. W środku 73-letnia Nina Bahińska, która stała się ikoną białoruskich protestów. Mińsk, 12 sierpnia 2020 r.

zobaczy na razie na scenie, to jest z nich dumna.

Mówi się, że białoruska rewolucja ma twarz kobiety, bo to one są motorem napędowym protestów. Ilaria bierze w nich udział w każdą niedzielę. Podkreśla, że nie boi się aresztowania, bo i tak „sytuacja w kraju wystarczająco ją przytłacza”.

Nagle podczas rozmowy sięga po torebkę, z której wyjmuje kartki papieru: białe i czerwone. Wspólnie z tłumem utworzą z nich w niedzielę (to w każdym tygodniu dzień największych protestów) wielką flagę. Umówili się na to w sieci.

Media społecznościowe i komunikatory – na czele z Telegramem – odgrywają teraz kluczową rolę w przekazywa-

niu informacji. Dlatego kiedy wybuchły w kraju protesty, służby Łukaszenki rozpoczęły blokadę internetu.

– Razem jesteśmy nie do zatrzymania, władza przecież nie może nas wszystkich aresztować – mówi 25-latką i zaciska pięści.

– Nie wiem, co więcej mogę zrobić, na prawdę nie wiem... – zastanawia się. – Pytałyście, co irytuje mnie najbardziej? To, że Łukaszenka widzi, że kilkaset tysięcy ludzi wychodzi na ulicę, ale udaje, że nas nie ma.

Droga do tożsamości

W białoruskiej telewizji państwowej protestów albo nie pokazują wcale, albo znacząco zaniżają liczbę uczestników. Nie

mówi się też o brutalnych aresztowaniach i pobiciach. Raz pojawił się materiał, który miał zniechęcić do udziału w manifestacjach. A w nim: skruszona młodzież, która z widocznymi siniakami przekonywała, że „odechciało im się rewolucji”.

21-letnia Dzijana, która od roku pracuje w telewizji Bielsat (nadawana z Polski, jest telewizją satelitarną i dlatego odporną na wyłączanie internetu), na Uniwersytecie Warszawskim pisała pracę licencjacką o represjach wobec dziennikarzy na Białorusi.

– Wybrałam studia w Polsce, bo na Białorusi nie ma wolności słowa – wspomina. – Ale zawsze wiedziałam, że tu wrócę. Bo jako dziennikarka niezależnych mediów mogę pomóc mojemu krajowi.

Kiedy Dzijana przeprowadza wywiady, z premedytacją zadaje pytania po białorusku, choć zdecydowana większość Białorusinów mówi na co dzień w języku rosyjskim. – Mamy swój język, ale go nie używamy, a bez tego nie będzie niezależności. Dzięki protestom, podczas których ludzie wracają do symboli narodowych sprzed czasów Łukaszenki, kształtuje się nasza tożsamość – przekonuje.

21-latką nie przypuszczała, że początek jej dziennikarskiej drogi będzie wyglądał jak praca korespondenta wojennego. Dlatego gdy zaczęły się brutalne zatrzymania, wyprowadziła się od rodziców. – Nie chcę, żeby się o mnie martwili. Wiem, że moja praca wiąże się z ryzykiem, ale każdy teraz ryzykuje. Nie mogę siedzieć bezczynnie, gdy za rogiem kogoś aresztują – mówi.

Kiedy wychodzi na materiał, zawsze ma ze sobą plecak. A w nim: paszport, apteczkę, bieliznę na zmianę, orzechy (dobre źródło kalorii), identyfikator Białoruskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy i płócienną kamizelkę z napisem PRESS. Choć zamiast pomóc w pracy, dziś taka kamizelka może zaszkodzić. Władza stara się jak może utrudniać reporterom pracę. Lokalni dziennikarze zwykle są zatrzymywani i karani grzywnami, a zagraniczni wydaleni z kraju.

Dzijana wspomina w rozmowie, jak 30 sierpnia relacjonowała demonstracje przy Pałacu Niepodległości – siedzibie Łukaszenki, który obchodził wtedy 66. urodziny. Do Mińska wjechały tego dnia opancerzone wozy bojowe BTR-80.

Wspomina: – Były cztery, jeden stał na bramach, a trzy kolejne za rzędem mili-



Psycholożka Elena na protestie. Do jej gabinetu zgłasza się wiele osób z traumą świadka. 16 sierpnia 2020 r.



Wład chodzi na każdą demonstrację. Tu na protestie w wyborczą niedzielę 9 sierpnia 2020 r.

cjantów. W pewnym momencie zauważyłam, że działko tego BTR-u jest skierowane w naszą stronę. Nie mogłam uwierzyć, że to jest mój Mińsk. Nie rozpoznawałam już miasta, w którym się urodziłam.

Ścieżka zdrowia

Wład widzi Pałac Niepodległości ze swojego okna w kuchni.

– Wszyscy chcą, żeby Łukaszenka ustąpił, a ten kurczowo trzyma się stołka. I ja jeszcze muszę na to patrzeć – denerwuje się, po czym podchodzi do szafki i wyjmując dzbanek na herbatę. – Czaj? – pyta i zaprasza nas do dużego pokoju. Za chwilę opowie, jak został aresztowany podczas protestu 9 sierpnia.

Tamtego wieczora Wład był przy pomniku Miasta Bohatera (zwanym powszechnie Stelą) na prospekcie Zwycięzców. Obok niego wybuchały granaty hukowe, a OMON upychał ludzi do autozaków – busów więźniarek.

Złapali go, gdy już wracał z protestu. – Mogłem wziąć nogi za pas, ale pomyślałem sobie, że nie zrobiłem nic złego, że bym musiał przed nimi uciekać – mówi.

Gdy przyjechali do aresztu na Akreścina przepełnioną więźniarką, funkcjonariusze OMON-u uformowali korytarz, który prowadził do budynku. Każdego, kto przez niego przechodził, okładali pałkami (metoda znana w Polsce z czasów komunistycznych, nazywana była ścieżką zdrowia).

Potem kazali aresztowanym upaść na kolana z głową zwróconą do ściany. Próbowali ich zastraszyć, celując do nich z karabinów. A gdy już weszli do środka, rozebrali wszystkich do naga.

– Po rewizji upchnęli nas w 30 osób do celi pięć na pięć metrów. Było strasznie duszno. Jedna milicjantka była wyjątkowo okrutna. Czerpała ogromną satysfakcję z poniżania ludzi. Śmiała się, gdy bici z bólu robili pod siebie – opowiada.

Po 72 godzinach spędzonych w takich warunkach Wład stanął przed sądem, który sam nazywa cyrkiem. W protokole wpisali zupełnie inne miejsce i godzinę zatrzymania. – Mam dowód w postaci nagrania z kamery monitoringu, że o tej porze wchodziłem do mojego bloku.

Kropla za kroplą

Wład dostał wyrok: 14 dob aresztu. Odsiedział łącznie cztery, bo cele były przepełnione. W ciągu czterech dni aresztowano wtedy ok. 7 tys. osób. Do dziś liczba zatrzymanych urosła do ponad 12 tys. osób.

– Nie wiadomo, ilu ludzi zabili w pierwszych dniach protestów – mówi Wład. – Coraz częściej pojawiają się informacje o trupach znalezionych w różnych częściach miasta. Mówią, że ktoś powiesił się w parku, a tak naprawdę to służby nie chcą się przyznać do odpowiedzialności. Niektórzy z tych katów już wyjechali z kraju, bo boją się, że ludzie, którzy wyszli z aresztu, ich rozpoznają. Jak nie są w grupie, nie są tacy mocni.

Gdy rozmawiamy, przychodzi jego prawnik. Razem zaskarżyli decyzję sądu, choć wiedzą, że na sprawiedliwość można liczyć dopiero, gdy odejdzie Łukaszenka. →

⇒ Wład mówi, że każdy teraz dokłada swoją kroplę, żeby na Białorusi zaszły zmiany.

Gdy pytamy, czy Białorusinom w końcu może zabraknąć determinacji, odpowiada: – Władzom zdawało się, że gdy użyją siły, ludzie będą się bać. A stało się odwrotnie. Będziemy wychodzić na ulicę tak długo, jak długo będzie trzeba.

Już następnego dnia po wyjściu z aresztu Wład był na kolejnym protestie.

– Ogromne wrażenie zrobił na mnie Wiktar Babaryka. Bankowiec, który miał wszystko i to poświęcił, żeby zmienić ten kraj – Wład wspomina jednego z rywali Łukaszenki w kampanii prezydenckiej, który pod swoją kandydaturą zebrał 425 tys. podpisów (w dziewięciomilionowym kraju), po czym został aresztowany i od czerwca siedzi w areszcie. Centralna Komisja Wyborcza, kontrolowana przez ludzi Łukaszenki, odmówiła zarejestrowania jego kandydatury.

– Ja też chcę być częścią tej zmiany. Wiem, że to nie opozycja, tylko naród wygra z Łukaszenką. Te protesty nie mają lidera. To każdy z nas jest liderem – przekonuje Wład.

Mężczyzna nadal uczestniczy we wszystkich manifestacjach, ale nie wie, czy już w pokojową rewolucję. – Naprawdę bardzo bym jej chciał. Ale nie da się wygrać z Łukaszenką, kiedy oni mają karabiny, a my kwiaty – mówi.

Dodaje, że gdy będzie trzeba, nie zawaha się chwycić za broń.

Na co dzień jest wychowawcą w przedszkolu.

Diagnoza narodu

– Jak żyję, nie widziałam takiego terroru – mówi Elena, która od 10 lat prowadzi w Mińsku Centrum Pomocy Psychologicznej.

Jej 31-letni syn Iwan był przetrzymywany na Akreścina. Trafił tam 4 sierpnia, gdy w kraju rozpoczęło się głosowanie (można było oddać głos już na kilka dni przed niedzielą 9 sierpnia). Elena i jej synowie byli niezależnymi obserwatorami z inicjatywy „Uczciwi ludzie”. Chcieli patrzeć komisjom na ręce. Ale w całym kraju takim jak oni nie pozwolano nawet wejść do lokalu wyborczego.

Elena: – Iwana aresztowali, bo powiedzieli się, że dał ludziom z komisji

ulotki, w których nawoływał o uczciwe podliczenie głosów. Kiedy przyszła po niego milicja, nie awanturował się, choć w raporcie napisali: „stawiał opór podczas zatrzymania”. Skazali go na 10 dob aresztu.

Z Akreścina przewieźli go potem do oddalonego o 60 km Żodzina, do tamtejszego więzienia. Elena uważa, że Łukaszenka przeczuwał skalę tegorocznych protestów i chciał zrobić miejsce dla kolejnych zatrzymanych w stołecznych aresztach.

– Kiedy Iwan wrócił do domu, opowiadał, że w areszcie zamiast o siebie bał się o rodzinę. Nie wiedział, co dzieje się za murami. Cele były przepełnione i sypiali na zmiany. Ale tych zatrzymanych przed wyborami jeszcze tak nie bili – przyznaje matka.

Potem zaczęły się brutalne pobicia i gwałty. Syn przyjaciółki Eleny został złapany przez OMON 12 sierpnia. Do domu wrócił skatowany, z siniakami na całym ciele. Opowiadał o trupach przykrytych płachtą, które widział w areszcie na Akreścina.

Psycholożka: – Poczułam ogromny ból i gniew. Nie mogłam znieść myśli, z jaką traumą będą żyć ci ludzie. Od tego czasu w Centrum, które prowadzę, udzielamy bezpłatnej pomocy dla ofiar tych tortur.

Do Eleny odezwało się także wiele osób z tzw. traumą świadka. Zwłaszcza byli aresztanci, mężczyźni i kobiety, którzy sami nie zostali pobici podczas pobytu na Akreścina, ale widzieli, jak tuż obok nich ludzie są torturowani, i słyszeli ich przeraźliwe krzyki.

Przychodzą do niej pojedynczo albo z bliskimi. – Wyrzucenie z siebie tych emocji przynosi ogromną ulgę – mówi Elena.

O tym wszystkim opowiada nam w swoim gabinecie psychologicznym.

– To nie jest tak, że tylko pojedyncze osoby przeżywają to, co się teraz dzieje, i nie mogą poradzić sobie z gniewem. Dla każdego z nas są to trudne doświadczenia. Traumą będzie mieć cały naród – mówi Elena, sięgając po chusteczkę.

Teraz sama pozwala sobie na łzy.

© MAŁGORZATA PROCHAL,
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Ze względów bezpieczeństwa imiona niektórych rozmówców zostały zmienione.

Brexit w cieniu wirusa

PATRYCJA BUKALSKA

Londyn zmierza do definitywnego pożegnania z Unią. Jego skutki mogą być poważniejsze niż epidemia.

PO KILKA TYSIĘCY ZAKAŻEŃ DZIENNIE, nowe restrykcje, widmo drugiego lockdownu: to zaprzęta uwagę brytyjskiego rządu i obywateli. Po optymistycznym lipcu i sierpniu, gdy premier Boris Johnson zachęcał Brytyjczyków, by porzucili pracę zdalną, a minister finansów Rishi Sunak dopłacał do ich wizyt w restauracjach, sytuacja zmieniła się gwałtownie. Teraz znów mają pracować z domów, puby są zamykane już o godzinie 22, ograniczono też liczbę uczestników pogrzebów i wesel, a także zwykłych spotkań towarzyskich.

Wszystko po to, aby uniknąć drugiego zamknięcia kraju, takiego jak wiosną.

Jednak wiele firm może nie przetrwać nawet tych obecnych ograniczeń. Analizy gospodarcze wyglądają źle, a mogą być jeszcze gorsze, bo właśnie uaktywnia się kolejny z wielkich brytyjskich problemów: brexit. Jeśli Londyn i Bruksela nie porozumieją się co do przyszłych relacji handlowych, z końcem roku dokona się tzw. twardy brexit, czyli rozwód bez umowy. Czas na rozmowy kończy się około połowy października.

Johnson idzie na całość

Brakuje nie tylko czasu, ale chyba też przekonania, że porozumienie jest możliwe.

Do niedawna jedną z głównych kwestii spornych było rybołówstwo i dostęp do brytyjskich wód terytorialnych. Teraz znów przypomniał o sobie problem irlandzki. Uniknięcie twardej granicy między Republiką Irlandii a Irlandią Północną, wchodzącą w skład Wielkiej Brytanii, zawsze było w brexitowych ne-

W londyńskim City, 23 września 2020 r.



JOHN SIBLEY / REUTERS / FORUM

gocjacji sprawą fundamentalną. Rodzajem gwarancji, że twarda granica nie wróci, był tzw. protokół irlandzki – element podpisanej niespełna rok temu umowy rozwodowej z Unią.

Tymczasem Johnson przepycha właśnie przez parlament ustawę o rynku wewnętrznym, która dopuszcza jednostronne uchylene przez Londyn niektórych ustaleń tejże umowy – powszechne jest przekonanie, że chodzi tu m.in. o Irlandię Północną. Sprawa jest bez precedensu i ma potężną siłę dyplomatycznego rażenia: oto Wielka Brytania, państwo o długiej demokratycznej tradycji, przyznaje, że może złamać prawo międzynarodowe.

Projekt ustawy krytykuje wielu posłów, w tym byli brytyjscy premierzy, podkreślając, że na szali jest reputacja Londynu. Aby przekonać choć część krytyków, Johnson wprowadził zapis, że naruszenie umowy z Unią wymaga zgody parlamentu. Ale złamanie prawa, gdyby do niego kiedyś doszło, będzie złamaniem prawa. Być może to tylko negocjacyjna strategia Johnsona, ale dość szokująca. Na tyle, że jeśli Londyn przyjmie kontrowersyjne zapisy, Bruksela nie wyklucza skierowania sprawy do sądu.

Wąskie gardło

Tymczasem do opinii publicznej trafiają kolejne przygnębiające prognozy pobradowej rzeczywistości.

Choć kraj nie jest już członkiem Unii, do końca tego roku trwa okres przejściowy, podczas którego obowiązują wcześniejsze regulacje. Prawdziwa

zmiana nastąpi 1 stycznia 2021 r. Co się wtedy stanie, jeśli do tego czasu nie będzie umowy handlowej z Unią?

Obawy dotyczą zwłaszcza płynności ruchu między Wyspami a Francją: w czarnym scenariuszu ciężarówki zmierzające do Unii przez porty w Dover i Folkestone mogą czekać na przejazd nawet dwa dni. Aby tego uniknąć, rząd wzywa firmy przewozowe, by nie traciły czasu i przygotowały się na nowe formalności. Tyle że właściciele tychże firm sami od miesięcy dopytują, jakie regulacje będą obowiązywać. Nadal niegotowa jest też infrastruktura graniczna w Dover, bo rząd wciąż nie uwolnił funduszy na ten cel.

Od stycznia może wydłużyć się też czas podróży pasażerów pociągów w tunelu pod Kanałem, ze względu na kontrole paszportowe – nawet o dwie godziny.

Granice to miejsce, gdzie twardy brexit zaznaczy się najmocniej. Jednak to nie wszystko. Np. część londyńskich banków ostrzegła swoich brytyjskich klientów żyjących na kontynencie, że z końcem roku ich konta będą zamykane. Brytyjczycy wyjeżdżający za granicę będą też sami musieli zadbać o ubezpieczenie zdrowotne. Lista jest długa.

I jeszcze wirus

Analitycy think tanku UK in a Changing Europe sądzą, że skutki pandemii mogą zatrzeć politycznie i ekonomicznie skutki twardego brexitu. Jednocześnie w swoim raporcie podkreślają: twardy brexit będzie negatywnie wpły-

wał na odbudowę gospodarki i na dłuższą metę może okazać się groźniejszy niż koronawirus. Mowa o koszcie dwu- lub nawet trzykrotnie większym niż prognozy Banku Anglii dotyczące wpływu pandemii na produkt krajowy brutto. Nawet w rządowych analizach mowa jest o tym, że po 15 latach od twardego brexitu PKB będzie mniejszy o ponad 7 proc.

Jednak nie te liczby martwią Johnsona – dziś liczą się przede wszystkim nowe zakażenia koronawirusem i mroczne prognozy, według których jesienią i zimą w Wielkiej Brytanii może być nie kilka, lecz kilkadziesiąt tysięcy przypadków dziennie.

W tym, jak określił to premier, „niebezpiecznym punkcie zwrotnym”, wprowadzono więc nowe restrykcje. We wszystkich częściach Zjednoczonego Królestwa są one mniej więcej podobne, choć w Szkocji nieco surowsze niż w Anglii. Jak wynika z sondażu YouGov, ten ruch rządu cieszy się społecznym poparciem: ograniczenia popiera prawie 80 proc. ankietowanych, a 45 proc. uważa nawet, że powinny być jeszcze ostrzejsze.

Jednocześnie słychać też głosy krytyki. I to nie ze strony osób podważających samo istnienie epidemii, lecz uznanych naukowców. Ponad 30 z nich podpisało list wzywający do zmiany strategii rządu, tak aby skierowana była na ochronę najbardziej zagrożonych grup, a nie nakładała ograniczeń na całe społeczeństwo. Na skutek obecnego podejścia, zdaniem sygnatariuszy, cierpią ludzie chorzy na raka czy inne poważne schorzenia, którzy nie są diagnozowani.

NA RESTRYKCJE Brytyjczycy reagują więc ze zrozumieniem. Choć martwią się, co będzie w Boże Narodzenie, skoro dziś dozwolone są rodzinne spotkania tylko do sześciu osób. Jednocześnie wielu poczuło – podobnie jak wiosną – potrzebę solidnego zaopatrzenia spiżarni. Ruszyli do sklepów, gdzie znów wyjątkową popularnością cieszą się papier toaletowy i makaron. Ale można to zrozumieć w przeddzień „nawałnicy doskonałej”, jaką mogą okazać się pospół sezon grypowy, większa liczba infekcji SARS-CoV-2 i twardy brexit.

Nie pierwszy raz w ostatnich latach Brytyjczycy robią zapasy. ©P



Mural upamiętniający Ruth Bader Ginsburg w Waszyngtonie. 21 września 2020 r.

Przeciąganie liny

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Spór o wakat po Ruth Bader Ginsburg – zmarłej sędzi Sądu Najwyższego USA – zaognił wyścig o Białe Dobre. Może też na dekady określić układ sił w tej najważniejszej w Stanach instytucji wymiaru sprawiedliwości.

NIEDŁUGO PRZED ŚMIERCIĄ 87-LETNIA Ruth Bader Ginsburg podyktowała wnuczce ostatnią wolę. Powiedziała, że jej największym życzeniem jest, aby wakat po niej obsadził dopiero zwycięzca listopadowych wyborów prezydenckich. Ginsburg – liberalna sędzia Sądu Najwyższego i ikona feminizmu – dobrze wiedziała, co może się stać po jej śmierci.

Tuż po tym, jak w piątek 18 września podano informację o odejściu Ruth Bader Ginsburg, lider Republikanów w Senacie Mitch McConnell zapowiedział, że jest gotowy na szybkie procedowanie w sprawie obsadzenia wakat po zmarłej. List z jej ostatnią wolą zignorował też Donald Trump – a nawet podważył jego autentyczność, sugerując, że w jego sporządzeniu na pewno maczali palce politycy Partii Demokratycznej. Prezydent zapowiedział, że ze swojego konstytucyj-

nego prawa do nominowania następcy lub następczyni (bo od razu dał też do zrozumienia, iż będzie to zapewne kobieta) skorzysta zaraz po uroczystościach pogrzebowych Ginsburg. Nazwisko miało paść w weekend, już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika”.

Na wypełnienie wakat po liberalnej sędzi Republikanie – mający większość w Senacie, który zatwierdza kandydaturę zgłoszoną przez prezydenta – ostrzyli sobie zęby od dawna. W końcu Ginsburg cztery razy chorowała na raka trzustki, przeszła operację serca i kilkakrotnie miała złamane zębra. Niedługo przed śmiercią trafiła do szpitala z kolejnymi przerzutami.

Jeszcze za czasów administracji Baracka Obamy politycy Demokratów wielokrotnie wywierali na Ginsburg presję, aby przeszła na emeryturę i umożli-

wiła nominację swojego następcy jeszcze przez prezydenta-Demokratę. Ale ona nie lubiła się poddawać i powtarzała, że przestanie pracować dopiero, gdy „przyjdzie na to czas”. Umarła na półtora miesiąca przed wyborami, które rozstrzygną o re-elekcji Trumpa. A jeśli ich wynik będzie kwestionowany przez którąś ze stron, ostatnie słowo będzie należeć właśnie do Sądu Najwyższego.

Konserwatywna większość

Spór o obsadę wakat po Ginsburg, która w Sądzie Najwyższym zasiadała przez 27 lat, stał się dziś kluczowym tematem kampanii wyborczej.

Jeśli Senat zatwierdzi szybko nominację kandydatki Trumpa – wbrew oporom Demokratów – wówczas ideowy układ sił w Sądzie Najwyższym przechyli się bardzo mocno na korzyść konserwatywistów: przewaga sędziów powołanych przez prezydentów z Partii Republikańskiej nad tymi, których wskazali prezydenci wywodzący się z Partii Demokratycznej, będzie wynosiła sześć do trzech. To budzi w Stanach duże emocje, gdyż Sąd Najwyższy ma bezpośredni wpływ na amerykańską politykę oraz rozstrzyga w sporach ideowych, dotyczących wartości. Jego orzecznictwo przesądziło m.in. o zniesieniu segregacji rasowej w amerykańskich szkołach, legalizacji małżeństw homoseksualnych i dopuszczalności aborcji.

Ta ostatnia kwestia wyjątkowo rozpala konserwatywnych wyborców. Niektórzy liczą, że dojdzie nawet do rewizji wyroku Sądu Najwyższego z 1973 r., legalizującego „aborcję na życzenie” w całym kraju. Donald Trump podsyłał te nadzieje podczas swojej kampanii w 2016 r., obiecując, że w przypadku zdobycia prezydentury mianuje do Sądu Najwyższego sędziów znanych z poglądów *pro-life*.

Słowa dotrzymał i do tej pory nominował dwóch konserwatystów: 53-letniego dziś Neila Gorsucha i 55-letniego Brettę Kavanaugh. Próba szybkiego przepchnięcia teraz – jeszcze przed 3 listopada – trzeciej osoby o poglądach mocno konserwatywnych i również mniej więcej pięćdziesięcioletniej (a takie są kandydatki, których nazwiska pojawiają się w mediach) to nie tylko walka o zacementowanie układu sił w Sądzie Najwyższym (kadencje sędziów są dożywotnie), lecz także szansa na mobilizację elektoratu Trumpa. Oraz sposób na odwrócenie uwagi wyborców od jego nieudolnej reakcji na epidemię.

Przedwyborczy manewr ma też potencjalnie pomóc Republikanom w zachowaniu przewagi w Senacie. Jak wskazują sondaże, wielu republikańskich senatorów – jak Lindsey Graham z Karoliny Południowej, Joni Ernst z Iowy i Thom Tillis z Karoliny Północnej – szykują się na trudną walkę o reelekcję (wybory, w których bronią swoich stanowisk w Senacie, odbywają się również 3 listopada).

Polityczne przepychanki

Demokraci krytykują ten pośpiech Republikanów z obsadzeniem wakatów po Ginsburg i oskarżają ich o hipokryzję. Przypominają, że gdy w lutym 2016 r. – w końcówce rządów Obamy, na osiem miesięcy przed wyborami prezydenckimi – zmarł sędzia Sądu Najwyższego Antonin Scalia, znany z konserwatywnych poglądów, wówczas Mitch McConnell postawił sprawę jasno: uznał, że Senat nie będzie procedować nad zatwierdzeniem kandydata wskazanego przez Obamę, bo pozostało „mało czasu” do wyborów, oraz że następcę Scalii powinien nominować już kolejny prezydent. Wówczas McConnell odgrzebał wypowiedź Joego Bidena – czyli dzisiejszego rywala Trumpa. Jako szef senackiej komisji ds. sądownictwa w 1992 r. Biden przekonywał, że nie należy wykonywać tak kluczowych ruchów tuż przed wyborami.

Teraz, w obliczu kolejnego sporu o Sąd Najwyższy, to Demokraci chętnie cytują dawne opinie swych przeciwników. Jeszcze cztery lata temu senator Lindsey Graham mówił, że gdyby to pod koniec kadencji republikańskiego prezydenta powstał wakat w Sądzie Najwyższym, wtedy Republikanie wstrzymałby się z nominacją następcy. Tymczasem dziś, zaledwie pięć tygodni przed wyborami, spodziewaną nominatkę Trumpa czekają przesłuchania w senackiej komisji ds. sądownictwa, w której zasiada Kamala Harris – kandydatka Bidena na wiceprezydenta i była prokuratorka.

Aby zablokować nominację na ostatnim etapie procedury, czyli podczas głosowania w Senacie, Demokraci potrzebują poparcia czterech republikańskich senatorów. Do tej pory tylko dwie senatorki – Lisa Murkowski z Alaski i Susan Collins z Maine – zapowiedziały, że nie poprą następczyni Ginsburg, jeśli do głosowania dojdzie jeszcze przed wyborami.

Demokraci liczyli po cichu także na Mitta Romneya, który już raz wyłamał się z dyscypliny partyjnej i podczas procedury impeachmentu głosował za uznaniem Trumpa winnym nadużycia władzy. Jednak senator zadeklarował, że postąpi zgodnie z interesem partii – przynajmniej na razie – gwarantując Republikanom potrzebną do zatwierdzenia nominacji większość 51 głosów.

Scenariusze Demokratów

Niewykluczone, że do głosowania w Senacie dojdzie już po listopadowych wyborach – i to nawet wówczas, gdyby w ich wyniku Trump przegrał walkę o reelekcję, a Republikanie stracili większość w Senacie. Izba wyższa w nowym składzie zbiera się bowiem dopiero w styczniu.

Co w przypadku takiego scenariusza mogą zrobić Demokraci? W wywiadzie dla telewizji ABC spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi przekonywała, że ma „kilka asów w rękawie”. Jednym z nich jest wszczęcie kolejnej procedury impeachmentu wobec Donalda Trumpa, co zepchnęłoby głosowanie ws. nowego sędziego na dalszy plan.

Demokraci widzą też inne rozwiązanie. Jeśli Republikanie przeforsują teraz swojego kandydata do Sądu Najwyższego, a Demokraci uzyskają 3 listopada większość w Senacie, wówczas już po nowym roku mogliby spróbować zmniejszyć przewagę konserwatystów w Sądzie

Najwyższym, zwiększając liczbę sędziów. Konstytucja tego nie zabrania, więc taki scenariusz jest możliwy.

Obamacare przed sądem

Joe Biden unika deklaracji, czy popiera tego rodzaju manewry. Nie chciał też przedstawić swojej listy potencjalnych kandydatów do Sądu Najwyższego, choć skłaniali go do tego Demokraci. Biden woli unikać politycznej jatki i wykorzystuje obecny spór do mobilizacji elektoratu wokół kwestii związanych z pandemią i dostępem do opieki zdrowotnej.

Wszystko składa się w całość, bo tydzień po wyborach Sąd Najwyższy będzie rozstrzygał w sprawie, która może doprowadzić do zniesienia systemu ubezpieczeń, który wprowadził Barack Obama (stąd jego nazwa: Obamacare). Jeśli sędziowie orzekną na korzyść strony pozującej – Departamentu Sprawiedliwości i 20 republikańskich stanów – wówczas ubezpieczenie zdrowotne mogą stracić 23 mln Amerykanów.

„W samym środku pandemii Donald Trump stara się przed Sądem Najwyższym o pozbawienie amerykańskich rodzin opieki zdrowotnej” – przekonywał Biden podczas wiecu w Filadelfii. Strach przed zburzeniem *status quo* w sprawie opieki medycznej czy też np. dopuszczalności aborcji zmobilizował już zwolenników Demokratów. W ciągu dwóch dni od śmierci sędzi Ginsburg darczyńcy wpłacili w sumie ponad 160 mln dolarów m.in. na kampanie kandydatów Partii Demokratycznej, którzy ubiegają się o fotel senatora. Na kampanię wymierzoną w senatora Mitcha McConnella wpłynęło w ciągu doby ponad 13 mln dolarów.

Kto zdecyduje o zwycięstwie

Eksperci, których cytuje „New York Times”, przewidują, że rozmontowanie programu Obamacare tuż po wyborach jest mało prawdopodobne. Sędziowie są niezależni i nieraz dowiedli, że nie działają po linii tej czy innej partii. To dzięki wsparciu sędziego-konserwatysty Johna Robertsa Sąd Najwyższy zablokował w czerwcu ustawę antyaborcyjną stanu Luizjana, a także zagwarantował ochronę dla pracowników LGBT i tzw. dreamersów, czyli dzieci imigrantów, którzy do USA przybyli nielegalnie.

Jednak to także Sąd Najwyższy – czy to w uszczuplonym składzie, czy to już uzupełniony o osobę namaszczonej przez →

⇒ Trumpa – może odegrać kluczową rolę w rozstrzygnięciu sporów powyborczych. A takich już teraz nie brakuje. Podczas gdy w dobie pandemii Demokraci starają się ułatwić dostęp do głosowania korespondencyjnego, Republikańscy chcą to maksymalnie utrudnić. „Washington Post” szacuje, że w całym kraju toczy się już teraz ponad 300 tego rodzaju postępowań, które potencjalnie mogą znaleźć finał w Sądzie Najwyższym.

Decydująca gra o największą stawkę rozpocznie się jednak dopiero wtedy, gdy przegrany kandydat zakwestionuje wynik wyborów i sprawa trafi do Sądu Najwyższego. Tak było w 2000 r., gdy decyzja Sądu o zakończeniu ponownego liczenia głosów na Florydzie zawazyła o zwycięstwie Republikanina George’a W. Busha nad Demokratą Alem Gore’em (sędzia Ginsburg była wtedy w mniejszości – głosowała na niekorzyść Busha).

Jak powiedziano, w tegorocznym wyścigu już teraz nie brakuje kontrowersji. Trump z uporem powtarza, że głosowanie korespondencyjne prowadzi do fałszerstw i na pewno sięgnie po ten argument, jeśli przegra. Sam zresztą zachęca w gruncie rzeczy do fałszerstw, przekonując swój elektorat, aby „testował” prawidłowość procedur, oddając głos podwójnie: najpierw korespondencyjnie, a potem w lokalu wyborczym.

Czekając na finał

Wreszcie: Demokraci obawiają się chaosu w noc wyborczą, który może wynikać z opóźnionego procesu zliczania głosów nadesłanych pocztą. Jak wynika z sondaży, zwolennicy Trumpa wolą osobiście iść do urn, niż głosować korespondencyjnie (66 proc. stawia na tę pierwszą opcję, a zaledwie 11 proc. na drugą). Zupełnie na odwrót jest u zwolenników Bidena (26 proc. wobec 47 proc.), co Trump może wykorzystać, ogłaszając przedwcześnie swoje zwycięstwo.

Podczas konferencji prasowej w zeszłą środę prezydent po raz kolejny insynuował, że Demokraci szykują oszustwa wyborcze i z tego względu potrzebuje Sądu Najwyższego w pełnym dziełcioosobowym składzie.

Ruth Bader Ginsburg nie mogła odejść w gorszym momencie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Na barykadach z ulicy Żelaznej

TEKST I ZDJĘCIA **DARIUSZ KAŁAN** Z BUDAPESZTU

Najstarsza uczelnia artystyczna na Węgrzech zbuntowała się przeciw próbie przejścia przez zaufanych premiera Orbána. Niektórzy liczą, że to oni, młodzi, wybudzą kraj z apatii.

PRZEZ LATA DÁNIEL HERCZEG NIE MIAŁ głowy do polityki; gdyby to od niego zależało, nie zajmowałby się nią także i teraz.

– Pracowaliśmy naprawdę ciężko, żeby dostać się na ten uniwersytet. Pragnęliśmy tworzyć sztukę. Rozmawialiśmy o niej każdego dnia. I chciałbym, żeby znowu tak było – mówi mi Herczeg, 27-letni student dramaturgii na Uniwersytecie Sztuki Teatralnej i Filmowej (SzFE) w Budapeszcie. – Jednak zostaliśmy postawieni w sytuacji, w której musimy ryzykować studia, żeby walczyć o naszą niezależność.

Rozmawiamy w kawiarni Lumen, dwie przecznice od sześciopiętrowego budynku SzFE, położonego w samym centrum węgierskiej stolicy. Od końca sierpnia budynek jest okupowany przez blisko stu studentów i wspierających ich nauczycieli. Sprzeciwiają się – jak mówią – siłowemu przejściu szkoły przez nacjonalistyczny rząd Viktora Orbána.

Wejście do szkoły obklejono białoczerwonymi taśmami – obok żółtych masek i rozcapierzonych dłoni z napisem „FREE SzFE” stały się one symbolami oporu artystów przeciwko zakusom polityków. Z drugiego piętra rozciąga się płachta: „Opowiadamy się za niezależnością naszego uniwersytetu”.

Protestujących wsparły gwiazdy kina europejskiego i amerykańskiego. A na miejscu, na jednokierunkowej ulicy Vas (Żelaznej), codziennie zbierają się grupki gapiów, którzy oklaskują zmieniające się co pół godziny strażę, czyli studentów czuwających na daszku nad drzwiami.

Dziś trudno odtworzyć, kto wpadł na pomysł okupacji. Moi rozmówcy lojalnie powtarzają, że decyzja została podjęta ko-

lektynnie. – Wszystko działo się bardzo szybko. Władza nie pozostawiła nam wyboru – przekonuje Herczeg.

Fundacja przejmie uczelnię

W lipcu parlament – zdominowany przez Fidesz, partię Orbána – przegłosował ustawę, która przeniosła prawa własności nad uczelnią publiczną, jaką jest SzFE, na prywatną fundację. Takie rozwiązanie zastosowano już wcześniej wobec siedmiu innych uczelni.

Zmiany miały wejść w życie 1 stycznia 2021 r. Ale po tym, jak władze uniwersytetu poprosiły o wydłużenie tego terminu, Ministerstwo Innowacji i Technologii jeszcze go skróciło: do 1 września tego roku. Bez konsultacji powołano pięcioosobową radę fundacji. Ministerstwo przekonuje, że wszystko po to, żeby zlikwidować państwowy parasol nad SzFE i zreformować rzekomo przestarzały program nauczania.

Jednak społeczność uniwersytetu jest przekonana, że chodzi o narzucenie jej nacjonalistycznego programu i wychowanie kadr bliskich Fideszowi. Od zwycięskich wyborów przed ponad dwoma laty partia Orbána sukcesywnie przejmuje niezdojdyte jeszcze obszary kraju, w tym właśnie szkoły wyższe, a także Węgierską Akademię Nauk oraz najstarszy informacyjny portal internetowy Index. Mało kto ufa zapewnieniom rządu, że w tym przypadku celem jest zwiększenie niezależności SzFE.

László Upor, dramaturg i prorektor SzFE ds. edukacji, twierdzi, że chodzi o pieniądze, władzę oraz o ambicje jednego człowieka. W systemie Orbána, podobnie jak w świecie Dona Corleone, bohatera „Ojca chrzestnego”, władza skupia się wokół silnych i lojalnych jednostek



„Opowiadamy się za niezależnością naszego uniwersytetu”: okupowany budynek SzFE w Budapeszcie, wrzesień 2020 r.

wyznaczonych do zajmowania się określonymi tematami – argumentuje Upor.

Kontroler z ramienia premiera

Caporegime Orbána, odpowiedzialnym za kontrolę życia teatralnego, jest reżyser Attila Vidnyánszky.

Obecnie stoi na czele albo działa w zarządzie sześciu różnych instytucji, w tym stołecznego Teatru Narodowego, Węgierskiego Towarzystwa Teatralnego (z którego wywodzą się osoby odpowiedzialne za rozdzielanie grantów dla twórców teatru), a także uniwersytetu w Kaposvárze, konkurującego z Budapesztem w kształceniu artystów. Nazywany „papierem”, „mesjaszem”, „demonem”, „tytanem”, wzbudza lęk i niechęć dużej części środowiska artystycznego.

To właśnie on został wskazany na przewodniczącego nowej rady SzFE. Oprócz niego weszli do niej jego ludzie z Teatru Narodowego oraz przedstawiciele MOL-u, państwowego przedsiębiorstwa przetwarzającego ropę naftową i gaz ziemny.

– Vidnyánszky prowokuje silne emocje nie z powodu osiągnięć, lecz koniek-

sji politycznych – mówi mi László Upor. – Poznałem go jakieś 30 lat temu, kiedy jeszcze był uroczym chłopakiem i pomysłowym twórcą.

Okupacja uczelni zaskoczyła i Vidnyánszkyego, i przedstawicieli rządu, którzy unikają komentowania całej sytuacji. Natomiast Vidnyánszky mówi – i to dużo. Między innymi o tym, że studenci to bolszewicy terroryści, oraz że za protestem stoją George Soros i międzynarodowe organizacje.

Dániel Herczeg zaprzecza, żeby dostawali jakiegokolwiek wsparcie z zagranicy.

– Wszystkie dotychczasowe zawłaszczenia odbywały się łatwo, bez żadnego oporu – tłumaczy mi Ferenc Czinki, pisarz z Székesfehérváru w środkowych Węgrzech. – Zapomnieliśmy, jak to jest po prostu powiedzieć „nie”.

W końcu chodzi o najstarszą – bo założoną w 1865 r. – i najbardziej prestiżową uczelnię artystyczną na Węgrzech. Rokrocznie o przyjęcie na jedno miejsce najchętniej obleganych kierunków, aktorskiego i reżyserskiego, ubiega się ok. stu osób. Wśród absolwentów są ta-

kie postaci jak aktor Géza Röhrig (odtwórca głównej roli w oscarowym „Synu Szawła”), operator filmowy Vilmos Zsigmond i znani reżyserzy: István Szabó, Miklós Jancsó, Béla Tarr i Ildikó Enyedi, której film „Dusza i ciało” trzy lata temu zdobył Złotego Niedźwiedzia w Berlinie i nominację do Oscara.

Nowe pokolenie

– Jakkolwiek zakończy się okupacja, jestem przekonany, że dla tego pokolenia stanie się wydarzeniem formującym – zapewnia prorektor Upor. – Po raz pierwszy dotyczą ich nagie, niemal totalitarne metody sprawowania władzy, która narzuca swoją wolę i nie zostawia przestrzeni na negocjacje. Po drugie, bo uczą się, jak się jednoczyć, działać solidarnie i angażować resztę społeczeństwa.

Najmłodsi studenci urodzili się pod koniec lat 90. i na początku nowego stulecia, i nie pamiętają życia innego niż pod władzą Orbána. To oni, oskarżani często o bierność i marnowanie czasu przy serialach i smartfonach, stają się inspiracją dla tych, którzy przez ostatnie →



Od lewej: Mihály Csernai, szef samorządu studenckiego SzFE. Dániel Herczeg, student dramaturgii. Budapeszt, wrzesień 2020 r.

→ 10 lat obojętnie obserwowali zacieśnianie uścisku Fideszu na niemal każdym aspekcie życia, w tym mediach, sądownictwie i instytucjach publicznych.

– Moje pokolenie jest stracone – komentuje z przekąsem 38-letni pisarz Czinki. – Moi rówieśnicy przystosowali się do życia w systemie. Wypracowaliśmy strategię cichego przetrwania, a nawet korzystania z niego. Tymczasem te młode dziewczyny i ci młodzi chłopcy są czysti, niewinni. Nie chcą niczego od systemu.

Dodaje: – Nie pozostaje nam nic innego, jak trzymać za nich kciuki.

Tych, którzy wierzą, że młodzi studenci wybudzą Węgry z apatii, jest więcej. Że jak inni artyści z przeszłości, np. XIX-wieczny poeta Sándor Petőfi – poległy w wieku 26 lat podczas węgierskiej Wiosny Ludów – rozpała ogień, który przetoczy się przez cały kraj i doprowadzi do upadku starego systemu.

Tyle że oni wcale nie mają takich ambicji.

– Nie chcemy mieszać się do polityki. Właśnie o to w tym wszystkim idzie! – przekonuje Mihály Csernai, 23-letni student pedagogiki teatralnej i szef samorządu studenckiego SzFE. – Zależy nam wyłącznie na tym, żeby ochronić niezależność szkoły. Protestowalibyśmy, gdyby druga strona próbowała zrobić to samo.

Zapytany, czy nie boi się, że na proteście ucierpi jego kariera – bo może kiedyś przyjdzie mu współpracować w teatrze z Vidnyánszkym albo jego stronnikami – Csernai odpowiada: – Są ważniejsze rzeczy niż moja kariera. Na przykład to, jakim człowiekiem się stanę. I jak za parę lat będzie wyglądał system edukacji w naszym kraju.

Republika edukacyjna

Chyba odrobili lekcję z niedawnej przeszłości.

Nie jest tak, że przez ostatnią dekadę nikt nie buntował się przeciwko Fideszowi. Ferenc Czinki mówi, że on i jego koledzy napisali więcej petycji niż książek. Organizowano też demonstracje – i niektóre przyciągały dziesiątki tysięcy osób. Tyle że niewiele z tego wynikało.

Udało się w dwóch przypadkach: proponowanego przez rząd podatku od każdego gigabajta ściągniętego przez internautę (przeciwko któremu oprócz stolicy zbuntowała się prowincja), a także kosztownego pomysłu, żeby Budapeszt organizował w 2024 r. Letnie Igrzyska Olimpijskie. Władza wycofała się, bo protestujący trzymali się z dala od polityki – tak uważa Kornel Klopstein, pracownik fundacji Open Society w Nowym Jorku.

W 2017 r. Klopstein, wówczas doktorant Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego (CEU), był jednym z liderów manifestacji ulicznych przeciwko ustawie zmuszającej tę prestiżową uczelnię, ufundowaną przez George’a Sorosa, do opuszczenia Budapesztu. Protesty niewiele dały, dziś CEU ma kampus główny w Wiedniu.

Klopstein mówi, że tamten protest „szybko zmienił się w forum eksponowania innych nadziei, w tym obalenia rządu”. Dodaje: – Z perspektywy czasu widzę, że to był prawdopodobnie jeden z naszych głównych błędów. Zbyt duże oczekiwania bez skupienia się na mniejszych, bardziej osiągalnych celach, prawie zawsze prowadzą do rozczarowania.

Teraz, w czasie protestu studentów SzFE, do rangi symbolu urastają wspomniane taśmy zaklejające wejście. Do hi-

storycznego budynku uczelni wstęp mają tylko osoby związane z uniwersytetem. Nie dostaną się tam nie tylko członkowie nowej – i nieuznawanej przez studentów – rady fundacji, ale także politycy (nawet opozycji) i dziennikarze.

Jak wygląda teraz życie wewnętrzne uczelni? Decyzje są podejmowane kolektywnie przez tzw. forum, składające się z przedstawicieli nauczycieli i studentów. Ci ostatni mogą być zwalniani z zajęć – ruszyły one na początku września, mimo braku porozumienia między uniwersytetem a rządem – jeśli w tym czasie wykonują zadania związane z okupacją, np. strzegą budynku z dachu, udzielają wywiadów albo dostarczają jedzenie. Szkoła nigdy nie jest pusta. Nawet po zajęciach pilnuje jej nocna zmiana.

– Nazywamy to republiką edukacyjną – tłumaczy Herczeg.

Czasami jest niemiło

Dla Dániela Herczega, tak jak dla wielu studentów, którzy przyjechali do kosmopolitycznego Budapesztu z konserwatywnej prowincji, okupacja niesie dodatkowy problem. Urodził się w Kecel, małym miasteczku w środkowych Węgrzech. Jego rodzice od lat wspierają Fidesz.

– Długo byliśmy w stanie zgodzić się, że nie zgadzamy się w wielu kwestiach. Ale ten protest wywołuje kolejne napięcia między nami – przyznaje Herczeg. – Czasami jest niemiło.

Jednak, bez względu na to, czy będzie musiał stawiać czoło nowej radzie, czy własnej rodzinie, Herczeg czuje, że jest gotowy na długą walkę.

Jak mówi, walkę o podstawowe wartości i przyszłość swojego pokolenia: – Nawet do zimy. Żeby tylko nie odcięli nam prądu i ogrzewania. © DARIUSZ KAŁAN

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 40/2020
**DODATEK
SPECJALNY**

Zjednoczenie Niemiec

30 LAT PÓŹNIEJ





BRUNI MEYA / BEW

Nocą z 31 grudnia 1989 r. na 1 stycznia 1990 r. berlińczycy witają Nowy Rok w sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej i (likwidowanego już) muru. Hasło na transparencie głosi: „Niemcy jedna ojczyzna”.

Majstersztyk zjednoczenia

FILIP GAŃCZAK

Upadek muru berlińskiego nie gwarantował szybkiej jedności Niemiec. Kluczowa okazała się determinacja kanclerza RFN Helmuta Kohla i mieszkańców NRD. Ale i to nie wystarczyłoby, gdyby nie korzystna sytuacja międzynarodowa.

NAPÓR TŁUMU JEST TAK DUŻY, że pół godziny przed północą wschodnioniemieccy pogranicznicy rezygnują z kontroli dokumentów. Przez most Bösebrücke, rozciągnięty nad torami kolejowymi, przelewają się tłumnie obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest 9 listopada 1989 r. Przejście do Berlina Zachodniego – od prawie trzech dekad szczelnie odgradzonego murem od socjalistycznej NRD – wreszcie staje się możliwe. Euforia ludzi, od 28 lat zamkniętych w komunistycznym państwie więzieniu, jest ogromna.

Angela Merkel, 35-letnia doktor chemii fizycznej z Akademii Nauk NRD, jak w każdy czwartek relaksuje się tego wieczora w saunie. Dopiero w drodze

powrotnej do domu orientuje się, co się stało. Spieszy w stronę przejścia granicznego. Jeśli mur berliński kiedyś upadnie – marzyła wcześniej, żyjąc w prząsnej wschodnioniemieckiej rzeczywistości – to wraz z rodziną wybierze się na stronę zachodnią do nobliwego hotelu Kempinski i zamówi ostrygi.

Na razie po przejściu granicy ląduje w skromniejszej dzielnicy Wedding. Ktoś obcy zaprasza ją do mieszkania, częstuje piwem z puszki, pozwala skorzystać z telefonu. O pierwszej, może wpół do drugiej w nocy Merkel – „oniemiała i szczęśliwa”, jak zapamięta swój nastrój – wraca do domu we wschodnim Berlinie, by z samego rana karnie stawić się w pracy.

„Nie myślałam od razu o tym, że zjednoczenie Niemiec przyjdzie bardzo

szybko – przyzna po latach. – Wielu moich przyjaciół miało jeszcze wówczas nadzieję na samodzielną »trzecią drogę«, czyli na dalsze istnienie już zreformowanej NRD.

Sprzyjająca chwila

Podobnie kalkuluje wtedy wielu polityków, także tych zagranicznych. Krzysztof Skubiszewski, szef MSZ w solidarnościowym rządzie Tadeusza Mazowieckiego – istniejącym zaledwie od września 1989 r. – ocenia, że zjednoczenie Niemiec to „zagadnienie odległej przyszłości”. Prezydent Francji François Mitterrand mówi z ironią: „Tak bardzo lubię Niemcy, że chcę, żeby były dwa niemieckie państwa”. Brytyjska premier Margaret Thatcher w kuluarach jeszcze wyraźniej daje

do zrozumienia, że nie chce słyszeć o zjednoczeniu. „Ja obawiam się Niemiec” – wyznaje Mazowieckiemu. Polski szef rządu też ma wątpliwości, „czy w przyszłej Europie czynnik niemiecki nie będzie decydujący, czy nie stworzy innej równowagi europejskiej”.

Kluczowa, rzecz jasna, jest postawa Związku Sowieckiego, którego Zachodnia Grupa Wojsk w NRD wciąż liczy ponad pół miliona żołnierzy i pracowników cywilnych.

21 listopada 1989 r. Horst Teltschik, bliski współpracownik kanclerza RFN Helmuta Kohla, podejmuje w Bonn (stolicy RFN) Nikolaja Portugalowa, doradcę sowieckiego przywódcy Michaiła Gorbaczowa. Wysłannik Kremla próbuje dyskretnie wybać, jak rząd zachodnioniemiecki zapatruje się na kwestię ewentualnego zjednoczenia z NRD. O poufnej rozmowie Teltschik natychmiast informuje Kohla. „Powiedziałem mu, że jeśli już teraz w Moskwie myśli się o ponownym zjednoczeniu, to my musimy zrobić to samo” – będzie wspominał po latach.

Reakcja Bonn jest błyskawiczna. Zaledwie tydzień później, 28 listopada, kanclerz Kohl – bez uzgodnienia z liberalnym koalicjantem – prezentuje w Bundestagu dziesięciopunktowy plan przezwyciężenia podziału Niemiec i Europy. Domaga się od NRD pełnej demokratyzacji, roztacza wizję stopniowego zbliżania się dwóch państw niemieckich i wyraźnie podkreśla, że ostatecznym celem rządu RFN jest „odzyskanie państwowej jedności Niemiec”.

W programie Kohla brakuje jeszcze wielu konkretów i ram czasowych, ale i tak jest on dużo śmielszy, niż tego oczekiwano na Kremlu. Sowiecki minister spraw zagranicznych Eduard Szewardnadze w przypiływie emocji twierdzi wręcz, że „nawet Hitler” nie pozwolił sobie na coś takiego.

NRD się sypie

Komunistyczne władze NRD próbują jeszcze desperacko powstrzymać erozję „pierwszego państwa robotniczo-chłopskiego na ziemi niemieckiej” – jak długo nazywały swą dyktaturę. Egon Krenz, który w październiku 1989 r. dopiero co stanął na czele Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), już w grudniu musi ustąpić.

Zadłużenie NRD tylko wobec Zachodu sięga w tym czasie 26 mld dolarów. Zwią-

zek Sowiecki, który przez lata subwencjonował państwo wschodnioniemieckie, sam jest w poważnych tarapatach i nie zamierza podtrzymywać finansowej kropelki dla wschodniego Berlina. Następca Krenza w roli szefa partii komunistycznej Gregor Gysi i nowy premier Hans Modrow próbują się uwiarygodnić jako reformatorzy, a jednocześnie jakimś cudem ocalić socjalizm między Odrą a Łabą.

Jeszcze w listopadzie niesławne Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (Stasi) przekształca się w Urząd Bezpieczeństwa Narodowego (AfNS). Erich Mielke – długoletni szef bezpieczeństwa – 7 grudnia trafia do aresztu śledczego.

Mimo wszystko zmiany są w dużej mierze pozorowane. Na wieść o niszczeniu akt Stasi wściekli obywatele zajmujący siedziby Urzędu w Erfurcie, Lipsku, Suhl i Rostocku. 15 stycznia 1990 r. szturmują także berlińską centralę bezpieki przy Normannenstraße. Strach przed wszechwładną policją polityczną przez dziesięciolecie paraliżował wolnościowe zapędy obywateli NRD. Teraz to funkcjonariusze Stasi muszą drzeć o własną przyszłość.

Jesteśmy jednym narodem

W prowincjonalnym Budziszynie na początku grudnia protestują więźniowie polityczni. Nadal odsiadują wyroki za próbę ucieczki na zachód, choć ich współobywatele od prawie miesiąca mogą swobodnie podróżować za granicę. Osadzeni odmawiają więc pracy, grożą głodówką, domagają się amnestii. Podpułkownik Dieter Sternberg, naczelnik więzienia, nie chce o tym słyszeć. Ale decyzje zapadają wyżej. 6 grudnia Rada Państwa NRD uchwała amnestię i kilka dni później pierwsi objęci nią więźniowie wychodzą na wolność.

Od grudnia komunistyczne wciąż władze NRD rozmawiają z opozycją przy Centralnym Okrągłym Stole. To wyraźne nawiązanie do podobnych negocjacji, które wcześniej – od lutego do kwietnia – toczyły się w Polsce.

Znaczna część dotychczasowych wschodnioniemieckich dysydentów myśli jedynie o reformowaniu kraju, a nie o jego wchłonięciu przez RFN. Jednak nastroje społeczne są coraz bardziej jednoznaczne. Już pod koniec listopada na wielkich demonstracjach w Lipsku i innych miastach zaczyna dominować hasło „Wir sind ein Volk!” („Jesteśmy jednym

narodem”) – podczas gdy wcześniej, we wrześniu i październiku, zanim jeszcze upadł mur, demonstranci rzucali w twarz rządzącym: „Wir sind das Volk!” („To my jesteśmy narodem”).

W lutym 1990 r. już trzy czwarte mieszkańców NRD opowiada się za zjednoczeniem Niemiec. Wielu traci cierpliwość i decyduje się budować nowe życie na zachodzie: do RFN przenosi się z NRD nawet 2 tys. osób dziennie. Ta fala migracyjna może jeszcze wzrosnąć. „Albo marka zachodnioniemiecka przyjdzie do nas, albo my do niej” – głoszą teraz napisy na transparentach wschodnioniemieckich demonstrantów.

Gorbaczow się zgadza

Tymczasem przeszkody międzynarodowe znikają jedna po drugiej.

W styczniu 1990 r. Kohl odwiedza Mitterranda w Latche nad Atlantykiem. Wspólne spacerują po piaszczystym wybrzeżu pomagają w zbliżeniu stanowisk. Francuz daje się udobruchać zapewnieniem, że zjednoczenie Niemiec nie spowolni integracji europejskiej, lecz wręcz ją przyspieszy.

Wprawdzie Kreml nadal jest niechętny zjednoczeniu, ale coraz większa zapaść gospodarcza Związku Sowieckiego ogranicza pole manewru Gorbaczowa. 8 stycznia 1990 r. Julij Kwicynski, ambasador w Bonn, prosi o pilną rozmowę z Kohlem i bada gotowość władz RFN do udzielenia Moskwy pomocy żywnościowej. Kanclerz godzi się na szybkie i znaczące dostawy „po przyjacielskiej cenie”. Po stronie sowieckiej powstaje w ten sposób nieformalne zobowiązanie, by odpowiedzieć na gest zachodnioniemieckiego rządu.

Gorbaczow dochodzi zresztą do wniosku, że zjednoczenie Niemiec już się zaczęło i bez użycia czołgów nie da się powstrzymać tego procesu. Zielone światło zapala 10 lutego, gdy w Moskwie gości Kohl i minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher. „Niemcy muszą sami wiedzieć, jaką drogą powinni pójść” – oświadcza sowiecki przywódca.

Bush, dar od niebios

Pozostaje pytanie, czy zjednoczone Niemcy będą mogły, tak jak RFN, należeć do NATO – komunistyczna NRD wciąż przecież jest członkiem Układu Warszawskiego. W tej sprawie władze w Bonn są na razie ostrożne. W czasie lutowej wizyty w Moskwie Genscher zdaje →

→ się obiecywać, że Sojusz Północnoatlantycki nie rozszerzy się na wschód.

„Do diabła z tym” – irytuje się George Bush senior, gdy 24 lutego 1990 r. gości Kohla w Camp David. Prezydent USA jasno daje do zrozumienia, że Związek Sowiecki przegrał zimną wojnę i nie może narzucić przyszłym zjednoczonym Niemcom neutralności.

Kohl przytomnie zauważa, że Kreml będzie chciał czegoś w zamian za poszerzenie NATO o obszar NRD. „Macie głębokie portfele” – odpowiada Bush. W dalszych rozmowach z Moskwą fundamentalne będą właśnie kwestie finansowej rekompensaty za zjednoczenie Niemiec na warunkach Zachodu.

– Prezydent Bush, sekretarz stanu James Baker i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Brent Scowcroft to był dar niebios dla Niemiec – wspomina dziś w rozmowie z „Tygodnikiem” Horst Teltschik.

Kohl lawiruje w sprawie granicy

Silny poparciem Amerykanów, Kohl długo unika za to jasnej deklaracji, że granica Polski na Odrze i Nysie jest ostateczna. Tę kwestię – twierdzi wymijająco – będzie mógł rozstrzygnąć dopiero rząd zjednoczonych Niemiec.

W rzeczywistości kanclerz doskonale wie, że żadne z mocarstw nie pozwoliłoby Republice Federalnej na wysunięcie roszczeń wobec ziem, które po II wojnie światowej przypadły Polsce. Jednak przed spodziewanymi wyborami do Bundestagu zjednoczonego już państwa Kohl nie chce zrazić do siebie tej części konserwatywnego elektoratu, która wciąż z sentymentem wspomina Rzeszę rozciągającą się po Wrocław, Szczecin i Olsztyn.

Nad Wisłą taka postawa rządu w Bonn podsycia najgorsze obawy przed niemieckim rewizjonizmem. Ośrodek CBOS ogłasza w marcu 1990 r., że tylko 7 proc. Polaków popiera jak najszybsze zjednoczenie Niemiec, a czterech na dziesięciu definiuje się jako przeciwnicy tego procesu.

Ostatecznie polsko-niemiecki traktat potwierdzający przebieg granicy zostanie podpisany w listopadzie 1990 r., już po zjednoczeniu [patrz tekst Jacka Lepia-
rza w tym dodatku – red.].

Wizja „kwitającego kraju”

Na tempo i formę zjednoczenia duży wpływ będą miały pierwsze wolne wybory do Izby Ludowej NRD, zaplanowane

■ W wolnych wyborach 18 marca 1990 r. większość Niemców z NRD opowiedziała się za szybkim zjednoczeniem z Republiką Federalną.

początkowo na maj, a później przyspieszone i rozpisane już na 18 marca 1990 r.

Komuniści przystępują do nich jako Partia Demokratycznego Socjalizmu (PDS). Liczą na wciąż rozbudowane i zdyscyplinowane struktury w terenie. Duża część mieszkańców NRD nadal podpisuje się pod lewicowymi wartościami, ale za grosz nie ufa tym, którzy po 1945 r. wcielali je w życie między Odrą a Łabą. Faworytami długo wydają się więc socjaldemokraci (SPD). Jeszcze na początku lutego sondaże dają im miążdzące zwycięstwo.

Wschodnioniemieccy chadecy (Ost-CDU) przez dekady byli wiernym sojusznikiem komunistycznej SED. Teraz ich nowy lider Lothar de Maizière odcina się od socjalizmu jako „pustego futerału” i opowiada się za „narodową jednością”. Do wyborów wschodnia CDU idzie jako Sojusz dla Niemiec – razem z mniejszymi ugrupowaniami, które powstały już po upadku muru berlińskiego.

De Maizière, z zawodu prawnik, wciąż jest słabo rozpoznawalny. Ale w kampanii mocno wspiera go Kohl – niekwestionowany lider siostrzanej zachodnioniemieckiej CDU. Kanclerz występuje na wiecach wyborczych w NRD i zapowiada szybkie utworzenie unii gospodarczej oraz walutowej obu państw. Później dorzuca obietnicę, że marka wschodnioniemiecka będzie wymieniana na zachodnią w stosunku 1:1, a więc wartość energowskich pensji i emerytur będzie podobna jak tych w bogatej RFN. W Erfurcie Kohl rysuje wizję „kwitającego kraju”, który powstanie „w krótkim czasie”.

Mówi dokładnie to, co ludzie chcą usłyszeć – i jest oklaskiwany przez tłumy.

Czytelny wybór

W tym czasie Oskar Lafontaine – kandydat zachodnioniemieckiej SPD na kanclerza w przyszłym wyborach – daje się poznać jako sceptyk unii walutowej. Ostrzega, że energowskie przedsiębior-

stwa (niemal wyłącznie państwowe) utracą konkurencyjność, a za Łabą zapanuje wysokie bezrobocie. Liderzy SPD błędnie przewidują, że najbliższe wybory do Bundestagu odbędą się, jeszcze po staremu, tylko w zachodnich Niemczech – i zapewniają tamtejszy elektorat, że będą bronić zdobyczy socjalnych RFN przed Niemcami ze wschodu.

W NRD taka retoryka jest źle przyjmowana. Socjaldemokratom nie pomagają też niektórzy bliscy im intelektualiści. Np. w przemówieniu wygłoszonym 13 lutego na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem pisarz Günter Grass argumentuje, że potworne doświadczenie Auschwitz przemawia przeciwko „silnym, zjednoczonym Niemcom”.

W Lipsku, Dreźnie, wschodnim Berlinie nastroje ulicy są zgoła odmienne. A wybór dokonany przy urnie – jasny: 18 marca Sojusz dla Niemiec dostaje prawie połowę głosów, przeszło dwa razy więcej niż SPD. Trzeci wynik postkomunistów z PDS zapowiada, że we wschodnich Niemczech pozostaną oni liczącą się siłą polityczną. Na razie jednak tracą wpływ na bieg wydarzeń. Wyborcy dobitnie pokazali, że są za gospodarką rynkową i szybkim zjednoczeniem.

Nowy, demokratyczny już rząd NRD jest za rychłą integracją z RFN. Pierwszym dużym krokiem na drodze do pełnej jedności obu państw staje się unia walutowa, gospodarcza i społeczna, obowiązująca już od 1 lipca 1990 r.

Prawa rynku

Transformacja wschodnioniemieckiej gospodarki z planowej do rynkowej to złoty czas dla ludzi z inicjatywą. Michael Weichert, gastronom, szybko nastawia się na obsługę wycieczek z RFN: w swojej lipskiej gospodzie Sternhöhe oferuje śniadanie za pięć marek zachodnioniemieckich. Za podobną sumę pozwala się przejechać swoim trabantem. Interes kwitnie.

W gorszej sytuacji są pracownicy przedsiębiorstw państwowych. Te czeka prywatyzacja i redukcja zatrudnienia, a w wielu przypadkach upadłość. Według danych Federalnej Agencji Pracy od czerwca do grudnia 1990 r. bezrobocie między Odrą a Łabą rośnie przeszło czterokrotnie: ze 142 tys. (1,6 proc.) do 642 tys. osób (7,3 proc.). Gwałtownie, do niemal 1,8 mln, przybywa też pracowników zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin.



DEREK HUDSON / GETTY IMAGES

Gdy 1 lipca 1990 r. w życie weszła unia walutowa – zakładająca korzystną dla mieszkańców NRD wymianę marki wschodniej na zachodnią – wielu ruszyło na zachód na wielkie zakupy.

Na wzór zachodni w NRD tworzą się urzędy pracy. Brakuje lokali, więc trzeba korzystać z dawnych budynków Stasi i partii komunistycznej. „Przez pierwsze miesiące siedzieliśmy za okratowanymi oknami” – zapamięta Ilona Mirtschin, której urząd mieści się wówczas w stołecznym gmachu bezpieki przy Normanenstraße.

W komunistycznej NRD oficjalnie nie było bezrobocia – każdy miał prawo do pracy. Przedsiębiorstwa zatrudniały dużo więcej ludzi, niż w rzeczywistości potrzebowały. Teraz, zmuszone do wolnorynkowej konkurencji, szybko pozbywają się tych nadwyżek. Nie mają wyjścia, bo po wprowadzeniu marki zachodniemieckiej gwałtownie rosną koszty pracy.

Mocca Fix przegrywa z Tchibo

Tymczasem 21 maja 1990 r. zakłady Sachsenring w saksońskim Zwickau opuszcza trzymilionowy trabant, przez lata najpopularniejszy samochód w NRD. 12-tyśięcna załoga nie ma jednak ochoty świętować, bo przyszłość jest niepewna. Trabant – do niedawna duma enerdowskiej motoryzacji – kosztuje prawie 13 tys. marek. Za taką cenę bez problemu można dostać używane bmw.

A to właśnie zachodnie auta cieszą się teraz ogromną popularnością. W pierwszych trzech kwartałach 1990 r. w NRD zostaje dopuszczonych do użytku ok. 450 tys. samochodów, głównie używanych z RFN. Angela Merkel, która po upadku muru zaangażowała się w po-

litykę, kupuje we wrześniu nowego volkswagena golfa. Trabant z drugiej ręki można już wówczas dostać nawet za skrzynkę piwa. Te bardziej zużyte są wręcz porzucane przez właścicieli. Produkcję w Zwickau uda się utrzymać do wiosny 1991 r.

Podobnie dzieje się w innych branżach. Heinz Luhn, dyrektor zakładów Bero-Kaffee w berlińskiej dzielnicy Köpenick, deklaruje, że będzie chciał uratować jak najwięcej miejsc pracy. Słowo „zwolnienia” nie przechodzi mu przez gardło. Luhn przyznaje jednak eufemistycznie, że niektórzy – rzekomo tylko ci mniej zdyscyplinowani – będą musieli poszukać sobie innego zajęcia. Zakłady Bero-Kaffee – producent słynnej w NRD kawy Mocca Fix – zostają przekształcone w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, ale i to nie przyniesie ratunku. Produkcja kawy ustanie tu w 1991 r.: Mocca Fix przegrywa konkurencję z zachodnimi markami, takimi jak Tchibo czy Jacobs.

To zresztą szerszy problem. Mieszkańcy NRD (ale też innych krajów rozpadającego się bloku wschodniego) nie chcą już rodzimych produktów. Wielkim powodzeniem cieszą się natomiast te z etykietką „Made in West Germany”. Zachodniemiecka sieć dyskontów spożywczych Aldi wietrzy szansę na ekspansję. W brandenburskim miasteczku Kyritz, w dawnej stodole, 8 sierpnia 1990 r. otwiera swą pierwszą filię w NRD. Prowizoryczne warunki nikomu nie przeszkadzają. Już pierwszego dnia klienci stawiają się tłumnie. W tanich dyskontach nawet bezrobotni znajdują coś na swą kieszeń.

Czas obaw, czas anarchii

„Do obaw obywateli NRD o miejsce pracy przyłącza się teraz troska, że w dosłownym tego słowa znaczeniu stracą grunt pod nogami” – alarmuje tymczasem hamburski tygodnik „Der Spiegel”. Ustawa o sprzedaży budynków państwowych z 7 marca 1990 r. teoretycznie ma umożliwić lokatorom tanie wykupienie swoich mieszkań. Ale na zakupy za bezcen ruszają też dawni aparatczyści partyjni, ludzie często obrotni.

Równolegle po ziemię i nieruchomości – niegdyś zawłaszczane przez socjalistyczne państwo – zgłaszają się dawni właściciele i ich spadkobiercy, w wielu przypadkach mieszkający teraz w RFN. Uaktywniają się też zachodniemieccy →

→ prawnicy, bankowcy, agenci nieruchomości. Przyjeżdżają mercedesami i zachowują się tak, jakby już byli nowymi właścicielami NRD. Mierzą, filmują, planują remonty. Zaglądają do ksiąg wieczystych. Często okazuje się, że w tych ostatnich panuje bałagan.

Do wielu pustostanów – choćby w berlińskiej dzielnicy Mitte – wprowadzają się dzicy lokatorzy. W piwnicach i na parterze otwierają się kluby nocne. Ich zarządcy nie płacą czynszu, prąd nielegalnie pobierają z sąsiedztwa. „Domy należą do tych, którzy w nich mieszkają” – głosi transparent na jednej z kamienic. Policja Ludowa praktycznie już nie interweniuje.

Rozkład dyktatury komunistycznej sprzyja też wzrostowi przestępczości. „Od 1970 r. byłem w Magdeburgu w policji kryminalnej i przez cały ten czas nie mieliśmy ani jednego napadu na bank albo kasę oszczędnościową” – będzie wspominał później Lothar Schirmer. Przyzna, że gwałtownie zmieniło się to po upadku muru. Ujawniają się też neonaziści. Komunistyczny reżim tylko udawał, że w „antyfaszystowskiej NRD” ten problem nie istnieje.

Czas między upadkiem muru a zjednoczeniem często jest nazywany okresem anarchii. W Dreźnie – w obrębie kilku ulic Nowego Miasta – w czerwcu 1990 r. artyści proklamują powstanie Kolorowej Republiki Neustadt (Bunte Republik Neustadt) z własnym rządem i monarchią. We fładze – zamiast enerdowskich symboli – pojawia się Myszka Miki. Na ścianach wieszane są portrety długoletniego przywódcy NRD Ericha Honeckera, tyle że z dorysowanymi wąsami. Państwko ma własną walutę, wydaje nawet paszporty.

Zobaczyć świat

W socjalistycznej NRD nie było wolności podróżowania, a próbę ucieczki na zachód wielu przypłaciło życiem.

– Przed upadkiem muru nigdy nie byłam na zachodzie. Nie pozwolono mi na to, chociaż w Berlinie Zachodnim mieszkała babcia mojego męża – mówi dziś „Tygodnikowi” Gesine Jüttner z Lipska. W czasach reżimu jeździła tam, gdzie było wolno: nad Bałtyk, na Węgry, do Czechosłowacji, Związku Sowieckiego.

Teraz, gdy granice są otwarte, Gesine może wreszcie zmienić kierunek podróży i już w styczniu 1990 r. wybiera się do Pa-



WIM WISKERKE / ALAMY / BEW

Trabant był dumą enerdowskiej motoryzacji, ale w 1990 r. mało kto chciał go kupować – Niemcy z (jeszcze) NRD woleli używane auta zachodnie, a stare trabanty często porzucano.

ryża. Nie tylko ona: miliony mieszkańców NRD chcą nadrobić zaległości i zobaczyć w końcu zachodni świat. – Przede wszystkim jeździli samochodami do RFN i Austrii – wspomina dziś Jüttner.

Niektórzy marzą jednak o dalszych eskapadach. 3 kwietnia 1990 r. pierwszy samolot enerdowskich linii Interflug ląduje na hiszpańskiej Majorce.

Gesine Jüttner rezygnuje z pracy w hotelu i w maju 1990 r. otwiera własne biuro podróży. Wkrótce pilotuje wycieczkę na Florydę.

Niemcy mistrzem

Mario Besoke, kibic piłkarski z Markranstädt pod Lipskiem, 8 lipca 1990 r. jest w Rzymie. Tam z bliska obserwuje tego dnia, jak drużyna RFN, po triumfie nad Argentyną, zostaje mistrzem świata.

Radość jest ogromna po obu stronach niemiecko-niemieckiej granicy. Franz Beckenbauer, trener zwycięskiego zespołu, na fali entuzjazmu wieszczy nieco na wyrost, że po zjednoczeniu reprezentacja Niemiec, wzmocniona piłkarzami ze wschodu, „przez lata będzie nie do pokonania”.

Wprawdzie drużyna narodowa NRD nie zdołała zakwalifikować się na mundial, ale ma w swoich szeregach zdolnych graczy, takich jak Matthias Sammer, Ulf Kirsten, Andreas Thom czy Thomas Doll. Gdy 12 września 1990 r. wschodni-niemiecka kadra ma rozegrać swój ostatni mecz, wielu gwiazd – zajętych już karierą

w zachodnich klubach – nie udaje się ściągnąć na zgrupowanie. Mimo to NRD pokonuje w Brukseli Belgię 2:0. Sammer, zdobywca obu goli, kilka lat później poprowadzi zjednoczone Niemcy do mistrzostwa Europy.

Cena jedności

Tymczasem w wielkiej polityce finalizowane są traktaty i umowy.

Od maja 1990 r. zewnętrzne warunki zjednoczenia negocjowane są w formule „2+4”: dwa państwa niemieckie plus cztery zwycięskie mocarstwa z II wojny światowej: USA, Wielka Brytania, Francja i Związek Sowiecki.

Moskwa długo nie chce widzieć nowych Niemiec w NATO, ale ekipa Gorbaczowa ma nóż na gardle. Bez zachodni-niemieckich pieniędzy Związkowi Sowieckiemu grozi zapaść gospodarcza. Jeśli towarzyszyłby jej upadek Gorbaczowa, to jedność Niemiec mogłaby być zagrożona – wiadomo, że ma on w Moskwie licznych przeciwników, którzy krytycznie patrzą na jego ustępstwa wobec Niemców.

Rząd RFN godzi się więc poręczyć kredyt dla Kremla w wysokości 5 mld marek. Kohl znów liczy na odwzajemnienie tego gestu. I faktycznie: już w czasie wizyty w Waszyngtonie 31 maja sowiecki prezydent sygnalizuje, że zjednoczone Niemcy będą miały prawo „same wybrać swoje sojusze”.

Definitywnie potwierdza to w lipcu, gdy podejmuje kanclerza w Moskwie i na

Kaukazie. W zamian Kohl obiecuje, że Bundeswehra zostanie zmniejszona do 370 tys. żołnierzy, a zjednoczone Niemcy nie będą posiadały ani produkowały broni masowego rażenia. Bonn ma też sfinansować wycofanie wojsk sowieckich stacjonujących dotychczas w NRD.

Konkretną sumę kanclerz Kohl ustala z Gorbaczowem telefonicznie 7 i 10 września. Kohl oferuje 12 mld marek. Ostatecznie dorzuca do tego jeszcze trzymiliardowy nieoprocentowany kredyt. „To były dwie najdroższe rozmowy telefoniczne w niemieckiej historii” – żartuje politolog Hannes Adomeit.

Ale Teltschik, jeden z uczestników tamtych wydarzeń, daje do zrozumienia, że cena bynajmniej nie była wygórowana: – Gdyby Gorbaczow powiedział wtedy: „Panie kanclerzu, zgadzam się, ale to będzie kosztowało Republikę Federalną Niemiec 50 miliardów albo 80 miliardów”, to czy moglibyśmy powiedzieć „nie”? – pyta dziś retorycznie ówczesny doradca Kohla.

Ostatnia prosta

12 września 1990 r. uczestnicy rozmów „2+4” podpisują w Moskwie „Traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec” – tak brzmi jego oficjalna nazwa. Droga do zjednoczenia i pełnej suwerenności Niemiec jest otwarta. – Gorbaczow powiedział mi, że wiele spraw potoczyłoby się inaczej, gdyby nie miał zaufania do Kohla i Busha – wspomina Teltschik.

O północy 3 października 1990 r. Dzwon Wolności na wieży ratusza w berlińskiej dzielnicy Schöneberg oznajmia, że zjednoczenie Niemiec stało się faktem. Kilka kilometrów dalej, przed Bramą Brandenburską i Reichstagiem, dźwięki hymnu narodowego mieszają się z odgłosem licznych fajerwerków. Politycy i tłumy mieszkańców świętują historyczną chwilę.

© FILIP GAŃCZAK

DR FILIP GAŃCZAK jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Opublikował szereg książek, m.in.: „Jan Sehn. Tropiciele nazistów”, „Polski nie oddamy. Władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980–1981”, „Filmowcy w matni bezpieczeństwa”, „Erika Steinbach: piękna czy bestia?”.

A myśmy się spodziewali

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA I HANOWERU

Dla ludzi urodzonych w NRD zjednoczenie było często początkiem osobistych kryzysów, za które obwiniano bogatszy Zachód. Oto historia dwóch braci.

DIRK I FALK LUDWIG WSPOMINAJĄ, że mieli piękną młodość.

Dorastali w niewielkim kurorcie Alexisbad u podnóża pasma górskiego Harz. Otoczeni zielenią drzew, z dala od miejskiego zgiełku. Ich okres dojrzewania przypadł na lata 80. XX wieku. Falk dość wcześnie odkrył u siebie kulinarne powołanie. Z ochotą pomagał rodzicom w prowadzeniu restauracji. Z kolei uwagę Dirka od wczesnych lat przykuwało wszystko, co poruszało się na kołach. W wieku 16 lat dostał od dziadka motor. Żeby rozwijać swoje pasje motoryzacyjne, zaciągnął się do wojska – chciał starać się tam o stanowisko mechanika.

Gdy zaczęli wchodzić w dorosłość, świat wokół nagle przyspieszył. Choć żyli na cichej prowincji, również tam jesienią 1989 r. dochodziły wieści z Berlina czy Lipska. Demonstracje, tłumy na ulicach, upadek muru, w końcu powstanie zjednoczonych Niemiec.

Nowa rzeczywistość rozdzieliła braci. Falk postanowił wyjechać na zachód, Dirk został na wschodzie. 30 lat później z dystansem wspominają trudne czasy, które nastały wraz z pochowaniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej na cmentarzu historii.

Jeśli to prawda...

54-letni dziś Falk Ludwig jest jednym z milionów Ossis [Ossi to popularne określenie Niemca z byłej NRD; Niemiec z dawnej RFN to Wessi – red.], których po zjednoczeniowa rzeczywistość zmusiła do opuszczenia domu za pracę. Aby z nim porozmawiać, jadę do Hanoweru. Tam mieszka z żoną i pracuje jako konsultant dla koncernu teleinformatycznego.

Hanower to klasyczna zachodnia metropolia. Niezbyt ładna, bo starą substancję miasta zniszczyły alianckie naloty podczas II wojny światowej. Za to tętniąca życiem, z zatłoczonymi ulicami, na których można spotkać ludzi z całego świata.

Ludwig po wyjeździe na zachód kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu, aby w końcu 10 lat temu na dobre osiąść tu, w stolicy Dolnej Saksonii. – Tutaj czuję się u siebie – wyznaje zaraz na początku spotkania.

Na zachód wyjechał już w 1992 r. Przypominam mu impuls, który doprowadził do rozmowy: 3 października zjednoczone Niemcy obchodzą swoje 30. urodziny.

– Będziesz świętował? – pytam.

– W 1990 r. nie chciałem, żebyśmy tworzyli wspólne państwo – odpowiada wymijająco.

Aby dokładniej opowiedzieć swoją historię sprzed trzech dekad, Falk zabiera mnie do parku, po którym codziennie spaceruje z psem. Siadamy na ławce i otwieramy piwo Beck's z Bremy. Wcześniej umawialiśmy się, że napijemy się piwa ze wschodnich Niemiec. Szybko ustaliliśmy, że obaj lubimy markę Ur-Krostitzer z browaru Krostitz pod Lipskiem albo Lübzer, warzone w Meklemburgii. Niestety w jedynym pobliskim kiosku (tak nazywają się w Niemczech małe sklepiki z tytoniem, alkoholem i słodoczymi) nie ma piw ze wschodu. – No widzisz, dyskryminacja – żartuje Falk.

Rosły i jowialny mężczyzna poważnieje z chwilą, gdy myślami wraca do wydarzeń sprzed 30 lat: – Był piątek 10 listopada, szósta rano – zaczyna. Włączając radio nie spodziewał się niczego niezwykłego. A już na pewno nie sensacji, →

→ że nocą otworzono przejścia na granicy z RFN. „To nie może być prawda” – taka była pierwsza jego myśl. Druga była już natury praktycznej: „Jeśli to prawda, to potrzebuję pozwolenia na wyjazd”.

Musiał pojechać na posterunek milicji i ustawić się w kolejce, aby urzędnik wbił mu do dowodu stempel umożliwiający przekroczenie granicy. Było wielu ludzi, ale już samo stanie w tej grupie było niezwykle. – Urzędnicy cierpliwie wbijali pozwolenie do kolejnych dowodów.

Pierwsze zakupy

Następnego dnia wyruszył do Berlina Zachodniego razem z matką i żoną.

– To wszystko wyglądało jak wielki festiwal. Byliśmy pijani ze szczęścia. Wszędzie było mnóstwo ludzi. Mieszkańcy Berlina Zachodniego rozdawali nam przygotowane torby z artykułami spożywczymi – wspomina Ludwig.

Chodził po ulicach i głównie patrzył, co ile kosztuje. W kieszeniach miał już trochę zachodnich pieniędzy. W kantorze za jedną zachodnią markę musiał zapłacić 16 marek wschodnich. W głowie działał kalkulator, przeliczający ceny z marek zachodnich na wschodnie. „Co i ile mogę kupić za to, co mam?” – pytał sam siebie. Wychodziło, że niewiele.

Pierwszy zakup? – To były trzy paczki papierosów marki West – na to wspomnienie obaj reagujemy śmiechem, bo trudno sobie wyobrazić bardziej stereotypową scenę na poczet artykułu o wydarzeniach sprzed 30 lat.

Ale to wspomnienie to równocześnie trauma, która do dziś mocno siedzi w moim rozmówcy.

– Papierosy sprzedawał chłopak prosto ze swojego samochodu. Można było płacić wschodnią walutą, paczka kosztowała kilka wschodnich marek. Pieniądze kazał po prostu rzucać na maskę samochodu, gdzie już zdążyła zbierać się duża kupka. To było dla mnie upokarzające. Miałem wrażenie, że dla niego nasze pieniądze są nic niewarte – opowiada Ludwig.

Wizje alternatywne

Podczas tej pierwszej wizyty z Falkiem nie było jego brata Dirka. Żeby dowiedzieć się, co robił w tym czasie, jadę do Seehausen, dzielnicy Lipska. Tam, w zasadzie już poza miastem, Dirk Ludwig nadzoruje budowę swojego nowego domu.

Na razie wciąż mieszka na osiedlu zbudowanym w czasach NRD, w bloku. Te-

raz cieszy się, widząc postępy ekipy budowlanej. Jest podobny do brata (pomijając brak włosów).

– Służyłem wtedy w wojsku, stacjonowałem w Eggesin, 50 km od Szczecina – zaczyna. O otwarciu granic również dowiedział się z radia. Nie mógł tak po prostu opuścić jednostki. Do Berlina Zachodniego pojechał dopiero w 1990 r. – Odebrałem tam tzw. pieniądze powitalne, sto marek zachodnich – mówi.

Taką kwotę rząd RFN przyznawał jednorazowo każdemu obywatelowi NRD, który przyjechał na zachód. Czy coś kupił? – Nic! Te pieniądze to był skarb. Pojechałem z nimi do domu.

Bracia różnili się w ocenie nadchodzących historycznych zmian. Dirk zaakceptował, że sytuacja jest bezalternatywna. Natomiast Falkowi szybko minął hurraoptyzm, który towarzyszył mu podczas eksplorowania Berlina Zachodniego. Zaczął być sceptyczny co do przyszłości kraju. – Nie chciałem po prostu wchłonąć NRD przez zachód. Wiedziałem, że po-

wrót do kapitalizmu to jak krok wstecz. A ja zawsze chciałem iść do przodu – tłumaczy.

W wolnych wyborach, które odbyły się w marcu 1990 r., Falk głosował na Partię Demokratycznego Socjalizmu (PDS), spadkobierczynię Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), która przez całe istnienie NRD sprawowała władzę.

Przyznaje dziś, że chciał zbliżenia obu państw, ale nie na zasadach dyktowanych, jak mówi, przez zachodnie Niemcy. – To mogłoby być państwo federalne, gdzie wschód mógłby cieszyć się jakiegoś rodzaju specjalnym statusem – snuje alternatywne wizje.

Ale większość Niemców z NRD uważała inaczej. PDS uzyskała tylko 16 proc. Partie, które zdobyły zdecydowaną większość, opowiadały się za szybkim zjednoczeniem. Falk: – Jak zobaczyłem, że CDU dostało ponad 40 proc. głosów, to pomyślałem „Czy wy jesteście stuknięci?”. Ludzie dali się omamić wizją zmian na lepsze. Wszyscy chcieli zachodnią markę, za-



chodnie auta, pełne półki. Wyobrażano sobie, że wraz ze zjednoczeniem nastąpi dobrobyt.

W końcu także jego rodzina przyjęła to jako okoliczność dziejową, z którą trzeba się pogodzić.

Falk nie pamięta, co robił 3 października 1990 r., gdy NRD przestała istnieć i powstało jedno państwo niemieckie. Również Dirk nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie: – Pamiętam, jak minister spraw zagranicznych RFN Hans-Dietrich Genscher jesienią 1989 r. stoi na balkonie ambasady w Pradze i ogłasza uchodźcom z NRD, że zostaną wpuszczeni do RFN. To była jedna konkretna sytuacja. Tak samo jak upadek muru. Ale później wszystko działa się stopniowo. W pewnym momencie było już jasne, że będzie jedno państwo. W październiku to była już tylko formalność.

Za drogie piwo

W nowej rzeczywistości rodzina Ludwigów postanowiła kontynuować to, czym

parała się w czasach NRD, czyli prowadzeniem restauracji w górskim Alexisbad. Za komunizmu lokal należał do państwa, jak wszystko wokół. – W weekendy klienci walili do niego drzwiami i oknami. Gości trzeba było wieczorem wyganiać – wspomina Falk.

Rodzina przeprowadziła prostą kalkulację: za NRD było dobrze, więc w systemie wolnorynkowym będzie jeszcze lepiej. Ludwigowie wzięli kredyt, odnowili lokal i zatrudnili dodatkowy personel. Jednak po trudzie remontów i ponownym otwarciu musieli skonstatować, że liczba klientów dramatycznie spadła.

– Nie przewidzieliśmy, że ludzie zwyczajnie nie będzie już stać na jedzenie poza domem – mówi Falk. W NRD piwo kosztowało 50 wschodnich fenigów, a po wprowadzeniu zachodniej waluty za pół litra trunku trzeba było płacić już 1,5 marki. Dodatkowo powstała drobna, ale skuteczna konkurencja: małe sklepiki i budki z piwem otwierano np. w garażach. Piło się obok nich na stojąco lub na prowizorycznych, skleconych z byle czego siedzeniach. Ale cena była niska, a to było wtedy najważniejsze.

Restauracja Ludwigów zaczęła przynosić straty. Szukając dodatkowego zarobku, Dirk zatrudnił się jako kierownik w nowej firmie turystycznej. Ten biznes założył burmistrz jednego z okolicznych miast, który z powodu zbyt bliskiej współpracy z SED w minionym ustroju nie mógł już liczyć na kontynuowanie kariery politycznej. Jego motto brzmiało „Na Zachód!”.

– Robiliśmy kilkudniowe objazdy, do Kolonii, Hagi i Amsterdamu. Zainteresowanie było bardzo duże – wspomina. Wielu ludzi wciąż odczuwało potrzebę rekompensaty za brak możliwości podróżowania w czasach NRD. – Gdy widziałem żebraków na ulicach Kolonii lub narkomanów dających sobie w żyłę na dworcu autobusowym w Amsterdamie, to zadawałem sobie pytanie, czym tak naprawdę jest ta wolność, której tak pragnęliśmy – mówi dziś.

Górnicy z kopalni soli potasowej w miejscowości Bleicherode w górach Harz protestują w 1990 r., domagając się zachowania miejsc pracy. Po unii walutowej kopalnia była początkowo zarządzana przez Urząd Powierniczy (Treuhand), wkrótce wstrzymano wydobycie.

Do nielicznych gości restauracji Ludwigów należały osoby, które jeszcze przed upadkiem muru albo zaraz potem zdążyły wyjechać do RFN i teraz odwiedzały *Heimat*. – Ciągłe słyszałem od nich pytanie: dlaczego nie wyjedziesz? Przecież tu już prawie nikt nie został – mówi Falk. – A my myśleliśmy, że ktoś tu musi zostać, żeby mogło się coś zmienić.

Przyznaje, że po upadku muru co chwilę dowiadywał się o kolejnych znajomych, którzy decydowali się spróbować swoich sił w zachodnich Niemczech.

Nierentowne, przestarzałe

W ciągu niespełna roku, który minął od upadku muru – od 9 listopada 1989 r. do 3 października 1990 r. – około 16-milionową NRD opuściła rekordowa liczba 800 tys. osób. Powołanie jednego państwa miało ten proces zatrzymać.

Ale ludzie wyjeżdżali dalej. W kolejnych latach wiele regionów straciło nawet kolejne 20 proc. ludności. Miasta pustoszały, a zamiast przewidywanego przez niektórych boomu gospodarczego zaczął się okres bankructw.

– Nie tylko nam wiodło się beznadziejnie – wspomina Falk Ludwig. Z nieukrywaną złością wskazuje na działalność Treuhandanstalt – Urzędu Powierniczego ds. Prywatyzacji Mienia byłej NRD. Instytucja miała sprywatyzować wschodniemieckie zakłady. Jednak zamiast postawić gospodarkę byłego NRD na nogi, zapisała się w najnowszej historii Niemiec jako uprzedzony i bezduszny komornik. Spośród 14 tys. przedsiębiorstw, które przekazano w powiernictwo Treuhand, 4 tys. zostało przez urząd zamkniętych. Powody były zawsze podobne: nierentowne, przestarzałe, niekonkurencyjne. Likwidowano zakład za zakładem, co pociągnęło za sobą w byłej NRD utratę ponad 2 mln miejsc pracy.

– Nas to wyjątkowo bolało, bo te wszystkie wyprzedawane przedsiębiorstwa należały do państwa, a więc pośrednio także do nas wszystkich, do 16 mln obywateli NRD – w pewnym momencie również rozmowa z Dirkiem schodzi na temat Treuhand.

– Teraz słusznie krytykuje się Chiny, że podkupują konkurencję i przejmują obce technologie. Ale wtedy nikt głośno nie protestował, że wykupywano nasze zakłady, a specjalistów wywożono na zachód – uważa Dirk. – Gdy jeszcze w szkole w NRD czytaliśmy Marksa, to →



EBERHARD KLÖPPEL / ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

→ nikt tego nie brał do końca na poważnie. Ale w pierwszych latach 90. wielokrotnie myślałem, że wszystko jest dokładnie tak, jak Marks opisał to w „Kapitale”.

Zintegrujcie nas

„Treuhand stał się dla nas, Niemców ze wschodu, symbolem twardego, wprowadzanego nocą turbokapitalizmu” – pisze w książce pt. „Zintegrujcie najpierw nas!” Petra Köpping, która w landowym rządzie Saksonii pełni funkcję minister ds. socjalnych i spójności społecznej.

Tytuł jej książki to wynik jednego ze spotkań z wyborcami, podczas którego rozmowa zeszła na kwestię integracji uchodźców. W pewnym momencie jakiś mężczyzna wstał i rzucił wściekły w jej stronę: „A pani znów o tych swoich uchodźcach. Zintegrujcie najpierw nas!”.

Köpping poświęca Treuhand spory rozdział. Uważa, że tak jak pokojowa rewolucja z 1989 r. stała się pozytywnym mitem ówczesnych zmian, tak prywatyzacja – naznaczona niesprawiedliwością i korupcją – jest równie silnym negatywnym mitem, który wspomina się zawsze, mówiąc o tamtych czasach. I choć wiele zakładów musiało upaść, bo gospodarka NRD pogrążona była w autentycznie głębokim kryzysie, to niesławne działania Urzędu Powierniczego sprawiły, że skargi mieszkańców byłej NRD zawsze kierują się w stronę zachodnich Niemiec.

Köpping przywołuje kilka przykładów niesprawiedliwości wyrządzonej przez Treuhand. Jak Huta Małgorzaty w saksońskim Großdubrau: w czasach NRD w zakładzie, który specjalizował się w produkcji izolatorów energetycznych, pracowało 800 osób. Park maszynowy także na początku lat 90. był nowoczesny, sprowadzony głównie ze Szwajcarii, a 80 proc. produkcji eksportowano na cały świat. Słowem: mimo NRD-owskiego rodowodu huta prosperowała. Jednak gdy Treuhand ją sprywatyzował nowy właściciel ogłosił, że zakład nie jest rentowny, i zaczął go zamykać. Pracownicy, z którymi rozmawiała Köpping, wspominają o wynoszonych nocami maszynach i dokumentacji zawierającej technologiczne know-how firmy.

Inny przykład: fabryka porcelany z Colditz. Po zjednoczeniu zakład nie obrazil się na nowe realia. Zamierzał ruszyć z produkcją wyrobów szklanych, nada-

■ Fizyczna granica dzieląca Niemców ze wschodu i z zachodu zniknęła 30 lat temu. Ale ta w ludzkich głowach utrzyma się jeszcze długo.

jących się do mycia w zmywarkach. Dyrekcja przewidywała, że zmywarki, powszechne na zachodzie, wkrótce staną się standardem we wschodnioniemieckich kuchniach. Ale żaden bank nie chciał udzielić fabryce kredytu. Treuhand sprzedał w końcu firmę za symboliczną markę zachodniemu inwestorowi, który ją zamknął. Dziś w internecie można jeszcze od czasu do czasu znaleźć – oznaczone jako „kultowe” i „raritys z NRD” – wyroby z logiem Colditzer Porzellan.

Kwestia społeczna

Zdaniem Falka Ludwiga proces prywatyzacji został przeprowadzony pod dyktando zachodnioniemieckich koncernów, które chciały albo tanio wykupić firmy w byłej NRD, albo po prostu pozbyć się ewentualnej konkurencji.

W każdym razie podczas kilkuletniej działalności Treuhand (urząd zamknięto z końcem 1995 r.) 80 proc. sprywatyzowanych przedsiębiorstw z terenu byłej NRD trafiło w ręce właścicieli z zachodu Niemiec, 14 proc. do zagranicznych inwestorów, a tylko 6 proc. zostało wykupionych przez kapitał wschodnioniemiecki. Wiele marek, które w NRD stanowiły dobra codziennego użytku, zniknęło z rynku.

Petra Köpping uważa, że masowe zamykanie firm było dla mieszkańców byłej NRD problemem nie tylko dlatego, gdyż tracili stały dochód. Pisze: „Wiele osób na zachodzie nie rozumie, że na wschodzie zakład pracy był czymś więcej. To było centrum, wokół którego powstawały kluby sportowe, centra kultury, apteki i całe otoczenie społeczne”. Ludzie zostali tych usług społecznych pozbawieni w tym samym momencie, gdy utracili pracę.

W 1995 r. we wschodnich landach bezrobocie sięgnęło 13,9 proc., a dwa lata później zbliżyło się do 18 proc. Na tym poziomie utrzymywało się przez blisko kolejne 10 lat.

Różnice kulturowe

Po mniej więcej roku starań o przyciągnięcie nowych klientów do rodzinnej restauracji Falk uznał, że trzeba porzucić mrzonki o godnym życiu na wschodzie i wyruszyć na zachód. Razem z matką, żoną i kilkuletnim synem w kwietniu 1992 r. wyjechał aż do Münster, miasta w Nadrenii Północnej-Westfalii, 70 km od granicy z Holandią. – Czułem się wciąż, jakbym wyjeżdżał za granicę – przypomina sobie. Tam podjęli się prowadzenia restauracji, tym razem na terenie klubu tenisowego.

Szybko wyszły różnice kulturowe. – Bywalczy klubu nie chcieli jeść przygotowywanych przez nas potraw – mówi Falk. – Robiliśmy to, co potrafiliśmy i co wcześniej zawsze ludziom smakowało: rolady, gulasz, kotlety – wylicza. – Z czasem zaczęliśmy podpytywać członków klubu, dlaczego do nas nie przychodzą.

Okazało się, że oczekują konkretnych regionalnych potraw i konkretnych składników. Falk: – Oni nie chcieli się zniżyć do naszego wschodniego poziomu, tylko pozostać na swoim, zachodnim. Musieliśmy pozamawiać czasopisma kulinarne i udać się na poszukiwanie produktów i przypraw, których wcześniej nie używaliśmy.

Przyspieszona edukacja i zmodyfikowane menu, w którym pojawiły się potrawy sezonowe, jak szparagi, zaczęły przynosić skutki. Klienci zaglądali coraz chętniej.

Kolejne lata Falk wspomina jako ciągłą pracę, którą musiał łączyć z samodzielną opieką nad synem po tym, jak rozstał się z żoną. Nie pomagał mu zachodni system przedszkolny, który zakładał odbieranie dziecka na przerwę obiadową. – W NRD ośmiogodzinna opieka przedszkolna była standardem, bo większość kobiet musiała pracować. Natomiast na zachodzie wciąż dużo kobiet zostawało w domu – tłumaczy.

Nawet po latach nie wyzbył się nawyku, który w jego głowie zaczął działać już podczas pierwszej wizyty w Berlinie Zachodnim: – Wciąż liczyłem, ile co kosztuje.



ŁUKASZ GRAJEWSKI

Dirk Ludwig



ARCHIWUM PRYWATNE

Falk Ludwig

Szklany sufit

Dirka przed wyjazdem na zachód uchronił przypadek.

– Miałem już propozycję, aby przyuczyć się do zawodu w zakładach Mercedes w Stuttgarcie. Ale przez znajomych dowiedziałem się o wolnym miejscu w lokalnym oddziale Sparkasse, Kasy Oszczędnościowej, we Falkenbergu – wspomina. Falkenberg to miasto położone blisko granicy Brandenburgii i Saksonii.

W gęstej sieci Kas Oszczędnościowych również i dziś Niemcy najchętniej zakładają konta bankowe i lokują pieniądze. Dla Dirka było jasne, że w regionie tak pewne miejsce pracy może się już nie pojawić. – A ja naprawdę chciałem zostać na wschodzie – twierdzi.

W Sparkasse przepracował kilkanaście lat. Mógł tutaj z bliska obserwować problem, który przy bilansie zjednoczenia jest niemal tak samo często wymieniany jak Treuhand: – W Sparkasse mogłeś robić karierę, ale tylko do pewnego momentu. Wszystkie stanowiska kierownicze były obsadzone ludźmi z zachodu. Nie było chyba placówki zarządzanej przez kogoś z byłego DDR – wspomina.

Dyrektorzy placówek często nie przeprowadzali się na wschód. Wybierali codzienne dojazdy, trwające nawet po dwie godziny w jedną stronę.

O podobnym szklanym suficie i kierowniczych stanowiskach zarezerwowanych dla zachodnich specjalistów zaświadcza setki świadectw pracowni-

ków uczelni, mediów publicznych czy szpitali.

Nic nie spada z nieba

Pytany o bilans ostatnich 30 lat, Dirk pokazuje w kierunku budowanego domu. – Wyszedłem na swoje – mówi.

Jednak mentalny podział na wschód i zachód wciąż jest dla niego oczywistością. Bo w głowie najsilniej utrwalają się doświadczenia bolesne. Takie jak wtedy, gdy usłyszał od przypadkowo spotkanego mężczyzny: „O, mówisz po niemiecku, a myślałem, że w NRD wszyscy mówili po rosyjsku”.

Dirk uważa, że paternalistyczne podejście wciąż widać w mediach, które piszą o wschodzie zwykle w kontekście problemów tutejszej ludności z imigrantami, o jej rzekomo słabym przywiązaniu do zasad demokratycznych, o działających tu grupach skrajnie prawicowych. – Naturalne jest, że w pierwszych latach trzeba mówić dzieciom, co mają robić, ale po 30 latach? – dziwi się.

– Przyjazdy w rodzinne strony były dla mnie często powodem frustracji – mówi z kolei Falk. Denerwował go ton, w jakim ludzie mówili o swoich problemach: – Tak jakby wszyscy inni byli odpowiedzialni za ich sytuację, ale nie oni sami – tłumaczy.

On sam po wyjeździe miał już inną perspektywę. Stał się częścią wielomilionowej grupy, która wzięła sprawy w swoje ręce.

Dziś Falk jest już o wiele łagodniejszy w osądzie: – W NRD nie pozwalano na własną inicjatywę, to było dla systemu niebezpieczne. Dlatego największym problemem w czasie zjednoczenia było oczekiwanie, że teraz wszystko spadnie nam z nieba. A to, że nas zachód później wiele razy oszukał, tylko pogorszyło sprawę – mówi.

Falk uważa, że to właśnie z rozczarowania przebiegiem zjednoczenia wynika, iż wielu mieszkańców wschodu do dziś demonstracyjnie podkreśla swoją postawę „przeciwko”.

Dochodzi do tego gloryfikowanie „starych czasów”. – Ci, co mówią, że w NRD było lepiej, zapomnieli chyba, jak żyli. My do toalety musieliśmy wychodzić na podwórko – wspomina.

Teraz Falk mieszka we własnym dużym mieszkaniu w centrum Hanoweru.

Dirk z żoną zamierzają wprowadzić się do budowanego za Lipskiem domu na wiosnę przyszłego roku. W budynku nie ma jeszcze ścian. Ale dumny Dirk zabiera mnie na pierwsze piętro i pokazuje miejsce, w którym powstanie pokój gościnny: – Tu będzie mógł się zatrzymać Falk.

Brat z Hanoweru dojedzie do Lipska w niepełne trzy godziny. Po drodze minie tablicę pamiątkową postawioną przy autostradzie A2 – w miejscu, gdzie RFN graniczyła z NRD.

Fizyczna granica zniknęła 30 lat temu, ta w ludzkich głowach utrzyma się jeszcze długo.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



KRZYSZTOF WÓJCIK / FORUM

Kanclerz Niemiec Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki. Warszawa, 9 listopada 1989 r.

Zjednoczenie a sprawa polska

JACEK LEPIARZ

**Między wspólnotą interesów a nieufnością:
jak wyglądały relacje między Polakami i Niemcami
w czasach przełomu 1989–1991?**

PRZEJMUJĄC 31 LAT TEMU – WE wrześniu 1989 r. – odpowiedziałność za Polskę, nowa ekipa rządowa premiera Tadeusza Mazowieckiego była zdecydowana na przełom w relacjach z Republiką Federalną Niemiec.

Punkt wyjścia był jednak niełatwy. Pojednanie z Niemcami było od dawna celem demokratycznej opozycji, wywodzącej się z Solidarności i związanej z Kościołem katolickim. Jej działacze uznawali prawo Niemców do samostanowienia, uważając, że w interesie Polski jest likwidacja komunistycznego reżimu w NRD, gdyż odgradza on Polskę od Zachodu. Ale w chwili, gdy Mazowiecki zostawał premierem, perspektywa zjednoczenia obu państw niemieckich wydawała się problemem czysto teoretycznym i bardzo odległym.

Obóz Solidarności był przy tym jedyną siłą polityczną zdolną do odrzucenia dogmatu obowiązującego od roku 1945, zgodnie z którym „problem niemiecki” jest ostatecznie zamknięty, a powojenny podział Niemiec i istnienie dwóch państw – RFN oraz NRD – pozostają zgodne z polską racją stanu. Każda próba naruszenia tego *status quo* miała, zdaniem rządzących PRL-em komunistów, prowadzić do zakwestionowania nienaruszalności zachodniej granicy i traktowana była jako zdrada stanu.

Odrzucając ten dogmat, Mazowiecki i jego ekipa mogli się oprzeć na bogatym dorobku programowym, jaki wypracowywano w dyskusjach prowadzonych już od lat 70. poza systemem cenzury.

Polska opozycja dyskutuje o Niemcach

Za prekursora nowatorskiego podejścia do problemu niemieckiego wśród krajowych środowisk opozycyjnych należy uznać Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN). Istniejąca od 1976 r. tajna organizacja, której pomysłodawcą i nieformalnym liderem był Zdzisław Najder, stała na stanowisku, że Polacy mogliby uznać przyszłe zjednoczenie Niemiec pod warunkiem potwierdzenia przez nie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej – przy jednoczesnej integracji nowych zjednoczonych Niemiec ze Wspólnotą Europejską.

„Byliśmy ciągle straszeni Niemcami i nieustannie nam wbijano, że nasze interesy z tym państwem są sprzeczne, i że gwarantem istnienia naszej niepodległo-

ści jest NRD. Myśmy zaś postawili tezę, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec, nie ma zjednoczonych Niemiec bez niepodległej Polski” – tak Najder opisywał po latach stanowisko PPN.

Porozumienie, w którym działali m.in. Jan Olszewski, Andrzej Kijowski, Jan Józef Szczepański, Wojciech Włodarczyk czy Jerzy Holzer, miało wpływ na rozwijający się od połowy lat 70. drugi obieg – wydawane poza cenzurą podziemne wydawnictwa, które umożliwiały nieskrępowane dyskusje o sprawach polsko-niemieckich.

„Ruch społeczny w Polsce uznaje prawo wszystkich bez wyjątku narodów do samookreślenia się, a w konsekwencji również prawo Niemców do zjednoczenia się, z zachowaniem odpowiednich gwarancji dla bezpieczeństwa europejskiego” – pisał w 1985 r. Ernest Skalski w drugoobiegowej publikacji „Ja!ta 40 lat później”.

Stanowisko obozu Solidarności wobec kwestii niemieckiej trafnie opisał Artur Hajnicz (po wyborach w 1989 r. szef Ośrodka Studiów Międzynarodowych przy Senacie RP): „W przeciwieństwie do stanowiska rządowego [tj. władz PRL], polska opozycja uznawała kwestię niemiecką za otwartą, a sprawę granicy na Odrze i Nysie za zamkniętą. Wynikało to z tego, że polska opozycja już wówczas uważała zjednoczeniowe tendencje obu państw niemieckich nie tylko za teoretycznie i moralnie uzasadnione, ale też za aktualne”.

„Nie powinno to jednak być związane z prawnym i politycznym kwestionowaniem granicy [przez Niemców – red.]. Nie uznawaliśmy więc istnienia *iunctim* między kwestią niemiecką, tzn. zjednoczeniem Niemiec, a sprawą granicy” – pisał Hajnicz w książce „Ze sobą czy przeciw sobie” (wydanej w 1996 r.).

Mazowiecki i Kohl przyspieszają

W *exposé*, wygłoszonym 12 września 1989 r., Mazowiecki jednoznacznie opowiedział się za przyspieszeniem w relacjach z RFN. „Potrzebujemy przełomu w stosunkach z Republiką Federalną Niemiec. Społeczeństwa obu krajów poszły już znacznie dalej niż ich rządy. Liczymy na wyraźny rozwój stosunków gospodarczych, chcemy prawdziwego pojednania na miarę tego, jakie się dokonało między

Niemcami a Francuzami” – mówił w Sejmie.

Przyszły szef polskiego rządu rozmawiał telefonicznie z kanclerzem Helmutem Kohlem już 31 sierpnia – w tydzień po zaakceptowaniu przez parlament jego nominacji. Mazowiecki prosił o pomoc dla gospodarki, która latem 1989 r. pogrążyła się w coraz poważniejszym kryzysie. „Dla polskiego społeczeństwa jest ważną sprawą osiągnięcie pojednania z Niemcami oraz poczucie, że żyje ono w bezpiecznych granicach” – mówił także kanclerzowi.

O znaczeniu, jakie Mazowiecki przywiązywał do kontaktów z Bonn (ówczesną stolicą zachodnich Niemiec), świadczy błyskawiczne powołanie osobistego pełnomocnika premiera ds. rozmów z Urzędem Kanclerskim. Został nim redaktor „Tygodnika Powszechnego” Mieczysław Pszon, jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Mazowieckiego.

Wkrótce potem, 13 października, prawo Niemców do samostanowienia potwierdził w wywiadzie dla „Bild Zeitung” (największego dziennika w zachodnich Niemczech) Bronisław Geremek – już nie jako działacz opozycji, lecz szef Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. „Niemcy powinni mieć prawo decydowania sami, czy chcą zjednoczenia” – w tym momencie, gdy we wschodnich Niemczech dopiero zaczynała się pokojowa rewolucja, słowa Geremka brzmiały rewolucyjnie.

Jesienią 1989 r. do ocieplenia relacji na linii Warszawa–Bonn przyczyniła się też polska pomoc dla uciekinierów z NRD, którzy znaleźli schronienie w ambasadzie RFN w Warszawie i umożliwienie im, mimo protestów władz w Berlinie Wschodnim, wyjazdu do RFN.

Kanclerz jedzie do Polski

Helmut Kohl przybył z oficjalną wizytą do Warszawy już wkrótce – 9 listopada. Towarzyszyło mu siedmiu ministrów i ponad 70 reprezentantów życia politycznego i gospodarczego, a także świata nauki i kultury. Pomimo dramatycznych okoliczności – niespodziewany upadek muru berlińskiego, który nastąpił tego samego dnia wieczorem i zmusił Kohla do przerwania wizyty na 24 godziny (w tym czasie pojechał on do Berlina) – wizytę kanclerza można uznać za punkt kulminacyjny pierwszego etapu →

→ budowania jakościowo nowych relacji polsko-niemieckich.

„Wspólne Oświadczenie”, podpisane przez Mazowieckiego i Kohla 14 listopada (na zakończenie wizyty kanclerza), stało się „busolą i rozkładem jazdy” – otwierało szerokie perspektywy współpracy. Przyjęte uzgodnienia wychodziły naprzeciw polskim oczekiwaniom w sprawach gospodarczo-finansowych, zapowiadały utworzenie instytutów kultury i wymianę młodzieży, a także stworzenie warunków dla rozwijania tożsamości kulturowej mniejszości niemieckiej w Polsce i osobom polskiego pochodzenia w Niemczech.

„Wspólnota losów i interesów” Polaków i Niemców – hasło ukute wtedy przez szefa MSZ Krzysztofa Skubiszewskiego – opierała się na wspólnym celu: przewycięzeniu porządku jałtańskiego.

Sprawa granicy zaczyna rzucać cień

Tymczasem upadek muru berlińskiego tworzył nową sytuację nie tylko w Europie, ale także w relacjach Polski z RFN. Zjednoczenie Niemiec, będące dotąd czymś abstrakcyjnym, teraz niemal z dnia na dzień stawało się realną perspektywą polityczną.

„Kwestia graniczna stała się głównym tematem rozmów. Towarzyszyła nam krok w krok” – zapisał w swoim dzienniku Horst Teltschik, doradca Kohla ds. międzynarodowych, który towarzyszył kanclerzowi podczas podróży do Polski.

„Wśród Polaków przeważały obawy – wspominał na początku lat 90. Günter Knackstedt, wówczas ambasador RFN w Polsce. – Sowiecka propaganda ostrzegająca przed »odwiecznym wrogiem Niemcem« nie pozostała bez wpływu na Polaków” – dodawał dyplomata. „Wydarzenia minionych godzin wzmocniły w Polsce obawy przed potężnym jednym państwem niemieckim” – przyznawał także Kohl we wspomnieniach (wydanych w 2005 r.).

Polski dyplomata Jerzy Sulek wspomina, że Mazowiecki wielokrotnie podczas rozmów z Kohlem próbował uzyskać od niego bardziej wiążącą deklarację, jakie będzie stanowisko rządu RFN w kwestii granicy na Odrze z chwilą zjednoczenia się Niemców. Bez powodzenia. „Dostrzegaliśmy wtedy u naszego premiera najpierw objawy niezcierpliwienia, a potem już narastającej irytacji” – pisze Sulek.

10 punktów Kohla bez wzmianki o granicy

Na otwarcie granicy niemiecko-niemieckiej Kohl zareagował politycznie kilkanaście dni później: ogłosił 10-punktowy plan, w którym kreślił drogę do konfederacji obu państw niemieckich, a w przyszłości ich federacji. W tym przedstawionym 28 listopada programie zabrakło jednak jakiegokolwiek wzmianki o granicy z Polską, co w Warszawie odebrano jako duży mankament.

„To mnie postawiło do pionu” – wspominał później Mazowiecki (cytowany przez historyka Antoniego Dudka) i dodawał: „Niemcy szli pełną parą do zjednoczenia. Uważałem, że nie wolno nam tego momentu przegapić i trzeba uregulować sprawę naszej zachodniej granicy”. „Kohl odmówił demokratom w Warszawie tego, czego jego poprzednicy odmawiali polskim komunistom – bezwarunkowego i ostatecznego uznania linii na Odrze i Nysie” – tak powstała sytuację oceniał później historyk Włodzimierz Borodziej w książce „Geschichte Polens im 20. Jahrhundert”.

Celem władz w Warszawie stało się uzyskanie od Kohla jednoznacznej deklaracji, gwarantującej uznanie granicy jeszcze przed zjednoczeniem. Czy też, patrząc z formalnego punktu widzenia, jej potwierdzenie – PRL zawarła bowiem wcześniej traktaty graniczne z NRD (w 1950 r.) oraz z RFN (w 1970 r.).

Natomiast Kohl, dążąc do uzyskania szerokiego poparcia w społeczeństwie niemieckim – w tym także w środowiskach związanych ze Związkiem Wypędzonych (BdV), niechętnie nastawionych do ustępstw wobec Polski – zwlekał z ostateczną deklaracją aż do czasu sfinalizowania zjednoczenia. Środowiska wypędzonych były wówczas wciąż liczne i w większości tworzyły elektorat chadeckiej, formacji politycznej kanclerza.

Polsko-niemieckie przepychanki

Pierwsza połowa 1990 r. upłynęła na polsko-niemieckich przepychankach. Hajnicz pisze o „zazębianiu się nieufności” i konstatuje, iż „zaczął się długi, dokuczliwy i raczej zbędny spór”.

Mazowiecki domagał się, aby władze RFN i NRD parafowały projekt traktatu granicznego z Polską, który następnie zostałby podpisany przez rząd zjednoczonych Niemiec. Gdy stało się to niere-

alne, Warszawa zasugerowała stworzenie związku czasowego między przywróceniem pełnej suwerenności Niemiec (czyli ustaniem praw czterech mocarstw – USA, Związku Sowieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji, które w 1945 r. przejęły kontrolę nad pokonanymi Niemcami i teraz miały uczestniczyć w uregulowaniu prawnomiędzynarodowego statusu zjednoczonego państwa) a podpisaniem i ratyfikacją układu granicznego z Polską. W Bonn uznano to za próbę opóźnienia procesu zjednoczenia – i nie ukrywano irytacji.

Pod naciskiem liberałów z FDP (mniejszego koalicjanta chadeckiej, CDU/CSU) Kohl zdecydował się na ustępstwo wobec Polski. Po wolnych wyborach w NRD (odbyły się 18 marca 1990 r.) oba niemieckie parlamenty, Bundestag i Volkskammer (Izba Ludowa w Berlinie Wschodnim), uchwaliły tego samego dnia, 21 czerwca, jednobrzmiące rezolucje w sprawie granicy. W wystąpieniu przed głosowaniem w Bundestagu Kohl stwierdził: „Granica Polski z Niemcami, tak jak dziś przebiega, jest ostateczna”.

Polska chce do „2+4”, Kohl jest sceptyczny

Do napięć na linii Warszawa–Bonn doszło też w trakcie przygotowań do konferencji „2+4” – z udziałem wspomnianych czterech mocarstw i obu państw niemieckich. Propozycja zwołania takiej konferencji – wysunięta podczas spotkania sześciu ministrów spraw zagranicznych 13 lutego 1990 r. w Ottawie, jako sposób na uregulowanie międzynarodowych aspektów zjednoczenia – zmobilizowała Warszawę do dyplomatycznej ofensywy.

Mazowiecki zażądał dopuszczenia do konferencji „2+4” przedstawiciela Polski w tej jej części, która miała dotyczyć bezpieczeństwa sąsiadów Niemiec. Kohl był temu przeciwny, ustąpił jednak pod naciskiem czterech mocarstw. Otoczenie kanclerza tłumaczyło potem, że sprzeciw Kohla wynikał z obawy, iż dołączenie do grona „2+4” kolejnego kraju stworzy precedens, po którym zaczęłyby się zgłaszać kolejne państwa okupowane przez Niemcy podczas II wojny światowej, i że „2+4” zamieni się w szeroką konferencję, obradującą w nieskończoność.

W efekcie minister Skubiszewski uczestniczył w lipcowej sesji konferencji „2+4” w Paryżu, poświęconej kwestii granic Niemiec i sprawom bezpieczeństwa. Polska była jedynym krajem spoza owej



Transparent z demonstracji solidarnościowej z enerdowską opozycją, która odbyła się 5 października 1989 r. w Krakowie.

szóstki, której przedstawiciela dopuszczono do obrad. Ustalenia konferencji położyły kres wszelkim wątpliwościom wobec statusu granicy polsko-niemieckiej – można je uznać za przesilenie w polsko-niemieckim sporze.

Traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec (zwany traktatem „2+4”) podpisano 12 września 1990 r. w Moskwie – znosił on „prawa i obowiązki” czterech mocarstw i przywracał niemiecką jedność państwową.

„Z perspektywy 30 lat można stwierdzić, że Konferencja »2+4« oraz zawarty w jej wyniku Traktat miały fundamentalne znaczenie dla nowej architektury politycznej Europy, a dla Polski znaczenie egzystencjalne” – ocenił Jan Barcz, wówczas uczestnik delegacji polskiej.

Odszkodowania, reparacje

Sprawa cywilnoprawnych odszkodowań dla obywateli polskich poszkodowanych przez III Rzeszę, tak jak sprawa granicy, od początku obecna była w polsko-niemieckich rozmowach. Kohl wymieniał ją wśród głównych tematów jego wizyty w Warszawie. W rozmowach z kanclerzem Mazowiecki sugerował utworzenie fundacji, która gromadziłaby i rozdelała fundusze.

Sprawę odszkodowań międzypaństwowych (reparacji) pominięto w traktacie „2+4”. Mocarstwa zachodnie od początku były przeciwne włączeniu tej sprawy, a Związek Sowiecki po pewnych wahaniach przyłączył się do tego stanowiska.

Jak zaznacza Barcz, Niemcy zostały jednak zobowiązane do podjęcia negocjacji w sprawie świadczeń dla ofiar II wojny światowej – tych uprzednio pominiętych. Skutkiem takich zobowiązań było porozumienie z 16 października 1991 r. o utworzeniu Fundacji Pojednania Polsko-Niemieckie; rząd niemiecki przeznaczył na ten cel 500 mln marek (dziś byłaby to równowartość 250 mln euro).

Polska nie chce neutralnych Niemiec

O ile w sprawie trybu potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie stanowiska Polski i RFN istotnie się różniły, o tyle w sporze o status zjednoczonych Niemiec Warszawa stanęła zdecydowanie po stronie Bonn. Tymczasem to właśnie pytanie, czy przyszłe Niemcy mają być neutralne, czy mają być członkiem NATO, stało się w pierwszym półroczu 1990 r. kluczowym problemem międzynarodowym.

W styczniu 1990 r. plan neutralizacji zjednoczonych Niemiec wysunął – z inicjatywy sowieckiego przywódcy Michała Gorbaczowa – premier NRD Hans Modrow (w Berlinie Wschodnim rządził jeszcze komuniści, którzy za chwilę mieli stać się postkomunistami). Polska była przeciwna tej koncepcji. Takie stanowisko prezentował szef polskiego MSZ w czasie wizyty w Bonn 5-8 lutego. „Skubiszewski zawsze odczuwał podział Niemiec jako sztuczny. Zjednoczenie musi nastąpić pod wspólnym europejskim dachem. Podziela on zdanie Kanclerza Fe-

deralnego, że Niemcy nie powinny być neutralne” – zapisał Horst Teltschik pod datą 7 lutego.

Z punktu widzenia Polski neutralizacja zjednoczonych Niemiec byłaby zagrożeniem: w ten sposób niemożliwy stałby się w przyszłości akces Polski do zachodnich struktur bezpieczeństwa. Moskwa liczyła w tej kwestii na poparcie Warszawy i srogo się zawiodła – chociaż początkowa niechęć nowych władz Polski do szybkiego podjęcia rozmów o wycofaniu wojsk sowieckich mogła sugerować coś innego.

Bilans zysków i strat

Czy lawirowanie w sprawie granicy opłaciło się Kohlowi? W pierwszych po zjednoczeniu Niemiec wyborach parlamentarnych w grudniu 1990 r. chadecy kanclerza uzyskali doskonały wynik (43,8 proc.), a razem z FDP absolutną większość w Bundestagu (54,8 proc.).

Nie dowiemy się nigdy, ile punktów procentowych kanclerz uzyskał dzięki temu, że podtrzymywał dwuznaczności wobec granicy z Polską i „dopieszczał” wypędzonych. W każdym razie o „nieprzyjemnym osadzie”, jaki konflikt ten pozostawił na wzajemnych stosunkach, pisze ekspert Instytutu Zachodniego Zbigniew Mazur. Trudno też autorytatywnie stwierdzić, w jakim stopniu zasiana wówczas nieufność miała wpływ na cykliczne powracające w kolejnych trzech dekadach spory historyczno-polityczne, w tym na późniejszy konflikt o projekt Centrum przeciwko Wypędzeniom autorstwa Eriki Steinbach, przewodniczącej BdV.

Długoletni korespondent dziennika „FAZ” w Polsce Michael Ludwig ostrzegał już w 1991 r., że gesty pojednania nie wystarczą, żeby zapobiec napięciom między obu krajami. „Miniony okres niemiecko-polskich relacji pokazał dobitnie, że istniejąca nieufność w polskim społeczeństwie ciągle jeszcze może zostać zinstrumentalizowana przez pojedynczych polityków i polityczne ugrupowania” – ostrzegał Ludwig w książce „Polen und die deutsche Frage”, pisanej na gorąco w latach 1990-91.

Wówczas, 30 lat temu, podpisany 14 listopada 1990 r. traktat graniczny zamknął sprawę polskiej granicy zachodniej. Z kolei podpisany 17 czerwca 1991 r. (już za rządów premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego) traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy stworzył solidny →

→ fundament na przyszłość. Zjednoczone Niemcy wsparły polską transformację, przyczyniając się potem w istotny sposób do przyjęcia Polski do NATO i Unii Europejskiej.

30 lat później

Dziś, po upływie trzech dekad, część problemów pozostaje jednak nierozwiązana; pojawiły się też nowe pułapki.

W minionych kilkunastu latach kwestia wypędzonych zatruła na jakiś czas polsko-niemieckie relacje. Choć władze niemieckie konsekwentnie stoją na stanowisku, że kwestia reparacji jest prawnie i politycznie ostatecznie zamknięta, w Polsce problem ten raz po raz powraca. Status Polonii w Niemczech czy sprawa nauki języka polskiego są nadal przedmiotem sporów. Rozmowy o restytucji dóbr kultury zagrabionych w czasie wojny utknęły w martwym punkcie, a spektakularne akty zwrotu pojedynczych eksponatów nie są w stanie zatrzeć wrażenia, że obie strony nie mają pomysłu na rozwiązanie tego problemu.

Natomiast wiele kwestii bulwersujących 30 lat temu zniknęło z agendy. Istnienie niemieckiej mniejszości w Polsce stało się oczywistością, a podwójne nazwy miejscowości w województwie opolskim nikogo już nie szokują. Emocji nie wzbudzają też niemieckie cmentarze wojenne na terenie Polski. W wymianie młodzieżowej biorą udział miliony młodych Polaków i Niemców, instytuty kultury są trwałym elementem relacji, kwitnie współpraca partnerska między miastami i samorządami. Podobnie jak współpraca między armiami obu krajów, sojusznikami w NATO. Polska jest piątym partnerem handlowym Niemiec (przed m.in. Rosją), a wartość obrotów osiągnęła w zeszłym roku rekordową wysokość 123 mld euro.

Aż trudno uwierzyć, że kiedyś Warszawa była petentem proszącym o pomoc.

© JACEK LEPIARZ

JACEK LEPIARZ jest współpracownikiem „Deutsche Welle”. Przez wiele lat był korespondentem Deutsche Presse-Agentur w Warszawie oraz Polskiej Agencji Prasowej w Berlinie, a wcześniej, w latach 1981-91, pracownikiem ambasady RFN w Warszawie.



Na ruinach dyktatury: partyjka szachów w opuszczonej wieży strażniczej – jednej z wielu, które tworzyły mur berliński. W oddali budynek Reichstagu, dziś siedziba Bundestagu. Rok 1990.

Wszystko mogło wyglądać inaczej

EHRHART NEUBERT

Nie byłoby zjednoczenia, gdyby wcześniej obywatele NRD nie wyszli na ulice – wschodnioniemiecki opozycjonista i teolog wspomina tamte dni i emocje.

W OKRESIE KOMUNIZMU czas stał w miejscu. Od czasu do czasu imperium trzeszczało, ale trwało. Aż w końcu runęło. Po wielu latach w opozycji daliśmy radę: jesienią 1989 r. także w NRD ludzie wyszli na ulice, zakładaliśmy nowe partie, sparaliżowaliśmy polityczną tajną policję, wymusiliśmy okrążyć stół. No i 9 listopada 1989 r. runął mur berliński. Wcześniej to wszystko zdawało się niewyobrażalne.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej, we wrześniu, tajniacy towarzyszyli nam krok w krok, gdy wychodziliśmy z domu. Teraz czas nam uciekał, a my staraliśmy się za nim nadążyć. Każdego dnia trzeba było podejmować nowe decyzje, które często już po kilku godzinach okazywały się przestarzałe. Mieliśmy poczucie, jakbyśmy wpadli w wir na morzu. Nasze mieszkankie zamieniło się w biuro organizacyjne pełne chaosu. Musieliśmy szukać naszych dzieci gdzieś w tłumie gości, niemieckich i zagranicznych.

9 LISTOPADA ZAPOMNIELIŚMY, że jedno z dzieci ma urodziny. Wieczorem tego dnia odwiedziła nas grupa francuskich komunistów należących do jednej z wielu politycznych sekt. Chcieli nas przekonać, abyśmy budowali teraz prawdziwy socjalizm. Gdy dotarła zaskakująca wieść o otworzeniu granicy, wycofali się rozczarowani. Wraz z murem berlińskim ulatniały się nie tylko lęki, ale też utopie.

Mimo nerwów, które towarzyszyły nam w tamtych tygodniach, mieliśmy poczucie głębokiej satysfakcji. Mur – konstrukcja absurda i destrukcyjna – upadł, gdyż w gruncie rzeczy nie miał już kto go bronić, gdy zniewolone do niedawna społeczeństwo tworzyło nową rzeczywistość. A my w tym uczestniczyliśmy. Świadkowie i aktorzy epokowej zmiany.

Musiła wówczas minąć chwila, zanim pojęliśmy, co się stało. We wszystkich tych latach przed rokiem 1989, wypełnionych żmudną opozycyjną robotą, gdy często towarzyszyło nam poczucie bezsilności, mieliśmy nadzieję na powolną demokratyzację NRD. Strategicznie nie pozostawało nam nic innego, jak tylko – obok organizowania czasem protestów – długa droga do odbudowy społeczeństwa obywatelskiego. Aby móc działać publicznie, wykorzystywaliśmy przestrzeń, którą stwarzał Kościół ewangelicki, organizowaliśmy sieci kontaktów i pracowaliśmy nad rozwojem samizdatu. Zazdrośnie spoglądaliśmy na Polskę, gdzie na początku lat 80. udało się zmobilizować miliony ludzi. U nas stało się to dopiero w 1989 r.

WRAZ Z UPADKIEM MURU wewnętrzna jedność opozycji w NRD zaczęła pękać. Wielu moich przyjaciół sądziło, że nam, Niemcom, nie wolno odbudować narodowej jedności. Nocą z 9 na 10 listopada odwiedził mnie jeden z liderów pewnego środowiska opozycyjnego i próbował przekonać do tego, aby wydać apel

o ponowne zamknięcie granicy. Zdecydowanie odmówiłem. Ale rozumiałem jego motyw.

Podział kraju był produktem stalinizmu; produktem, który ranił ludzi i cały naród. Nie inaczej było ze mną: także moja rodzina żyła w obu częściach podzielonych Niemiec. Niektórzy prze-dostali się na zachód, podejmując ryzykowną ucieczkę. Ale my, Niemcy, byliśmy też świadomi potworności, które poprzedziły podział naszego kraju.

WSZĘDZIE W EUROPIE Środkowo-Wschodniej upadek komunizmu skutkował impulsem, by uleczyć rany zadane narodom. Na pierwszym miejscu stawiano narodową suwerenność i demokratyzację systemu politycznego. Ale dla nas, Niemców, nie było to takie proste. Wielu ludzi Kościoła i intelektualistów wskazywało na ambiwalencje związane z datą 9 listopada w naszej historii. 9 listopada 1938 r. w Niemczech wydarzył się wielki pogrom wymierzony w ludność żydowską, który zresztą tamtego 9 listopada 1989 r., w godzinach popołudniowych, upamiętniły uroczystości organizowane w kościołach w Berlinie i innych miastach. Wtedy, w 1938 r., był to wstęp do lawiny zbrodni, jakie szczególnie mocno dotknęły także Polaków. Dlatego nie ma w tym nic dziwnego, że polska polityka i polskie społeczeństwo początkowo krytycznie obserwowały proces jednoczenia Niemiec. Elementem porażenia sobie z tamtą historią była więc również potrzeba uleczenia zadanych ran.

W aspekcie politycznym i prawnym znaleziono rozwiązanie. Jednak aby głęboko w społecznej świadomości dokonało się uleczenie, potrzeba intensywnej i wspólnej rozmowy, która nie wypiera napięć. Pomóc może tu zorientowanie na trwałe wartości, z których wielu opozycjonistów w NRD, Polsce i innych krajach czerpało duchowy potencjał. To treść konwencji praw człowieka w eu-

ropejskiej tradycji, a także dziedzictwo kultury wysokiej wraz z religią jako najbardziej pierwotną siłą człowieka. Przyznaję, że w tamtych latach ja również czerpałem z tych źródeł. I gdy rozmawiałem z niektórymi spośród moich polskich przyjaciół, mówili to samo o sobie.

JEDNAK W OSTATNICH LATACH uświadomiłem sobie coś jeszcze. Skutki roku 1989 nie są statyczne ani nienaruszalne. Tak jak szczęśliwe konsekwencje nie były wówczas przewidywalne ani zdeterminowane, tak też dynamiczny proces odkrywania samego siebie nie jest w żadnym razie zamknięty. Wszystko mogło potoczyć się inaczej i faktycznie w niektórych kiedyś komunistycznych krajach inaczej się potoczyło. Ściśle rzecz biorąc, również i dziś może potoczyć się różnie. Ponownie widać niebezpieczne tendencje polityczne, nie wszędzie państwo prawa jest stabilne. Nowa Europa wydaje się niezwykle krucha.

30 lat po zjednoczeniu Niemiec stare-nowe idee, którymi żyliśmy w roku 1989, a które były w stanie przekraczać zewnętrzne i wewnętrzne granice, pozostają aktualne. W ich duchu powinniśmy pracować i się modlić.

©

Przeżyty WP

EHRHART NEUBERT (ur. 1940) jest teologiem ewangelickim. Pastor i duszpasterz młodzieży, od 1979 r. angażował się w grupach opozycyjnych w NRD, w związku z czym był celem inwigilacji bezpieki (Stasi). Jesienią 1989 r. współzałożyciel Demokratycznego Przetomu, jednej z nowych partii. Uczestnik obrad okrągłego stołu. W latach 1992-95 członek partii Związek 90/Zieloni, od 1996 r. w CDU. Zaangażowany w liczne inicjatywy mające na celu przezwycięzenie skutków NRD-owskiej przeszłości. Autor książek o opozycji w NRD. W „TP” opublikował kilka tekstów o rewolucji 1989 r. we wschodnich Niemczech.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 40/2020

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | OKŁADKA: Marek Zalejski

TP TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | KOREKTA: Katarzyna Domin, Grzegorz Bogdał

NA OKŁADCE: Przy Bramie Brandenburskiej, 31 grudnia 1989 r. | FOT. OWEN FRANKEN / CORBIS / GETTY IMAGES

WSPÓŁWYDAWCA:

PARTNERZY:



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Dlaczego potrzebujemy pomników

FLORIAN MAUSBACH

W stolicy Niemiec powinien powstać nie tylko monument Wolności i Jedności, upamiętniający przełom sprzed trzech dekad, ale także osobny pomnik poświęcony Polakom.

URSULA, RANY BOSKIE, PRZECIEŻ mało brakowało, a pojechałbyśmy w niewłaściwym kierunku!". Jest 9 listopada 1989 r., telewizja pokazuje dramatyczne sceny otwierania muru. Moja żona i ja wrzucamy kupione już bilety na nocny pociąg do Paryża do kosza, wsiadamy do auta i jedziemy z Frankfurtu nad Menem do Berlina. W strumieniu szczęśliwych i podekscytowanych ludzi przekraczamy mur berliński, z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód.

Jesienią 1989 r. pokojowa rewolucja zachwiała w posadach dyktaturę. Rok później Niemcy znów są jednością. Bohaterska polska Solidarność utorowała do tego drogę. Jednak będzie musiało minąć jeszcze 30 lat, zanim w roku 2020 w Berlinie zacznie się stawianie Pomnika Wolności i Jedności, dla upamiętnienia wschodnioniemieckich rewolucjonistów. Za inskrypcję posłużą patriotyczne hasła odważnych kobiet i mężczyzn z 1989 r.: „*Wir sind das Volk – Wir sind ein Volk*” („To my jesteśmy narodem – Jesteśmy jednym narodem”). Spór o ten pomnik trwał 20 lat. Bundestag musiał dwukrotnie głosować w jego sprawie.

Dlaczego Niemcy mają taki kłopot z pomnikami?

Postawa powściągliwości

Był rok 1995, gdy jako szef Federalnej Dyrekcji ds. Budownictwa (Bundesbaudirektion) otrzymałem nowe zadanie: odbudowania starej-nowej stolicy. Konieczne było szybkie stworzenie warunków dla planowanej przeprowadzki parlamentu i rządu z Bonn do Berlina. Wyjątkowe i jednorazowe zadanie – w wymiarze planistycznym, architektonicznym i budowlano-logistycznym. A także swego ro-

dzaju lustro, w którym natychmiast zaczęły odbijać się spory o nową samoświadomość Niemców w zjednoczonym od niedawna kraju.

Już samo to, że stolicą stanie się na nowo Berlin, nie było oczywiste. W 1991 r. posłowie Bundestagu decyzję o przeprowadzce – z niewinnego Bonn do Berlina, miasta z przeszłością, stolicy dwóch dyktatur, brunatnej i czerwonej – podjęli jedynie nieznaczną większością głosów. Duże znaczenie dla uzyskania tej większości miały emocjonalne wystąpienia chadeka Wolfganga Schäublego i socjaldemokraty Willy’ego Brandta.

Powstała po II wojnie światowej Republika Bońską (jak później zaczęto nazywać zachodnie Niemcy) od początku obciążało trudne dziedzictwo. Był to dostateczny powód, aby państwo, które na swoją prowizoryczną stolicę wybrało idylliczne miasto w dolinie Renu, ćwiczyło się w sztuce powściągliwości, w skromności – również w sferze państwowej autoprezentacji.

Po ludobójstwie i zbrodniach wojennych, po manii wielkości, po monumentalizmie i propagandowych inscenizacjach w służbie narodowosocjalistycznego państwa i partii, postawa taka służyła – w wymiarze wewnętrznym – odnalezieniu samych siebie przez te nowe Niemcy jako demokracja i państwo prawa oraz – w wymiarze zewnętrznym – odzyskaniu na powrót uznania, w sensie zarówno politycznym, jak moralnym.

Budowle skażone historią

Nowa suwerenność i nowe znaczenie w środku Europy postawiły Republikę Berlińską (jak z kolei zaczęto nazywać zjednoczone już Niemcy) nie tylko przed większą niż wcześniej odpowiedzialno-

ścią. Państwo musiało znaleźć też swoją formę.

Jak miał się prezentować Berlin jako stolica, jak miały prezentować się budynki mieszczące parlament, rząd i ministerstwa? Czy wszystkie budowle z czasów narodowosocjalistycznych Niemiec – wzniesione w stylu nawiązującym do budownictwa publicznego z czasów imperium rzymskiego (co podkreślało wykorzystanie szarego trawertynu) i tyleż monumentalne, co przygniatające, budzące strach – powinny zostać wyburzone? O „budynkach skażonych przez historię” prowadzono długie dyskusje.

W końcu zapadła decyzja. „Skażone” budowle zostały objęte ochroną – jako zabytki i jako świadkowie historii, której nie zamierzano kwestionować – niemniej, za sprawą zabiegów architektonicznych i artystycznych miały zostać teraz przeobrażone w siedziby instytucji demokratycznego państwa.

I tak, kamienny Bank Rzeszy – przed 1989 r. siedziba Komitetu Centralnego partii komunistycznej rządzącej wschodnimi Niemcami – otrzymał teraz, już jako siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nowe życie wewnętrzne i został rozbudowany w nowoczesnym otwartym stylu. Ministerstwo Propagandy Josepha Goebbelsa, teraz mieszczące Ministerstwo Pracy i Spraw Socjalnych, otrzymało nową przeszkloną halę. Ministerstwo Lotnictwa Hermanna Göringa stało się Ministerstwem Finansów itd., itp.

Przeobrażenie objęło też XIX-wieczny Reichstag, obecnie siedzibę Bundestagu: w 1999 r. budynek zwieńczono nową szklaną kopułą, po której mogą poruszać się zwiedzający. Dziś kopuła jest popularnym celem dla turystów i mieszkańców



MILLA & PARTNER

Projekt (widziany z góry) Pomnika Wolności i Jedności, który właśnie powstaje w Berlinie.

stolicy oraz symbolem Republiki Berlińskiej. Kopuły są historycznymi symbolami suwerenności politycznej lub religijnej na pałacach i kościołach. Mało kto pamięta, że decyzję o jej zbudowaniu poprzedziła ostra konfrontacja i głosowanie w konwencie seniorów Bundestagu. Tak silny był wciąż opór przed wszelkiego rodzaju symboliką wyrażaną przez państwowe budowle.

Pogodny patriotyzm

Miasto bez pomników jest jak mieszkanie bez obrazów. Ludzie kształtują swoje mieszkania jako swój własny świat – wiszą na ścianach te, a nie inne obrazy, dzieła sztuki, ale też pamiątki, podobizny bądź zdjęcia osób żyjących i zmarłych. Od niepamiętnych czasów ludzie ozdabiają również swoją przestrzeń publiczną, place czy parki – rzeźbami, fontannami, dziełami sztuki i pomnikami. Honorując w ten sposób ważne dla nich postacie bądź wydarzenia historyczne, o wymiarze politycznym, militarnym, kulturalnym czy religijnym, pokazują i niejako utwierdzają wartości ważne dla ich wspólnoty, jak również swoją tożsamość. Także tożsamość narodową.

Wielu niemieckich intelektualistów uważa, że lekcją, którą powinniśmy wyciągnąć z narodowego socjalizmu, jest przezwyciężenie wszystkiego, co narodowe. Patoś jest dla nich podejrzany. Patriotyzm uważają za żenujący wyraz emocji, który wywołuje złe wspomnienia. W zastępstwie niektórzy przywołują akademicką formułę „patriotyzmu konstytucyjnego”: zamiast kochać kraj i ludzi, należałoby kochać konstytucję. To trochę tak, jakby zamiast żony kochać instytucję małżeństwa.

Gdy jesienią 1989 r. obywatele NRD, domagający się wolności i jedności, przy-

nosili na demonstracje czarno-czerwono-złote flagi, wśród wielu na zachodzie wywoływało to jeszcze zdumienie i dezaprobatę. Dopiero mistrzostwa świata w piłce nożnej, rozgrywane w 2006 r. w Niemczech, rozemocjonowały gospodarzy tak, że po raz pierwszy na wschodzie i na zachodzie kraju widać było na ulicach bez-troskich ludzi, którzy swobodnie nieśli swoje flagi narodowe.

„Baśń zimowa” Heinricha Heinego – słynna satyra, w której XIX-wieczny poeta wyznawał, że gdy nocą myśli o Niemczech, natychmiast zaczyna cierpieć na bezsenność i koszmary – została teraz zastąpiona przez, jak to wówczas nazwano, „baśń letnią”: wielkie święto piłkarskie, podczas którego Niemcy wydawali się zaskoczeni sami sobą i faktem, że ich patriotyzm może być właśnie taki – radosny, pogodny i najzupełniej przyjazny.

Niemal dekadę później również pogodnie i przyjazne oblicze Niemcy chcieli pokazać nie tylko sobie, lecz także światu – w apogeum kryzysu uchodźczego roku 2015; wtedy nazwano je *Willkommenskultur*, kulturą serdeczności i gościnności.

Teraz wreszcie możliwe staje się – nawet jeśli nadal przy oporze niektórych – postawienie w Berlinie patriotycznego Pomnika Wolności i Jedności. Pomnika rewolucji, która zmieniła Europę i świat. A także, miejmy nadzieję, zbudowanie jeszcze jednego upamiętnienia, którego również do dziś brakuje w niemieckiej stolicy.

Pomnik dla Polaków

Był rok 2017, gdy pojawił się apel podpisany przez kilkadziesiąt znanych postaci życia publicznego, aby w centrum Berlina stanął pomnik poświęcony ofiarom niemieckiej okupacji Polski w latach

1939-45. Po trzech latach dyskusji czekamy teraz na decyzję Bundestagu w tej sprawie. W niemieckiej stolicy, w której aż do tej pory upamiętnia się jedynie mniejszości prześladowane przez narodowych socjalistów, byłby to pierwszy niemiecki pomnik dla państwa okupowanego przez narodowosocjalistyczne Niemcy.

Perspektywa taka zmobilizowała również krytyków. Twierdzą oni, że byłaby to nacjonalistyczna „recydywa” – groźba „nacjonalizacji” pamięci. Argumentują, że ofiary niemieckiej okupacji powinny być upamiętnione ponad granicami, wyłącznie w perspektywie ogólnoeuropejskiej.

Jednak czy Polacy nie zostali zaatakowani jako naród? Czy Rzeczpospolita Polska nie miała zostać unicestwiona jako państwo? Jakże inaczej moglibyśmy jako Niemcy przyznać się publicznie do naszej winy wobec Polaków i ich niezliczonych ofiar – a także, z kim innym mielibyśmy dążyć tutaj do pojednania, jeśli nie z Polakami, z narodem polskim?

I czy szacunek wobec narodów w ich wielości oraz różnorodności oraz publiczne docenienie ich szczególnego cierpienia nie jest właśnie postawą autentycznie europejską?

©

Przełożył WP

FLORIAN MAUSBACH (ur. 1944) jest architektem i miejskim planistą. W latach 1995–2009 szef Bundesbaudirektion, a następnie Federalnego Urzędu ds. Budownictwa i Planowania Przestrzennego. Autor wielu publikacji o architekturze i budownictwie. Działacz społeczny, jeden z inicjatorów Pomnika Wolności i Jedności oraz inicjator apelu o zbudowanie w Berlinie pomnika poświęconego ofiarom niemieckiej okupacji Polski.



East Side Gallery

Podróż do Niemiec

30 lat po zjednoczeniu

160 kilometrów, łatwa trasa,
wspaniałe widoki i niesamowite zabytki.

To Szlak Muru Berlińskiego, czyli nietuzinkowy sposób na poznanie historii podziału stolicy Niemiec z perspektywy dwóch kółek. Choć można też to zrobić, korzystając z komunikacji miejskiej.

PAWEŁ FIGURSKI

fakt, trzeba zarezerwować trochę wolnego czasu, bo przejechanie całego szlaku rowerowego zajmie około czterech dni. Ale warto, bo to obcowanie z wciąż obecną pamięcią o zimnej wojnie, która na długie lata podzieliła świat, Europę i sam Berlin.

Po zachodniej stronie szlak wiedzie po dawnych drogach celnych, po wschodniej pokrywa się z tymi, po których poruszały się konwoje służb granicznych NRD. Na trasie wytyczonej w kształcie pętli zobaczymy ostatnie zachowane wieże strażnicze, dawne punkty graniczne, muzea i pomniki oraz najbardziej charakterystyczne punkty stolicy Niemiec: budynek Reichstagu, Bramę Brandenburską, Checkpoint Charlie czy East Side Gallery.

Spokojnie, gdy mamy obawy co do naszej kondycji, te wszystkie atrakcje można podziwiać bez rowerów, korzystając ze świetnie działającej w Berlinie komunikacji miejskiej.

Najlepszy punkt startowy to East Side Gallery niedaleko Dworca Wschodniego. To najdłuższy – prawie półtorakilometrowy – zachowany fragment muru berlińskiego i największa na świecie galeria na świeżym powietrzu. Betonową ścianę artyści od lat 90. pokrywają graffiti. Najbardziej znane są te z wizerunkami całujących się Leonida Breżniewa z Erichem Honeckerem oraz rozbijającego mur trabanta – stały się symbolami zjednoczonego miasta. Nie brak jednak malowideł nawiązujących do współczesnych wydarzeń.

Kilka kilometrów dalej (przejazd na rowerze zajmie 15 minut) znajduje się



East Side Gallery

Checkpoint Charlie, w okresie zimnej wojny najpopularniejsze przejście graniczne między Berlinem Wschodnim i Zachodnim, a w tej chwili obowiązkowy punkt podczas zwiedzania stolicy Niemiec.

Nigdy nie brakuje chętnych chcących sobie zrobić zdjęcie z „amerykańskim żołnierzem” pozującym przy budce strażniczej obłożonej workami z piaskiem. Jeśli nie chcemy czekać, alternatywą może być selfie z zerkającymi z ogromnych portretów żołnierzami – amerykańskim i radzieckim.

To jednak opakowanie. Żeby poznać historię muru berlińskiego, należy wejść do poświęconego mu muzeum, założonego już w 1962 r. przez Rainera Hildebrandta, w którym na bieżąco dokumentowano życie podzielonego miasta i tragiczne historie osób chcących przedostać się na drugą

stronę. To też zapis ludzkiej pomysłowości, niezbędnej do pokonania granicy do zachodniego świata. Wśród eksponatów są przebudowane do ucieczki samochody, mała łódź podwodna, która ciągnęła uciekiniera przez wody Bałtyku, balony oraz własnej konstrukcji latawce z silnikiem.

Również w samym centrum (tylko 8 minut drogi rowerem i kwadrans metrem) znajdują się dwie ikony Berlina. To Brama Brandenburska i budynek Reichstagu. Ta pierwsza pod kątem historii muru berlińskiego jest o tyle ciekawa, że od 1961 r., gdy wzniesiono mur, znalazła

rezerwacji za pośrednictwem strony www.bundestag.de

Wychodząc z Reichstagu, warto zwrócić się w kierunku Dworca Głównego, a tam wsiąść w tramwaj numer 10 i po kilku minutach dojechać do Gedenkstättę Berliner Mauer przy Bernauer Straße. To długi na blisko 1,5 km były pas graniczny, dzięki któremu możemy zobaczyć, jak jeszcze 31 lat temu wyglądała konstrukcja oddzielająca dwie części jednego miasta.

Kolejnych kilkanaście minut drogi i znów historyczne miejsce – budynek przy dworcu Berlin-Friedrichstraße, potocznie

i po rozbudowie służyło jako centralne więzienie śledcze, w którym więziono tysiące osób prześladowanych i większość znanych opozycjonistów byleż NRD. Dziś po budynku oprowadzają byli więźniowie.

Po drugiej stronie miasta znajduje się z kolei Teufelsberg, czyli góra usypana na gruzach powojennego Berlina. Na niej w trakcie zimnej wojny Amerykanie wybudowali stację nasłuchową, która była „uchem Zachodu” na państwa Układu Warszawskiego.

Dziś o obecności wojsk przypomina tylko nadgryziony zębem czasu budynek



Brama Brandenburska



Reichstag

się na środku obszaru granicznego. Nie była więc dostępna dla mieszkańców i turystów ani od strony wschodniej, ani od zachodniej. To właśnie przemawiając przed Bramą Brandenburską podczas wizyty w Berlinie Zachodnim prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan powiedział słynne: „Panie Gorbaczow, niech pan otworzy tę bramę! Panie Gorbaczow, niech pan zburzy ten mur!”.

Z kolei w budynku Reichstagu w trakcie zimnej wojny znajdowało się muzeum Bundestagu, jednak turystów interesował głównie taras, z którego rozciągał się widok na mur. Obecnie to obok wieży na Alexanderplatz najlepszy punkt do podziwiania dachów Berlina. Warto wybrać się też do wnętrza charakterystycznej szklanej kopuły górującej nad Reichstagiem. Wejście możliwe jest po wcześniejszej

zwaną Pałacem też. Była to hala odpraw dla Niemców opuszczających NRD w kierunku Berlina Zachodniego. Pawilon dokumentuje podział Niemiec i związane z tym losy mieszkańców, ich historie rozstań z przyjaciółmi i rodziną. To tutaj obywatele wschodniej części najboleśniej odczuwali zamknięcie granic i tu musieli znosić upokarzające kontrole. Zwiedzanie stałej wystawy „Doświadczenia graniczne. Życie codzienne podczas podziału Niemiec” jest bezpłatne.

Będąc w Berlinie warto zobaczyć też miejsca nieco bardziej oddalone od centrum. Po stronie wschodniej to Miejsce Pamięci Berlin-Hohenschönhausen. Tu z końcem II wojny światowej urządzono radziecki obóz specjalny, a w 1946 r. centralne radzieckie więzienie śledcze w Niemczech. Pięć lat później zostało przejęte przez Stasi

z białymi kopułami, który stał się rajem dla alternatywnych artystów i performerów.

A po chwili relaksu ostatni punkt – Glienicker Brücke, czyli „most szpiegów”, który łączył nad Hawelą Berlin Zachodni ze wschodnioniemieckim wówczas Poczdamem. To na tej przeprawie KGB i CIA wymieniało ujętych szpiegów. Po raz pierwszy mroźnego lutego 1962 r., gdy doszło do wymiany radzieckiego agenta płk. Rudolfa Abela na amerykańskiego pilota Gary’ego Powersa zestrzelonego dwa lata wcześniej w czasie lotu zwiadowczego nad ZSRR. 10 listopada 1989 r. most łączący Berlin z Poczdamem otwarto dla ruchu osobowego. Dzień wcześniej runął mur berliński.

■ Więcej informacji o atrakcjach turystycznych Niemiec:
www.germany.travel

DRUGA WIEŻA BABEL

PAWEŁ RUTKOWSKI, JĘZYKOZNAWCA:

Nam, słyszącym, wydaje się, że wystarczy nauczyć osobę głuchą wypowiadania słów rozumiałych dźwiękowo.

To błąd. Językiem jest to, co pozwala formułować myśli, a wtórnie – komunikować je innym.

Dzieci niesłyszące uczą się odczuwać muzykę. Zajęcia w ramach projektu społecznego „5 zmysłów”, Poznań 2012 r.

MAREK LAPIS



ANNA GOC: Ile jest języków migowych na świecie?

PAWEŁ RUTKOWSKI: Językoznawcza baza *Ethnologue* mówi o stu czterdziestu czterech. Ale jeszcze 15 lat temu, gdy sprawdzałem bazę po raz pierwszy, było ich o 23 mniej. Co wcale nie oznacza, że tyle pojawiło się nowych, raczej tyle odkryliśmy. Do niedawna jako językoznawcy niewiele wiedzieliśmy o ję-

zykach migowych, być może wciąż niewiele wiemy.

Jeden z niedawno odkrytych – nikaraguański – ma zaledwie 50-letnią historię. Powstał w pierwszej szkole dla głuchych dzieci w kraju. Teraz posługują się nim setki głuchych Nikaraguańczyków.

Historia z Nikaragui przypomina to, co działo się w Europie, także w Polsce, na przełomie XVIII i XIX wieku.

To wtedy powstały pierwsze szkoły dla głuchych, a wraz z nimi języki poszczególnych krajów. Przed XVIII wiekiem języków migowych nie było. Z wcześniejszego okresu pochodzą jedynie wzmianki o osobach głuchych, zwykle z uprzywilejowanych środo-



wisk, kształconych z wykorzystaniem migów.

Ale język migowy, gdy już powstało środowisko, szybko się rozwijał. Proszę zobaczyć: ks. Jakub Falkowski, zainspirowany pierwszą szkołą dla głuchych we Francji, zakłada podobną w Warszawie. Jest rok 1817. Ale już 60 lat później księża Józef Hollak i Teofil Jagodziński wydają „Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób

z nimi styczność mających”, dzieło olbrzymie, z tysiącami opisanych znaków.

Od razu wyjaśnijmy – głusi bardzo protestują, gdy określa się ich „głuchoniemymi”.

Tak, bo mają swój język. Nie są niemi. Problem polega na tym, że wiedza na temat języków migowych wciąż nie jest powszechna.

Dziedzina badań nad językami migowymi też jest młoda. Jej pionierem był William Stokoe, który w latach 60. XX wieku zajął się amerykańskim językiem migowym (ASL). Lingwistycznym opisem polskiego języka migowego (PJM) jako pierwszy zainteresował się w latach 90. Marek Świdziński. To oni zaczęli myśleć o językach migowych jako o językach z własnym systemem gramatycznym, ⇨

→ leksyką czy kontekstem socjolingwistycznym.

We wstępie do tomu „Sign Languages”, zawierającego opracowanie ponad 40 języków migowych świata, czytamy, że stan języka migowego, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, jest odzwierciedleniem stanu społeczności głuchych. Jest jej pulsem. Zgodzi się Pan z tym?

Dodałbym, że na stan języka migowego wpływa znacząco społeczność słyszących. Ponad 90 proc. osób głuchych ma słyszących rodziców. Głuche dzieci często nie potrafią przyswoić języka mówionego od swoich słyszących krewnych, a nie mając w bliskim otoczeniu innych osób głuchych, nie mogą nauczyć się też migowego.

Są bezjęzyczne?

Nieposiadanie żadnego języka w XXI wieku wydaje się mało prawdopodobne. Zwłaszcza przy powszechności badań przesiewowych słuchu i masowym wszczepianiu implantów ślimakowych. Mimo to wciąż pojawiają się informacje o głuchych dzieciach w wieku szkolnym, które nie potrafią posługiwać się żadnym językiem.

Nie wynika to jednak – jak mogłoby się wydawać – z zaniedbań rodziców, wręcz przeciwnie. Zdecydowana większość słyszących rodziców, i nie jest to tylko polskie doświadczenie, wkłada dużo wysiłku, by swoje dzieci ujęzyczyć. Tylko że dla nich ujęzyczenie oznacza nauczenie głuchego dziecka mówienia i komunikowania się ze słyszącymi.

Poznałem osoby głuche, które nie potrafiły się nauczyć języka polskiego, a język migowy był w ich domach zakazany. Migać zaczynały jako dorosłe. I w efekcie – żadnego języka nie znały dobrze.

Dlaczego głusi nie potrafią nauczyć się języka polskiego? – to jedno z najczęstszych pytań zadawanych przez osoby słyszące. Jak Pan na nie odpowiada?

Dla osób głuchych język mówiony jest sensorycznie niedostępny. Nie wystarczy aparat słuchowy albo implant ślimakowy, podobnie jak nie zawsze wystarczą wyteżona rehabilitacja czy trening komunikacyjny. Jeśli osoba głucha nie ma narzędzi do formułowania

myśli, narzędzi do analizowania świata, kategoryzowania świata, to znaczy, że nie ma języka.

Nam się wydaje, że nauczanie osoby głuchej wypowiadania słów w taki sposób, żeby one były zrozumiałe dla nas, słyszących, jest już nauczaniem jej języka. To jest błędne myślenie. Językiem jest to, co mamy w umyśle, co pozwala formułować myśli, a wtórnie – komunikować je innym.

Jedna z głuchych osób powiedziała mi, że szczęście ma głuche dziecko, które przychodzi na świat w głuchej rodzinie.

Głuche dzieci, które mają głuchych rodziców, rozwijają się językowo w taki sam sposób, jak dzieci słyszące ze słyszących rodzin.

Badania sprzed zaledwie trzech lat pokazały, że głuche dzieci, które pochodzą z rodzin migających, mają o wiele lepsze wyniki w nauce z przedmiotów zupełnie niezwiązanych z językiem migowym. Dlaczego? Odpowiedź jest dość oczywista: dzieci te od najmłodszych dni mają w swoich rodzinach partnerów do komunikacji. Mogą o wszystko spytać, mogą poznawać nowe słowa, poszerzać swoje horyzonty, bo mają do tego narzędzia komunikacyjne, które są sensorycznie dostępne i niczym nieograniczone.

Wielu głuchych mówi o tym, że ich słyszący rodzice nie nauczyli się migać. A język migowy był w ich domach postrzegany jako przejaw niepełnosprawności.

Znam dużo osób, które były zniechęcane do nauki języka migowego w dzieciństwie, żyły w przeświadczeniu, że niemiganie jest wyższym poziomem rozwoju komunikacyjnego. I nagle, jako osoby dorosłe, zdały sobie sprawę, że istnieje społeczność osób migających, które w swoim gronie są szczęśliwe, bo nie odczuwają barier komunikacyjnych.

Komunikowanie się z osobami głuchymi musi działać w obie strony. Tzn. osoba głucha powinna wypowiadać się w taki sposób, żeby była zrozumiała, ale powinna też móc odbierać zrozumiałe dla siebie komunikaty.

Zdarza się, że całkiem zrozumiałe mówiący głusi nie rozumieją tego, co mówią słyszący. Odczytują z ust tylko część wypowiedzi. W konsekwencji narasta fru-

stracja osób głuchych i, nierzadko, zaczynają się wycofywać społecznie.

Z wyborem języka migowego wiąże się jednak wybór tożsamości, przynależność do wspólnoty językowej.

Jak pokazują amerykańskie badania, głusi są najbardziej endogamiczną społecznością z badanych tam mniejszości. To znaczy, że głusi, niemal bezwyjątkowo, chcą mieć głuchych jako swoich życiowych partnerów. Nawet gdy obserwujemy życiowe wybory osób głuchych wychowanych w rodzinach słyszących, sprawnie mówiących i czytających z ust, widzimy, że bardzo często wiążą się one z osobami niesłyszącymi, posługującymi się językiem migowym. Pojawia się więc pytanie: skoro tak dobrze radzą sobie wśród słyszących, dlaczego chcą dzielić życie z osobą migającą? Prawdopodobnie dlatego, że wtedy czują się komunikacyjnie równi.

Prawa komunikacyjne, o których często zapominamy, kiedy mówimy o prawach człowieka, to także prawo do poczucia satysfakcji z bycia rozumianym i rozumienia ludzi wokół.

W rodzinach słyszących zdarza się, że dopiero porażka w szkole masowej powoduje przeniesienie głuchego dziecka do szkoły dla głuchych.

Tak, co skutkuje tym, że dziecko styka się z pierwszym językiem, którego potrafi się nauczyć, bardzo późno, a przynajmniej nie w tym wieku, w którym człowiek rozwija swoje kompetencje językowe.

Dlatego my, językoznawcy, stoimy na stanowisku, że język migowy powinno się oferować wszystkim głuchym dzieciom.

Dwujęzyczna edukacja – czyli równoległa nauka w polskim języku migowym, jako pierwszym, i polskim fonicznym, jako obcym – nie jest w Polsce powszechna.

Mam świeżo w pamięci wyjazd na Węgry sprzed dwóch lat. Tam status języka migowego jest na tyle wysoki, że podczas ostatniej zmiany konstytucji został on do niej wpisany. Każdemu głuchemu dziecku zapewnia się dwujęzyczną edukację. Ciekawiło mnie, co to w praktyce oznacza.

W samym Budapeszcie są dwie szkoły dla głuchych. Do pierwszej chodzą dzieci z implantami ślimakowymi. W szkole tej nauczyciele mówią do dzieci, nikt nie używa języka migowego. W drugiej dzieci posługują się językiem migowym. Poszedłem do tej pierwszej, usiadłem w tyłu sali i obserwowałem zajęcia. Kiedy nauczycielka stała przodem do dzieci, te starały się odczytywać, co mówi, z ruchu jej ust, ale wystarczyło, że odwróciła się do tablicy, a dzieciaki natychmiast zaczynały ze sobą migać. Potwierdziło się moje przypuszczenie, że nawet w takich teoretycznie niemigających szkołach dzieci będą ze sobą migać, bo tak jest im po prostu wygodniej. Gdy po lekcji podzieliłem się moimi obserwacjami z nauczycielką, odpowiedziała, że to możliwe, bo jedno z dzieci ma głuchych rodziców i przyniosło język migowy z domu.

To pokazuje, jaki jest potencjał języka migowego, jak wiele ten język może znaczyć w rozwoju intelektualnym głuchego dziecka.

Argument wielu pedagogów brzmi: głuche dzieci będą żyły w społecznościach słyszących, naszym zadaniem jest je do tego przygotować. To dlatego w wielu polskich szkołach dla głuchych powszechne są metody nauczania polegające na mówieniu do dzieci i uczeniu ich odczytywania z ust.

Jeżeli dorośli głusi – nawet ci, którzy mają implanty, nawet ci, którzy zostali wychowani w rodzinach słyszących – mówią nam „prawdziwe szczęście i prawdziwą satysfakcję z życia odczuwam dopiero jako dorosła osoba, kiedy stykam się z innymi osobami głuchymi”, to rozważmy przynajmniej ten głos.

Z ankiety, którą kilka lat temu przeprowadził łódzki oddział Polskiego Związku Głuchych, wynika, że na prawie 40 szkół dla głuchych w Polsce znajomość polskiego języka migowego zadeklarowało sto osób, z czego większość uczy w kilku szkołach. Jest duże prawdopodobieństwo, że są szkoły, w których język migowy zna zaledwie kilku nauczycieli.

Sprawdziłam, jest sporo takich szkół w Polsce.

Brzmii absurdalnie, prawda? Nauczyciel i dziecko nie mają wspólnego sys-



GRZEGORZ BANASZAK / REPORTER

DR HAB. PAWEŁ RUTKOWSKI jest twórcą i kierownikiem Pracowni Lingwistyki Migowej Uniwersytetu Warszawskiego. Językoznawca, badacz gramatyki polskiego języka migowego (PJM). Autor kilkudziesięciu prac z lingwistyki teoretycznej. Członek Polskiej Rady Języka Migowego przy Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

temu komunikacji. Jeszcze w latach 80. nie można było legalnie zatrudnić głuchego nauczyciela w szkole dla głuchych, co się przecież wydaje najoczywistszym rozwiązaniem. Kto może lepiej nauczyć głuche dzieci niż głuchy nauczyciel? Kto bardziej je przekona, że bycie osobą głuchą nie musi oznaczać w przyszłości pracy fizycznej, przy której języka nie trzeba używać?

Dzieci głuche w normie intelektualnej mogą robić wszystko to, co osoby słyszące. Mogą być nawet profesorami uniwersyteckimi. Sam mam wielu znajomych głuchych, którzy czują się spełnieni w tym, co robią, wykonując zawody z najwyższej półki społecznej. Ale wszyscy oni trafiali kilkadziesiąt lat temu do szkół, w których nauczyli się języka migowego.

Jeszcze kilka lat temu w Polsce problemem był brak podręczników do polskiego języka migowego i brak zajęć lekcyjnych, na których dzieci uczyłyby się migać.

Od 2014 r. nasz zespół z Uniwersytetu Warszawskiego przygotowuje tłumaczenia podręczników szkolnych na język migowy. Przełożony został już co najmniej jeden podręcznik do każdego przedmiotu szkoły podstawowej.

Co ciekawe, w podręcznikach do nauki języka polskiego są fragmenty dzieł literackich, które dotąd nigdy nie były tłu-

maczone na polski język migowy. Jak się okazało, nikt dotąd nie przetłumaczył na przykład hymnu Polski.

Gdyby ujednolicone podręczniki mogły funkcjonować przez najbliższe dekadę w szkołach dla głuchych, to moglibyśmy się spodziewać, że przyszłe pokolenia posługiwałyby się ujednoliconą terminologią.

Bo przecież język migowy pozwala na wyrażenie tego samego, co język mówiony – istnieje poezja migowa, są żarty słowne.

Oczywiście. Co więcej, głusi przeklinają, migają przez sen, krzyczą i szepczą rękoma – prawda, że to nieoczywiste? Często rozmawiam o tym ze studentami filologii polskiego języka migowego, czyli pierwszego w historii Polski kierunku studiów kształcącego w zakresie komunikacji migowej. Nasi studenci to w olbrzymiej większości osoby słyszące. Dzięki codziennemu kontaktowi z głuchymi lektorami szybko poznają świat osób głuchych.

Obecność głuchych w środowisku akademickim jest ważna nie tylko ze względu na ich pracę dydaktyczną, ale także jako bodziec do rozwoju terminologii specjalistycznej. Na przykład wśród moich głuchych współpracowników wykształciły się znaki migowe odpowiadające skomplikowanym terminom lingwistycznym. W tym środowisku wszyscy je znają. Ale oczywiście, jeśli spotkamy osobę głuchą z innego środowiska, to nie będziemy w stanie porozmawiać z nią na tematy analizy językoznawczej. Głuchych, którzy migają na poziomie komunikacji akademickiej, jest w Polsce niewiele.

Od roku, może dwóch, obserwuję vlogi i profile społecznościowe osób głuchych w Polsce, pochodzących zwykle z rodzin wielopokoleniowych głuchych, które przygotowują materiały związane z poprawnością językową.

Językowi migowemu bardzo pomagają nowe technologie. Za pośrednictwem internetu język ten jest transmitowany, może promieniować jako wzór.

Dotąd w Polsce nie było standardów, do których głusi mogliby się odnieść. Nie było choćby głuchej telewizji, dzięki której społeczność mogłaby się stykać z jedną wersją języka migowego. Słyszający, →

→ czytając literaturę, obcując z językiem literackim, kształtują poczucie tego, co jest dobrą polszczyzną.

Głusi często mówią o tym, jak bardzo język migowy różni się w poszczególnych rejonach Polski i szkołach dla głuchych. Jedna z absolwentek warszawskiego liceum dla głuchych opowiadała mi, że nie mogła porozumieć się ze swoim rówieśnikiem ze Szczecina, który kończył tamtejszą szkołę dla głuchych.

Język migowy jest zróżnicowany geograficznie. Wystarczy środowisko skupione przez wiele lat wokół jednej szkoły, niemające kontaktu z innymi środowiskami ani z wzorcami literackimi, by wytworzyła się odmiana języka migowego.

Tak było w Stanach Zjednoczonych, gdzie powstał „czarny ASL”. Ostatnią szkołę z segregacją rasową zamknięto w 1978 r. Osoby głuche, które chodziły do szkoły dla czarnoskórych, opowiadają, że gdy przeniesiono je do szkół masowych i poznały tam inne głuche dzieci, one migały zupełnie inaczej. Czarnoskórzy głusi nie byli w stanie ich zrozumieć. Śmiano się z nich, że migają z akcentem „murzyńskim”. Wszystko to działo się w kraju, w którym nikt nie kwestionował prawa do komunikowania się w języku migowym.

Pana zespół od prawie 10 lat przygotowuje Korpus Polskiego Języka Migowego. Jak wygląda praca nad korpusem?

Do nagrań zaprosiliśmy 150 osób głuchych ze wszystkich województw, z każdej grupy wiekowej, po równo kobiet i mężczyzn. Mamy ponad 500 godzin nagrań wypowiedzi ludzi głuchych, nasz korpus składa się z 700 tysięcy oznakowanych wystąpień znaków. To sprawia, że w tym momencie jest to albo największy, albo – powiem bezpiecznie – jeden z dwóch największych korpusów migowych na świecie, bo idziemy łeb w łeb z niemieckim korpusem.

Pomysł był taki, żeby to była dokumentacja języka żywego, konwersacyjnego. Do każdej sesji nagraniowej zapraszaliśmy dwie osoby z tego samego miasta, czasami z jednej rodziny. Zależało nam na tym, żeby uniknąć sytuacji, w której rozmówcy dostosowują się do siebie i nikt nie miga w sposób naturalny.

Dzieci głuche w normie intelektualnej mogą robić wszystko to, co osoby słyszące.

Mogą być nawet profesorami uniwersyteckimi. Sam mam wielu znajomych głuchych, którzy czują się spełnieni w tym, co robią, wykonując zawody z najwyższej półki społecznej.

W rozmowie brał udział także głuchy moderator. Głuche osoby dostawały różne tematy do rozmowy, np. mapę: jedna widziała mapę z zaznaczoną trasą, druga tę samą mapę bez trasy. Zadaniem pierwszej osoby było wytłumaczyć drugiej, jak trafić z punktu „a” do punktu „b”.

Czy i w korpusie widać zróżnicowanie polskiego języka migowego?

Zdecydowanie tak. Analizuję często ze studentami tę samą, nieskomplikowaną historyjkę obrazkową. Ponieważ jest ona prosta, wiadomo, że każdy z uczestników badania miga tę samą treść. Wybieramy siedem różnych nagrań: siedem osób z różnych części Polski, w różnym wieku, miga tę historyjkę. Nagle okazuje się, że jest trochę podobieństw, ale różnic jest tyle, że *de facto* moglibyśmy mówić o siedmiu różnych językach. To jest typowa sytuacja dla kontekstu socjolingwistycznego, w którym funkcjonuje język migowy, tzn. takiego, w którym norma literacka dopiero się tworzy.

Język migowy różni się w zależności od tego, z jakim środowiskiem osób głuchych się zetknęliśmy, do której szkoły chodziliśmy, czasem na to nakładają się jeszcze języki domowe poszczególnych rodzin.

Podczas ubiegłorocznego kongresu Światowej Federacji Głuchych w Paryżu, która zrzesza członków ze 125 krajów, jednym z języków konferencji był International Sign (IS). Możemy go nazwać międzynarodowym językiem głuchych?

IS nie jest językiem naturalnym. Na razie jest, i siłą rzeczy będzie, językiem osób należących do inteligencji, utrzymujących kontakty międzynarodowe. Można go nazwać takim esperanto, ale tylko w zakresie leksyki. Gramatyka w IS wynika z przyzwyczajenia użytkowników języka migowego, a więc z gramatyki języka migowego, którego na co dzień używają.

One się bardzo różnią?

Tak, są różnice. Na przykład w większości języków migowych „przeszłość” jest pokazywana z tyłu, a „przyszłość” z przodu. Osoba głucha, która miga o czymś z przeszłości, pokazuje za siebie i im dalsza perspektywa, tym głębiej ten gest sięga za ramię. Natomiast istnieją języki migowe, w których jest odwrotnie: przyszłość jest za mną, a przeszłość, którą znam, przede mną.

Jaka jest przyszłość języków migowych?

Ze względu na rozwój medycyny i technologii, pojawienie się implantów ślimakowych, coraz mniej osób trafia do szkół dla głuchych. Przyszłość szkół dla głuchych, a zatem – pośrednio – przyszłość języka migowego jest zagadką.

Dwa lata temu rozmawiałam z Trevorem Johnstonem, językoznawcą, który jest słyszącym dzieckiem głuchych rodziców, zajmował się australijskim językiem migowym. Jego zdaniem za 50 lat języki migowe mogą wyginąć.

Trevor jest szczególnie radykalny w swoim sceptycyzmie i w swoich obawach. Moim zdaniem ten scenariusz raczej się nie sprawdzi, bo największe migające społeczności nie żyją w krajach rozwiniętych, a więc nie mają takich możliwości w dostępie do implantów.

Jeśli w naszym, europejskim, kręgu kulturowym miga jedna osoba na tysiąc, to w krajach afrykańskich nawet trzy na tysiąc. W Afryce czy na subkontynencie indyjskim głuchych jest wciąż bardzo dużo i dla większości z nich podstawowym narzędziem komunikacji jest miganie.

Jednak przyszłość języków migowych w bogatych krajach, w Europie Zachodniej, Ameryce Północnej czy Australii jest niejasna. ©P Rozmawiała ANNA GOC

WOJCIECH

Bonowicz: Szczotki



NIEPRZYTULANY, NIEGŁASKANY – UMŘĘ. Tymczasem świat wokół zrobił się bardzo nieprzytulny. Serdeczność wyraża się łokciami, które jeszcze chwilę temu były symbolem bezczelności.

Oczywiście, to nie tylko wirus sprawił, że dotyk – bliskość fizyczna, tulenie, głaskanie – znalazły się w odwrocie. Wirus nadał nową dynamikę procesom, które już trwały. Jak bardzo były zaawansowane, nie jest do końca jasne. Inaczej było na południu Europy, inaczej na północy, inaczej w Azji dalekiej, inaczej w bliskiej. Nikt mnie w życiu tak nie wyściskał i nie wycalał na pożegnanie, jak pewien palestyński poeta, poznany na międzynarodowym festiwalu (nie domyślajcie się zbyt wiele: wyrastał w świecie, w którym mężczyźni mogli okazywać czułość mężczyznom, natomiast w stosunku do kobiet musieli zachowywać się powściągliwie). Czy Polska była dotąd krajem serdecznym i czułym? Nie znam żadnych badań na ten temat. Jeśli poprzestać na obserwacji uroczystości rodzinnych – chrzcin, wesel, pogrzebów – czułości nam nie brakowało. Niekoniecznie tylko po alkoholu, choć ten w oczywisty sposób ośmielał. Moją przyjaciółkę, kiedy była panną młodą, od składania życzeń i mocnych pocałunków rozboleły policzki. Na weselach do tańca rwali się nawet ci, którzy nie umieli; im więcej wypili, tym czulej obejmowali partnera lub partnerkę. Wszyscy głaskali i przytulali dzieci, czekając, aż pójda spać, żeby można było pić bez zażenowania. Nad ranem nie dziwił nikogo widok wtulonych w siebie mężczyzn, z których jeden bełkotał coś drugiemu w kołnierz marynarki.

Ale uroczystości to nie życie codzienne. Zgodnie z popularną tezą jednej z amerykańskich psychoterapeutek, żeby

przeżyć, potrzebujemy czterech uścisków dziennie, żeby zachować zdrowie – ośmiu, a żeby się rozwijać – dwunastu. Niby niewiele, a jednak niekiedy trudno uzbierać nawet tyle. Zimne domy zawsze mnie przerażały, choć znałem je głównie z literatury i filmów. W „Bezmatku” Miry Marcinów natrafiłem na zdanie: „Zaczęłam się do niej przytulać późno, chyba w ostatniej klasie liceum”. „Bezmatek” to powieść o godzeniu się i niegodzeniu ze zmarłą matką. O intensywniej, trudnej, pięknej relacji, w której bywały długie okresy chłodu, aż do okrucieństwa. „Mrugałam. A moje rzęsy muskały jej policzki. Na taką zażyłość mi pozwalała. Na taki dystans mnie dopuszczała. Można powiedzieć, że byliśmy ze sobą dość blisko. Byliśmy ze sobą na odległość rzęs. Choć w tamtym czasie rzęsy miałam długie”. Chwile „pełne czułości, pocałunków, głaskania, muskania” nadeszły dopiero, kiedy matka umierała, w agonii. I potem. Bo „temperatura jej martwego ciała, choć niska, to przecież jeszcze nie lodowata, pozwalała na przytulenie, ogrzanie się przy ciele matki”.

A jak to będzie teraz? Niby przytulić się – gdy twarz mija się z twarzą, co najwyżej muska ją policzkiem – jest bezpieczniej niż rozmawiać. No ale jednak maseczki, jednak łokcie, jednak lepiej ograniczyć się do skiniecia głową... Jest, owszem, wyjątek – zwierzęta. Zwierzęta nie zarażają, ich serdeczność jest bezpieczna. „Czy można głaskać po kimś?”, pyta dziewczynka matkę, wskazując psa, którego przed chwilą pogłaskał właściciel. A więc i tu załgał się lęk? Może tylko ostrożność. Zresztą kto wie, co nas jeszcze czeka, jakie plagi spadną na Egipt, który nagle stał się całą ludzkością?

Do głaskania Leona potrzebne są dwie szczotki. Jedną przykładają pod brodę – Leon sam się o nią ociera, czasem oblizuje, wyjadając z niej pojedyncze kłaczki. Drugą przesuwa się wolno po głowie i karku, czasem aż do ogona, jeżeli na to pozwala. Leon mruczy, ogon ma sztywny, jest zadowolony. Jeśli nie chce ci się iść do łazienki po szczotki, bo na przykład jest druga w nocy, stoi nad tobą leżącym, maca łapą po twarzy, zaczyna lizać szorstkim językiem twoją brodę. Wtedy głaszczesz go rękami, a on wspaniałomyślnie się zgadza, o ile jesteś wytrwały. Jeśli nie, znowu to samo – łapa na twarzy i lizanie.

Bez czułości, przytulania – umřę. To na pewno. ©

Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie

23 września 2020 r. zmarła w Warszawie

Ś.T.P.

Zofia Zańko

historyczka, uczestniczka opozycji antykomunistycznej, sekretarz redakcji „Credo”, pracowniczka Muzeum Powstania Warszawskiego, zaangażowana we Wspólnotę „Wiara i Światło”, przyjaciółka osób z niepełnosprawnością intelektualną.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się 1 października 2020 r., o godz. 14.00 w kościele oo. Dominikanów w Szczecinie.

RODZINA I PRZYJACIELE

Prosimy, by zamiast składania kwiatów wesprzeć akcję pomocy dla dzieci i uchodźców ze spalonego obozu Moria na wyspie Lesbos, prowadzoną przez Wspólnotę Sant'Egidio.



Zygmunt Konieczny w Piwnicy pod Baranami. Kraków, wrzesień 2020 r.

PLOTKĘ KUPIĘ, PLOTKĘ SPRZEDAM

ZYGMUNT KONIECZNY, KOMPOZYTOR:

Kiedy w radiu usłyszę coś, co mi się nie podoba, zaraz chciałbym to zmienić.
Tak, to sprzeciw jest moją inspiracją.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Mama śpiewała Panu kołysanki?

ZYGMUNT KONIECZNY: Nie śpiewała. Ale opowiadała bajki. Byłem dzieckiem niejadkiem, więc specjalnie dla mnie wymyśliła historię o Panu Naleśniku. I tak wspaniale opowiadała, że jadłem.

A śpiewy w domu?

Mama śpiewała przebój z filmu „Serce pieśniarza”: „Zawiodły me sny, synku mój. Lecz spełnisz je ty, synku mój”. Wieczorami, po kolacji śpiewała z ciocią, też muzykalną. A ja nie bardzo rozumiałem, dlaczego to jest ładne.

Bo smutne?

„Smutna dola pędzi ojca w dal, / Na samotność i cierpienia, / Gorzkie łyzy i żal” – to ostatnia strofa. Mój tata był oficerem, w kampanii wrześniowej dowodził kolejowym transportem ewakuacyjnym z dywizjonu do Rumunii. Ale nie dojechali, 10 września zostali rozbici. A myśmy na początku wojny z mamą i rodzeństwem uciekli do babci, do Szczrzyca. Tata pod koniec września tam przyjechał, ale od razu został aresztowany i trafił do oflagu.

Co pamiętam z wojny? Mało, gdy wybuchła, miałem niespełna dwa lata. Z wyzwolenia pamiętam Rosjan, którzy przyszli do naszego domu i powtarzali: *kuszat', kuszat'*. Mama myślała, że chodzi im o papierosy.

A powrót taty z oflagu Pan pamięta?

Pamiętam, że przywiózł jakieś nutki. Lubił menuet Paderewskiego. Po kilku latach, kiedy poduczyłem się grać na fortepianie, musiałem mu ciągle to grać.

Pańscy rodzice zachęcali Pana do muzykowania?

Mama chciała, żebym był skrzypkiem. A wcześniej, gdy miałem cztery lata, kupiła mi trąbkę, lecz zgubiłem ją i się skończyło. W domu stał fortepian, pobierałem prywatne lekcje. A tata mocno mnie mobilizował do nauki w liceum muzycznym. Pamiętam zajęcia z panią profesor od solfeżu, czyli nauki o nutach – one mi uzmysłowiły, jak pojemną sztuką jest muzyka. Na moim roku była koleżanka, która słyszała o wiele lepiej ode mnie, z solfeżu miała nawet bardzo dobry. Profesorka dawała nam takie ćwiczenie: fragment tematu i mieliśmy dokomponować parę taktów. I ta koleżanka nie umiała

tego zrobić, a ja brylowałem. W tym byłem lepszy od niej.

Pan po prostu miał wyobraźnię muzyczną.

Ale nie byłem specjalnie dobrym uczniem, a potem też nie najlepszym studentem. Zresztą studiów nie skończyłem.

Żałuje Pan?

Żałuję, bo szkoły nigdy za dużo. A gdy słyszę, że kompozytor nie może nauczyć się komponowania, odpowiadam, że to nieprawda.

Czego przyszedł kompozytor może nauczyć się na studiach?

Techniki i gustu muzycznego. Zrobiłem cztery lata studiów i pamiętam, gdy w 1959 r. przyszedłem do Piwnicy pod Baranami, przy barze siedział jakiś rozrywkowy kawałek, a ja na jego podstawie skomponowałem muzykę prawie klasyczną. Potrafiłem to zrobić właśnie dzięki szkole.

A potem przyszedł moment, kiedy moja starsza koleżanka obroniła dyplom. Ponieważ była w Piwnicy, to postanowiła, że wyda w niej przyjęcie dla profesorów. Problem w tym, że do Piwnicy chodziłem nielegalnie: uciekałem z zajęć. Gdy dowiedziałem się, że na kabarecie pojawi się grono profesorskie, ustawiłem pianino w ten sposób, żebym nie był widoczny. Skrzyneczki błagałem: „Tylko żebyś słowa o mnie nie powiedział”. Ledwo rozpoczął się kabaret, a Piotr mówi: „Proszę państwa, przy pianinie siedzi Zygmunt Konieczny, student Wyższej Szkoły Muzycznej, który ucieka z zajęć, by przyjść do Piwnicy”. Byłem przerażony i wściekły, ale Piotr co chwilę to powtarzał i potrafił to obrócić w żart. Na szczęście to był udany kabaret, pamiętam, że były wykonywane moje piosenki, w tym „Przychodzimy, odchodzimy”. Po kabarecie podszedł do mnie profesor Rutkowski i powiedział, że wybacza mi to nieprzychodzenie.

Kilka miesięcy później Ewa Demarczyk przyszła do Piwnicy, zacząłem z nią wyjeżdżać za granicę i szkoła poszła w całkowitą ostateczność.

Pan wspominał o „Przychodzimy, odchodzimy”, tam padają słowa, które zawsze wywołują we mnie dreszcze: „Przychodzimy, odchodzimy / Leciućteńko, na paluszkach / Szczotkujemy,

wycieramy / Buty nasze, twarze nasze / Żeby śladów nie zostawiać / Żeby śladów nie zostało”.

Janusz Jęczynek napisał ten tekst i przekazał mi przez znajomego. Skomponowałem muzykę i wyszła z tego historia metafizyczno-mistyczna. A potem Jęczynek, który mieszkał w Warszawie, przyjechał do Krakowa, przyszedł na kabaret i po wysłuchaniu naszego wykonania mówi, że on napisał satyrę na władzę, która przychodzi i odchodzi, i nie chce, by tę piosenkę wykonywać w Piwnicy. Słowa Jęczyńka powtórzyłem Skrzyneczkiemu, a on: „Olej to, wykonujemy”. A gdy po roku Jęczynek przyjechał na kabaret, to przepraszał i powiedział, że go przekonałem.

Miron Białoszewski też nie był zadowolony, że w Piwnicy wykonuje się „Karuzelę z Madonnami”.

Tu miałem świadomość, że poszalałem, ponieważ wiersz Białoszewskiego opisywał zabawę jarmarczną, a ja z tego zrobiłem karuzelę furioso.

Kiedyś z kabaretem pojechaliśmy do Warszawy, graliśmy zamknięty koncert. Dowiedzieliśmy się, że na sali będzie Białoszewski. Byliśmy przerażeni. Ewa zaśpiewała. Po zakończonym kabarecie widzę, że idzie Białoszewski. Z tą swoją flegmą powiedział: „Bardzo mi się podobało, pan zmienił wszystko, czego ja chciałbym nie zmieniać, ale pan mnie przekonał”. Poprosił tylko, by na okładce płyty, jeśli taka wyjdzie, tekst wiersza zacytowano w całości. Nawiasem mówiąc, z dzisiejszej perspektywy wolalibyśmy, żeby tempo „Madonn” było wolniejsze.

Dlaczego?

Postarzałem się. A wtedy imponowało mi, że Ewa ma tak dobrą dykcję, a ja tak szybko gram. Wychodziłem z założenia, że furie trzeba pokazać dynamicznie.

W Polsce przełomu lat 50. i 60. słuchało się głównie popu – wszystko było do siebie podobne.

To były piosenki w stylu knajpowym. A w Piwnicy panowała atmosfera intelektualnej swobody i twórczego myślenia. Joanna Ronikier, Janinka Garycka, Piotr Skrzyneczki czuli literaturę i mieli z nią związane ambicje. Śpiewany Leśmian, Tuwim, Białoszewski – to m.in. ich zasługa.

A w sensie ludzkim? W Piwnicy zawarł Pan przyjaźnię?

→ Nie za głębokie. Natomiast to, że kabalet z życia Piotra trwał 40 lat, było możliwe dzięki jego charyzmie i jednocześnie intrygom, w których sam brałem udział. Bo w Krakowie sporo załatwia się dzięki intrygom.

Dziś na intrygi młodzi ludzie mówią „dramy”.

W Piwnicy wymyśliłem kupowanie i sprzedawanie plotek.

Drogo?

Najwięcej żądałem za plotkę, która była skandalem obyczajowym. Jeśli osoba, której oferowałem plotkę, знаła ją, musiałem oddawać pieniądze albo obniżałem cenę. Pisałem muzykę, a koleżanki dorabiały słowa. Kiedyś wyśpiewywaliśmy plotkę, że Skrzynicki u znajomych był na przyjęciu, usnął w wannie i rano ci ludzie nie mogli skorzystać z własnej łazienki. Piotr się z tego śmiał. Natomiast Demarczyk nie chciał, by o niej publicznie plotkować.

I?

Po kilku miesiącach musieliśmy skończyć śpiewanie plotek.

Była plotka o Koniecznym?

Do niej nie napisałbym muzyki!

A Paryż, kiedy jedziecie z Demarczyk do paryskiej Olympii na zaproszenie dyrektora Bruno Coquatrixa? Był rok 1964, występy Demarczyk były wydarzeniem, a mimo tego nie zrobiłście tam kariery.

We Francji byliśmy dwa razy. Po pierwszym występie Coquatrix wziął Ewę i mnie na rekonesans Paryża, zwiedzaliśmy miasto i jedliśmy w wytwornych restauracjach. Wtedy Coquatrix zapragnął, by Ewa wystąpiła dla jego znajomych, koneserów w świecie muzycznym, którzy oceniają, jak ona śpiewa. Chciał, by wykonała swój program, m.in. „Czarne anioły”. A jeszcze w Krakowie wymyśliłem do nich dzwony: na drewnianych stelażach zawieszane były felgi samochodowe i rury wodociągowe – wszystko przyniesione ze złomowiska.

Skąd taki pomysł?

Z dźwięku – one dzwoniły lepiej niż klasyczne dzwony rurowe. Ale dzwonowe instrumenty zostały w Warszawie. Coquatrixowi tak jednak zależało, że pojechał

po nie do Polski. Kiedy wracał, na lotnisku w trakcie odprawy w celnikach wzbudził podejrzenie wytworny pan z Francji z rurami w bagażu. Pewnie sądzili, że ukrywa w nich złoto. I pocięli je, a Coquatrix do Paryża przywiózł rury w kawałkach. Do niczego już nie się nadawały, bo rura musi mieć długość, by był dobry dźwięk. Coquatrix zawiózł mnie na złomowisko w Paryżu, znalazłem tam rury, ale już nie były tak dobre jak te z Polski.

Po recitalu Ewa dostała owację na stojąco. Coquatrix ukląkł przed nią, powiedział, że tylko ona może wydobyć piosenkę europejską z gówna, w którym utonęła po śmierci Édith Piaf.

Na koniec pobytu, już na pokładzie samolotu, którym odlatywaliśmy do Polski, Coquatrix zrobił jeszcze jeden gest specjalnie honorujący Ewę, a przy okazji mnie. Stewardessa wręczyła jej ekstra suknię, a mnie trochę płyt – taki milionerski zwyczaj oraz podziw dla talentu.

Po dwóch miesiącach wracamy do Paryża... Ewa czuła się już gwiazdą. Nic dziwnego – świat się przed nią otworzył. Olympia wtedy była jedyna w swoim rodzaju, nie istniały miejsca konkurencyjne. Ewa żywiła przekonanie, swoją drogą ja również, że na lotnisku będą nas witać dziennikarze. A na lotnisku nie było nikogo.

Bo?

Bo Coquatrix, choć dobry menadżer, nie wiedział, jak promować Demarczyk. I popełnił błąd: źle dla Demarczyk dobrał towarzystwo do koncertu. Wtedy występował m.in. Enrico Macias, Algierczyk. A działo się to w latach, kiedy Algieria wybiła się na niepodległość. Grupa Algierczyków, którzy mieszkali na terenie Francji, tworzyła enklawę – trzymali się razem. I gdy Coquatrix zaprosił na występy Maciasa, śpiewającego w stylu dzisiejszego disco polo, przyszli posłuchać jego entuzjaści. Nie mogli odbierać dobrze tego, co Ewa zaśpiewała, bo to zupełnie inna kultura.

I zupełnie inna artystyczna osobność.

Poza tym artyści, którzy próbowali robić kariery przez Olympię, spełniali żądania dyrektora Coquatrixa. A Ewa wychodziła z założenia, że skoro ona, Polka, w swoim kraju zrobiła karierę, nie będzie ulegała panu, który chciał, by stała się gwiazdą na francuską modłę. Demarczyk tego zrobić nie chciał i swoją karierę po-

łamała. Dyrektor Coquatrix żądał, by Ewa inaczej się ubrała, by zaśpiewała po francusku jedną piosenkę czy dwie, a ona buntowała się, nie szła na żadne kompromisy.

Panu zdarzało się iść na kompromisy?

Za moich studenckich czasów brałem udział w jednym kabarecie w Nowej Hucie, ale o tym wolę nie wspominać.

A kompromisy, które trzeba zawieść z reżyserami tworząc muzykę filmową?

Najpierw trzeba się zastanowić, czym jest muzyka filmowa. Na pewno nie jest tematem pulsującym na marginesie, tylko pełni konkretną funkcję: odpowiednio interweniuje oraz ma odpowiedni stosunek do dialogu i ruchu kamery. Nie musi być efektowną melodią. I ważne jest tzw. zgranie.

Czyli?

Pokaz zmontowanego obrazu ze skomponowaną muzyką. Na takim zgraniu obok reżysera powinien być także kompozytor. Gdy reżyserzy nie prosili mnie na zgranie, czułem się pokrzywdzony.

A jak było z „Doliną Issy” w reżyserii Tadeusza Konwickiego? Świetnie pamiętam niepokojącą ścieżkę dźwiękową – uparczywie powtarzane dzięki.

Konwicki akurat nie zaprosił mnie na zgranie, lecz wiem, że czuł i lubił moją muzykę. A jeśli ktoś podobnie czuje, to nic nie popsuje.

W teatrze jest łatwiej?

To zależy, gdzie jest teatr. Najlepiej pracuje mi się w Krakowie, wtedy łatwiej uczestniczyć w próbach.

To jak było z Konradem Swinarskim przy „Dziadach”?

Niezwykle, bo Swinarski był totalny – pracował całym sobą. A próby odbywałem z trzema orkiestrami. Ćwiczyliśmy w różnych salach teatralnych. Również przejścia orkiestr, które w trakcie spektaklu miały być rozmieszczone w trzech miejscach: przy wyjściu z garderób, na balkonie i w foyer. Musiałem to wszystko koordynować, a ja się kompletnie nie nadaję do organizowania czegokolwiek. Konrad wymagał, bym uczestniczył w jego próbach. „Gdzie jest Konieczny?” – wrzeszczał. „Próbuje w sali obok” – odpowiada-

dano, ale Konrad tego już nie słyszał, pochłonięty czymś innym. Wciąż mnie poszukiwał, a gdy zdyszany usiłowałem mu wytłumaczyć, gdzie można mnie znaleźć – to już do niego nie docierało. „Gdzie jest Konieczny?” – rozlegał się po chwili jego głos. „Obok, próbuje...”. Wpadałem na widownię: „Jestem, ćwiczę z muzykami...”. Ale Konrad był już w innej części sceny. Wybiegałem na swoją próbę, słysząc z oddali: „Gdzie jest Konieczny?!”.

A jak pracowało się z Grzegorzewskim?

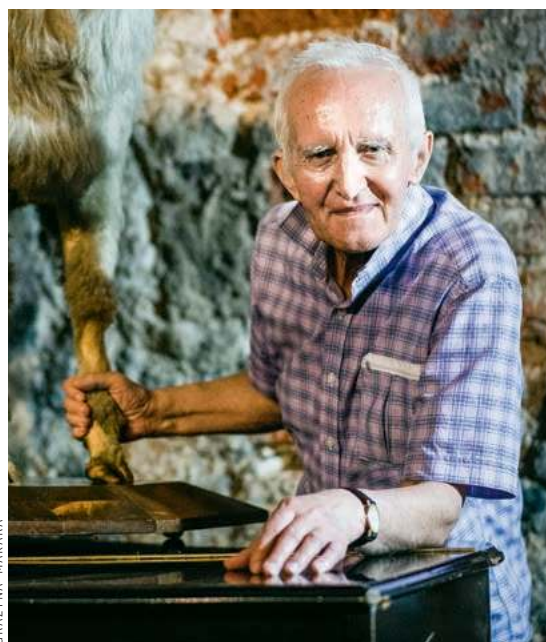
Gdy pisałem dla niego muzykę, on zawsze mówił: „Genialne, genialne”. Z początku to mi się podobało, ale z czasem wydało podejrzane. Wszystko, co piszę, jest genialne? Okazało się, że taki miał styl mówienia. Zamiast „może być” mówił „genialne”...

Rzeczywiście może zmylić.

Nawet jeśli w rozmowach z reżyserami proponowałem pewne rozwiązania, to byłem tylko wykonawcą wizji. Dlatego lubię być na próbach, bo nawet na próbie generalnej mogę coś odjąć lub dodawać. Najwięcej zmieniałem w „Biesach” reżyserowanych przez Wajdę. Dla mnie Dostojewski to był furioso. W tym czasie znajomi, którzy tworzyli zespół bigbitowy, zrobili karierę na tyle sporą, że wyjechali do RFN, gdzie kupili aparaturę z dużymi głośnikami. W Starym Teatrze były małe głośniczki zaledwie rżące, w każdym razie kultura nagrań dźwięku w ogóle wtedy nie istniała. A ja, będąc z Ewą Demarczyk w Paryżu, usłyszałem, że muzyka może wybrzmieć dynamiczniej i mieć większą przestrzeń. Gdy dowiedziałem się, że ci bigbitowcy kupili aparaturę i mogą zagrać na żywo w Krakowie, zaprosiłem ich do pracy. To było sześcioro muzyków, a ja ich podzieliłem na dwa zespoły. Jeden grał z tyłu na balkonie, drugi za kulisami. Tego typu dźwięk dawał efekt szaleństwa, który wzmacniał odpowiedni w teatrze pogłos. To był szok – na próbie generalnej aktorzy powiedzieli, żeby uważać, bo teatr się zawali.

Może bali się, że muzyka przystłoni ich rolę?

Na początku reżyser też nie był przekonany. Lecz zdarzył się dramatyczny moment: na próbie generalnej, gdy wahała się decyzja, czy moja muzyka w takiej wer-



GRAZYNA NAKARA

ZYGMUNT KONIECZNY

(ur. 1937 r. w Krakowie)
jest kompozytorem.
Debiutował jeszcze w czasie studiów – w 1959 r. w Piwnicy pod Baranami, gdzie największą sławę zyskały jego piosenki śpiewane przez Ewę Demarczyk. W 1963 r. związał się ze Starym Teatrem w Krakowie. Skomponował także muzykę do ponad stu filmów fabularnych, telewizyjnych i krótkometrażowych. Píše również dla Teatru Polskiego Radia.

sji wejdzie do przedstawienia, umarł Kazimierz Fabisiak grający Tichona. Wszyscy zajęli się tym dramatem, o muzyce nikt nie mówił. Przed premierą poszedłem za kulisy, postawiłem pół litra i mówię: „Chłopcy, grajmy...”. I oni zagrali tak, jak zaproponowałem, z ostrą dynamiką, aż koleżanka, która siedziała na widowni, spadła z dostawionego fotela. A po premierze ktoś napisał recenzję, że to okropne, a ktoś inny, że wspaniałe. Wajda wyjechał do Warszawy na tydzień i kiedy wrócił do Krakowa, zaakceptował moją koncepcję. Powiedział, że teatr może się i zawali, ale ta muzyka powinna zostać.

Bardzo dużo niepokojów wywołuje praca kompozytora.

Lubię ten niepokój – to moja frajda.

A teraz co wywołuje Pana niepokój?

Coś trochę bulwersującego: napisałem muzykę na otwarcie Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku. Otwarcie było w sierpniu, a muzyka nie została wykonana z powodu pandemii. Nie wiem, czy będzie jeszcze wykonana.

A co Pana odpręża, gdy Pan nie pracuje?

Uprawianie rozrywki. Bywam w Vis-à-Vis, kawiarni blisko Piwnicy. Tu spotykam znajomych – plotki, intrygi, rozmowy.

W Vis-à-Vis jest nawet wydawane pismo miesięczne – kronika bywalców...

Czytam je regularnie. Ostatnio dowiedziałem się, że Mrozek był mrukiem i egoistą. To mnie zdziwiło, miałem inne wyobrażenie. O Demarczyk też można by wiele rzeczy mówić, ale teraz jeszcze nie wypada. Wiadomo, że była impulsywna, władcza, agresywna. I nawet jeśli to nie sprawdzało się w życiu codziennym, to stawało się wielkim walorem na scenie. Ktoś twierdził, że ona była zupełnie inna prywatnie. A ja uważam, że była taka sama na scenie, jak poza nią.

Jeszcze mnie ciekawi, jak wygląda dzień, w którym Pan komponuje. Zwyczajnie.

Panie Zygmuncie!

Inspirację czerpię z różnych źródeł... Na przykład w radiu, najczęściej w Dwójce, coś usłyszę, co mi się nie podoba, to zaraz chciałbym zmienić i to jest moją inspiracją.

Serio?

Sprzeciw jest moją inspiracją.

A wiersz, do którego ostatnio napisał Pan muzykę?

Wiadomo: Leśmian – „Niewidzialni”. W listopadzie w Piwnicy zaśpiewa go Magdalena Pamuła. Proszę posłuchać pierwszej strofy: „Niewidzialnych istot tłumy sąsiadują z nami wszędzie. I kto kogo ujrzy pierwszej? I kto komu duchem będzie?”.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



Krzysztof Varga, Warszawa 2018 r.

Kronika upadków

ANDRZEJ STASIUK

Cóż zrobić z Tomaszem Mannem, jeśli nie zna się Zenka Martyniuka. Życ w próżni zachwyty? Na stawie może i smacznej, ale bez świadomości, czym jest głód?

ACH, TEN PŁOMIEŃ KULTURY! WABI umysły, serca i dusze, by potem je trawić niczym ogień piekielny. Jak słodka trucizna jest kultura. Wchodzi w omdlewające z rozkoszy członki, by potem długo i boleśnie dręczyć, przypiekać nerwy, a może i na koniec zabić. Nie mamy szans z kulturą, powiadam wam, nie mamy. Pragniemy jej, pożądamy, śnimy po nocach i poszukujemy obok zaraz po przebudzeniu. Ale ona, jeśli nawet przyniosła chwilowe ukojenie, pozór spełnienia, to jest już gdzieś indziej i zdradziecko zaspokaja innych spragnionych, obcych nam, a może nawet naszych wrogów. Parafrazując słowa pieśni warszawskiego barda Stanisława Grzesiuka: Kultura daje szczęście na chwilę, a potem gryzie jak leśny wąż.

KRZYSZTOF VARGA NURZA SIĘ W KULTURZE jak jego tytułowy hipopotam w nurtach Nilu albo Limpopo. Nurza się i pożera nieustannie kulturę, trawi ją jak jakiś mokotowski boa. Bez różnicy, wszystkożernie. Pożera pudło z dwiema setkami

płyt Jana Sebastiana Bacha i Blankę Lipińską. Trudno zgadnąć, który żer wprawia go w większą ekstazę. Bo Varga to żarłok ekstatyczny. Bulimik wzdęty od nadmiaru. Syty i zarazem ze zgałą. Ukojony Bachem i rzygający Blanką, ale wciąż niezaspokojony. Jak ci Rzymianie, co jedli, a potem kazali się laskotać piórkami w przełyki, żeby zrobić miejsce na więcej. Zachwyt i obrzydzenie splatają się w jego „Dzienniku hipopotama” nierozzerwalnie. Nie istnieją bez siebie.

Bo cóż zrobić z Tomaszem Mannem, jeśli nie zna się Zenka Martyniuka. Życ w próżni zachwyty? Na stawie może i smacznej, ale bez świadomości, czym jest głód? Albo że istnieją potrawy nie do przełknięcia, którymi inni wszak odżywiają się na co dzień? Istne sadomaso. Barykaduje się Varga w bachowskomannowskiej kościanej wieży, ale nie może w niej usiedzieć i raz po raz ją opuszcza, by nurzać się w upadku, w sromocie i upodleniu. W grzęzawisku blichtru, łże-literaturki, półmuzyczki, niedodramatów, w małym bredzeniu autorytetów.

Odmawia temu wszystkiemu miana kultury, a jednocześnie cierpi, bo widzi, jak miliony podążają za lucyferycznym blaskiem, biorąc go za prawdziwe światło. Podążają jak wieprze ku krawędzi urwiska. Cierpi i złorzeczy jak dawni prorocy. Wraca do mokotowskiego eremu spisywać swoje jeremiady.

JEDNAK GDY SKOŃCZY SIĘ SERIAL na Netflixie, jeden z dziesiątków jego ulubionych (jakby nie chciał wiedzieć, że dobre serie to ostateczny i śmiertelny cios dla powieści, która dla niego jest koroną literatury i wielką, niespełnioną miłością), wymyka się jak pijak na shota, jak ćpun na bajzel, żeby zażyć kolejną dawkę trucizny. Mniejsza o to, że najczęściej alkohol jest sfalszowany i smakuje jak denaturat, i oślepia jak metyl, mniejsza że diler do towaru dodaje strychninę albo mielone szkło. Ważne są te chwile tuż przed i nadzieja, że tym razem będzie tak wspaniale, jak za pierwszym razem, gdy oglądało się album z reprodukcjami Breughla, albo pierwszy raz czytało dorosłą powieść. Niewiele z niej rozumiejąc, ale wchodziło się do nowego świata, który był większy i mocniejszy niż rzeczywistość. Ale ni chu-chu nie jest. Jest metylowy kac i krwawią oczy, jest zjazd w depresję, siostrę taniego wzlotu.

„DZIENNIK” TO W ISTOCIE kronika upadków. Wylicznanka klęsk. Rejestr zawodów. Lament nad zdradami. Prawie wszystko, czego Varga dotknie, zamienia się w popiół, w muł, w badziew. Tak jakby sam jego dotyk miał moc unicestwienia. Maniacko szuka ciepła w ogniu kultury, ale doznaje przede wszystkim oparzeń. Oczywiście parzy go głównie Polska. Polska literatura, polskie kino, polski teatr, polskie wszystko. No jałowa ziemia. Żadnego huku, tylko skomlenie. Ulga jedynie w kulturach obcojęzycznych. Głównie oczywiście na Netflixie. Aż chciałoby się przywołać paragraf ze stalinowskiego kodeksu karnego: „Człobitność wobec Zachodu”.

Vardze jednak będzie wybaczone, ponieważ nie oszczędza również samego siebie. Kto wie, czy nie najbardziej. W środku nocy budzi go myśl, że umrze i nie zdąży obejrzeć wszystkich seriali, które sobie zaplanował. Katuje siebie i czytelnika swoją starością, niedoęstwem uczuciowym, pisarską frustracją, memla się w resentymentach, wybebe-

sza w duchowym seppuku i kwili nad tym, że na świecie chcą go czytać tylko Węgrzy i Serbowie. Szydzi z literackich nagród, których od lat niesłusznie nie dostaje. Odsłania się, bo przecież dobrze wie, że czytelnikowi należy się coś w rodzaju uczciwości. Zwłaszcza czytelnikowi dziennika. Chociaż, co bardziej prawdopodobne, chce zginąć razem ze światem, któremu wymierza sprawiedliwość. Jak kapitan, który zatapia własny statek, statek kultury, ale razem z nim idzie na dno. Titanic i „Śmierć Sardanapala” w jednym.

KULTURA TO KLATKA. Duszna, klaustrofobiczna, bez wyjścia. Wygląda jednak na to, że Vardze w tej klatce dobrze. Syci się i napawa marnościami. Sardonicznie kontempluje przepaść między tym, jak jest, a tym, jak być powinno. Być może ma rację. Być może sami stworzyliśmy sobie więzienie. Przeoczyliśmy moment, w którym kultura wyrodziła się w maskulturę, i pozwoliliśmy tej drugiej, by opłótła nas swoją siecią, i teraz tracimy oddech. No ale przecież miało tak być. Chcieliśmy, żeby wyklęty lud ziemi został wreszcie uwolniony i zaspokojony. Chcieliśmy, żeby wolność stała się powszechnym przywilejem. I ty, Varga, chciałeś, i ja, i wszyscy porządni ludzie, których znamy. Tego chcieliśmy, więc nie odwracajmy teraz kota ogonem.

Lud wyłonił i Zenka Martyniuka, i Maję Staśko, i Dawida Podsiadkę, i setki innych, żeby ich wiedli przez jałową ziemię, przez pustynię od źródła do źródła, od studni do studni, aby nie pomarli z pragnienia. Za tobą pójdzie niewielu albo zgoła nikt. Bo żaden z ciebie czuły narrator. Próbujesz napoić lud octem i żółcią. Oczywiście twoja opowieść jest bliższa prawdy, bo przecież taki właśnie smak czujemy na koniec w ustach. Lecz któż pragnie go poznać, zanim nadejdą dni? ©

OD AUTORA

Szanowni Państwo, z żalem zawiadamiam, że chwilowo zawieszam swoją działalność felietonową na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Przygniecione ogromem spraw społeczno-kulturalnych zawieszam ją do listopada. Proszę o wybaczenie i pozdrawiam.

ANDRZEJ STASIUK

zanim wylicytujesz...

...zobacz jak Albin Talik pokochał Conrada!

ALBIN TALIK: Moja twórczość to montaż obrazów z tysięcy fragmentów papieru. Tym razem posłużyłem się „Tygodnikiem Powszechnym” – w dziele znajdują się fragmenty zdjęć ks. Bonieckiego oraz innych bohaterów okładek pisma. Hasło tegorocznego Festiwalu Conrada „Widzialne i niewidzialne” podsunęło mi myśl o umieszczeniu w portrecie pisarza symboli związanych z jego życiem i twórczością. Rozpoznają je Państwo?

Więcej: w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”

CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. ARCHIWUM ALBINA TALIKA

Koniec świata w Legnicy

DARIUSZ KOSIŃSKI

Teatr Modrzejewskiej zaczął sezon od przedstawienia o rozpadzie świata i kłęsce tego, kto go spajał. Niespodziewanie życie zaczęło grać wokół sceny bardzo podobny scenariusz.

JACEK GŁOMB JEST DYREKTOREM TEATRU w Legnicy od 26 lat. Objął jego kierownictwo w 1994 r., gdy jeszcze było to Centrum Sztuki – Teatr Dramatyczny w Legnicy. Pięć lat później kierowana przez niego instytucja zmieniła nazwę na Teatr im. Heleny Modrzejewskiej. Była już wtedy i jest do dziś jedną z najbardziej (jak to się mówi w języku biznesu) rozpoznawalnych i stabilnych marek na polskim rynku teatralnym.

Nie jest żadną przesadą stwierdzenie, że Głomb stworzył Teatr Modrzejewskiej ze wszystkim, co się z tym miejscem kojarzy, a co w sposób niemal nieprawdopodobny godzi ludzi o różnych gustach, poglądach i uprzedzeniach. Teatr pozostaje w silnym związku z tradycjami teatru dramatycznego, aktorskiego i reżyserskiego, jednocześnie nie popadając w zleniawiającą manierę maskowaną legendą o „ziemiośle” (ono jest tu po prostu szanowane). Jest mocno polityczny, ale nie partyjniacki i nie propagandowy. Jest krytyczny, ale nie posuwa się do niekończącego się potępiania w czambuł.

Choć poglądy jego dyrektora są wyrażone określone i głośno formułowane, to praktyka kierowanej przez niego sceny pozostaje pluralistyczna, a świat, który tu stworzył, zachowuje własną ekologiczną dynamikę sprawiającą, że życie w nim bujnie rozkwita. Legnica od lat jest ukazywana jako wzór teatru funkcjonującego w stosunkowo niewielkim ośrodku, a stanowiącego centrum i rozsądnik twórczego i kulturalnego życia promieniującego na kraj i zagranicę. Wydawało się więc, że komu jak komu, ale Głombowi nic nie grozi.

Tymczasem na samym początku tego sezonu gruchnęła wieść, że osławiony już w świecie teatralnym Zarząd Województwa Dolnośląskiego przyjął uchwałę deklarującą zamiar ogłoszenia wiosną przyszłego roku konkursu na stanowisko dyrektora Teatru im. Heleny Modrzejew-

skiej, tym samym odrzucając wniosek Jacka Głomba o przedłużenie jego kadencji. Solidna i rozpoznawalna marka, płynące zewsząd pochwały, wsparcie zespołu, a nawet rekordowe dotacje od obecnego rządu – wszystko to nic nie znaczy. Zarząd chce konkursu, bo...

Parada pytańników

No właśnie – bo co? Po co ten konkurs? – pytają wszyscy w teatralnym ulu. Z domysłów i odpowiedzi zbudować by już można osobny dodatek do „Tygodnika”, a i tak nie ma do końca pewności, czy ktokolwiek zna odpowiedź. Chyba kulą w płot są upraszczające domniemania, że to kolejny etap walki PiS z niechętnymi mu ludźmi kultury.

Walka taka trwa, ale akurat w przypadku Legnicy sytuacja jest inna: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego udziela Głombowi wsparcia, a w sejmiku wojewódzkim nie rządzi wyłącznie PiS, lecz koalicja z udziałem Bezpartyjnych Samorządowców, w dużej części związanych kiedyś z PO, którą opuścili po kolejnych starciach frakcyjnych. To z tego ugrupowania wywodzi się marszałek Cezary Przybylski, który wydawał się Głombowi przychylny i który w 2017 r. podpisał przedłużenie jego kontraktu. Co się zatem zmieniło, że marszałek, który już raz się na teatrze boleśnie sparzył (to on jest współodpowiedzialny za upadek Teatru Polskiego we Wrocławiu), postanowił zafundować sobie powtórkę z niezabawnej rozrywki?

Może chodzi o przewrotne wsparcie Głomba, który startując w konkursie i wygrywając go, umocniłby swoją pozycję? A może wręcz przeciwnie – stoi za tym jakaś przebiegająca nóżkami, nadto ambitna figura w rodzaju Cezarego Morawskiego? Może to efekt podnoszącej się w kraju, a wcale niemającej jednorodnych barw partyjnych fali mającej uciśnić teatr? A może po prostu cała ta afery-

wynika z nieznajomości i lekceważenia teatru przez ludzi, którzy do niego nie chodzą?

Zapytany w końcu wprost przez dziennikarza Radia Wrocław Cezary Przybylski odpowiedział, że dotychczasową dyrekcję ocenia pozytywnie, ale konkurs zostanie ogłoszony jako rodzaj sprawdzianu: „My też jako samorządowcy jesteśmy poddani weryfikacji, co kilka lat. (...) [Konkurs] to jednak jest kwestia spojrzenia na tą drogę, którą się przeszło, kwestia głębszych przemyśleń, kwestia koncepcji, w którym kierunku instytucja powinna pójść. No, w końcu też jesteśmy państwem demokratycznym i jeżeli są możliwości przeprowadzenia takich konkursów...”. To się je robi?

Na tę pokrętną logikę Głomb odpowiada, że gdyby – tak jak to jest w przypadku samorządowców – wybory na dyrektora teatru były powszechne i bezpośrednie, to bez wahania by do nich stanął. A z decyzją wzięcia udziału w konkursie planowanym na przyszły rok czeka na jego ogłoszenie. Dobrze przecież wie, że ta rzekomo demokratyczna i transparentna procedura zmienia swój charakter w za-





KAROL BUDREWICZ / TEATR MODRZEJEWSKIEJ W LEGNICY

Miroslaw Zbrojewicz jako Król Lear w spektaklu w reż. Anny Augustynowicz, Teatr Modrzejejskiej w Legnicy

leżności od wpisanych w ogłoszenie warunków i składu komisji, stanowiąc wyjątkowo podatne na manipulacje narzędzie usuwania niewygodnych.

I choć urzędnicy zarzekają się, że ogłosili tylko zamiar, że konkurs jest otwarty, że Głomb przecież też będzie mógł startować, to historie głośnych konkursów dyrektorskich z ostatnich lat nie pozostawiają wątpliwości, dlaczego już samo ogłoszenie zamiaru zostało potraktowane jako zamach na obecną dyрекcję i wzbudziło protesty. Jakoś nie chce się wierzyć, że marszałek Przybylski, po historii z konkursem w Teatrze Polskim we Wrocławiu, wierzy w tę demokrację, o której opowiadał w radiu.

Gdy sytuacja niejasna, budzą się przecucia, wyostrza wzrok widzący znaki i wróżby. Na przykład przestaje się mieć pewność, czy to wyłącznie zbieg okoliczności, że kilkanaście dni po ogłoszeniu decyzji Zarządu Województwa teatr w Legnicy zainaugurował sezon dramatem, który – gdyby go streścić bardzo jednostronnie – jest ilustracją tego, co się dzieje, kiedy władza ogłasza nieprzemysłane konkursy.

Oglądając „Króla Leara” w kontekście zamieszania wokół dyrekcji Głomba, prawie nie mogłem się pozbyć zestawień tak prostych, że aż śmiesznych. Czyż Lear nie chciał być „transparentny”, ogłaszając konkurs na miłość córek? Czyż w jego efekcie nie została mu dana rzeczywistość wyjątkowa szansa „spojrzenia na tę drogę, którą się przeszło”, i cała masa „głębszych przemyśleń”? Brytania króla Leara nie była wprawdzie państwem tak demokratycznym jak dzisiejsza Polska w oczach marszałka Przybylskiego, ale nie wydaje mi się, by ta akurat różnica chroniła przed katastrofą, którą z chirurgiczną precyzją reżyseruje w Legnicy Anna Augustynowicz.

Pryzmaty

Jej inscenizacja „Króla Leara” została zbudowana na kilku wyrazistych konceptach niejako na siebie nachodzących i wzajemnie się – jeśli można tak powiedzieć – udwuznaczających. Nawet jeśli wyjściowo wydają się trikami, to przecinające się linie interpretacyjne, które wprowadzają, tworzą sieć rozszczeplającą banał na złożoną grę światłocieni.

Koncept najbardziej oczywisty to kompozycja obsady: wszystkie role poza jedną, tytułową, grają kobiety dobrane i zaaranżowane jak instrumenty, przez co nie należy rozumieć jedynie warunków głosowych i muzycznych, ale swoje tony i barwy związane z wiekiem, cielesnością, temperamentem, a nawet stylem gry i pamięcią ról poprzednich. Reżyserka komponuje przedstawienie, biorąc pod uwagę wszystkie te czynniki, a także uruchamiając w poszczególnych momentach zmienne rejestry i rozpoznawalne konwencje teatralne.

W efekcie otrzymujemy i wyraziste postacie zbudowane na zasadzie innej niż tradycyjna „aktorska interpretacja roli”, i rodzaj chóru otaczającego głównego bohatera. Ten chór jest na dodatek zbudowany z aktorek dwóch zespołów: Teatru Modrzejejskiej i Teatru Kochanowskiego w Opolu, które współprodukowały przedstawienie. Dochodzi w nim siłą rzeczy do interesujących podwojeń (np. Kent Anity Poddębniak i Hrabia Gloucester Judyty Paradzińskiej – znakomitych aktorek mających w swoich macierzystych zespołach nieco podobne pozycje), kontrastów (władczy Jowisz Katarzyny Dworak i chwilami niemal ciapciowata Junona Magdaleny Maśnicy) i przesunięć (wszystkie córki Leara grają aktorki legnickie), które dodatkowo zagęszczają znaczenia.

Lear też jest wykreowany ze świadomością tego całościowego aktorskiego tonu, który wnosi mocna decyzja obsadowa. Miroslaw Zbrojewicz zdaje się należeć do zupełnie innego świata niż otaczające go koleżanki – i jako mężczyzna, i jako aktor gościnny, i jako świetnie rozpoznawalna postać ekranowa. Skrót „Grucha gra Leara” brzmi może nieco zbyt trywialnie, a pewnie i niekoniecznie przyjemnie dla aktora, ale nie mogę od niego uciec, bo wydaje mi się trafiać w sedno.

Pamiętacie oczywiście gangstera Gruchę z filmu Olafa Lubaszenki „Chłopaki nie płaczą” – kultową wręcz postać zakapiora o gołęim sercu, którego Zbrojewicz wykreował tam precyzyjnie, odmierzając proporcje agresji, zdecydowania i pełnej humoru ironii. No i właśnie jego Lear u Augustynowicz jest utrzymany w podobnych rejestrach: gniewne frazy wypowiada charakterystycznym chrapliwym głosem, bez wysiłku i naddatku ekspresji dając im znamiona wściekłości. Tyle że nigdy w nią nie wpada i nawet gdy przeklina wyroczne córki, wydaje się

→ jednocześnie przyglądać własnym przekleństwu, brać siebie w nawias, obserwować bez złudzeń, z ironią, a nawet wiśliczym humorem.

To obserwowanie siebie, które najbardziej widoczne jest w postaci Leara, ale pojawia się też u innych, prowadzi ku kolejnemu conceptowi, jakim jest ujęcie wydarzeń scenicznych w metateatralną ramę. Aktorki niebiorące udziału w akcji schodzą na widownię i stamtąd obserwują przebieg gry, czasem komentując ją, trochę tak jak to się robi na teatralnej próbie. W podobny nawias brany jest też Lear, który nawet siada w pewnym momencie na scenie z egzemplarzem tekstu w rękach i dopowiada niektóre kwestie partnerkom. Ta metateatralna rama działa jak filtr wytwarzający charakterystyczny dla teatru Anny Augustynowicz efekt dystansu, zabezpieczający przed zbyt wciąganiem w grę. Zejście ze sceny stanowi rodzaj nagłego zerwania – nie dysonansu, ale właśnie radykalnej zmiany, która nie pozwala dać się ponieść ani emocjom, ani instrumentacyjnej wirtuozerii.

Ludzkiemu działaniu towarzyszą przez cały czas trzy boginie (tak, bo wszystkie są kobietami): Jowisz, Junona i Minerva (Katarzyna Osipuk). Nie tylko oglądają z widowni teatr scenicznego świata, ale mają też prawo zatrzymać jego akcję pstryknięciem palców, by wygłosić komentarz dotyczący ludzkich wyborów, dokonują otwartych zmian w układzie przestrzennym, a w końcu komentują też samą grę koleżanek posługując się ich prywatnymi imionami. Ich pozycja jest więc bliska pozycji reżyserek.

Tyle tylko, że w przedstawieniu wielokrotnie dochodzi do kompromitacji ich władzy. Boginie nie mają rzeczywistego wpływu na wydarzenia. Błaganie ich o cokolwiek nie ma sensu. Owszem – mogą skomentować grę czy zainscenizować sytuację, ale nie rządzą światem przedsta-

Szekspirowski klasyk został rozpleciony na nitki,

które biegnąc obok siebie, czasem przecinając się czy splatając, nie chcą ułożyć się we wzniosłą czy choćby wzruszającą tragedię.

wienia, który od początku, od pierwszej decyzji Leara aż do końca wymyka się z rąk usiłujących go pochwycić, by rozpaść się, a właściwie – rozpruć na naszych oczach.

Historia wesoła, a ogromnie przez to smutna

Szekspirowski klasyk został przez Augustynowicz rozpleciony na nitki, które biegnąc obok siebie, czasem przecinając się czy splatając, nie chcą ułożyć się we wzniosłą czy choćby wzruszającą tragedię. Augustynowicz pozbawia apokalipsę Leara wszelkich uzasadnień i usensownień, także emocjonalnych i afektywnych, obnażając bezwzględnie okrutną tragikomiczność tego teatralnego końca świata.

Początkowo wszystkie przeprowadzone przez nią zabiegi, cała ta konstrukcja z conceptów nakładających się jedno na drugie wywołuje konfuzję. Wszystko zaczyna się (a przynajmniej dla mnie zaczęło) układać w sekwencji burzy – w słynnej scenie szaleństwa wyganianego z zamku Leara. Pozbawiona emocjonalnej ekspresywności, wyposażona zamiast niej w dbałość o wypowiedziane słowa, zyskała sens rozpoznania tego kłębówiska, które ukrywamy pod teatrem życia codziennego i odświeżonego. To właśnie w tej scenie na pierwszy plan wysuwa się (i już na nim zostaje do końca) postać grana przez Weronikę Krystek. Stworzona przez połączenie Błazna i Edgara, wyposażona w giętkość i wielość rejestrów, nad którymi młoda aktorka panuje z godną podziwu precyzją, grana z czymś, co można by określić jako chłodną energię, staje się przewodniczką Leara i naszą w tej podróży do kresu nocy.

Spektakl Augustynowicz brzmi szczególnie mocno w kontekście powtarza-

nych (zwłaszcza od marca) też o nadchodzącym (lub już następującym) końcu świata, jaki znamy. Przez uczynienie z Leara jedynej postaci granej przez mężczyznę reżyserka ów koniec rozgrywa jako koniec „męskiego świata” z jego rywalizacyjną i wojenną logiką. Jednocześnie wystawia na szyderstwo pewien rodzaj masochistycznej przyjemności, jaki czerpiemy z przekonania o nieuchronności apokalipsy.

Lear Zbrojewicza wcale nie wydaje się zaskoczony tym, co się dzieje w wyniku jego rezygnacji. To on sam sprowadza na siebie koniec, by następnie przeżywać jego konsekwencje, zwalniające go stopniowo z wszelkiej odpowiedzialności i umożliwiające mu zajęcie najbardziej pożądanej pozycji współczesnego świata – pozycji ofiary. W ostatnich słowach, jakie do nas mówi, domaga się współczucia i łez, ale nawet to zostaje wzięte w nawias przez gest Błazna teatralnie wycierającego sobie oczy chusteczką.

Reżyserka ani na moment nie pozwala nam współczuć (w dosłownym tego słowa znaczeniu) z Learem czy Gloucesterem (scena jego oślepienia rozgrywana jest jednocześnie z precyzyjnym chłodem operacji i w parodystycznym nawiasie). Przez nieustanne zmiany perspektywy umieszcza nas w pozycji niezwykle dwuznacznej – patrzymy na apokalipsę, na rozpad, ale zarazem nie jest nam dane prawo, by uciec w przejście się nim, bo tym, o czym mamy się przekonać i zaświadczyć, jest nasze zakorzenienie w kresie, nasze bycie ku rozpadowi, któremu przeciwstawiamy się tworząc własne kruche światy.

Legnicki „Król Lear” nie jest teatrem absurdu, lecz tragicomedią, w której do łask wraca pierwszy człon nazwy. Bez patosu i wzniosłości odsłonięty i dany do przeżycia zostaje tragiczny aspekt naszej egzystencji, osadzony nie w heroicznych aktach, burzy pożądań czy intrygach chciwości, ale w głupim, drobnym błędzie, w wypowiedzianym lub nie słowie, w zrobieniu czegoś, bo można, choć wcale nie trzeba.

To nie jest przedstawienie łatwe. Nie jest też przyjemne. Ale z pewnością można wobec niego użyć słowa, które w odniesieniu do teatru pojawia się rzadko: to jest przedstawienie mądre. Bardzo byłoby dobrze, żeby marszałek Przybylski uważnie je obejrzał. Najlepiej z całym zarządkiem. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Lovecraft Country”

Dziedzictwo podporządkowanych

JAKUB MAJMUREK

Obcujemy z dziełem, które jest hołdem dla horroru, a jednocześnie rozliczeniem z tym gatunkiem, także w jego śmieciowych przejawach.

TYTUŁY BYWAJĄ ZWODNICZE. „Lovecraft Country” nie jest ani serialem o amerykańskim mistrzu horroru H.P. Lovecraftie (1890–1937), ani ekranizacją żadnego z jego dzieł. Lovecraft i jego wszechświat służą twórcom za odległe źródło inspiracji, na tyle odległe, że fani pisarza, szukający na ekranie klimatów bliskich jego prozie, mogą poczuć się zawiedzeni.

Stawką serialu jest jednak coś innego: próba przeczytania klasyki kultury popularnej – kina i literatury grozy, pulpowych powieści i filmów klasy B – przez pryzmat współczesnych dyskusji o rasie, toczących się w cieniu takich zjawisk, jak nowa czarna popkultura symboli-

zowana przez sukcesy Marvelowskiej „Czarnej pantery” czy oscarowego horroru „Uciekaj” Jordana Peele’a; jak ruch Black Lives Matter czy związany z prezydenturą Trumpa renesans białej polityki tożsamości, mniej lub bardziej otwarcie niechętniej prawom czarnych.

Egzorcyzm na popkulturze

Serial oparty jest na powieści Matta Ruffa, którą recenzent „Guardiana” nazwał próbą dokonania egzorcyzmu na amerykańskiej popkulturze, uwikłanej w podtrzymywanie rasistowskich wyobrażeń. Ruff sam pochodzi z białej rodziny luteńskich duchownych, ale w centrum swojej powieści stawia grupę czarnych

bohaterów ze ściśle podzielonego wzdłuż rasowych linii Chicago lat 50.

Najważniejszy z nich to Atticus Turner. Poznajemy go, gdy wraca do Chicago wezwany przez ojca, z którym od dawna pozostaje w konflikcie. Nie najlepsze relacje między mężczyznami ostatecznie pogorszyła decyzja Atticusa, by jako ochotnik zaciągnąć się na wojnę w Korei. Młody mężczyzna chciał wyrwać się z czarnego sąsiedztwa, gdzie spędził całe życie, i poznać świat. Liczył na to, że udział w wojnie zapewni mu szacunek, którego jako czarnemu jego kraj odmawiał mu niemal codziennie przez pierwsze 20 lat życia. Nie wiemy, co stało się dokładnie w Korei, ale Atticus z całą pewnością nie znalazł tam tego, czego pojechał szukać.

Jeszcze przed wyjazdem do Korei Atticus szukał dróg ucieczki – głównie w fantastycznej, często pulpowej literaturze. Książki otwierały mu drzwi do fantastycznych światów, niezwykłych przygód i silnych emocji. Często jednak przynosiły bolesne rozczarowania, dając odczuć czarnemu chłopakowi, że nie były pisane dla takich ludzi jak on.

Jedno z pierwszych wspomnień Atticusa z dzieciństwa, jakie poznajemy w serialu i książce, dotyczy młodszej lektury Lovecrafta, którego chłopak czyta z wypiekami na twarzy. Jego ojciec, ➔

→ niepochwalać fascynacji syna fantastyki pisaną przez białych i dla białych, zabiera potomka do biblioteki i pokazuje mu pewną starą, zakurzoną publikację – mniej znany utwór pisarza, wiersz „On the Creation of Niggers” („O stworzeniu czarnuchów”). Podmiot liryczny przedstawia w nim moment stworzenia świata: olimpijscy bogowie kształtują człowieka na podobieństwo Jowisza, a następnie różne zwierzęta. Bogowie uznają jednak, że człowiek za bardzo oddalony jest od zwierząt – by połączyć te dwie kategorie bytów, tworzą „pośrednie ogniwo”: czarnych.

Bogowie wrogowie

Eksperci nie są zgodni, czy wiersz, który przetrwał tylko w rękopisie, na pewno jest autorstwa Lovecrafta, choć większość zgadza się, że raczej tak. Bez wątplenia pasuje do rasowych poglądów autora. Lovecraft był bowiem postacią paradoksalną, idealnie nadającą się do tego, by ustawić ją w centrum egzorcyzmu, jaki nad amerykańską popkulturą odprawiają powieść Ruffa i powstały na jej podstawie serial.

Ten aktywny w latach 20. i 30. autor zdefiniował język i wyobraźnię literatury grozy ostatnich stu lat, zabierając ją nie tylko w XX, ale nawet XXI wiek. Mimo wszystkich gotycyzmów, zamiłowania do anachronizmów i słów wprost z zakurzonych, od dawna nieużywanych słowników, Lovecraft był pisarzem zaskakująco nowoczesnym. Mroczna mitologia, jaką tworzy na kartach kolejnych utworów, jest radykalnie materialistyczna, a nawet posthumanistyczna.

Wszczęświat jest u niego zimnym miejscem, zamieszkałym przez przerażające, starsze i potężniejsze od człowieka istoty, obojętne, jeśli nie wrogie nam „bogów”, którzy nawet jeśli na chwilę zostawili ziemię ludziom, kiedyś powrócą, by objąć ją we władanie. Nie ma żadnego opatrnościowego planu, zakładającego szczęśliwe zakończenie historii ludzkości



Howard Phillips Lovecraft

WRITER PICTURES / FORUM

– na tym czy na innym świecie. Człowiek jest nie tylko bezradny wobec kosmicznego horroru, jaki toczy się u jego boku, ale też nie jest w stanie znieść prawdy o swoim położeniu w kosmosie. Skonfrontowani z tą prawdą bohaterowie popadają w obłęd.

Równie pesymistyczna, pozbawiona nadziei, wyrażona w duchu materialistycznego determinizmu mitologia przenika całą współczesną (pop)kulturę: od gier wideo przez komiksy, prozę, kino po twórczość takich intelektualistów, jak francuski pisarz Michel Houellebecq, brytyjski krytyk Mark Fisher czy amerykański filozof Eugene Thacker. Ten ostatni w Lovecraftzie widzi najważniejszego autora na XXI wiek – epokę, gdy katastrofa klimatyczna wymusi na nas konfrontację z obrazem „nieludzkiego”, wrogiego człowiekowi świata.

A przy tym Lovecraft, twórca prozy wyprzedzającej swoją epokę, pozostawał postacią wyjętą z głębokiej przeszłości. Najchętniej prowadziłby życie XIX-wiecznego dżentelmena żyjącego z kapitału, dyletancko zajmującego się nauką i literaturą – rodzinne pieniądze skończyły się jednak, zanim osiągnął pełnoletność. Nowoczesne miasto go przerażało.

Poglądy pisarza na każdą grupę inną od białych, anglosaskich protestantów pochodziły co najmniej sprzed wojny secesyjnej. Jego listy obfitują w antysemitkie teorie spiskowe i rasowe inwektywy. Te poglądy pulsują też w prozie Lovecrafta. Historie o pradawnych kosmicznych siłach zawierają rasowe hierarchie (rządzona przed człowiekiem Ziemia kosmiczna rasa ma podporządkowaną sobie rasę sług) i fantazje o „degeneracji rasy”. Emigranckie dzielnice wielkich miast – pełne Żydów, katolickiej klasy pracującej, a już zwłaszcza czarnych – pisarz

przedstawia jako siedlisko zepsucia, zła, przemocy i zagrożenie dla „prawdziwej”, białej anglosaskiej Ameryki.

Mniejszości, a zwłaszcza czarnych, przedstawiał w ten sposób nie tylko Lovecraft, ale także duża część amerykańskiej popkultury, w tym kino i telewizja. „Narodziny narodu” (1915), film D.W. Griffitha uważany za jedno z pierwszych pełnometrażowych arcydzieł amerykańskiego kina, portretuje okres rekonstrukcji po wojnie secesyjnej jako dotykający amerykańskie Południe horror. Idylliczny świat plantacji, posłusznych niewolników, wytwornych dam i dzielnych dżentelmenów zostaje najechany przez zrewoltowanych czarnych z Północy, którzy burzą zastany ład, niszczą strukturę społeczną i stwarzają zagrożenie dla czci, zdrowia i życia białych kobiet.

Horror prawdziwy

Serial „Lovecraft Country” dokonuje odwrócenia tego obrazu. Czarni nie są tu źródłem grozy, ale tymi, którzy jej doświadczają. Atticus trafia w sam środek intrygi rodem z jednej z uwielbianych przez siebie powieści. W tle są sekretne loże usiłujące przy pomocy magii otworzyć wrota do świata przed wygnaniem pierwszych rodziców z raju, prastare księgi w nieznanym języku, niebezpieczne zaklęcia, potwory i demoniczne siły, starsze od najbardziej starożytnych cywilizacji.

Niektórzy krytycy amerykańscy zarzucali serialowi, że nie jest w stanie pokazać wiarygodnie przemiany swoich czarnych bohaterów, umotywować ich działań, inni zwracali uwagę na narracyjny chaos serii i często tandetne elementy, z jakich jest zbudowana. Nie są to zarzuty trafione. Atticus, jego partnerka Letitia czy stryj George wrzuceni w horror poruszają się trochę jak postaci uwięzione w koszmarze sennym, niezdolne przyjąć, że wszystko, czego doświadczają, dzieje się naprawdę. Ta czasem porwana narracja doskonale pozwala nam zanurzyć się z bohaterami w grozę i absurd historii.

Powieść Ruffa składa się z ośmiu rozdziałów, z których każdy daje się czytać jak osobne opowiadanie – dopiero stopniowo układa się z nich jedna narracyjna układanka. Podobnie rozwija się serial. I choć niektóre jego elementy wyglądają jak z taniego horroru, to tak ma właśnie być – obcujemy z dziełem, które jest hołdem dla tego gatunku, a jednocześnie roz-



JAKUB MAJMUREK będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 30 września

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

liczeniem z nim, także w jego najbardziej „śmiesciowych” przejawach.

Za komiksowymi manifestacjami horroru widać w serialu realną grozę, jakiej na co dzień doświadczali Afroamerykanie w ciągle posegregowanej rasowo Ameryce lat 50. Atticus, George i Letitia podróżują w poszukiwaniu ojca tego pierwszego z Chicago do Nowej Anglii – krainy, gdzie rozgrywa się akcja większości utworów Lovecrafta. George jest jednym z autorów i wydawcą serii przewodników dla czarnych podróżujących przez Stany. Wyjaśniających, gdzie czarny podróżny bezpiecznie może zatrzymać się na noc, zjeść obiad, zrobić zakupy. Z podobnej publikacji korzystają bohaterowie oscarowego filmu „Greenbook” (2018) – czarny wirtuoz fortepianu w trasie koncertowej, jego biały kierowca i ochroniarz. W tym pocziwym filmie o przełamywaniu rasowych uprzedzeń nie widać jednak grozy, jaką podszyte jest społeczeństwo, gdzie potrzebne są podobne publikacje.

W „Lovecraft Country” poczucie grozy narasta od chwili wyjazdu trójki bohaterów z czarnej, południowej części Chicago. Atticus i jego bliscy czują, że wystarczy wybrać zły zakręt, zjechać z drogi

Za komiksowymi manifestacjami horroru widać w serialu realną grozę, jakiej na co dzień doświadczali Afroamerykanie w ciągle posegregowanej rasowo Ameryce lat 50.

w nieodpowiednim miejscu, wstąpić do niewłaściwego zajazdu, by narazić się na przemoc, i to nawet zagrażając życiu. Choć w pierwszych odcinkach widzimy fantastyczne bestie z piekła rodem, to największe przerażenie budzą konfrontacje czarnych bohaterów z rasistowskimi stróżami prawa.

Serial oglądamy chwilę po tym, gdy Stanami wstrząsnęły protesty po zabójstwie czarnego mężczyzny George’a Floyd’a przez białego policjanta w Minneapolis. Rasa, ruch Black Lives Matter, potępienie policyjnej, urasowionej przemocy z jednej i wezwania do

prawa i porządku z drugiej są i będą kluczowymi tematami kończącej się w listopadzie kampanii prezydenckiej. Obrazy grozy ze Stanów lat 50. z jednej strony pokazują, jak wielki dokonał się od tego czasu postęp, z drugiej – jak pewne problemy, postawy i hierarchie są trwałe.

W pierwszym odcinku podróż bohaterów na wschód ilustruje w kilku scenach odtwarzany z offu monolog afroamerykańskiego pisarza Jamesa Baldwina z 1965 r. – z jego debaty na Uniwersytecie w Cambridge z konserwatywnym, broniącym „południowego stylu życia” autorem Williamem F. Buckleyem. Baldwin przekonuje, że amerykański sen został zbudowany kosztem czarnych, wyjaśnia, jak ta prawda jest racjonalizowana i wypierana przez białą większość, jak czarny odkrywa w wieku kilku lat, że flaga, której przysięgał wierność, nigdy nie zamierzała dochować wierności jemu. Splot fikcyjnej, często pulpowej fabuły osadzonej w latach 50., charyzmatycznej mowy wygłoszonej dekadę później przez wybitnego czarnego intelektualistę i problemów współczesnej Ameryki, w której oglądany jest serial, tworzy niezwykle silny artystyczny i polityczny efekt. →

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

„To moje”

→ Twórcy serialu umieszczają podobne dokumentalne dźwiękowe sample jeszcze w kilku miejscach. W kolejnym odcinku, gdy Atticus staje się wbrew swojej woli częścią magicznego rytuału sekretnej, złożonej wyłącznie z białych mężczyzn łoży, w tle słyszymy Gila Scotta-Herona – afroamerykańskiego poetę, pieśniarza, nazywanego ojcem chrestnym rapu – recytującego swój poemat „Whitey on the Moon” („Białas na Księżycu”). Podmiot liryczny opowiada tam, jak jego siostra po ugryzieniu przez szczura zaczyna puchnąć, a on nie ma ubezpieczenia zdrowotnego, nie ma czym zapłacić za jej lekarza i będzie spłacał rachunek latami. Ta litania skarg przerywana jest ciągle wersem przypominającym, że „białas jest na Księżycu”.

Napisany w reakcji na sukces misji Apollo 11 wiersz zadawał pytanie: „Co właściwie mają Afroamerykanie z wyścigu kosmicznego?”. Co „wielki krok dla ludzkości”, o którym mówił Neil Armstrong, znaczy dla czarnych mieszkańców dzielnic nędzy Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles? Czy Ameryka, zamiast ścigać się z Sowietami w kosmosie, nie powinna zainwestować w ubezpieczenie zdrowotne dla wszystkich? A jednocześnie „Whitey...” koresponduje z poszukiwaniami afrofuturyzmu, kulturowego prądu, który odpowiedział na problemy czarnych szukał w przyszłości, technologii, kosmosie.

Afrofuturyzm pytał, czy czarni mogą zdobyć przyszłość, nad „Lovecraft Country” unosi się inne pytanie: czy czarni – i inne historycznie podporządkowane grupy – mogą odzyskać przeszłość? Czy mogą powiedzieć „to moje” o dziedzictwie kultury, która przez wieki ustawiała ich w podrzędnej roli?

Książka i serial odbijają się od materiału – pulpowych powieści, tanich filmów o kosmitach, opowiadań o duchach z czasopism za kilka centów – nie zawsze traktowanego poważnie. Ale ze swoim pytaniem – zadany w chwili, gdy po obu stronach Atlantyku padają pomniki, gdy toczy się wielka dyskusja, co zrobić z problematycznym dziedzictwem – ich twórcy nie mogli się wstrześcić w lepszy czas.

© JAKUB MAJMUREK



Kadr archiwalny z filmu dokumentalnego „Tony Halik”. Meksyk, 1968 r.

Portret dwuznaczny

ANITA PIOTROWSKA

Dokument o Tonym Haliku to opowieść o kimś, kto był jednocześnie awanturnikiem i mistrzem autokreacji. Co kryło się pomiędzy tymi twarzami?

Z KIMŚ TAKIM NAWET PEEREŁOWSKI *Lockdown* mógł wydawać się trochę bardziej znośny. Zwłaszcza że Tony Halik nie miał wówczas konkurencji. Było to jeszcze grubo przed epoką trawelógów i tzw. trawelebrytów, przetwarzających dalekie podróże w masową rozrywkę i zalewających nią media. Gdyby ktoś taki wtedy nie istniał, należałoby go wymyślić. Jako uosobienie naszych globtroterskich marzeń i kolonialnych tęsknot, kosmopolityzmu i przaśnej swojskości, wreszcie – ułańskiej fantazji połączonej z hemingwayowskim macyzmem *alla Polacca*.

Ale człowiek, który potrafił zaprzyjaźnić się z indiańskim czarownikiem, uciął sobie pogawędkę z brytyjską królową i tak bardzo „lubił siebie na ekranie”, miał również swoje tajemnice, zwłaszcza dotyczące wojennej przeszłości. Dokument Marcina Borchardta, inspirowany biograficzną książką „Tu byłem” Mirosława Wleklego, to bezstronny portret kogoś, kto był jednocześnie awanturnikiem i mistrzem autokreacji. Co kryło

się pomiędzy tymi twarzami i „gębami”, trzeba sobie samemu dopowiedzieć.

Film o Haliku, zmontowany w dużej mierze z materiałów jego autorstwa, pokazuje tworzenie własnej legendy za pomocą aparatu fotograficznego i kamery wycelowanych w miejsca, o których kiedyś wypadało jeszcze mówić, że są „egzotyczne”. Już od pierwszych chwil Borchardt rozszczelnia ramy tego obrazu, konfrontując zarejestrowane na taśmie barwne opowieści z relacjami sceptyków i naocznych świadków.

Jest wśród nich Ozana Halik, amerykański syn podróżnika, który swoje imię miał otrzymać po Indianinie ratującym kiedyś ojcu życie podczas walki wrogich plemion. Rzeczywistość była znacznie bardziej przyziemna, ale kto by tam dbał o szczegóły. Tony, niezależnie czy pracował dla magazynu „Life”, stacji NBC czy później dla Telewizji Polskiej, lubił uprawiać teatr jednego aktora, w którym rodzina, południowoamerykańscy tubylcy oraz współtowarzysze podróży pełnili w gruncie rzeczy role statystów.

Materiały z dalekich wypraw chwila mrozą krew w żyłach, zwłaszcza te z udziałem syna w wieku niemowlęcym – koczownicze życie w dżipie, jaguar zakradający się do dziecka, mały Ozana krojący urodzinowy tort maczetą... Za tą niby surową fanfaronadą kryły się jednak przemyślane inscenizacje, kolejne duble i sprytnie sklejki montażowe. Już dobre kilkadziesiąt lat temu Halik wiedział, z czego się robi atrakcyjną telewizję: przede wszystkim z sensacyjnych obrazków i niespożytego gawędziarstwa. Wiedział też, z czego zrobić dobrą autobiografię.

Lecz „Tony Halik” to nie tyle historia rozlicznych mistyfikacji, co opowieść o człowieku, który w realizacji swoich marzeń nie uznawał żadnych ograniczeń. Jako żonaty z Francuzką obywatel świata miał wyjątkowo szczęśliwy start, choć pasji mógłby mu pozazdrościć niejedyn zagraniczny korespondent. Z tym samym zapałem relacjonował indiańskie rytuały, masakrę w meksykańskim Tlatelolco z 1968 r. czy porozumienia sierpniowe. Podobną iskrę w oku można było dostrzec, gdy po powrocie do Polski wraz ze swą partnerką Elżbietą Dzikowską dostarczał do polskich domów telewizyjny „Pieprz i wanilię” tudzież inne tego typu programy kręcone na przestrzeni 20 lat, a których widownia szła w miliony. Mimo licznych kontrowersji, był Halik królem życia i równocześnie naszym polskim oknem na świat.

Nie mogło zabraknąć w filmie wzmianki o flircie popularnego dziennikarza i showmana z komunistyczną władzą. To była cena, jaką ten rodzaj ambitnych obieżyświatów musiał płacić reżimowi za swoją mobilność i materialny komfort. Wśród komentujących życie Halika pojawia się zresztą sam Ryszard Kapuściński, który – choć trudno tu ich obu zestawiać, bo uprawiali zawód reportera zupełnie innego kalibru – miał na koncie podobny epizod.

Z jego starszym o dekadę kolegą współcześni obchodzą się jednak znacznie łaskawiej. Nikt go w dokumencie Borchardta specjalnie nie rozlicza, a też wspomniane wyżej reporterskie manipulacje mają ciężar anegdoty raczej niż oskarżenia. Był w końcu Halik przede wszystkim telewizyjną gwiazdą, tym zaś wybacza się znacznie więcej.

Na przykładzie tej ekstrawaganckiej biografii widać także zmiany, jakie dokonały się w ciągu kilku ostatnich dekad w etosie reporterskim czy chociażby w samym języku. Wizerunek zdobywcy i myśliciela, który używa kolonialnych albo seksistowskich sformułowań, nie miałby dziś (wyłącznie) dobrej prasy. Obraz Tony’ego jako ojca również pozostawia wiele do życzenia, bo trudno mówić o prawdziwej bliskości, kiedy ktoś nieustannie tę bliskość reżyseruje. Ale przecież i dzisiaj nie brak ojców czy matek wykorzystujących swe pociechy do gwiazdzenia w internecie. Chciałoby się rzec, że sławny podróżnik, rejestrujący swoje życie rodzinne na użytek zgromadzonej przed małym ekranem publiczności i retuszujący je dla jak najlepszego efektu, był prekursorem dzisiejszych celebrytów. Mimo to zastanawia całkowita nieobecność syna na kolejnych etapach życia bohatera.

„Tony Halik” to nie tylko „prawdy, bujdy, czarne dziury”, by przywołać tytuł filmu o Janie Himiśbachu, innym awanturniku tamtych czasów. Borchardt, o czym przekonaliśmy się przy jego poprzednim tytule, „Beksińscy. Album wideofoniczny” (2017), stawia także na szlachetną formę. Jak mało kto w polskim dokumencie, potrafi opowiadać obrazem wyłącznie archiwalnym, w tym przypadku archibogatom, pochodzącym z rozmaitych źródeł krajowych i zagranicznych, inkrustowanym jedynie ruchomymi komiksowymi wstawkami czy rycinami z czasów konkwisty.

Nie ma tu żadnych współcześnie gadających głów, chyba że poza kadrem. Kreuje to momentami ciekawy dysonans pomiędzy tym, co widzimy, i tym, co słychać. A obaj bohaterowie, Zdzisław Beksiński i Tony Halik, tworzą ciekawy dokumentalny dyptyk – portrety mężczyzn ponadprzeciętnych i ponadprzeciętnie narcystycznych, zapatrzonych i zasłuchanych tyleż w otaczający świat, co w samych siebie. Również tym razem reżyser stara się oddać swemu bohaterowi nie tylko sprawiedliwość, ale i cały jej dwuznaczny urok. ©

TONY HALIK – reż. Marcin Borchardt.
Prod. Polska 2020. Dystryb. Mayfly.
W kinach od 30 września.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Przemiany



Przegląd filmów, Ninateka, 1–10 X
Dokumenty: „Zero Days”, „Kto zabił sekretarza generalnego ONZ”, „Wataha”, „Antropocen: Epoka człowieka” i „Bez tytułu”, a od 5 X „Davos. Centrum świata” i „Robolove” (plus 9–10 X fabularny „Siódmy kontynent” Michaela Hanekego) zobaczmy w ramach festiwalu „Przemiany”. Tegoroczne hasło tej interdyscyplinarnej imprezy, organizowanej przez Centrum Nauki Kopernik, brzmi „Rok zero”.

2. Korczak Online



Teatr, www.korczakonline.pl, od 4 X, 17.00
W każdą niedzielę października o tej samej porze prezentowane będą za darmo najlepsze nowe spektakle dla najmłodszych widzów. Na początek „Król Maciuś Pierwszy” Konrada Dworakowskiego, a następnie „Indianie” Justyny Sobczyk, „Dziki” Klaudii Hartung-Wójciak i „Kopciuszek” Anny Smolar. Wyświetlane będą z audiodeskrypcją.

3. Lekcja miłości



Dokumentalny, reż. Katarzyna Mateja, Małgorzata Goliszewska, Polska 2019, HBO GO, od 4 X, HBO, 4 X, 22.20
Życie zaczyna się około siedemdziesiątki – tak jest przynajmniej w życiu głównej bohaterki, która wychowała sześcioro dzieci i przez lata tkwiła w przemocowym związku. Dziś Jola to barwny ptak, który spełnia się w przyjaźni, twórczości i zabawie. Poznajemy ją w momencie, kiedy raz jeszcze coś się dla niej otwiera, choć nie wszystko może pójść zgodnie z nowym scenariuszem.

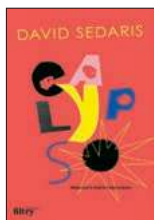
4. Nasz czas



Dramat, reż. Carlos Reygadas, Dania/ /Francja/Meksyk/ /Niemcy/Szwecja 2018, Vod.pl, Cineman, Player oraz platformy: UPC, Vectra, Orange, Canal+
Meksykański reżyser stworzył kawał epickiego kina, a zarazem intymną do bólu opowieść o tym, jak cienka bywa warstwa nowoczesności i kultury, która oddziela nas od świata zwierząt. Reżyser i jego żona Natalia López wcielają się w parę, która zarządza wielkim ranczem, zajmuje się sztuką wysoką i w ryzykowny sposób testuje granice wolności w związku.

Lektor:

Życie rodzinne



■ David Sedaris

CALYPSO

Przełożył Piotr Tarczyński.

Wydawnictwo Filtry,

Warszawa 2020, ss. 310.

„DLACZEGO SIĘ nie śmiesz?” – pyta zaniepokojony narrator-autor swojego partnera, który właśnie wyłapuje literówki w przygotowywanym do druku rękopisie Davida i zbyt długo nie reaguje. To również tytuł jednego z dwudziestu jeden tekstów składających się na „Calypso”. Podczas lektury całości śmiałem się wielokrotnie, jednak czasem miałem poczucie, że ktoś zniecierpliwiony oblał mnie lodowatą wodą – jak w dalszej części wspomnianego tekstu.

I tak ma być – bo ta starannie skomponowana autobiograficzna opowieść w obrazach jest zarazem bardzo śmieszna i bardzo straszna, oscyluje między groteską a dramatem, bywa bezwzględna w portretowaniu innych i siebie samego. Urodzony w 1956 r. Sedaris, po mieczu wnuk emigrantów z Grecji, pisarz obdarzony talentem komediowym i mistrz stand-upu, stały współpracownik „New Yorkera”, gej pozostający od wielu lat w szczęśliwym związku z malarzem

Hugh Hamrickiem, krążący (póki pandemia na to pozwalała) między szesnastowiecznym domem w angielskim West Sussex, Emerald Isle u wybrzeży Karoliny Północnej i Nowym Jorkiem, pisze o najbliższych. Z czułością i okrutną chwilami szczerością. O przedwcześnie zmarłej matce, która wpadła w alkoholizm, a rodzina udawała, że tego nie widzi, i nie potrafiła jej pomóc – teraz David, jakby za pokutę, kompulsywnie ogląda *reality show* o ludziach uzależnionych. O żyjącym wciąż ojcu, z którym nie umiał nawiązać kontaktu („Byliśmy jak para kiepskich akrobatów, którzy usiłują złapać się za ręce, ale chybają za każdym razem”). O pięciorgu rodzeństwa, w tym o siostrze Tiffany, która popełniła samobójstwo, a ich ostatnie spotkanie... ech. Wiem, że brzmi to jak scenariusz rodzinnej tragedii, ale „Calypso”

stanowi równocześnie paradoksalne wyznanie wiary w rodzinę i w sens podtrzymywania wzajemnych relacji, nawet jeśli niezbyt nam się to udaje. To majstersztyk anglosaskiego piśarstwa humorystycznego, które potrafi udźwignąć więcej, niżby się wydawało. Tajemnica Sedarisa: widzimy, że jest raczej strasznie, a mimo to się śmiejemy. A humor wynika przede wszystkim z jego wrażliwości na dziwność świata, który potrafi być jednocześnie tragiczny, wzniosły i niezamierzenie komiczny. I z poczucia własnej dziwności – bo dziwność, jak pisze w posłowie Jacek Dehnel, to zasada porządkująca tego piśarstwa. Świetna, choć pewnie niektórych zgorszy, i brawurowo przetłumaczona książka jest zarazem debiutem na rynku nowego wydawnictwa. Oby tak dalej! ©©

Ś†P.

Ewa Berberyusz

reportażystka i prozaiczka

zmarła 20 września 2020 r., w miesiąc po swoich 91. urodzinach,
i pochowana została 28 września na warszawskim cmentarzu w Wólce Węglowej.

W latach 70. związana z warszawskimi tygodnikami: „Kulturą” i „Literaturą”, po wprowadzeniu stanu wojennego została stałą współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego”, publikowała też w „Kulturze” paryskiej do końca jej istnienia. Należała do kręgu Mirona Białoszewskiego, w jego prozach i dziennikach występuje jako Berbera. Wydała m.in. książki o generale Władysławie Andersie i Jerzym Giedroyciu, tom rozmów z Olgierdem Wołyńskim („Głos z Gułagu”) i autobiograficzną „Moją teczkę”.

Żegnamy Ją z wielkim żalem, pamiętawując o Jej wkładzie w nasze pismo zwłaszcza w trudnych latach 80., a Jej bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

PAWEŁ

Bravo:

Obfitość słów



PIĘTNAŚCIE. TYLE ZASTOSOWAŃ DYNI WY-
czytałem na tablicy wywieszanej przez
podkrakowskie gospodarstwo, które
znam z tzw. Targu Pietruszkowego.
W skrzynkach wyłożonych na placu
przed Koroną (nazwa tego klubu sporto-
wego kojarzyła się do zeszłej wiosny tylko z monarchią, cóż,
słowom też się zdarzają wypadki losowe) znajduję co prawda
odmian tylko kilka, ale właściciele zapewniają, że uprawiają
ich kilkadziesiąt. Przyznam, że głupiałem już nawet w obli-
czu tuzina odmian od mojego ulubionego ogrodnika z war-
szawskich czasów. Ale fakt, że to jest jednak ciężkie warzywo,
sprawia, iż nigdy nie brałem do torby więcej niż parę sztuk
naraz.

Zawsze tych samych, które rozróżniam i kładę często do
pieca, tyle że w różnym celu i stylu. Hokkaido, podstawowa
i najważniejsza, do zjedzenia w kawałkach zamiast ziem-
niaków. Sól, pieprz, czasem zaledwie cień cynamonu, oliwa
i już. Często do brytfanki dorzucam nieco selera pokroj-
nego w kostkę o podobnych rozmiarach – tworzą dobry duet.
Podłużna, gruszkowata w kształcie
butternut do upieczenia w połów-
kach i podania na zimno na przy-
stawkę z jakąś pikantną sałatką
umieszczoną w zagłębieniu po wy-
drążonym gnieździe nasiennym.
Delica, najbardziej ze znanych mi
maczna, po obraniu ze skóry i upie-
czeniu najlepsza jako baza do kopy-
tek czy innej kluchy. Do pieca idzie
też makaronowa z jakimś mocnym
sosem – jej miąższ jest, nie bójmy
się prawdy, nijaki, ale cudownie wy-
gląda, gdy się rozpada na długie ro-
ślinne spaghetti. No i jeszcze zdążyłem się z biegiem lat za-
przyjaźnić z odmianą muscat de Provence. Lepiej pachnie, niż
smakuje, ale czasem ją pokroję w drobną kostkę, podduszę na
oliwie, żeby zrobić potem z tego sos do makaronu – po wstęp-
nym obsmażeniu warto podlać ją bardzo wytrawnym białym
winem, dosypać świeżej szalwii, a potem, kiedy już łączymy
ją na patelni z kluskami, to wkręcamy niewielką ilość nie-
bieskiego sera pleśniowego. Ileż razy sobie obiecywałem, że
w końcu kupię też futsu – szaro-różowo-zielone, przedziwne
w swojej chropowatej zamszowości (na zdjęciu), aż trudno
uwierzyć, że wymyślono je do zjedzenia, a nie do ozdoby.

Bo dyniowa obfitość to kolejny dowód, że wzrok i powi-
ązany z nim aparat poznawczy w mózgu oraz narzędzia języ-
kowe są znacznie bardziej subtelne, przenikliwe, wykalibro-
wane w stosunku do reszty zmysłów. Kiedy chcemy słowami
nazwać czynność systematycznego poznawania świata, uży-

wamy pojęcia „obraz” – pochodzącego ze wzrokowej domeny.
Tworzymy sobie obraz pewnej sytuacji, a nie zapach sytuacji
– w przeciwieństwie do kota, który nowe mieszkanie naj-
pierw starannie obwąchuje. Trudnej sprawie raczej przyglą-
damy się bliżej, niż ją macamy, nie wspominając o jej lizaniu.
Czasami mówi się, że problem trzeba rozgryźć, ale raczej od-
nosi się to do mechanicznego rozbicia siłą szczęk niż do sma-
kowego rozeznania w strukturze tegoż problemu. Zresztą kło-
potów, z jakimi miałem do czynienia w zeszłym tygodniu,
próbując sobie i innym wyjaśnić sens awantury w miłościwie
panującej nam partii, lepiej było nie brać na język. Zostałby mi
na długo posmak zjełczałego, odgrzanego kotleta.

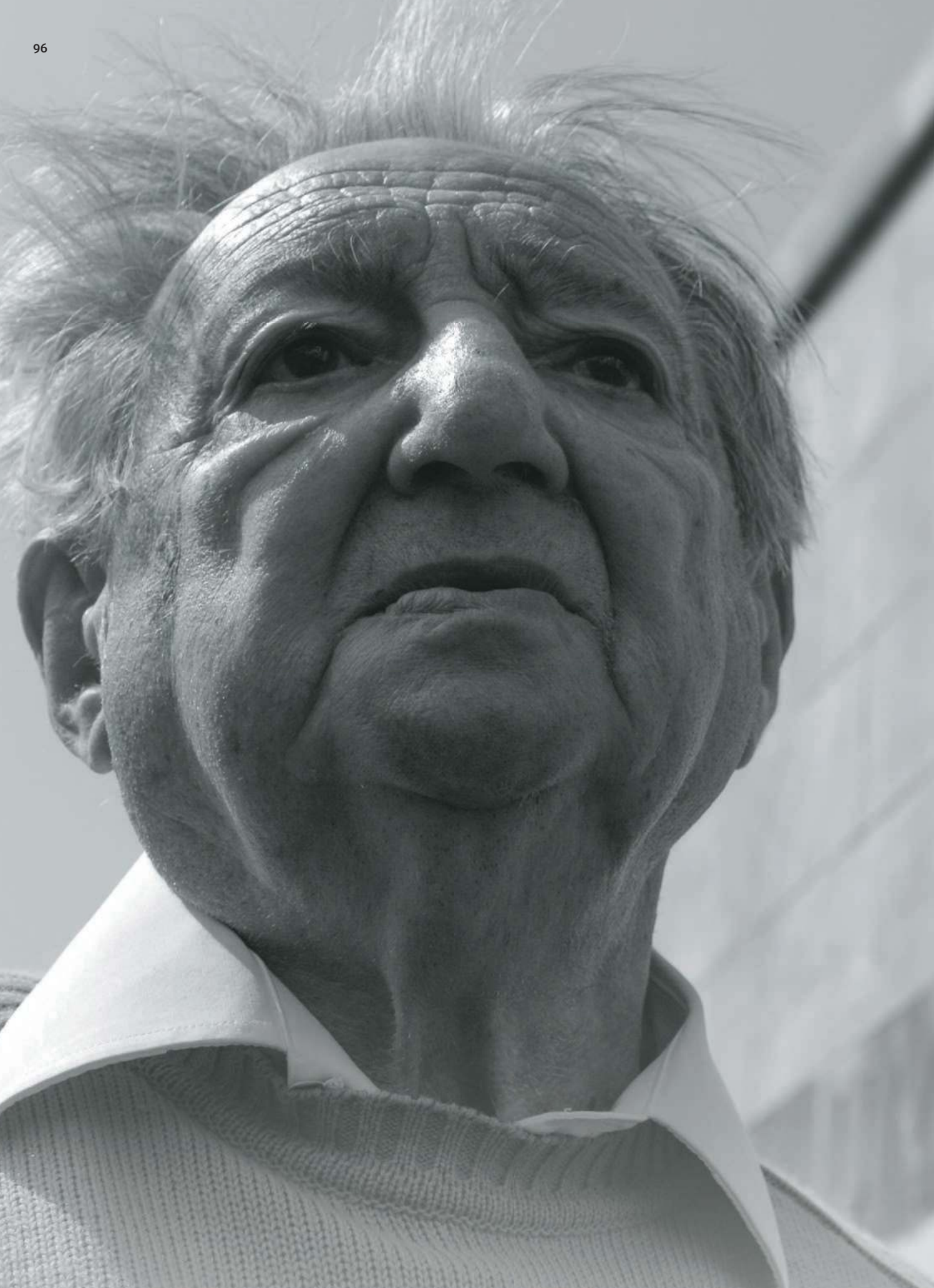
Wierzę, że skonfrontowany z pięćdziesięcioma lub wię-
cej odmianami w podkrakowskim dyniowisku zmusiłbym
umysł do wychwycenia wszystkich różnic, tak jak wchodząc
do sali, gdzie siedzi 50 osób, widzę każdą twarz w jej odręb-
ności. Ale dla potrzeb wyboru, co sobie kupić, sięgnąłbym
po ową tablicę z piętnastoma zastosowaniami – może nawet
odrzucając z góry kilka z nich, takich jak gofry, bo nie mam
maszyny, czy lody, bo jednak w kwestii lodów wolę klasykę.
W każdym razie mój radar smakowy, któremu ufam bard-
ziej niż wiedzy nabytej z książek bądź internetu, działa na
zasadzie raczej „co do czego, z czym i w jakiej kolejności” niż
„jakie to jest w istocie”. Rozpoznaje on relacje, nie rzecz samą
w sobie. Tak jak u rzeźnika, gdzie nawet nie próbuję udawać,
że panuję nad anatomią barana lub wołu – zwłaszcza że są-
siednie regiony, a co dopiero kraje i kultury, różnią się total-
nie, jeśli chodzi o sposób rozbioru tuszy. Liczy się to, jaki efekt
mający nam na smakowym horyzoncie. Na co mamy, jak
się to powiada, smaka. A ten jest jak
beztroskie dziecko: zna same dobre
odpowiedzi na pytania, których so-
bie nie zadał. ©P



PAWEŁ BRAVO

*Z odmian dyni, które najlepiej nadają
się do pieczenia, robię ostatnio chipsy.
Wystarczy pokroić miąższ w cieni-
sienkie paseczki i obsmażyć na głę-
bokim tłuszczu (ale nie bardzo gor-
ącym, 150 stopni będzie w sam raz).
Jedyny sekret, którego się gdzieś przy
tych chipsach nauczyłem, tkwi w tym,
żeby paski dyni (oraz np. marchwi)*

*obgotować wcześniej minutę w mocno zakwaszonym octem
wrzątku, potem wytrzeć do sucha i dopiero smażyć. Ale dynia
kojarzy mi się tak bardziej „obło”, ciepło, sycąco – a więc robimy
gnocchi. Kroimy na paski 350 g miąższu dyni (delica, hokkaido,
blue ballet), kładziemy do pieca na ok. 20 minut, aż podeschnie
(co ważne), skurczy się i zmięknie. Gotujemy w mundurach
350 g ziemniaków. Kiedy dynia i ziemniaki są jeszcze ciepłe,
wyciskamy je po kolei przez praskę i łączymy ze 150 g białej
mąki. Mieszm szybko, doprawiamy solą i pieprzem, wbi-
jamy 1 rozkłócone jajko, znów staramy się jak najszybciej wy-
robić w miarę jednolite ciasto, dodajemy 2 łyżki mąki ziemia-
czanej, wyrabiamy i tworzymy z ciasta kulę, którą odkładamy
pod ścierekę na 20 minut. Na oprószonej stolnicy z kawałków
ciasta toczymy wałeczki średnicy 2 cm, kroimy je na pojedyncze
kopytka, wrzucamy na wrzątek i gotujemy do wypłynięcia.
Dobrze smakują z szalwią duszoną pomalutku na maśle.*



CZYTANIE NA GŁOS

Słuchaczem był kapryśnym i po dziecięcemu niecierpliwym.

Jak coś mu się nie podobało, krzyczał:

„Bzdury, co mnie to obchodzi?”.

Marek Edelman literaturę przyswajał jak to on: nieznosnie i wspaniale.

JOANNA SZCZĘSNA

Pamięci doktora Marka Edelmana w jedenastą rocznicę Jego śmierci

Gdy zbliżała się jesień, w kuchni naszego mieszkania w kamienicy na łódzkich Bałutach robiło się gwarno i wesoło. Mieszkaliśmy – babcia, mama, ja i mój młodszy brat – trzy kroki od Bałuckiego Rynku, gdzie wieczorami można było za pół darmo kupić to, co zostało na straganach, przywiedle, obeschnięte lub po prostu tylko niesprzedane.

W te wieczory, kiedy targaliśmy do domu owocowo-warzywne łupy, by je obierać, skrobać, kroić, do naszej kuchni ściągały – niczym wiejskie baby do darcia pierza – sąsiadki, mamine przyjaciółki, a z czasem też moje szkolne koleżanki (za pomoc była nagroda: słoiki kompotów, dżemów, konfitur, musów, powideł). Tylko ja jakoś byłam odporna na pokusę, by zostać wzorową panią domu, która dryluje, szatkuję, kisi, przeciera, pekluje, smaży, pasteryzuje i wekuje, co się da.

„Terror owoców i warzyw” – mruczałam wściekła pod nosem. A najbardziej nienawidziłam żurawin, tej owocowej arystokracji, których niemal nigdy nie było na przecenie, bo też prawie się nie psuły. Niech je szlag! Każdą jagódkę trzeba było przekłuć na wylot igłą, żeby w ogóle zechciała poddać się obróbce termicznej.

W desperacji wciskałam się w kąt za stołem, skąd niemal nie sposób było się bezboleśnie wygramolić (nazwany na moją cześć „miejscem dla lenia”) i czytałam na głos, co popadnie. Wiersze, szkolne lektury, a na prośbę babci – „Żywoty świętych” i Biblię. Niestety, nie pamiętam żadnego przepisu na zimowe przetwory autorstwa mamy, za to mam w pamięci długą listę przeczytanych przeze mnie w kuchni książek, bo szybko moje czytanie na głos stało się rytuałem.

To z tamtego czasu zostało mi nigdy do końca nie wygaszone pragnienie, by ktoś pozwolił mi coś sobie przeczytać. Nie chcę powiedzieć, że Marek Edelman to lubił, ale łaskawie słuchał. Również przez telefon.

Bzdury i wzdychy

Pamiętam, zadzwoniłam kiedyś do niego poruszona wierszem Julii Hartwig „Rozłączenie”.

*Mężczyźni nie opowiadają kobietom o wojnie
Milczą kiedy ich blizn dotyka kobieca ręka*

*Co wiedziała Piękna Rudowłosa o błocie i krwi
w okopach Szampanii? (...)*

*Czy czas nie był zbyt drogi
by opowiadać młodej dziewczynie o ranie zadanej
w czołgu pod Falaise?*

Której kobiecie opisywano piekło pod Monte Cassino?

Kiedy doszłam do miejsca:

*Ale wszyscy oni napisali o tym wreszcie
choćby po to by przepędzić zmyry nocne
Nie na użytek miłości (...)*

Marek przerwał mi: „Ale oni jeszcze wtedy nie byli tak starzy jak ja teraz, i te zmyry nie były co noc” (kiedy opisałam to Julii, była prawdziwie wzruszona).

*Te oswojone wojny śpią we mnie
przywołując których kochałam
i którzy do końca dochowali milczenia*

Marek milczał, więc powiedziałam „dobranoc” i odłożyłam słuchawkę.

Słuchaczem był kapryśnym i po dziecięcemu niecierpliwym. Szybko się nudził, tak że rzadko którą książkę doczytywałam do końca. Jak coś mu się nie podobało, krzyczał: ➔

→ „Bzdury, co mnie to obchodzi?” (właśnie tak, z buta, potraktował już po pierwszym akapicie moje ukochane opowiadanie Scotta Fitzgeralda). Ale obszar jego czytelniczej ciekawości wcale nie był oczywisty. Czytałam mu np. przewodnik po operach, które zresztą pokochałam dzięki niemu i – jak to ja – od razu rzuciłam się gromadzić wokół tego tematu księgozbiór. No więc w czasach, kiedy zaczęłam mu czytywać regularnie, to jest około 2004 r., zwykle była to literatura faktu: wspomnienia, pamiętniki, dzienniki, biografie, reportaże. Ale bywały wyjątki, np. powieść o Holokauście Piotra Rawicza „Krew nieba”.

Lekturze tego – w moim przekonaniu – arcydzieła towarzyszyły okrzyki Marka: „Czy ty to słyszysz, nie, skąd masz to słyszeć (lekceważące machnięcie ręką), że on to sobie w głowie tłumaczy z jidysz?”. Czasem dodawał: „Gojka, gojka, nic nie rozumie”. Ale może to było sziksa? – nie zapisałam, nie pamiętam.

No i oczywiście czytałam mu wiersze, dużo wierszy, głównie polskich, współczesnych. Sięgałam po poetów z najwyższej półki, ale i tak zdarzały się bolesne odrzucenia. „No, nie, to jakieś wzdychy, dajże mi spokój”.

Król Olch

Kiedys Marek dzwoni do mnie i tonem nieznoszącym sprzeciwu mówi: „Ta cała twoja polska poezja w ogóle nie zauważyła Zagłady”. Rzucam się bronić polskiej poezji. Zaczynam od Szymborskiej:

*W zaplombowanych wagonach
jadą krajem imiona,
a dokąd tak jechać będą,
a czy kiedy wysiedą,
nie pytajcie, nie powiem, nie wiem.*

*Imię Natan bije pięścią w ścianę,
Imię Izaak śpiewa obłąkane,
Imię Sara wody woła dla imienia
Aaron, które umiera z pragnienia (...).*

Skończyłam, a on pyta: – I co tam jeszcze masz? „Campo di Fiori”?

– Nie. Ale to też Miłosz, „Biedny chrześcijanin patrzy na getto”.

Przy ostatniej zwrotce, jak zawsze, gdy to czytam, mróz idzie mi po krzyżu:

*Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,
Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót Jezusa?
Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników śmierci:
Nieobrzezanych.*

A Marek: – Wiesz, ja wolę Broniewskiego.

I zaczyna recytować, z początku cicho, miękko, potem coraz donośniej. Gdy wymawia słowo „SS-mani”, głos jego ma twardość stali, przy słowach „ruda Ryfka” – mięknie, pojawia się delikatność i czułość.

„Słuchaj, dziewczeczko! Ona nie słucha...”

To dzień biały, to miasteczko...”

Nie ma miasteczka, nie ma żywego ducha.

*Po gruzach biega naga, ruda Ryfka,
trzynastoletnie dziecko. (...)*

*„Słuchaj, Jezu, słuchaj, Ryfka, sie Juden,
za koronę cierniową, za te włosy rude,
za to, żeście nadzy, za to, żeśmy winni,
obojeście umrzeć powinni.”*

I ozwało się Alleluja w Galilei,

i oboje anieleli po kolei,

potem salwa rozległa się głucha...

„Słuchaj, dziewczeczko!... Ona nie słucha...”

– Marku – mówię – porządkowałam twoją bibliotekę i nie widziałam Broniewskiego. Gdzie go trzymasz? Na jakim podorędziu?

A Marek: – W głowie go trzymam, córeczko.

Dlaczego ja tego nie nagrałam? Bo nie miałam na podorędziu magnetofonu.

W dyskusji nad „Campo di Fiori” Marek oświadczył, że „poezja to trudna rzecz i wylatuje z głowy”. Jemu, jak widać, nie wszystko wyleciało.

Recytował mi w jidysz wiersze Icyka Mangera albo Icchoka Pereca, a ja łapałam „Antologię poezji żydowskiej” i próbowałam za nim nadążyć. „Monisz” Pereca czytaliśmy na dwa głosy. On zwrotka w jidysz, ja zwrotka po polsku (przekład Adama Włodka dobrze brzmiał dla Markowego ucha, choć jak to on, tu się skrzywił, tam przykomentował). Największe jednak wrażenie zrobiła na mnie jego recytacja „Króla Olch” Goethego po – jak myślałam – niemiecku. W powietrzu czuć było takie emocje, że aż iskry szły, więc pytam, skąd to. A on: – Przecież jestem lekarz, a tam dziecko umiera.

Przeczytałam mu „Króla Olch” w tłumaczeniu Syromkli, znam je jeszcze ze szkoły i dość lubię, ale Marek kręcił nosem. Zdobyłam więc przekład Szymborskiej, który znalazł u niego więcej uznania, choć podpisany był: „polski przekład swobodny”.

– Faktycznie swobodny – podsumował. Ale zakwestionował tylko jedno słówko, które mam nadzieję odnaleźć kiedyś w moich papierach.

Właściwie byłam pewna, że recytuje po niemiecku, ale niedawno ktoś mi uświadomił, że równie dobrze mógł to być jidysz, przecież nie znam tych języków. I już nie ma kogo spytać, co słyszałam.

Mann, morderca

Marek miał zadziwiającą w jego wieku świeżość uczuć w stosunku do książek przeczytanych w dzieciństwie i młodości. Tu zresztą często schodziły się nasze gusta. Nie do wiary, ale oboje za formacyjne lektury uważaliśmy powieści dziś z lekka zapomnianego socjalistycznego pisarza Uptona Sinclaira, który w pierwszej połowie minionego stulecia wziął na celownik urągające ludzkiej godności warunki pracy robotników w rzeźniach Chicago i kopalniach Kolorado, w amerykańskim przemyśle naftowym i motoryzacyjnym, przy okazji chłostząc chciwość, korupcję, nierówności społeczne i w ogóle cały ten przereklamowany kapitalizm.



TERESA BOGUCKA

Doktor Edelman nalał sobie kieliszek
i oświadczył: „Wiesz, gdybym ja
leczył Nemeczka, wyciągnąłbym go
z tego zapalenia płuc”.

Joanna Szczesna i Marek Edelman, 2008 r.

Jednak nasza pamięć najlepiej przechowała sceny z powieści „Boston”, dokumentującej sprawę Sacca i Vanzettiego, anarchistów i działaczy robotniczych, którzy mimo protestów z całego świata po nieuczciwym procesie zostali straceni na krześle elektrycznym. Marek czytał ją jako kilkunastoletni członek bundowskiej młodzieżówki, ja – jakieś 30 lat po nim. I nie przesadzę, jak powiem, że był to kamień milowy na mojej drodze do współpracy z Komitetem Obrony Robotników.

Ale weźmy coś z innej półki – „Chłopców z Placu Broni”. To jedna z ukochanych książek naszego – oddzielonego trzema dekadami – dzieciństwa. Obojgu nam podobał się cichy, nieśmiały, bohaterski Nemcezek, lekceważony przez przebojowych kolegów, którzy bawiąc się w wojnę, nadali sobie stopnie oficerskie. W czasie tej nadto serio zabawy jedyny szeregowiec, Nemcezek, przebiegł się i zmarł.

Doktor Edelman nalał sobie kieliszek i oświadczył: – Wiesz, gdybym ja go leczył, wyciągnąłbym go z tego zapalenia płuc.

To ja z kolei też mu coś wyznałam: – Wiesz, a ja bardzo aspirowałam do roli Nemeczka opozycji, jednak Jacek Kuroń przyznał ten zaszczytny tytuł Teresce Boguckiej. I ja jej tej nominacji potwornie zazdrościłam.

A Marek jak na mnie nie huknie: – Ty, Nemcezek? Ty jesteś cholernica-awanturnica z Bałut, a nie żaden Nemcezek.

Oprócz „wspólnoty w zachwycie” (choćby „Na zachodzie bez zmian” Ericha Marii Remarque’a), były też między nami zasadnicze protokoły rozbieżności. I tak Marek szczególną niechęcią darzył Tomasza Manna, czemu parę razy w mojej obecności dał stanowczy wyraz. Kiedyś wybuchnął:

– To morderca, zabił tysiące ludzi!

– Tomasz Mann? – upewniam się. – Czy ja czegoś o nim nie wiem?

– Tak. Wmówił całemu światu, że Davos jest dobre dla gruźlików, a tymczasem górski klimat jest dla nich zabójczy.

– A gdzie jest dobry klimat dla gruźlików?

– Jak to gdzie? W Otwocku.

Opisałam po latach tę scenę Jurkowi Pilchowi, a ten odpowiedział, że z całym należnym Edelmanowi szacunkiem, „Czarodziejską górę” przeczytał on po łebkach: „Przecież tam cały czas jest mocna sugestia, że sanatorium niby chorobę leczy, a w istocie ją pobudza, że diaboliczni lekarze prowadzą niby terapię, a w istocie mroczny interes oparty na zamożnych pacjentach, że człowiek zdrowy jak byk przyjeżdża z wizytą na trzy tygodnie, po dwu okazuje się chory i grzęźnie

tam w pozornym zakładzie leczniczym, a w istocie w umiarkalni na lata albo tam zdycha. Rzecz jasna, że Otwock lepszy – toteż o Otwocku Mann nic nie napisał”.

Kłamczucha

Któregoś razu przywiozłam do Łodzi „Zimę o poranku” Janiny Bauman, która ujęła mnie dziewczęcą świeżością uczuć, rodem z „Ani z Zielonego Wzgórza”, choć pisała to pani na emeryturze o swoim dojrzwaniu w getcie warszawskim. Kiedy dojechałam do momentu, jak wygłodniały dzieciak wyrwa jej papierową torbę z bułką, a ona po powrocie do domu z pustymi rękami myśli sobie, że pewnie ten chłopiec był bardziej głodny od niej, Marek nie wytrzymał.

– Niemożliwe – krzyknął. – Kłamczucha.

Broniłam książki z całych sił. W końcu zdecydowałam się na argument *ad personam*: – Nic nie rozumiesz, bo nigdy nie byłeś dorastającą panienką...

Marek prychnął: – No, jeszcze tego by brakowało.

– ...i nie masz w związku z tym pojęcia, jak szlachetne i wielkoduszne potrafią być takie istoty.

Ale Marek nie chciał tego słuchać: – Taka postawa była w getcie niemożliwa. Ona była głodna i wściekła, resztę sobie po latach wymyśliła.

Ja jednak nie rezygnuję i żeby przybliżyć mu wgląd w duszę podlotka, który naczytał się szlachetnych książek (w moim przypadku był to Stefan Żeromski), opowiadałam, jak jechałam kiedyś tramwajem i rozmyślałam, czy jest coś takiego, co mogłabym, i to od ręki, zrobić dla dobra ludzkości. Miałam wtedy jakieś 13 lat, czyli tyle, ile Janka, gdy szła z rodzicami do getta. Nic nie przychodziło mi do głowy, w końcu zdecydowałam, że zgłoszę się na honorowego krwiodawcę. Następne, co pamiętam, to że leżę na podłodze w tramwaju, który – jak się okazuje – stoi między przystankami, ktoś wachluje mnie gazetą i słyszę sygnał nadciągającej z odsieczą karetki.

– Widzisz – mówię – takie egzaltowane potrafią być tylko młode dziewczęta.

A Marek: – Eee tam... Miałś niedoleczone zapalenie mięśnia sercowego po dyfteryście, byłaś zdechłak, a w tramwaju był tłok.

Nawiasem mówiąc, Marek często w naszych rozmowach stawał diagnozy już to postaciom historycznym, już to bohaterom powieści. Mnie powyższe rozpoznanie postawił na podstawie listu mojej mamy do siostry, który mu przeczytałam.

Opisanie samego siebie

→ Połowa sierpnia 2004. Dzwoni Marek. Mówi, że umarł Miłosz i telefonowali z „Tygodnika Powszechnego”, żeby coś o nim powiedział i że poprosił B., aby napisał to w jego imieniu.

– Milczysz – mówi. – Nie podoba ci się?

– Dlaczego? Po prostu wiem, co on napisze.

– A co, mądrało?

– Że Miłosz widział tę karuzelę na placu Krasińskich z jednej strony muru, a ty z drugiej.

– To co ja mam powiedzieć? – głos Marka jest pełen irytacji.

– To, co cię naprawdę łączy z Miłoszem...

Marek krzyczy do słuchawki: – Mnie z Miłoszem nic nie łączy.

– Tak? A baby i wódka? Zaczekaj, przeczytam ci coś.

Sięgam na półkę z poezją po tomik „To”, czytam wiersz „Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis”.

– Przyślij mi to faksem – mówi Marek.

Biegne do sąsiadów, bo jakoś udało mi się ominąć tę ślepa uliczkę technologicznego rozwoju (ale wiem, że faksy błędna i nikną, a że jestem kompulsywną archiwistką, kseruję go i wkładam do foliowej koszulki).

*Widzę ich nogi w minispódniczkach, spodniach albo
w powiewnych tkaninach,*

*Każdą podglądam osobno, ich tyłki i uda, zamyślony,
kółkany marzeniami porno.*

*Stary lubieżny dziadu, pora tobie do grobu, nie na gry
i zabawy młodości.*

Za kilka dni ten właśnie fragment przeczytałam w „Tygodniku” ze zdaniem dodanym przez Marka: „Tak jak widział siebie, tak – erotycznie i zmysłowo – opisywał świat”.

Niedobra śmierć

Jedną z powieści, które – według słów samego Marka – ukształtowały go jako lekarza, była „Rodzina Thibault” Rogera Martin du Garda. Bohaterem tej wielotomowej powieści rzeki jest młody lekarz, Antoni Thibault.

– Jak ja czytałem o Antonim, to jeszcze nie byłem doktor – mówi mi Marek. – Jednak zapamiętałem sobie jego słowa i uczynki. Był moim wzorem.

Dla mnie też lektura „Rodziny Thibault” była doświadczeniem egzystencjalnym. Tyle że w pamięć wbiło mi się co innego: umierający na raka z przerzutami do płuc i nerek ojciec Antoniego i jego długie, bolesne konanie.

Odświeżając sobie przed laty tę powieść, do której przecież gdyby nie Edelman, nigdy bym nie sięgnęła powtórnie, w rozdziale „Śmierć ojca” znalazłam nieoczekiwanie opis umierania... Gajki Kuroń, która ostatnie miesiące życia spędziła pod skrzydłami Edelmana. Otóż zachowanie Marka wobec niej było kopią zachowań Antoniego wobec umierającego ojca i kopią jego uspokajających kłamstw, żeby pacjent nie domyślił się, że choroba jest śmiertelna, a śmierć – blisko.

Jeden tylko przykład. Antoni bez mrugnienia okiem mówi do ojca, który martwił się, że zastrzyki zamiast przy-

nosić ulgę, raczej potęgują jego ból: „Oczywiście, że potęgują. To znak, że działają”.

A na własne uszy słyszałam, jak Marek mówił Gajce tuż przed jej śmiercią: „Teraz przez jakiś czas będziesz słaba, potem mogą zacząć się krwotoki. To będzie znak, że zdrowiejesz”.

– Patrz, jednak Antoni był za eutanazją – mówię do Marka, a było to w czasie, gdy w Polsce toczyła się debata nad możliwością zalegalizowania „dobrej śmierci”. – Podał przecież swemu krzyczącemu z bólu ojcu troszkę większą niż zwykle dawkę morfiny i ten już się nie obudził.

A Marek na to: – Każdy lekarz stanął lub stanie kiedyś przed decyzją, czy nie zaprzestać bezskutecznej terapii, czy nie przedłużać życia, które jest cierpieniem. Jeśli jednak zalegalizuje się eutanazję prawnie, poprzez ustawy, otworzy się wrota dla zbrodni.

Z „Rodziny Thibault” Marek zapamiętał jeszcze jedno: opis „brzucha Racheli”, kobiety, którą pożądał i kochał Antoni, ale z którą nie był gotów się ożenić, bo on był z katolickiego domu, a ona była Żydówką. Poprosił mnie, żebym to odnalazła. Czytałam, wertowałam, kartkowałam i nic. A że jechałam akurat do niego do Łodzi na konsultację lekarską, wzięłam ze sobą „Ode do pleców” Pilcha.

„Poeci i powieściopisarze plecy opiewali rzadko, albo w ogóle. W »Pieśni nad pieśniami« o plecach Oblubienicy ani słowa. Z malarstwem lepiej. Może faktycznie trzeba być malarzem, żeby czuć i rozumieć, jaka pomiędzy karkiem a pośladkiem jest płaszczyzna? Przypatrz się, jak Rubens malował plecy, a zrozumiesz, co znaczy zmysłowość. Wszyscy wkoło gędzą o pierwszym pocałunku; a przecież zawsze, jak pierwszy raz całujesz, twoja dłoń jej plecy obejmuje. Bez dotykania pleców nie ma pocałunku, bez dotykania pleców nie ma wzajemnej skłonności, bez dotykania pleców nie ma seksu, bez dotykania pleców nie ma miłości”.

Ale Marek, którego pamięć była uparta, wydziwiał na te plecy i powtarzał, że opis brzucha Racheli był lepszy. Kazał szukać dalej.

Z mojego listu do J.J.: „Czy ja przypadkiem nie jestem rąbnięta, że w upalną niedzielę, zamiast iść na długi spacer z Ofelką, przedzieram się przez staroświecką powieść, szukając opisu czyjegoś brzucha, żeby poczuć jakąś nieosiągalną skądinąd bliskość z nieistniejącym od 70 lat żydowskim chłopcem, który w międzyczasie stał się nieznośnym starcem? Ba, sama chciałabym znać odpowiedź na to pytanie”.

W końcu znalazłam ten opis, tyle że Marek już nie żył.

„Ręce [Antoniego] pieściły brzuch Racheli, gładki, fosforujący bielą, lekko zaróżowiony; brzuch szeroki, wklęsły jak okrągła płaska misa”. A potem już idzie „Pieśń nad pieśniami”, którą pozwolę sobie tu zacytować nie w oryginale (cokolwiek to znaczy), ale w tłumaczeniu Miłosza: „Twój pępek – czasza okrągła, w której nigdy nie brak korzennego wina. Twój brzuch – bróg pszenicy obsadzony liliami”.

I zawstydziałam się, że mogłam choć przez chwilę pomyśleć, iż Marek to wszystko sobie wymyślił.

© JOANNA SZCZĘSNA

Fragment z przygotowywanej przez autorkę książki o Marku Edelmanie, na którą otrzymała stypendium artystyczne m.st. Warszawy.

”

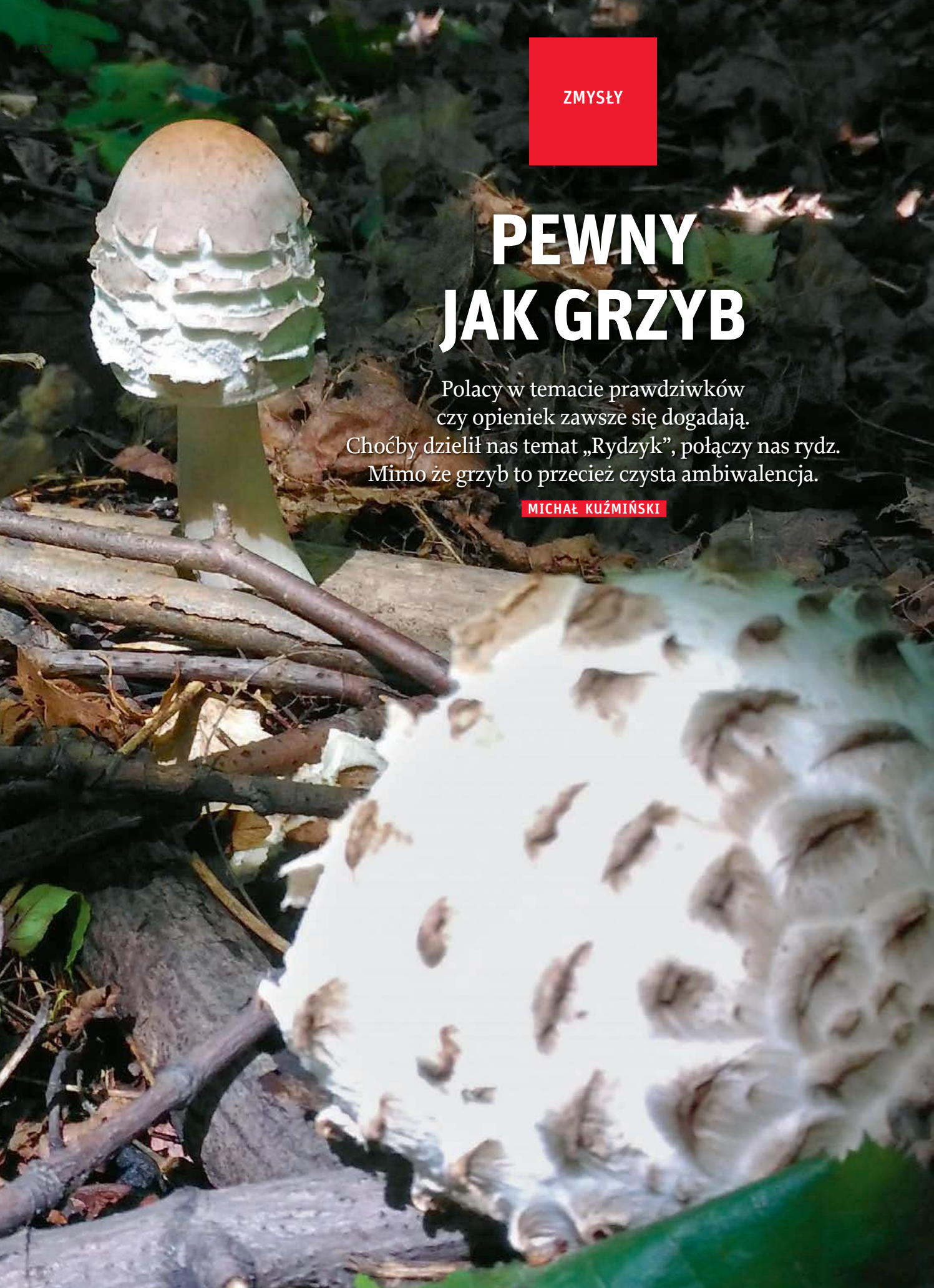
Ważne nie jest to, jak
rozumiemy wolność.
Ważne jest to, jak
każdy z nas odbiera
wolność innym.
Wszelkie rozmowy
o wolności powinny
zaczynać się od tego
osobistego pytania.

STEFAN CHWIN



O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika” oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego” dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie



ZMYSŁY

PEWNY JAK GRZYB

Polacy w temacie prawdziwków
czy opieńek zawsze się dogadają.
Choćby dzielił nas temat „Rydzyk”, połączy nas rydz.
Mimo że grzyb to przecież czysta ambiwalencja.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

GREKOM I RZYMIANOM SŁUŻYŁY W DWÓCH CELACH: JAKO pożywienie i trucizna – konstatuje Silvia Malaguzzi w książce „Food and Feasting in Art” (2008). Dodaje też, iż Filippo Picinelli, XVII-wieczny augustinianin i autor księgi symboli „Mondo simbolico”, uważał, że „niosą one przede wszystkim negatywne konotacje, jako że ich śmiertelne toksyny mogą zabić się za ich przyjemnym smakiem – reprezentują zatem pokusę do złego. Fakt zaś, że pojawiają się raptownie i tylko na kilka dni, czyni z nich symbol ludzkiego żywota w jego skończoności. Wreszcie – grzyby symbolizują też ziemskie rozkosze, jako że i jedne, i drugie, mogą nieść śmierć”.

Nie ma chyba drugiego rodzaju pożywienia tak ambiwalentnego jak grzyby. Obcowanie z nimi to czysta radość, za którą czai się niepewność. Ziemską rozkosz z intuicją skończoności żywota w tle. I – bezwzględnie – pokusa, podszyta lękiem, zbyt często skrywanym pod nadmierną pewnością siebie.

Ale grzybowe ambiwalencje sięgają dalej: oszałamiający aromat i smak klóć się z nie dla wszystkich przeżytkliwą konsystencją, a często i z wyglądem (te smardze, uszaki bżowe, te kozie brody!). Ambiwalencję budzą też zwyczaje grzybów-saprotrofów, a więc żywiących się przez rozkład materii organicznej: ot, pieczarki, pisze Harold McGee w „On Food and Cooking”, ewoluowały wspólnie z roślinożercami, karmiąc się stertami ich pożywnego nawozu.

Grzyb jest też niepokojąco ambiwalentny dla naszych umysłów, żądnych jasnych kryteriów. Bo grzyby ani nie są roślinami, ani zwierzętami – choć rosną w ziemi i się nie poruszają, to także nie fotosyntetyzują, żywność czerpiąc z otoczenia. Choć mają ściany komórkowe, jak rośliny, to nie są one zbudowane z celulozy, lecz z owadziej przecież chityny. Przez wieki grzyby wymykały się binarnej Linneuszowej klasyfikacji przyrody ożywionej. I dopiero w 1969 r. doczekały się w taksonomii własnego, równorzędnego roślinom czy zwierzętom królestwa: *Fungi*.

Ala gdy jesień jest jeszcze otulającą ciepłą i nęcącą złotą, i gdy po całym lecie grzybowej posuchy przyjaciel dzwoni z gór: „Jedź na rydze, już są!” – nad wszystkim tym bierze górę pokusa.

Uroczysty obrzęd

Dekady mijają, a w Polsce grzybobranie to wciąż rzecz ogólnonarodowa i międzypokoleniowa: według badań CBOS z października 2018 r. aż 77 proc. z nas deklaruje, że kiedyś było na grzybach, a prawie połowa – że niedawno. Owszem, choć częściej chodzą starsi niż młodszy (respondenci między 45. a 64. rokiem życia to 54 proc.), mężczyźni (48 proc.) oraz mieszkańcy wsi (53 proc.) – to jednak tylko co piąty Polak na grzyby nie chadza nigdy.

Zbieramy je regularnie: dwie trzecie ankietowanych robi to w sezonie co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu. 40 proc. – raz w tygodniu. A grzyby – znalezione, darowane czy kupione – goszczą w kuchniach aż przeszło ośmiu na dziesięciu respondentów.

Być może grzybiarstwo jest jedną z ostatnich spraw, które faktycznie łączą nas ponad podziałami. Bo jeśli nawet przy

rodzinnym stole pożremy się nieprzytomnie o politykę, to w temacie prawdziwków czy opieńek bez wątpienia się dogadamy. Choćby dzielił nas temat „Rydzyk”, połączy nas rydz.

Badania CBOS nosiły tytuł „Uroczysty obrzęd grzybobrania”. Tak, grzybobranie to obrzęd. Jest tu uroczystość i skupienie, doświadczenie równocześnie zbiorowe, jak i przeżywane sam na sam z leśnym *sacrum*. Wreszcie, dla dzieciaka, który spędzał każde wakacje w grzybnym lasach, przejście od zbierania borówek z matką do zbierania grzybów z ojcem to było przecież nic innego jak *rite de passage*.

Choć w Europie nie jesteśmy w grzybiarskiej pasji osamotnieni – by wspomnieć tylko Niemców czy Włochów – to statystyki bez wątpienia lokują nas w czołówce. Mamy też najdłuższą w Unii listę grzybów dopuszczonych do obrotu: w rozporządzeniu Ministra Zdrowia z 12 czerwca 2018 r. jest aż 47 gatunków. Od tak niekwestionowanych, jak prawdziwki we wszystkich odmianach, koźlarze, podgrzybki i maślaki, po twardzioszka przydrożnego i pochwiaka wielkopochwowego (skądinąd – w Polsce zagrożonego).

Gdy innych Europejczyków ograniczają surowe przepisy – Niemiec może zebrać do 1 kg na osobę, Austriak do 2 kg i to w określonych godzinach, Włoch musi wykupić legitymację grzybiarza, a Belgom nie wolno wcale (za: ekologia.pl) – Polacy w lasach państwowych (a to 80 proc. naszych lasów) mogą się wyszaleć do woli, z wyjątkiem rzecz jasna rezerwatów, parków narodowych, ostoi zwierzyny czy upraw doświadczalnych. Gdyby jesienią miał nastąpić drugi *lockdown*, znów obejmujący zakaz wstępu do lasów, pewnie wybuchłoby zamieszki.

Ośmiu na dziesięciu grzybiarzy z badań CBOS swoje zbiory suszy, siedmiu – gotuje coś ze świeżych grzybów, sześciu – marynuje, czterech – mrozi, a tylko co setny kisi, choć niewiele jest zup tak wybornych, jak żur na kiszonych rydzach z Beskidu Niskiego. Najwięcej amatorów mają borowiki (80 proc.), na podium bez konkurencji. Dopiero potem są podgrzybki (54 proc.) i kurki (41 proc.). Rydze i kanie zbiera zaledwie co ósmy Polak (12 proc.).

Borowiki, pisze w książce „50 Foods” Edward Behr, wydawca kwartalnika „The Art of Eating”, „ze swoim pękatym, komiksowym kształtem, są grzybem niezbędnym w zachodniej kuchni – wielkie, mięsiste, pełne głębokiego, ziemnego i leśnego smaku (...). Bywają grzyby rzadsze i droższe, ale żaden nie jest ceniony bardziej za grzybność, której przydaje potrawom”.

Taki pękaty, komiksowy kształt właśnie beztrudno wystaje ze ściółki, czerstwy i zdrowy. Obok – drugi. Już gdy mam je w ręce, jestem prawie pewien, że to fatalna pomyłka: różowa poduszka nie pozostawia złudzeń. Ale i tak się łudzę. Grzybiarska ambiwalencja wraca.

Życie tajemne

– Oj, to goryczaki – moje nadzieje rozwiewa napotkany grzybiarz, chroniąc mnie przed katastrofą: potworna gorycz tych przypominających borowiki sabotażystów zrujnuje każde danie.

A ten grzybiarz prezentuje się tak kanonicznie, że też wręcz komiksowo: flanela w kratę, wąsy, reklamówka (pełna!) i puszcza okocimiam, którą z żyroskopową sprawnością balansuje po beskidzkich zboczach.

→ – Warto tu jeszcze chodzić? – rozgląda się wokół mnie.

– E, panie – odpowiadam zgodnie z obyczajem. – Nie ma co, też już po kimś tu zbieram.

Bo grzybiarska wspólnota ponad podziałami sprawdza się przy stole, ale nie w lesie. Gdy przy naszym miejscu parkuje już jakieś auto, gdy w gęstwinie miga kraciasta flanela, robi się nerwowo. O czyjeś miejsca nie wypada pytać. A spotykając się w lesie grzybiarze będą się uprzejmie, wśród karesów i konwenansów, zwodzić i kiwać.

– Jak jest wysyp, to jest, a jak nie ma, to nie ma – powiada ów grzybiarz sentencjonalnie. I trafia w sedno. Bo przy wszystkim, co nauka wie o symbiotycznych relacjach grzybów z różnymi gatunkami drzew, preferencjach co do gleb i tolerancji temperaturowej, koniec końców grzybne obyczaje pozostają ich słodką tajemnicą. Nie znamy, przyznaje Robert Hofrichter, autor „Tajemniczego życia grzybów”, wszystkich parametrów decydujących, że wszędzie właśnie tu i właśnie wtedy.



Goryczak żółciowy

Dlatego też tak trudno najcenniejsze z grzybów uprawiać – bo w odróżnieniu od np. pieczarek żyją one dzięki mikoryzie, czyli symbiozie z korzeniami drzew. Borowik i buk czy dąb, maślak i sosna, koźlarz i brzoza są sobie potrzebne. Grzybnia, która penetruje ziemię dużo sprawniej niż korzeń drzewa, dostarcza partnerowi wody, mikroelementów i związków mineralnych. W zamian drzewo dzieli się z grzybem produktami fotosyntezy. Potencjalny hodowca potrzebowałby więc przede wszystkim lasu, a potem i tak musiałby spełnić masę tych ulotnych kryteriów, które w naturze sprawiają, że jeden grzybiarz zdepcze ostępy po próżnicy, a drugi obłowi się na jednej przecince.

I może to te sekrety grzybów sprawiają, że grzybobranie jest pasją i przygodą, odkrywaniem i medytacją? Bo ile zostałooby z dumy prawdziwków, lisiej radości rydów czy nieśmiałości kurek, gdyby można je było uprawiać w piwnicy, jak boczniki?

Tymczasem grzybowa ambiwalencja objawia mi się w pełni. Bo pod bukami trafiam na piękności o pluszowych kapeluszach, czerwonej nodze i ceglastej gąbce.

Desperados

Według Hofrichtera nowe badania mykotoksykologiczne sprawiają, że jedyna bezpieczna definicja grzybów jadalnych brzmi: to te, które są najmniej trujące. „Wszystkie bowiem grzyby – pisze – mogą nas rzeczywiście zatrąć na liczne sposoby, gdy na przykład nie są już świeże, są źle przechowywane albo spożywamy je po zbyt krótkiej obróbce termicznej”. I doprecyzowuje definicję: „Grzyby ja-

Truć potrafią
na wszelkie sposoby:
od mózgu, przez wątrobę
i nerki, po żołądek i jelita.

**Ryzykujemy,
bo smakują bosko.**

dalne to te, które po dostatecznie długim gotowaniu i spożywane w rozsądnej ilości nie wywołują żadnych dolegliwości czy wręcz symptomów zatrucia” (przeł. Monika Kilis i Bartosz Nowacki).

Gdy w zeszłym roku wybraliśmy się na grzyby z paczką przyjaciół, truchlałem oglądając zawartość ich koszy. Były tam borowiki ceglaspore. Te właśnie jędrne piękności w wojennych barwach. Górskie, niezbrane na północy Pol-

ski, gdzie uczyłem się zbierać grzyby i gdzie wpajano mi, żeby od grzybów, których nie jestem na sto procent pewien, trzymać się z dala. W dodatku upiornie siniejące po nacięciu. Choć przyjaciele argumentowali a to lokalną tradycją („u nas się takie zbiera...”), a to mądrością ludową („wystarczy zmienić wodę przy gotowaniu...”), to obiecałem sobie ich nie tykać.

Dopóki sam ich nie znalazłem. Kuszących, ślicznych. A co piękne, to powinno być dobre, prawda?

Rzecz w tym, że w przypadku grzybów toksyczność to temat skomplikowany. Mykolodzy wciąż odkrywają kolejne właściwości substancji zawartych w grzybach – nawet tych, które do niedawna uważano za jadalne. To, co zbieramy i potocznie zwiemy „grzybem”, to jego owocnik – część wyrastająca ponad skrytą w ziemi grzybnie, która – jak przypomina Harold McGee – ma krytyczne znaczenie dla jego przetrwania i rozmnażania. Dlatego chroni się przed zwierzętami – w tym: grzybiarzami – za pomocą toksyn. A truć potrafią grzyby na wszelkie sposoby: od mózgu, przez wątrobę i nerki, po żołądek i jelita – a często i perfidnie.

Poza przykładami znanymi – jak muchomor sromotnikowy mylony z czubajką kanią (choć bywa on, pisze Hofrichter, mylony także z pieczarką polną, gdy występuje w albinotycznej odmianie) – są też grzyby, które jeszcze do niedawna uważano za w a r u n k o w o jadalne. Choćby krowiak podwinęty, rzekomo dobry po ugotowaniu. Dopiero niedawno okazało się, że bywa śmiertelnie trujący za sprawą reakcji układu odpornościowego. Jak tłumaczy Hofrichter, pod jego wpływem we krwi tworzą się przeciwciała przeciwko własnym krwinkom czerwonym konsumenta.

Za jadalną długo uważana była też piestrzenica kasztanowata – czego ślad tkwi w jej łacińskiej nazwie: *Gyromitra esculenta*, gdzie *esculenta* znaczy „jadalna”. Okazała się ona zawierać gyromitrynę, która uszkadza nerki, śledzionę, wątrobę, szpik kostny, a nawet wzrok. Co więcej, piestrzenica mylona bywa z cudownymi smardzami (które w Polsce są pod ochroną i nie wolno ich zbierać) – po angielsku nazywa się *false morel* – „fałszywy smardz”.

Ba, nawet w niewinnych podgrzybkach – przestrzega Hofrichter – może cziąć się pułapka w postaci pasożytniczych grzybów, których produkty przemiany materii są toksyczne i podejrzwane o rakotwórczość – obecność tego pasożyta na podgrzybku złotawym można poznać po spe-



Mleczaj rydz

kalinie pokrywającej kapelusz, a eksperci radzą nie jeść podgrzybków zbyt często.

Jest też czernidłak pospolity, który zawiera koprynę – związek blokujący metabolizm aldehydu octowego powstającego w naszym organizmie, gdy trawimy alkohol. Spożycie tego grzyba nawet dwa dni przed albo po wypiciu, skończy się bardzo źle.



Borowik ceglaptopory

nóżka sprawia, że mylone są z moimi ceglaptoporymi. Jakież to desperacja każe sięgać poza gatunki oczywiste?

Stawka większa niż...

Co sprawia, że grzybiarze trują się muchomorem czerwonym albo plamistym, myląc go z muchomorem czerwieniejącym, zdaniem Hofrichtera „jadalnym i smacznym”? Kto wychowany na tych samych książeczkach dla dzieci, co ja, brałby do ust cokolwiek, co nazywa się „muchomor”?

I co sprawia, że zbieram te borowiki ceglaptopore, chociaż czytałem, że na surowo są trujące, że wymagają długiego obgotowania? Z drugiej strony, przecież to nie nowina – żadnych grzybów z wyjątkiem borowika szlachetnego nie można jeść na surowo, bo wiele z nich zawiera toksyny, które jednak rozpadają się w wysokich temperaturach. Zaczepiam więc kolejnych napotkanych grzybiarzy, którzy zapewnniają, że te ceglaste borowiki są dobre, a nawet że najsmaczniejsze. Ale ambivalencja nie ustępuje.

Może tę grzybową desperację odziedziczyliśmy po przodkach, dla których znalezienie pożywienia było sprawą życia i śmierci? Grzybami raczyli się już ludzie w paleolicie: badając szczątki sprzed 18–12 tys. lat naukowcy z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej Maxa Plancka w Lipsku znaleźli w ich kamieniu nązębnym ślady borowików. Grzyby, choć nie są w stanie nas wyżywić, bo nie zawierają na tyle niezbędnych nam substancji, to stanowią znakomite źródło smaku umami – za sprawą zawartego w nich glutaminianu sodu, a przede wszystkim pokrewnego doń guanozyno-5'-monofosforanu, wysyłającego do pradawnych części naszych mózgów sygnał „to jest dobre! jedź!”.

A może działa tu mechanizm, który psycholog społeczny Paul Rozin nazwał *benign masochism* („łagodny masochizm” – por. „TP” 9/2020), jak wtedy, gdy jemy ostre papryczki? Gdy nasz mózg otrzymuje sygnały zagrożenia, a my czujemy się bezpiecznie, zaczynamy czerpać z nich perwersyjną nieco przyjemność. Tyle że na grzybobraniu fałszywe poczucie bezpieczeństwa może się skończyć fatalnie.

Gdy byłem dzieckiem, na pastwisku u dziadków pojawiły się białe grzyby o brązowych blaszkach. Wyglądały jak pieczarki, ale były olbrzymie. Gigantyczne. Rodzina chodziła

wokół nich z ostrożną fascynacją. Może to jednak sromotniki? Ale wyglądają jak pieczarki... W końcu wuj westchnął w duchu, zerwał grzyba, opanierował, usmażył, zjadł i przeżył – to jednak była pieczarka. Ale starczyło przecież, tak wtedy, jak i dziś, zamiast eksperymentować na sobie, odwiedzić najbliższy sanepid, gdzie dyżurują grzybobawcy.

No chyba że akurat trwa pandemia.

– W tym roku trudno mi polecać powiatowe stacje sanitarno-epidemiologiczne do klasyfikowania grzybów, choć nie wykluczam, że w części jest to możliwe, jak w poprzednich latach – mówi Jan Bondar, rzecznik prasowy Głównego Inspektoratu Sanitarnego. – Zależy to od stopnia obłożenia obowiązkami związanymi z COVID-19.

W badaniach CBOS ponad połowa respondentów przyznaje, że rozpoznaje tylko najpopularniejsze gatunki, a jedna piąta, że nie zna się na nich wcale. W 2019 r. grzybami zatruto się 27 osób, w tym 25 trafiło do szpitali.

– Od kilku dobrych lat liczba zatruc wynosi ok. 25–40 rocznie – dodaje Bondar. – To około dziesięć razy mniej niż jeszcze 20 lat temu. Zgony są sporadyczne. Ale pamiętajmy, że przy niektórych zatruciach jedynym ratunkiem jest przeszczep wątroby.

Rzecznik GIS ostrzega, że w razie jakichkolwiek wątpliwości grzyba należy zostawić w spokoju: – Samo sprawdzanie po powrocie do domu świadczy o błędzie. Albo mamy sto procent pewności, albo nie mamy jej wcale.

A ja obgotowuję te nieszczęsne borowiki ceglaptopore przez pół godziny, w połowie zmieniając wodę. W efekcie zostaje z nich bura żujka kompletnie wypłukana ze smaku. I sensu.

Są i będą

Rydzów, ukochanych, tym razem nie było. Za wcześniej na nie. Ale nie wierzcie grzybiarzom, gdy jęczą, że „nie ma grzybów”. Choć nie widać owocników, grzyby tam są. Jeden metr sześcienny gleby, pisze McGee, może zawierać nawet 2 tys. metrów tkanki grzybni. Splecionej z drzewami w życiodajnych objęciach albo otulającej filigranowym całunem obumieranie innych stworzeń.

Nasza relacja z grzybami to nie tylko borowiki *sauté*, nawet nie tylko drożdże piwne czy piekarskie *Saccharomyces cerevisiae* bądź pleśń *Penicillium camemberti* przydająca szlachetności serom. To całe, liczące nawet i półtora miliona gatunków, królestwo *Fungi*.

Bez grzybów, szacuje Hofrichter, nasz świat pokrywałaby metrowa warstwa śmieci. I nie byłoby takich cudów, jak lalkówka amethystowa o fioletowym kapeluszu wywinętym tak zawadiacko, że inteligentny aparat w smartfonie uznaje ją za kwiat.



Lakówka amethystowa

PS. A rydze już niebawem. Gdy się pojawią, rzecz jasna, nikomu nie powiem.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Wkroczenie wtóre



OSTATNIO ZAJMOWALIŚMY SIĘ TUTAJ WKROCZENIEM Gospodarza do aplikacji TikTok, do centrum rozrywki dla nastolatków. Dziś wypada porozmyślać nad jego wkroczeniem do rządu III RP, w charakterze ochroniarza pana Mateusza, który boi się

pana Zbyszka. Gospodarz w tym rządzie będzie jak owa orlica, szybująca bacznie i bez wytchnienia nad gniazdem z jedynym ukochanym pisklęciem. Jakże nieopierzonym jeszcze, orlątkiem zupełnie bezbronnym wobec brzydkiego krogulca spoglądającego nań z pobliskiej skałki i co rusz oblesnie się oblizującego rozdwojonym jęzorem. Krogulca, który tylko czeka, aż orlica oddali się niebacznie w celach osobistych i ostatecznie straci czujność. Tak to widzimy i zaznaczamy z naciskiem, że zarówno na te porównania, jak i na owe znakomite spostrzeżenia nie dajemy nikomu żadnych licencji. Zwłaszcza za darmo. Temat wydaje nam się bowiem bardzo ciekawy i ogromnie malarski.

Szczerze powiedziawszy, jest to najciekawszy moment rządów tych osobliwych formacji politycznych i ludzi, odkąd Beata Szydło została prezeską rady ministrów. Potencjał dramatyczny – popatrzymy – we wszystkich wariantach, w przewidywaniach, co dalej, kto komu co zrobił i dlaczego, co kto i komu może zaraz zrobić – jest dziś, nawet jak na Polskę, bardzo, bardzo wysoki. Listy haków, które publikują media, haków, którymi sobie ci wszyscy panowie i panie nawzajem dokuczają i się nimi straszą, w zasadzie bez żadnej żenady bądź tajemnicy, każą nam przyjąć za pewnik, że oto przyszło nam żyć w kraju, w którym szantaż stał się normą współżycia. Szantaż jest już czymś tak zwykłym, jak podanie ręki. I to w zasadzie byłoby na tyle, ale przypomniało się nam, od czego

ta awantura się zaczęła. Chcielibyśmy więc, takż twórczo i niebłado, odnieść się do ustawy o ochronie zwierząt.

Powszechnie przyjęto, że ów zbiór regulacji, zarzucony opinii publicznej, hodowcom i parlamentowi w klasycznej dla PiS-u formie i treści, miał znaczenie inne. Słusznie. Jak się to w Polsce przekomicznie mawia – było to liczenie szabel. Powiada się, że dola zwierząt była trzeciorzędna, a pierwszoklasową informacją miały być aktualne i precyzyjne spisy wrogów w łonie bądź też akcja ta miała przynieść najświeższe informacje o partyjnej spójności. Jak wiemy, zastosowana metoda badawcza sprawdziła się nad wyraz. Liczba lekceważących autorytet i nieomylności przywódcy i przeciw niemu knujących okazała się ogromna. Okazało się, że jest fatalnie. Na dodatek – zauważmy – nie było obelżywości, której by sobie wewnątrz aparatu władzy oszczędzono przy okazji, *pardon*, procedowania tej ustawy. Przyjeliśmy to oczywiście z przyjemnością, że wreszcie adresatem najwstrętniejszych obelg nie były tym razem żadne elity bądź jakiś tam salon. Była to – przynajmniej – chwilka wytchnienia, bo oto byle członek rządu nie lżył w ostatnich dniach szarych obywateli swego kraju, lecz zajmował się kolegami w limuzynach. Tak, to było znakomicie orzeźwiające nowością w starodawnym już obyczajach politycznym Polski.

W wyniku tej akcji dowiedzieliśmy się jednak czegoś więcej, i temu czemuś nie przyglądnięto się chyba tak pilnie, raczej analizując, co robi, co mówi i jak się rusza Gospodarz, bądź też nasłuchując, jak wobec wydarzeń zmienia się tembr głosu pana Zbyszka. To coś to sposób mówienia o zwierzętach, ale i o przyrodzie w ogóle. Oczywiście ktoś teraz powie, że to nie nowość. Że tak się po prostu o życiu i śmierci zwierzęcia w Polsce mówiło i mówi. Być może to naiwność, której się tu nie wstydzimy, ale mamy wrażenie, że nie jest to opinia aktualna.

Otóż dyskusji o zwierzętach słuchali ludzie, których polityka nie interesuje, ale być może ich z tej okazji zaciekawi. Dopuszczenie do niej było być może solidnym błędem Gospodarza, marzącego wciąż o stabilnym poparciu młodzieży i powrocie do jakkolwiek rozumianego centrum. Być może można ten błąd porównać z przyjęciem posady ochroniarza pana Mateusza.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



MISTRZ REPORTAŻU

O ŚWIECIE,
KTÓRY ZNÓW PŁONIE

ZAMÓW Z RABATEM -35%!

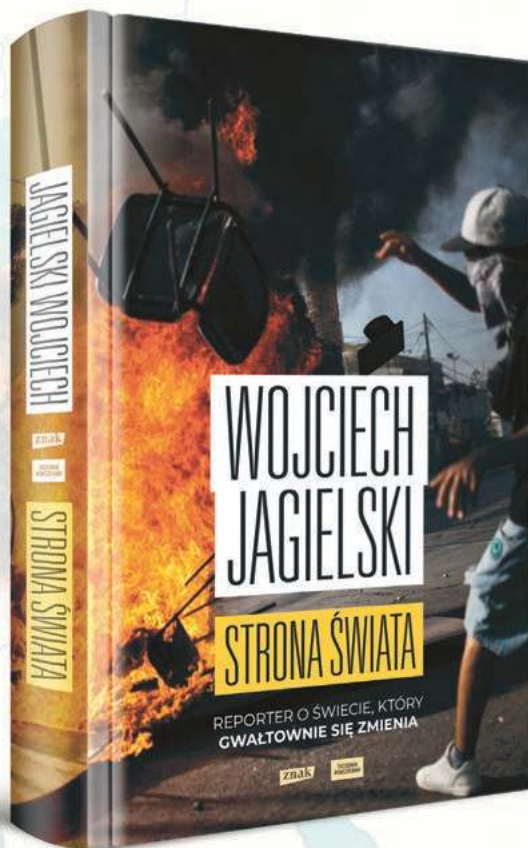
Wojciech Jagielski opowiada o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Punkty zapalne XXI wieku, bunt i światowe skandale składają się na barwny obraz najnowszej rzeczywistości.

Strona świata to zbiór najaktualniejszych i najciekawszych tekstów Wojciecha Jagielskiego z ostatnich lat publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Zaktualizowane, ukazują świat, który znów stanął w płomieniach.

Barwna i wciągająca opowieść o Bliskim Wschodzie, Afryce, Indiach i krajach Kaukazu; opowieść o miejscowych władcach i przewrotach wywierających wpływ na cały świat; opowieść o skandalach i konfliktach, o których dopiero będzie głośno...

Mistrz reportażu o świecie, który znów płonie.

Premiera: 30 września 2020 r.



KOD RABATOWY W KSIĘGARNI
stronaswiata35

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBRĄ STRONĄ

znak

TYGODNIK
POWSZECHNY

S-Biznes internet symetryczny dla firm



 s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na  s-net.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 40/2020

**KATALOG
FESTIWALOWY**

COPERNICUS FESTIVAL: CZAS



**COPERNICUS
FESTIVAL**

Chcesz otrzymać wydania specjalne „Tygodnika”?

weź, zamów i czytaj!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

...zanim zabraknie



...i w prenumeracie

kup
kolejne

4

wydania specjalne

„Tygodnika Powszechnego”

za

69 zł

TANIEJ* niż w kiosku,
dostawa na terenie
Polski – GRATIS!

Jak zamówić?

Zamów nasze archiwalne *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.
Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!
Darmowa dostawa pod wskazany adres.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”:
„Do Betlejem!”, „Moc czytania”, „Polska żydowska”, „Smak wolności”, „Moc kobiet”, „Halo, tu Ziemia”, „Dobre życie”.

*Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

Jak kupić?

Wejdź na tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate i wybierz opcję **Wydania Specjalne (nr 3,4/2020 i 1,2/2021)**

*Cena pojedynczego wydania w sprzedaży kioskowej – 20 zł.



COPERNICUS FESTIVAL 2020 / CZAS

Gdy nikt mnie nie pyta – wiem; gdy ktoś zapyta – nie wiem”. Ta wielokrotnie przywoływana odpowiedź św. Augustyna na pytanie „Czym jest czas?” niesie ze sobą ważne przesłanie. Z jednej strony trudno o coś bardziej zwykłego niż czas: doświadczamy jego upływu, mierzymy go za pomocą coraz bardziej doskonałych zegarów, z zapamiętaniem czytamy podręczniki opisujące, jak nim zarządzać. Z drugiej strony, czas wymyka się prostym definicjom. Jest czymś powszednim i fundamentalnym, a zarazem niezwykle tajemniczym i ulotnym.

Być może to właśnie ta podwójna natura czasu sprawia, że stał się on bohaterem powszechnej wyobraźni. Nie sposób wyliczyć wszystkich dzieł literackich, plastycznych czy filmowych, które zmagają się z zagadką czasu. Fileas Fogg potrafił okrążyć świat w 80 dni, ale nie zdołał w ten sposób zbliżyć się do zrozumienia natury czasu. Czas był zarazem jednym z głównych antagonistów w powieści Verne’a, jak i niewzruszalnym, nieodgadnionym tłem przygód Fogg’a. Gdy zaś próbujemy – razem z autorami powieści *science fiction* – wyobrazić sobie podróże w czasie, naruszając sztywne reguły beztłóśnie narzucane nam przez Wszechświat, popadamy jedynie w konfuzję i paradoksy. Także bardziej subtelne próby zrozumienia natury czasu – czy to w filmach Wojciecha Hasa, czy w uporczywie ponawianych motywach w twórczości Salvadora Dalego – sprawiają wrażenie

„prześlizgiwania się” po powierzchni, co jedynie zwiększa tajemniczość czasu.

Czas jest także przedmiotem zainteresowania nauki. Fizyka ujarzmiła go w największym stopniu, być może dlatego, że jej metoda pozwala abstrahować od ogromnej złożoności naszego doświadczenia czasu. Więcej nawet: kosmologowie proponują dziś bezczasowe modele Wszechświata, eliminując czas z podstawowych struktur rzeczywistości. Dla biologii czas – i to w skali trudnej dla nas do wyobrażenia – jest warunkiem ewolucji. Łatwo nam powiedzieć, że życie na Ziemi pojawiło się 3,5 mld lat temu albo że organizmy wielokomórkowe powstały ok. 700 mln lat temu. Ale czy naprawdę rozumiemy, co to znaczy? Perspektywa kilkudziesięciu lat to dla nas bardzo wiele, a pismem posługujemy się dopiero od kilku tysięcy lat... Bliższe mogą nam być wysiłki psychologów, którzy starają się zrozumieć, jak postrzegamy czas i jak go doświadczamy. Ale i w tym przypadku więcej na razie znaków zapytania niż pewników. Jak odczuwamy czas? Czy mierzymy go jakimś wewnętrznym mentalnym zegarem? Jak działa pamięć?

Wszystkie te pytania splatają się w jedną wielką zagadkę czasu, obok której trudno przejść obojętnie. Stanisław Jerzy Lec napisał kiedyś: „Zegar tyka. Wszystkich”.

A przecież zegar jedynie odmierza czas...

© BARTOSZ BROŻEK



- | | | |
|--|---|---|
| 4. Krótki przewodnik dla podróżnych w czasie
SEBASTIAN SZYBKA | 20. Jesteśmy dinozaurami
ROZMOWA
z JOSEPHEM LEDOUX | 35. Upadki i odrodzenia
MAGDALENA ŁANUSZKA |
| 8. Kiedy spieszy wewnętrzny zegar
KASPER KALINOWSKI | 25. Program Festiwalu | 40. Czego nie pamiętają najstarsze sosny
ŁUKASZ KWIATEK |
| 11. Co pracźlowiek miał na myśli
ROZMOWA z BOGUSŁAWEM PAWŁOWSKIM | 29. Powieści długiego zdania
JAN BALBIERZ | 44. Co nadaje sens
PIOTR SIKORA |
| 16. Co nas dzieli
BARTOSZ KABAŁA | 32. Wystane do przyszłości
ZUZANNA ŁAMŻA | 47. Tym/czasem
ROZMOWA
z MICHAŁEM HELLEREM |

WSPÓŁWYDAWCY



REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK | WSPÓŁPRACA: KATARZYNA DZIADOWICZ, ANNA DZIURDZIKOWSKA, MATEUSZ HOHOL, ŁUKASZ ŁAMŻA, DIANA SAŁACKA | PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN
TP TYPOGRAFIA: ANDRZEJ LEŚNIAK | KOREKTA: GRZEGORZ BOGDAŁ, KATARZYNA DOMIN, SYLWIA FROŁOW, MACIEJ SZKLARCZYK
OKŁADKA: ALEKSANDRA WELCHAR
KRAKÓW 2020, ISBN 978-83-65811-07-3



Krótki przewodnik dla podróżnych w czasie

SEBASTIAN SZYBKĄ

**Nie spotkamy starożytnych Rzymian, dinozaurów
czy samych siebie z dawnych lat.
Ale będą żyrafy o głowach starszych niż kopyta
i porady dla tych, którzy chcieliby stać się młodszy od rówieśników.**

Zanim rozpoczniemy prawdziwą podróż w czasie, przeńmy się myślami nad Niemnem do Aleksoty (obecnie dzielnica Kowna). Jest rok 1864. Po powstaniu styczniowym Królestwo Kon-

gresowe, do którego Aleksota należała, traci resztki autonomii. W Kownie, po drugiej stronie Niemna, obowiązuje kalendarz juliański. Most w Aleksocie jest najdłuższym mostem na świecie: przejście z jednego końca na drugi trwa

aż dwanaście dni. Co dziwniejsze, idąc z Aleksoty do Kowna, cofamy się w czasie. W tych przesiąkniętych względnością okolicznościach 22 czerwca – według obowiązującego w Aleksocie kalendarza gregoriańskiego – przychodzi na



STEPHANE WAHNE / REUTERS / FORUM

świat Hermann Minkowski – Niemiec, Żyd, Polak? Litwin? Rosjanin? – przede wszystkim: wybitny matematyk.

Nie wiemy, czy te dziwne wędrówki w czasie i przestrzeni na drugi brzeg Niemna pozostawiły trwałe ślady w umyśle małego Hermanna. Wiemy natomiast, iż słowa wypowiedziane z ust profesora Hermanna Minkowskiego, na kilka miesięcy przed jego śmiercią, odmieniły na zawsze nasz obraz świata. Ze sformułowanej w 1905 r. przez Alberta Einsteina szczególnej teorii względności wynika, iż pojęcia czasu i przestrzeni rozpatrywane osobno nie mają bezpośredniego fizycznego znaczenia. Minkowski podczas swojego wykładu w 1908 r. wykazał, że takie znaczenie ma obiekt będący połączeniem tych pojęć: czasoprzestrzeń.

Godziny, dni, miesiące, lata nie mają charakteru absolutnego, lecz są niczym etykiety czy kartki wyrywane z kalen-

darza. A kalendarze mogą być przecież różne. Analogicznie, dla jednych miejsce narodzin Minkowskiego oznaczone jest tabliczką z napisem „Aleksota”, a dla innych miejsce to wskutek wędrówki Układu Słonecznego i Ziemi znajduje się gdzieś daleko w przestrzeni kosmicznej. Minkowski dostrzegł to, co przeoczyły inne wybitne umysły jego czasów: Hendrik Lorentz, Henri Poincaré i Albert Einstein (student Minkowskiego z Zurichu). Względność odległości w czasie i odległości w przestrzeni bierze się stąd, iż sztucznie rozdzielamy na dwoje obiekt, który jest jednością. Odległości określone w czasoprzestrzeni zachowują swój absolutny charakter.

Z odkrycia Minkowskiego wynika, że zwrot „podróż w czasie” jest uproszczeniem opisującym pewien typ podróży czasoprzestrzennych. Co on właściwie oznacza?

Podróż powszechna

Rozważania na temat podróży w czasie pojawiły się na długo przed tym, nim ktośkolwiek usłyszał o Einsteinie czy Minkowskim. Dlatego najpierw postaram się odgadnąć oczekiwania czytelnika, który zdecydował się sięgnąć po nasz przewodnik.

Zacznijmy od podróży, które nazywamy *powszechnymi*. Św. Tomasz z Akwinu, opierając się na tradycji greckiej, twierdził, że Bóg istnieje poza czasem i że Jego istnienie jest „całe jednocześnie”. Mamy więc podział na to, co przechodzi od przeszłości przez teraźniejszość do przyszłości, i to, co istnieje poza czasem. Taka klasyfikacja pojęć obowiązuje również we współczesnej fizyce: czasoprzestrzeń dana jest cała jednocześnie (czas jest w niej zawarty), a obserwatorzy, czyli my, ślizgamy się po niej swą chwilą obecną niczym surferzy na falach. Oto i powszechna, uniwersalna podróż w czasie, zawsze w tylko jednym kierunku, w której uczestniczy każdy obiekt materialny we wszechświecie.

Wizja świata jako obiektu przechodzącego od przeszłości do przyszłości przez teraźniejszość okazała się wyłącznie złudzeniem naszych niedoskonałych zmysłów i wraz z teorią Newtona odeszła do kategorii użytecznych uproszczeń.

Możemy postawić pytanie o to, z jaką prędkością podróżujemy przez czasoprzestrzeń – niesieni na falach rzeki

czasu. Chociaż podział na czas i przestrzeń jest wyłącznie umowny, to fizycy przez prędkość rozumieją zmianę odległości w przestrzeni pomiędzy różnymi obiektami, mierzoną w czasie. Przeważnie nie ma potrzeby określania prędkości, z jaką pędzimy przez czas, oddalając się np. od minionego poniedziałku. Gdyby jednak taką wielkość wprowadzić, to wynik byłby zaskakujący – okazałoby się, że pędzimy z prędkością światła! Wyjaśnienie tego wyniku wykracza jednak poza zakres naszego przewodnika, dlatego porzucamy go na wartym zapamiętania stwierdzeniu: nawet jeśli pozornie spoczywamy, to i tak podróżujemy przez czas i czasoprzestrzeń.

Wypadnięcie z rzeki

Domyślam się, że czytelnik może poczuć się rozczarowany. Cóż to za podróż, gdy wszyscy jadą w tę samą stronę, wysiadać nie warto, a hasła reklamowe lokalnych agencji turystycznych typu „odleć w zapomnienie” przyprawiają o dreszcze. Przecież przez podróż w czasie rozumie się przeważnie coś innego. Nie chodzi tutaj o fakt płynięcia z prądem rzeki czasu, ale o możliwość wyjścia z nurtu i wskoczenia do wody w innym miejscu. Za „Rzeźnią numer pięć” Kurta Vonneguta taki rodzaj podróży określiłbym mianem *wypadnięcia z czasu* (Vonnegut używa tego określenia w trochę innym sensie). Jeśli taka turystyka jest możliwa, to niczym Ebenezer Scrooge z „Opowieści wigilijnej” Charlesa Dickensa mielibyśmy możliwość podglądnięcia lub doznania odległych fragmentów naszego życia. W wersji najskromniejszej, tak jak w wydanych w 1733 r. „Wspomnieniach z dwudziestego wieku” Samuela Madena, zadowolilibyśmy się odczytaniem listów dostarczonych przez anioła z przyszłości.

Wypadnięcie z czasu jest chyba najbardziej rozpowszechnioną w literaturze wersją podróży w czasie. Jest tak, ponieważ Newtonowska koncepcja czasu absolutnego, który niczym Wielki Zegar odmierza życie nam wszystkim w równym tempie, jest chyba najbliższa temu, co intuicyjnie większość z nas rozumie przez czas. Wyłamanie się z tego nieubłaganego mechanizmu w powszechnym odczuciu wymaga działania czynników nadnaturalnych, stąd podróż często odbywa się we śnie lub za sprawą duchów, aniołów czy też magii. W wyjątkowych →

→ przypadkach z czasu wypada się wskutek nieszczęśliwego wypadku – zwykłego uderzenia w głowę. Rzeczywiście, zgodnie ze standardową, sprawdzoną fizyką wypadnięcie z czasu nie jest możliwe. Nie oznacza to, że podróże w czasie muszą być nudne!

Powiedzieliśmy sobie dotychczas, że wszyscy, czy tego chcemy czy nie, pedzimy przez czasoprzestrzeń. Podróż w czasie tego typu określiłem mianem powszechnej. Choć w literaturze często fantazjuje się na temat możliwości opuszczenia tego biegu (typ drugi podróży, czyli wypadnięcie z czasu), to nauka nie daje nam w tym zakresie wielkich nadziei. Istnieje jednak trzeci sposób. Okazuje się, że nie opuszczając rzeki czasu, można mieć wpływ na cel swojej podróży. Każdy z nas, jak turysta, może podróżować w czasie gdzie indziej (do innego miejsca w czasie).

Desynchronizacja zegarków

W mitologii hinduskiej i w buddyzmie spotykamy opowieści o tym, że czas w niebiosach upływa inaczej niż na Ziemi. W starej japońskiej historii o rybaku (sprzed roku 759) trzy dni spędzone w podziemnym pałacu odpowiadają trzystu latom na powierzchni. W jednym z opowiadań Janusza Zajdla pojawia się cylinder van Troffa. Śmiałek, który zanurzy się we wnętrzu tego urządzenia, może podróżować w czasie, nie wyłamując się całkowicie z jego władzy – chwila wewnątrz cylindra odpowiada wielu latom na zewnątrz.

Mity, fantazja, *science fiction*? A właśnie, że nie tylko! Efekt ten, zwany dylatacją czasu – odkryty przez Einsteina i zweryfikowany w setkach eksperymentów – znany jest od ponad stu lat. To jest nasz trzeci typ podróżowania w czasie. Na jego określenie będę używał fizycznego terminu dylatacja czasu.

Każda cząstka, przedmiot, człowiek ma swój lokalny czas zwany w fizyce czasem własnym. Nie istnieje Wielki Zegar tykający dla wszystkich tak samo. Choć rzeka czasu niesie nas ze sobą, to ma ona wiry, fale i wodospady. Manewrując niczym wytrawny wiosłarz, możemy starzeć się szybciej lub wolniej niż inni.

W jaki sposób manipulować czasem własnym? Jego upływ zależy tylko od tego, po jakiej krzywej poruszamy się w czasoprzestrzeni. Wyjaśnijmy w tym miejscu, że czasoprzestrzeń nie musi

Miniaturowe sondy wysłane na Proxima Centauri,

docierając

po trzydziestoletniej
podróży do celu, byłyby
o kilkadziesiąt dni młodsze,
niż wynikałoby z rachuby
dni przeprowadzonej
na Ziemi.

być płaska – według teorii Einsteina grawitacja to nic innego niż zakrzywienie czasoprzestrzeni. Jeśli rzeka czasu jest szeroka i spokojna (to jest właśnie płaska czasoprzestrzeń), a my chcemy wylądować w czasie gdzie indziej niż pozostali, to musimy płynąć inaczej niż oni. W jaki sposób? Wiosła w dłoń! Należy, najszybciej jak potrafimy, oddalić się w przestrzeni od pozostałych łodzi, a następnie powtórnie do nich się zbliżyć. Podczas ponownego spotkania zawsze ta załoga, która napracowała się najmniej (łódź niesiona najbardziej swobodnie przez prądy rzeki czasu) będzie najstarsza. Jeśli rzeka czasu jest wzburzona (czasoprzestrzeń zakrzywiona, np. wskutek istnienia wywołującej potężną grawitację czarnej dziury), to podróże w czasie stają się łatwiejsze. Manewrując łodzią wokół wirów rzeki czasu, możemy sprawić, by nasz czas własny znacznie różnił się od czasu własnego członków innych załóg. Podobnie jak poprzednio, podczas powtórnego spotkania ta załoga, która prowadziła swoją łódź po najbardziej spokojnych wodach (daleko od czarnych dziur), będzie najstarsza.

Jak duży może być efekt dylatacji czasu? Teoretycznie dowolnie duży. W praktyce pojawiają się różne techniczne ograniczenia, dlatego przyjrzymy się temu problemowi bliżej.

Komar z ery dinozaurów

Dla przyrody ożywionej w jej naturalnym środowisku, czyli roślin, ludzi i zwierząt zamieszkujących Ziemię, efekt dylatacji

czasu jest znikomy. Względne prędkości są małe, odległości niewielkie, grawitacja słaba, a czas życia krótki. Jednak im wyżej znajdujemy się nad powierzchnią Ziemi, tym grawitacja jest słabsza, a zakrzywienie czasoprzestrzeni mniejsze – czas upływa szybciej niż blisko powierzchni Ziemi. Dlatego głowa żyrafy podróżuje przez czasoprzestrzeń inaczej niż jej kopyta. Z punktu widzenia biologicznej ewolucji ta drobna różnica nie ma praktycznego znaczenia. Przybliżenie Wielkiego Zegara działa. To dlatego teoria Newtona, z jej absolutnym czasem, pojawiła się przed teorią względności Einsteina.

Jeśli cywilizacja wytworzy odpowiednią technologię, to efekt dylatacji czasu wkracza w rejon praktycznych zastosowań (lokalizacja GPS w naszych telefonach). Obecnie nie mamy najmniejszych problemów z doświadczalnym potwierdzeniem faktu, iż głowa żyrafy jest starsza od jej kopyt. Ba! Współczesne zegary atomowe są tak precyzyjne, że są w stanie wykryć dylatację czasu nawet przy jednocentymetrowej różnicy wysokości nad poziomem morza. Nasz podbródek jest młodszy niż czubek nosa! Podążając innym tropem: w rozważanej obecnie bezzałogowej misji do Proxima Centauri miniaturowe sondy, docierając po trzydziestoletniej podróży do celu, będą o kilkadziesiąt dni młodsze, niż wynikałoby z rachuby dni przeprowadzonej na Ziemi.

Jeśli od przyrody ożywionej przejdziemy do świata cząstek, to podróże w czasie przestają być czymś niezwykłym. Komar żyje około dziesięciu dni. Jeśli owady te poruszałyby się z takimi prędkościami jak niektóre cząstki promieniowania kosmicznego, to bez trudu w kilka dni swego życia (ich czas własny) przebywałyby dziesiątki milionów lat (czas upływający na powierzchni Ziemi), jakie oddzielają nas od kredy, czyli okresu, z którego pochodzą najstarsze zachowane w bursztynie okazy. Cóż za przyjemność być ukąszonym przez komara, który był larwą, gdy po Ziemi chodziły dinozaury!

Dlaczego cząstki podróżują w czasie tak łatwo, a my nie? Odpowiedź przynosi nam nasza analogia pomiędzy czasem i rzeką. Wyobraźmy sobie górską rzekę, której wartki strumień unosi łódź. Pojedyncze kropelki wody w takiej rzece

mogą mieć bardzo zwariowane trajektorie. Łódź jest duża i ciężka. Dzięki swojej masie i rozmiarom po rzece porusza się o wiele stabilniej. Im większy jest obiekt, tym więcej energii potrzeba, żeby zmienić jego trajektorię. Im bardziej jest skomplikowany, tym bardziej trzeba uważać, żeby nie uszkodzić jego struktury wskutek dużych przyspieszeń. Jeśli prąd rzeki zachowywałby się odpowiednio, to można by uniknąć tego typu trudności. Rzeczywiście, do dalekich podróży w czasie można wykorzystać duże zakrzywienie czasoprzestrzeni. Niestety, choć wiemy, że takie miejsca istnieją we wszechświecie, to nie tak łatwo do nich dotrzeć.

Pod prąd

Podróże w czasie wskutek zjawiska dylatacji czasu są całkowicie zgodne z naszą wiedzą fizyczną na temat świata. Ktoś chciałby zrównać się wiekiem ze swoim wnukiem? Podstawowe prawa fizyczne nie bronią nam takiej szalonej podróży. Oczywiście, do rozwiązania pozostają dosyć poważne problemy techniczne. Dzisiaj tego nie potrafimy, ale kiedyś, kto wie? Zauważmy, że podróże w przyszłość wykorzystujące dylatację czasu unikają kłopotliwego problemu, który pojawia się przy popularnym w literaturze wypadaniu z czasu. W przyszłości nie spotkamy samego siebie, bo nie wyskoczyliśmy z rzeki czasu. Nasze teraźniejsze ja nie spotka się z ja z przyszłości. Nie istnieje żadna druga kopia. To tylko czas, który upłynął na naszym zegarze, różni się od czasu wskazywanego przez zegary pozostałych osób.

Zastanówmy się jednak, czy da się cofnąć w czasie bez opuszczania rzeki czasu. Chociaż w takiej rzece nie można poruszać się wbrew nurtowi wody, to odpowiedni wir mógłby zawrócić nas wraz z masą wody odrobinę w górę rzeki – tam gdzie już byliśmy. Powracając do minionego wtorku, zobaczylibyśmy świat taki, jakim był wtedy. No ale przecież my również byliśmy jego częścią. W „Podróży siódmej” Stanisława Lema astronauta Ijon Tichy wskutek awarii rakiety wlatuje w rejon wirów i pętli czasoprzestrzennych. W pętlach występuje fenomen zwielokrotnienia teraźniejszości. W czwartek Ijon odkrywa pod łóżkiem siebie z niedzieli zjadającego ze smakiem zapas czekolady. Uderzyć niedzielnego nie warto, bo przecież za trzy

Podróże w czasie wskutek zjawiska dylatacji czasu

są całkowicie zgodne
z naszą wiedzą.

Ktoś chciałby

zrównać się wiekiem
ze swoim wnukiem?

Niełatwe, ale fizycznie
możliwe!

dni samemu zbierze się ciąg. Ta para to tylko dwóch z wielu błakających się po pokładzie Ijonów. Jak łatwo przewidzieć, racjonalna analiza sytuacji załamuje się, problem wymyka się spod kontroli, a na pokładzie następuje szalona gonitwa i bi-jatyka. Opowiadanie to, jak wiele innych, pokazuje, że podróż do miejsc w czasie, w których już istnieliśmy lub będziemy istnieć w kilku kopiach, rodzi szereg problemów logicznych.

Co na to nauka? Czy rzeka czasu rzeczywiście może nas cofnąć w czasie? Odpowiedzi na to pytanie można szukać, studiując równania grawitacji Einsteina. To one stanowią prawa, którym podlega czas.

Przyjęcie u Hawkinga

Albert Einstein na 70. urodziny otrzymał od swego przyjaciela, wybitnego matematyka Kurta Gödla, niezwykle cenny prezent. Gödel wykazał, iż równania Einsteina dopuszczają istnienie wszechświata, w którym można podróżować wstecz w czasie. Fizycy relatywiści określają taką możliwość mianem zamkniętych pętli czasowych. Dla Einsteina była to kłopotliwa niespodzianka.

Cóż począć z prawami, które nie pozwalają na podróż wstecz w czasie? Przecież nie spotykamy gości z przyszłości. Takie spotkania kłócą się z logiką. Równania Einsteina są bardzo skomplikowane, a ich rozwiązania natrafiają na liczne problemy interpretacyjne. Fizycy relatywiści studiują te równania od ponad stu lat. Dopiero kilkadziesiąt lat po odkryciu teorii

grawitacji Einsteina, dzięki Stephenowi Hawkingowi, rozumiano znacznie lepiej relację pomiędzy czasoprzestrzenią a czasem. Hawking, badając to zagadnienie, zaproponował hipotezę ochrony chronologii: makroskopowe prawa fizyki bronią podróży wstecz w czasie. Obecnie, na mocy tej hipotezy, relatywiści uważają, że czasoprzestrzeń, w których takie podróże są możliwe, są wyłącznie matematyczną ciekawostką. Niemniej jest to tylko hipoteza i wydaje się, że ciągle kryje się tu tajemnica. Wątpliwości zapewne znikną, gdy lepiej zrozumiemy teorię grawitacji Einsteina lub odkryjemy teorię od niej bardziej kompletną i doskonałą. No cóż, ciągle czekamy na następcę Newtona i Einsteina.

Jak przystało na prawdziwego fizyka, Hawking pokusił się nawet o eksperyment, który potwierdził jego przypuszczenia, iż podróże w czasie wstecz nie są możliwe. Niezbędne rekwizyty: szampan, przekąski, baloniki, zaproszenia. Tak! Hawking urządził przyjęcie dla podróżników w czasie. Najpierw wydał bankiet. Następnego dnia rozesłał odporną na czas zaproszenia. Wynik eksperymentu: Hawking bawił się samotnie. Dowodzi to, że nikt z przyszłości obejmującej prawdopodobnie setki lat nie był w stanie cofnąć się w czasie. Kto mając taką możliwość nie pokusiłby się o przybycie? Wspaniały pomysł na testowanie możliwości przyszłych technologii.

Spojrzenie wstecz

Główne przesłanie tego przewodnika można streścić następująco: choć nietrywialne podróże w czasie są możliwe, to podróżować możemy tylko wprzód. Herbert George Wells miał się z prawdą w swojej powieści, twierdząc, że wehikuł czasu można wyposażać w bieg wsteczny. Kto żałuje, że nie jest to możliwe, niech przeczyta „Podróż dwudziestą” Stanisława Lema. To prawda, że „mając taką masarnię i jatkę w rodowodzie, wstyd pchać się pomiędzy wysokie kosmiczne cywilizacje”, ale czy naprawdę chcielibyśmy w ręce regulatorów historii oddawać nowe potężne narzędzie? A jeśli ktoś nie wierzy, iż podróże w czasie wstecz nie są możliwe, to proponuję wybrać się w przyszłość i osobiście sprawdzić, czy któraś z bardziej zaawansowanych cywilizacji nie odkryje, jak włączyć bieg wsteczny. © SEBASTIAN SZYBKĄ

Kiedy spieszy wewnętrzny zegar

KASPER KALINOWSKI

W zależności od wieku, kultury, nastroju czy stanu zdrowia możemy różnie postrzegać mijające godziny, dni i lata.

Wszyscy posiadamy wewnętrzny zegar i postrzegamy upływ czasu. Ale nie wszyscy tak samo, albo przynajmniej mamy do tego upływu różny stosunek. Aby się o tym przekonać, wystarczy pojechać do Ameryki Łacińskiej i spróbować umówić spotkanie na konkretną godzinę. Według obserwacji zespołu Lawrence'a White'a, psychologa z Beloit College, im bardziej rozwinięty ekonomicznie i zamożniejszy jest dany kraj, tym mniej elastyczną definicję punktualności stosują jego mieszkańcy.

Punktualność w dżungli

Dla osób żyjących w zachodniej cywilizacji kwestia percepcji czasu wydaje się istotna, bo to wokół czasu i jego upływu skoncentrowana jest większość naszego życia. Gdybyśmy jednak znaleźli się w amazońskiej dżungli wśród Indian Pirahã, bez zegarka i z rozładowanym telefonem, nie byłoby nam się łatwo dowiedzieć, która jest godzina. Nie moglibyśmy po prostu o to kogoś zapytać. Pirahã, jak twierdzi badający tę kulturę od lat Daniel Everett, obywają się bowiem bez pojęcia czasu.

Pirahã to zadziwiający wyjątek, ale różnice kulturowe, gdy idzie o percepcję czasu, są znaczące. Naukowcy mówią o dwóch koncepcjach czasu, stanowiących jednocześnie linię demarkacyjną między kulturami indywidualistycznymi i kolektywistycznymi: chodzi o czas monochroniczny i polichroniczny.

Ten pierwszy znamy ze swojego doświadczenia. Czas monochroniczny postrzegamy jako linearny, dający się podzielić na mniejsze jednostki. Taki sposób konceptualizacji czasu dominuje w świe-

cie zachodnim. Nic dziwnego, że w kulturach, które tak postrzegają czas, ceni się wykonywanie tylko jednej czynności naraz, a podczas pracy ludzie rzadziej wchodzą w interakcje społeczne. Odkrycia psychologów wskazują jednak, że osoby nadmiernie skoncentrowane na teraźniejszości są bardziej impulsywne od tych skoncentrowanych na przeszłości lub przyszłości. Nie powinien więc dziwić spokój buddystów, postrzegających czas w sposób nieliniowy i nieprzypinających wielkiej wagi do teraźniejszości i planowania.

W kulturach kolektywistycznych czas postrzegany jest jako bardziej plastyczny i płynny. Ważniejsze są relacje między ludźmi, a robienie wielu rzeczy jednocześnie nikomu nie przeszkadza. Tego rodzaju koncepcja czasu – polichroniczna – charakteryzuje obszary Bliskiego Wschodu lub południowej Azji.

Ale to wciąż tylko jedno z wielu przybliżeń tego, jak możemy postrzegać czas.

Płynie, leczy, goni

Wyrażając prawdy o świecie za pomocą słów, zaskakująco często sięgamy po metafory. Wiele abstrakcyjnych idei, takich jak „sprawiedliwość” czy „czas”, trudno byłoby przedstawić bez ich użycia. Czas płynie, leczy rany, może nas gonić, a zdarzenia lokujemy na wyobrażonym kontinuum, które naukowcy określają „umysłową osią czasu”. W myśleniu o czasie ważną rolę odgrywa zwłaszcza metafora przestrzeni, którą posługujemy się, choć w różnych formach, niezależnie od wpływów kulturowych. Powszechność metafory przestrzennej do opisu czasu wynika nie tylko z tego, jak mówimy.

George Lakoff, znany na całym świecie z teorii opisującej język jako system meta-

for, twierdzi, że metafora przestrzenna zakorzeniona jest w naszej biologii. Jak zauważył w jednej z prac: „W naszych systemach wizualnych posiadamy czujniki ruchu i czujniki do obiektów i lokalizacji. Nie posiadamy czujników czasu (cokolwiek to może oznaczać)”. W 2010 r. zaś Edward Hubbard i Ursina Teuscher wykazali, że właściwa wszystkim kulturom konceptualizacja czasu jako przestrzeni oparta jest na wspólnym regionie w mózgu znajdującym się w obrębie płata ciemieniowego – powiązanym zarówno z percepcją czasu, jak i przestrzeni.

Z kolei badania dzieci w wieku przedszkolnym, przeprowadzone przez Sylvie Droit-Volet, pokazują, że na subiektywną ocenę percepcji czasu może wpływać to, jak odbierane są wydarzenia w przestrzeni. Działania, które wymagały od dzieci wysiłku, były oceniane przez nie jako trwające dłużej. Co więcej, czas ekspozycji punktu świetlnego lub czas trwania ruchu także był oceniany jako dłuższy, jeśli tylko punkt był jaśniejszy, a prędkość ruchu wzrastała.

Amerykanie na ogół wyobrażają sobie, że czas porusza się na osi horyzontalnej z lewej do prawej – zgodnie ze sposobem, w jaki piszemy i czytamy. Podobnie Chińczycy, którzy używają zapisu od góry do dołu, także upływ czasu utożsamiają z kierunkiem od góry do dołu. Psycholodzy na ogół sądzą, że „umysłowa oś czasu” kształtuje się w okresie przedszkolnym – w wyniku wpływów kulturowych. Także dla osób niewidomych czas płynie od lewej strony do prawej, co zdaniem badaczy wynika z natury systemu Braille'a.

W 2012 r. zespół Rafaela Núñeza – wieloletniego współpracownika Lakoffa – postanowił sprawdzić, na ile powszechne jest utożsamianie przeszłości i przyszłości



KAZUHIRO NOGI / AFP / EAST NEWS

Dzieci w parku nad rzeką Sagami w czasie długiego weekendu majowego (zwanego w Japonii Złotym Tygodniem). Sagamihara, 4 maja 2005 r.

z osią tył/przód. Sami o przeszłości myślimy najczęściej jako o czymś znajdującym się już „za nami”, a o przyszłości – jako czymś, co rozciąga się przed nami. Jak się okazało, lud Yupno z Nowej Gwiney do określania czasu wykorzystuje lokalną, górzystą topografię. Przedstawiciel tego plemienia wyraził przeszłość poprzez gesty jako schodzenie z góry, a przyszłość – wchodzenie pod górę. W dodatku koncepcja czasu wśród Yupno nie jest linearna. Równie odmienne od zachodnich są gesty używane wysoko w Andach przez Indian Ajmara. Przyszłość traktują oni jako coś znajdującego się za plecami, a przeszłość – jako coś znajdującego się przed nimi.

Niezależnie od kultury na postrzeganie upływu czasu wpływają także nastrój i stan zdrowia.

Długo jeszcze?!

Większość ludzi uważa, że czas przyspiesza, gdy są szczęśliwi, oraz płynie wolniej, gdy są w złym humorze. Wyjątkiem jest na pewno pobudzenie seksualne, które wzmacnia niecierpliwość, a podczas

którego na ogół znajdujemy się w dobrym nastroju. Ważne jest w tym przypadku rozróżnienie między nastrojem a emocjami. Ten pierwszy trwa dłużej, niekiedy utrzymuje się przez kilka dni. W przeciwieństwie do emocji nie ma wyraźnej przyczyny. Mimo że nastrój jest mniej intensywny niż emocje, również może zmieniać wewnętrzne postrzeganie czasu.

Zdaniem psychologów, w przypadku zdrowych ludzi im większe ogólne pobudzenie organizmu, tym sytuacje oceniane są jako trwające dłużej. Podczas jednego z eksperymentów okazało się, że obejrzenie scen z horroru zmieniło ocenę czasu trwania prezentowanego później materiału – studentom w grupie eksperymentalnej wydał się on dłuższy niż tym w grupie kontrolnej, którzy oglądali wcześniej neutralne sceny.

Z perspektywy ewolucyjnej takie rozwiązanie ma sens. Czas subiektywnie zwalnia, a więc „mamy go więcej” na analizie sytuacji i jak najszybszą reakcję w razie niebezpieczeństwa. Już 3-letnie dzieci, jeśli pokażemy im twarze wywołujące

strach, twierdzą, że były prezentowane dłużej niż te neutralne. Czas ulega też „wydłużeniu”, kiedy tylko oczekujemy na zobaczenie czegoś nieprzyjemnego, odczuwamy ból albo jesteśmy uczestnikami wypadku.

Dużo o subiektywnym odczuwaniu czasu mówi nam skrajny przykład obniżonego nastroju – zaburzenia depresyjne. Osoby cierpiące na depresję często mówią o desynchronizacji ich wewnętrznego zegara i rzeczywistego upływu czasu. Świat zewnętrzny wydaje się być zanurzony w innym porządku czasowym, a zdarzenia są szybsze niż te zachodzące w świecie wewnętrznym. Niektórzy, nawiązując do fizyki, określają nawet to zjawisko jako „depresyjną dylatację czasu”.

W maju 2020 r. zespół Sylvie Droit-Volet przyjrzał się Francuzom przebywającym na przymusowej kwarantannie spowodowanej przez COVID-19. W ich badaniach stres i poziom lęku, odczuwane przez odizolowane osoby, w niewielkim stopniu wyjaśniały subiektywne spowolnienie czasu. Za jego „wydłużenie” →

→ w dużo większym stopniu odpowiadały za to smutek i nuda. Wyniki zespołu Droit-Volet rzucają również nowe światło na wspomnianą „depresyjną dylatację czasu”, ponieważ chorzy na depresję na ogół wycofują się z kontaktów towarzyskich i porzucają dotychczasowe aktywności. „Ich ustalenia bezpośrednio wskazują na związek emocji z postrzeganiem czasu” – skomentował na łamach „Scientific American” Philip Gable, psycholog z Uniwersytetu w Alabamie, który przez najbliższe dziewięć miesięcy planuje analizować zmiany w psychologicznym upływie czasu wywołane przez COVID-19.

Również w przebiegu innych zaburzeń, takich jak choroba afektywna dwubiegunowa czy schizofrenia, percepcja czasu ulega zmianom. W przypadku tej pierwszej wspomniane zmiany wydają się być jednym z kluczowych zjawisk – w trakcie nasilenia objawów depresyjnych czas „spowalnia”, aby w fazie maniakalnej „przyspieszać”. Według Georga Northoffa prawidłowości te wynikają ze zmian wzorców aktywności neuronów w sieci somatomotorycznej i sensorycznej. Odkrycie otwiera drogę do nowego sposobu leczenia choroby – oparte o stymulację odpowiednich obszarów mózgu przy wykorzystaniu metody przeczaszkowej stymulacji magnetycznej TMS.

Natomiast u cierpiących na schizofrenię, w fazie ostrej choroby, gdy pojawiają się tzw. objawy pozytywne – jak omamy czy urojenia – czas wyraźnie przyspiesza. Zespół japońskich lekarzy, z Natsukim Uedą na czele, uznał nawet subiektywne przyspieszenie upływu czasu za jeden z objawów tej choroby.

Takie „przyspieszenie” wydaje się nieuniknione, nawet jeśli nie cierpimy na schizofrenię – ponieważ może być związane także z wiekiem.

Ta długa młodość

Powszechne przekonanie o tym, że z wiekiem czas między kolejnymi świętami się skraca, znajduje potwierdzenie w doniesieniach naukowców. W 2005 r. dwójka psychologów Marc Wittmann i Sandra Lehnhoff przebadła 499 osób w wieku od 14 do 94 lat. Pytano ich o tempo, w jakim czuli, że czas płynie – od „bardzo wolnego” do „bardzo szybkiego”. W przypadku krótszych okresów, jak tydzień, miesiąc, a nawet rok –

Czas ulega „wydłużeniu”,
kiedy tylko oczekujemy
na zobaczenie czegoś
nieprzyjemnego,
odczuwamy ból albo
jesteśmy uczestnikami
wypadku.

postrzeganie czasu przez badanych nie wzrastało wraz z wiekiem. Jednak dla dłuższych odcinków czasu, takich jak dekada, pojawił się pewien stały wzorek: osoby starsze miały tendencję do postrzegania czasu jako upływającego szybciej. Kiedy poproszono ich o refleksję nad swoim życiem, uczestnicy powyżej 40. roku życia stwierdzali, że czas upływał powoli w dzieciństwie, ale potem stale przyspieszał – przez lata nastoletnie do wczesnej dorosłości.

Dotychczas zaproponowane wyjaśnienia tego zjawiska były dość proste. W trakcie nowych doświadczeń – takich jak pierwsze pływanie żaglówką – czas płynie szybciej. Jednak jeśli później je sobie przypominamy, wydają się trwać dłużej niż dzień złożony z typowych czynności. Przypomnijmy sobie nasz zwyczajny dzień w pracy, gdy padliśmy ofiarą nudy. Mimo że wtedy czas prawdopodobnie nam się dłużył, to o ile nie stało się coś niezwykłego albo nie zostaliśmy zwolnieni, będziemy ten dzień pamiętać jako znacznie krótszy niż np. dzień pierwszej podróży samolotem. Z wiekiem coraz rzadziej robimy coś po raz pierwszy, więc kolejne dekady życia oceniamy jako krótsze.

Oryginalne wyjaśnienie tego, dlaczego z wiekiem dni wydają się coraz krótsze, przedstawił w zeszłym roku Adrian Bejan, fizyk z Duke University. Zmianami w postrzeganiu czasu zainteresował się, gdy jako młody chłopak trenował koszykówkę. Gdy był zmęczony po treningu, miał wrażenie, że czas spowalnia.

Jego zdaniem klucz do zrozumienia tkwi w „zmęczeniu”, jakiemu z wiekiem ulega nasza percepcja. Z upływem lat nie zmienia się przecież czas fizyczny, a jedynie subiektywny czas umysłowy.

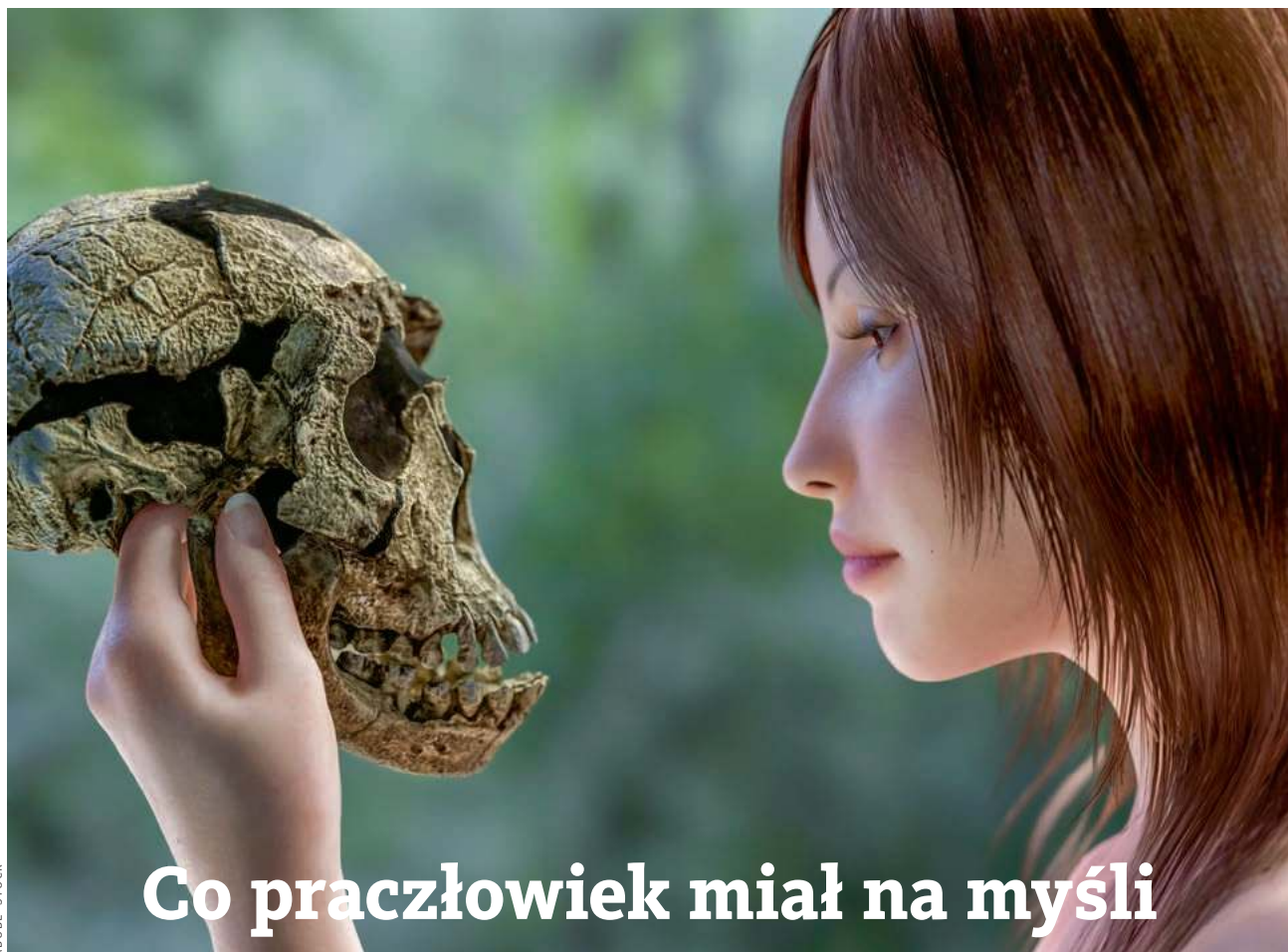
Zdaniem Bejana z wiekiem procesy, dzięki którym poznajemy świat, tracą na jakości – percepcja ulega zubożeniu. Degradacji ulegają m.in. ścieżki, którymi przesyłane są informacje sensoryczne. W miarę starzenia zmniejsza się również częstotliwość sakkad – nieświadomych ruchów gałek ocznych. To pomiędzy sakkadami gałki oczne fiksują się na jakimś obiekcie, a mózg przetwarza otrzymane informacje wizualne. U niemowląt okresy fiksacji są krótsze niż u dorosłych. Z wiekiem zmniejsza się więc ilość informacji, które otrzymuje nasz mózg. W praktyce ma się to przekładać na złudzenie szybszego upływu czasu. Życie możemy więc „wydłużyć” nie tylko zapewniając sobie nowe aktywności, ale również dbając o mózg poprzez odpowiednią dietę czy sen. W sensie psychologicznym może to spowolnić upływ czasu.

Co zaplanował orangutan

Naszą wiedzę na temat percepcji czasu wzbogacają także badania na zwierzętach. Jeszcze na początku XXI w. naukowcy byli zgodni – zwierzęta inne niż ludzie miały być „uwięzione w czasie”, niezdolne do planowania czynności oraz umysłowych podróży w czasie. Nawet zbieranie przez nie zapasów uważano za przejaw zachowania instynktownego, a nie rozmyślnie planowanie. Jednak ten bastion stanowiący o wyjątkowości człowieka runął pod wpływem badań. W 2006 r. Nicholas Mulcahy i Josep Call w serii przeprowadzonych eksperymentów dowiedli, że szympansy karłowate oraz orangutany posiadają zdolność planowania. W laboratorium potrafiły dobrać oraz przetransportować odpowiednie do wykonania zadania narzędzia – nawet jeśli musiały czekać aż 14 godzin na to, by mogły ich użyć.

W przyszłości badania mózgów małp i ludzi, skoncentrowanie na poszukiwaniach wspólnych nam neuronalnych korrelatów percepcji czasu, mogą pozwolić prześledzić ewolucyjny rodowód tego zjawiska. Dotychczasowe obserwacje pozwalają sądzić, że rację miał Eugène Minikowski, polsko-francuski psychiatra, który wyróżnił „czas-Ja” (Ich-Zeit) i „czas-Świata” (Welt-Zeit). Według fizyków ten drugi jest iluzją. Pierwszy natomiast skomplikowanym przybliżeniem, które generuje mózg.

© KASPER KALINOWSKI



Co praczłowiek miał na myśli

PROF. BOGUSŁAW PAWŁOWSKI, ANTROPOLOG:

**Mózg to bardzo kosztowny organ.
U dorosłego człowieka pochłania jedną piątą całej energii.
Nie każdy organizm może sobie na taki wydatek pozwolić.**

ŁUKASZ KWIATEK: Jak bardzo możemy się cofnąć w czasie, żeby wciąż jeszcze można było mówić o człowieku?

BOGUSŁAW PAWŁOWSKI: Na podstawie badań paleoantropologicznych zakłada się, że człowiek współczesny – tzw. *Homo sapiens sapiens* – istnieje ok. 300 tys. lat.

Spróbujmy cofnąć się bardziej – do ostatniego wspólnego przodka człowieka współczesnego i neandertalczyków. Spotkamy jakieś istotne różnice?

Dojdziemy do *Homo heidelbergensis*. Różnice będą przede wszystkim morfologiczne. I u *Homo heidelbergensis*, i u neandertalczyków twarzoczaszka wyglądała trochę inaczej. To raczej nie były osobniki, które by pasowały do naszych ka-

nonów estetycznych. Ale znały już ogień, złożone narzędzia, oczywiście łowiectwo. Posługiwały się już jakąś werbalną formą komunikacji – nawet jeśli język ten nie był wyrafinowany jak u *Homo sapiens*.

Różnice anatomiczne między ludźmi współczesnymi a praprzodkami na pewno były dostrzegalne, ale nie powinniśmy ich przeceniać. Dzisiaj zróżnicowanie w obrębie naszego gatunku może być znacznie większe niż wówczas pomiędzy poszczególnymi gatunkami człowieka. Mamy Nilotów (należą do nich np. Masaje), którzy są wysocy, oraz Pigmejów, którzy są bardzo niscy.

Powiedziałby Pan, że takie istoty jak *Homo heidelbergensis* były ludźmi?

Należą do naszego rodzaju (*Homo*), mają dość duże mózgi (ok. 1250 g). Miały

uboższą technologię niż *Homo sapiens*, ale jeżeli porównamy ich do współczesnych małp człekokształtnych, to nie da się negować ich już zaawansowanego poziomu ucłowieczenia.

Skoro jesteśmy przy mózgach: czy wiemy, kiedy one nam tak bardzo urosły?

To nie był proces skokowy, choć jak na ewolucyjne standardy aż trzykrotny przyrost wielkości mózgowia (z ok. 400 g do średnio niemal 1400 g) nastąpił bardzo szybko, bo w ciągu jakichś 2 mln lat. Tak szybki proces umóżgowienia można chyba zaobserwować tylko u niektórych morskich ssaków (np. delfinów). Ardipiteki i australopiteki miały mózgi podobnych rozmiarów jak szympansy (ok. 400–500 g). Podobna była też u nich wielkość →

→ względna mózgu, czyli stosunek rozmiaru mózgu do rozmiaru ciała.

Większe mózgi miały dopiero osobniki rodzaju *Homo* (to zresztą jedno z kryterium przynależności do tego rodzaju), począwszy od ok. 600 g u *Homo habilis* czy ok. 800 g u – również ogólnie masywniejszego – afrykańskiego *Homo ergaster*. Jednak największy wzrost rozmiarów mózgu w stosunku do wielkości ciała (która już się nie zmieniała) miał miejsce między 800 a 200 tys. lat temu.

Wydaje się, że duży mózg zapewnia organizmowi ogromne korzyści. Dlaczego zatem w innych liniach ewolucyjnych nie doszło do podobnego procesu?

Musimy pamiętać, że mózg, a szczególnie kora mózgowa, to bardzo kosztowny organ. U dorosłego człowieka mózg to zaledwie 2-2,5 proc. masy ciała, a zużywa ponad 20 proc. energii. U niemowląt stanowi on ok. 10 proc. i zużywa ponad 60 proc. energii! Czyż z biologicznego punktu widzenia to nie luksusowy organ? Nie wiele organizmów może sobie pozwolić na tak ogromny koszt. Ten „mózgowy luksus” musi się jednak wpisywać w ewolucyjno-ekonomiczną logikę, dlatego aby taka adaptacja mogła istnieć, musiała przynosić tak dużo korzyści, że warto było dla nich ponosić wysoki koszt. Nie wiemy do końca, jakie czynniki presji selekcyjnej mogły warunkować tak szybką ewolucję mózgowia w naszej filogenezie. Jedną z popularnych hipotez wiąże ten proces z naszym bogatym życiem społecznym i wyzwaniem, które ono niesie.

Wiem, że „umysły nie kamienieją”, jak powtarzają paleoantropolodzy, ale pospekulujmy: o czym myśleli nasi przodkowie kilkaset tysięcy lat temu?

Mamy kilka sposobów uprawdopodobnienia naszych spekulacji. Po pierwsze, artefakty. Skoro konstruowali narzędzia, to potrafili przewidywać. Po drugie, pewne cechy współczesnego człowieka prawdopodobnie nie pojawiły się zniechcane, tylko miały dłuższy ciąg ewolucyjny. Po trzecie, możemy się posługiwać modelami pierwotnych społeczności: przyglądać się współczesnym łowcom-zbieraczom, a także dokonywać porównań ze współczesnymi szympansamami,

które też w różnych regionach tworzą różne kultury.

Mówi się, że nasze własne umysły są książkami do historii wyzwań, z jakimi się zmagał nasi przodkowie. Jeśli mamy takie wrodzone mechanizmy jak strach przed pajakami czy węzami, to znaczy, że nasi przodkowie mieli z nimi jakiś problem. Odziedziczyliśmy te mechanizmy, ponieważ pozwalały rozwiązywać problemy adaptacyjne.

Nasze mechanizmy umysłowe to ważne źródło informacji o naszych przodkach, ale nie dają nam oczywiście całkowitej pewności. Przyjmuje się np., że 50-30 tys. lat temu żyły społeczności zbliżone do współczesnych zbieraczy-łowców, co nie do końca musi być prawdą. Nie mamy pewności, jak wyglądały struktury społeczne, np. zarządzanie grupą, czy obowiązywała monogamia, czy też powszechna była poligynia etc. Choć gdy dzisiaj widzimy, jak intensywna u obu płci może być zazdrość, to wiadomo, że ta posesywność, chęć posiadania partnera na dłużej niż jedną noc, musiała istnieć już u naszych przodków. Na tej podstawie możemy powiedzieć coś o tym, jak rodziły się nasze emocje i jakie warunki emocjonalne panowały w takich społecznościach.

O czym więc nasi przodkowie myśleli?

Pewnie o tym, o czym myślą współcześni łowcy-zbieracze. Jak zaspokoić wszystkie potrzeby. Jak zdobyć pokarm, gdzie go szukać, jak go przenieść, jak zbudować schronienie, rozpalić ogień, ale też jak nakłonić do seksu potencjalnego partnera. Planowali. Musieli też być ostrożni – złamanie czy zwichnięcie było problemem znacznie większym niż dzisiaj. Musieli zapamiętywać topografię – choćby miejsca, gdzie można zdobyć miód, gdzie są termitiery, źródła wody pitnej albo schronienie na nocleg. Zastanawiali się, kiedy się przemieścić – znali pory roku. Mieszkańcy chłodniejszych regionów musieli się w coś ubierać, same adaptacje fizjologiczne na pewno im już nie wystarczały.

Możemy sobie wyobrazić, że występował podział ról. Mężczyźni byli odpowiedzialni za polowania, łowienie ryb. Kobiety zajmowały się dziećmi, zbierały

jagody, wykopywały jadalne bulwy, częściej przygotowywały posiłki. Raczej nie były dyskryminowane, ponieważ to one ostatecznie dostarczały więcej jedzenia. Dziś wiemy, że zbieraczki zapewniają przeciętnie więcej kalorii (w sumie ok. 60 proc.) niż myśliwi, na których nie zawsze można polegać.

Dzieci musiały się bawić, zapewne w miejscach doglądanych przez dorosłych. Nasi przodkowie skupieni byli w dużym stopniu na interakcjach międzyosobniczych, uczyli się, jak postępować z relacjami w grupie. Pod tym względem myśleli o tym, o czym w zasadzie my też często myślimy.

Mówi Pan o tym, co musieli robić. A czy mieli czas na myślenie bądź robienie tego, na co mieli ochotę?

Tak. Ale nie możemy stworzyć jednego modelu, wspólnego dla wszystkich grup żyjących 200 tys. lat temu. Wszystko zależy od warunków: jeżeli wokół było dużo pożywienia, to nie musieli wiele pracować. Dzisiaj społeczeństwa zbieracko-łowieckie, które mają dostęp do pokarmu, pracują po 3-4 godziny dziennie. Jeśli pada, po prostu nie idą na polowanie. Jak się zmęczą jednego dnia, to drugiego odpoczywają. Nie kumulowano rzeczy, nie magazynowano mięsa na dłużej. Żyli z dnia na dzień i chyba zgodnie z przesłaniem *carpe diem*.

Żyli w lęku? W książkach prymatologów, którzy pracują w terenie, np. Dorothy Cheney i Roberta Seyfartha o pawianach, uderza, w jak wielkim stresie te zwierzęta żyją i ile niebezpieczeństw na nie czeka.

Pawian nie ma kamiennych narzędzi, nie potrafi rozniecić ognia, nie jest tak uzbrojony jak nasi przodkowie. Oni na pewno posługiwali się już wtedy dzidami. Tzw. włócznie z Schöningen, świetnie zachowane, mają ok. 400 tys. lat. Niewątpliwie doświadczali lęków, ale niekoniecznie z powodu dużych drapieżników. Mówiliśmy choćby o węzach i pajakach. Jared Diamond, który bada społeczności zbieracko-łowieckie, m.in. w Papui-Nowej Gwinei, pisze, że nam się wydaje, iż ludzie ci żyją w raju, a oni z pewnością woleliby zostać bezdomnymi w Nowym Jorku, bo tam nie ma wielu zagrożeń obecnych w warunkach naturalnych. Nie mają GPS-u, więc giną, gdy się zgu-



MACIEJ KULCZYŃSKI / PAP

PROF. BOGUSŁAW PAWŁOWSKI jest antropologiem, kierownikiem Katedry Biologii Człowieka na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Prowadzi badania w obszarze biologii ewolucyjnej, antropologii i psychologii ewolucyjnej. Jest członkiem kilku prestiżowych towarzystw naukowych, w tym również prezydentem European Human Behaviour and Evolution Association (EHBEA) i przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Nauk o Człowieku i Ewolucji (PTNCE), które współtworzył. W konkursie organizowanym przez PAP i MNiSW otrzymał główną nagrodę Popularyzator Nauki 2016. W 2016 r. ukazała się też jego rozmowa z dziennikarzem Tomaszem Ulanowskim „Nagi umysł. Dlaczego jesteśmy, jacy jesteśmy? Ludzka natura bez złudzeń” (Wydawnictwo Agora).

bią. Rzadko śpią pod drzewami, bo każdy znał kogoś, na kogo drzewo się przewróciło i go zabiło. W ich przypadku złamanie nogi czy ręki wiąże się często z kalem do końca życia.

Nasi praprzodkowie musieli być ostrożni. Znowu – wynika to nie jako z faktu, że my też jesteśmy bardzo ostrożni. Słyszymy byle szelest i nagle podnosi się nam poziom adrenaliny. Myślimy się z tym urodziliśmy, nie nauczyliśmy się, że trzeba być czujnym. Ten wyostrzony mechanizm ostrzegawczy to kolejna schuda ewolucyjna, która musiała powstać dawno temu. Lepiej sto razy się przestraszyć bez powodu niż jeden raz nie zareagować na realne niebezpieczeństwo.

Ale w grupie i w dzień nie mogli żyć w nieustannym stresie. Jeżeli udało im się zdobyć wartościowe owoce i coś upolować, zaspokoić potrzeby uczuciowe i społeczne, to czuli się dobrze. Myślę, że proporcja dobrego i lękowego samopoczucia nie była u nich aż tak różna od naszej.

A nie bali się, że niebo zwali im się na głowę?

Niebo może niekoniecznie, ale spotykali się ze zjawiskami przyrodniczymi, których nie potrafili wyjaśnić, i przypisywali je działaniu „ponadludzkiego”

czynnika sprawczego. Dziś wiemy, co to jest wybuch wulkanu, trzęsienie ziemi, tsunami. Oni na przestrzeni kilku pokoleń mogli się spotkać z jednym z tych zjawisk. Pewnie w ten sposób rodziły się legendy.

To efekt ostrego przyczynowo-skutkowego sposobu myślenia, który jest jednocześnie wadą i zaletą naszych umysłów. Czasami, choć nie możemy znaleźć przyczyn, wciąż ich poszukujemy, co prowadzi nas do błędnego przypisywania zależności przyczynowych czemuś, co tylko z sobą koreluje. Tak się rodzą rytuały – np. jeśli trener raz się ogolił i akurat jego drużyna wygrała mecz, to potem będzie się golił przed każdym meczem. My się takimi rzeczami czaruujemy. Z jednej strony musi nam to dawać więcej korzyści, niż nas to kosztuje, ale skutek uboczny jest taki, że współcześni ludzie nie myślą na sposób naukowy i w kwestiach przyczyn różnych zdarzeń nie mają prawidłowych intuicji.

Wybuch wulkanu jest czymś stosunkowo rzadkim. A jak nasi przodkowie myśleli o zdarzeniach, które się powtarzają codziennie? Nie bali się np., że któregoś dnia słońce nie wzejdzie?

Myślę, że procesy cykliczne były dla nich oczywiste. Wiedzieli, że gdy zrobi się ciemno, potem będzie jasno. Po deszczowej porze roku nastąpi sucha. Gdy rośliny kwitną, to po pewnym czasie wyrosną owoce. Zaćmienie słońca musiało ich zaskakiwać – ale ono też nie jest częste. Owe rzadkie zjawiska są tak ważne, bo pełnią funkcję kulturotwórczą – to one m.in. kreowały legendy, mity i religie.

Kiedy człowiek stał się filozofem albo teologiem?

Nawet szympanś do pewnego stopnia jest filozofem. Od ok. 40 tys. lat dość powszechna jest już sztuka i wierzenia. Oczywiście pojawiły się wcześniej, znamy bowiem artystyczne wyczyny człowieka (np. paciorki z muszli ślimaka) z jaskini Blombos w Afryce Południowej sprzed 70 tys. lat. Jeśli był paleolitycznym artystą i rytualnie grzebał zmarłych, na pewno się już zastanawiał. Niektóre malowidła, na których widnieją ptaki i leżący ludzie, są nawet interpretowane jako wyobrażenia „duszy” opuszczającej ciało. Ale nie ma gwarancji, że nie znaczą czegoś innego. Tak samo jest z figurkami o kształtach kobiecych – jedni twierdzą, że to →

→ przedstawienie bogini, inni, że symbol płodności, a jeszcze inni, że to starożytna forma erotycznych prezentacji.

Nie możemy się cofnąć aż do *Homo heidelbergensis*, ale kilkadziesiąt tysięcy lat temu człowiek na pewno wszystkiemu przypisywał „duszę”. Trudno jeszcze mówić o religii – ona narodziła się później. To było raczej coś w rodzaju spirytualnego podejścia do rzeczywistości. Wszystkie obiekty wydawały się ludziom ożywione. U neandertalczyków spotykamy intencjonalne pochówki, w których znajdujemy ochrę i różne pyłki kwiatów. Na Syberii są groby sprzed 30 tys. lat, gdzie obok szkieletów leżą tysiące wyrobów jubilerskich, paciorków z kości mamuta, do tego tysiące zębów lisów. Na wykonanie tego wszystkiego potrzeba tysięcy godzin – zrobienie jednego paciorka zajmowało przynajmniej dwie godziny. A oni to wszystko po prostu wkładali do grobu. Musiały być więc one dla nich ważne, musieli wierzyć w jakąś formę życia po śmierci.

Co człowiek sprzed kilkuset tysięcy lat mógł myśleć o innych ludziach?

Ścisła grupa mogła liczyć od kilkunastu do kilkadziesiątu osobników dorosłych plus dzieci. Ale istniało kilka warstw, grupy łączyły się w większe społeczności. W obrębie takiego większego plemienia obowiązywało pojęcie „ludzi” – „takich jak ja sam” – ale już nie przy kontaktach z przedstawicielami innego plemienia. Dzisiaj, gdy antropology próbują tłumaczyć nazwy grup, często okazuje się, że nazwa własnej grupy brzmi „ludzie”, a innej – „nie-ludzie”. Taki element dehumanizacji, który umożliwia ostrą rywalizację, pozwala zrobić krzywdę „innemu”, podczas gdy ze „swoim” walczy się raczej rytualnie.

Agresja była dość częsta. Zdaniem niektórych badaczy przed pojawieniem się rolnictwa – 30-12 tys. lat temu – nawet 20-30 proc. ludzi mogło ginąć od broni: oszczepu, grota, maczugi. Jednak w jednej z publikacji z 2016 r. badacze przedstawili dane, według których odsetek zabijanych przez innych ludzi był bardzo różny w różnych okresach. Np. ok. 200 tys. lat temu to było ok. 2 proc. (i tak dużo więcej niż u innych ssaków), ale w mezolocie (10-5 tys. lat temu) już 10 proc. – podobnie jak w średniowieczu. Natomiast między 3 a 1,5 tys. lat temu było to ok. 15 proc. Zabójstw mogło być nieco więcej, bo widzimy tylko to, co zostawiło ślady na ko-

Nasi przodkowie doświadczali wielu lęków, ale nie musiało im być źle. Żyli z dnia na dzień. Jeśli wokół było dużo pożywienia, mogli robić to, na co mieli ochotę.

ściach. Ślady po poderżnięciu gardła się nie zachowują.

Co się działo, gdy spotykały się grupy należące do różnych gatunków człowieka? Np. gdy *Homo sapiens* po migracji z Afryki trafili na neandertalczyków?

To musiały być bardzo interesujące zdarzenia, choć pewnie nieczęste – bo gęstość zaludnienia była znacznie niższa niż dzisiaj. Na pewno *Homo sapiens* rozpoznawali neandertalczyków jako jeszcze dziwniejszych „nie-ludzi”. Reakcje pewnie były złożone. Kiedyś istniała hipoteza, że gatunek *Homo sapiens* doprowadził do eksterminacji neandertalczyków, dzisiaj uważa się, że choć walki mogły występować, to generalnie zastąpienie populacji neandertalskich ludzkimi miało inny charakter – zresztą od momentu „trwałego” wkroczenia naszych przodków do Europy (jakieś 50-40 tys. lat temu) do czasu wyginięcia neandertalczyków minęło kilkanaście tysięcy lat. Mamy też starsze ślady obecności *Homo sapiens* w Europie – nawet sprzed 200 tys. lat na Bałkanach – ale ta populacja, która musiała bardzo wcześniej przywędrować z Afryki, wymarła i została zastąpiona przez neandertalczyków.

Wszystko wskazuje na to, że *Homo sapiens* byli jednak lepiej fizycznie i kulturowo dostosowani do warunków, jakie panowały w Europie kilkadziesiąt tysięcy lat temu. W grę wchodzi także katastrofy ekologiczne. Ok. 40 tys. lat temu na Półwyspie Iberyjskim, czyli w tym regionie, gdzie leży Wezuwiusz, doszło do wybuchu wulkanu – największego w Europie w ostatnich kilkadziesiąt tysięcy lat. Pojawiło się mnóstwo pyłu, temperatura w środkowej i wschodniej Europie spadła o kilka stopni. To wszystko mogło

zdziesiątkować neandertalczyków. Choć nie był to tak wielki kataklizm jak erupcja Toba w Indonezji ok. 72 tys. lat temu, która niemal wybiła ludzkość – szacuje się, że zostało po niej może 10 tys. par ludzi, podczas gdy wcześniej mogło żyć nawet kilka milionów osobników.

Zadam głupie pytanie, ale zaraz się z niego wytłumaczę: sądzi Pan, że przeklinali?

Pewnie tak. Jedną z głównych funkcji przekleństwa to wyrażenie emocji. Wiemy też, że przekleństwa pomagają łagodzić ból. Jeśli nasz przodek stąpnął na coś ostrego, to pewnie reagował tak samo jak my.

Pytam o przekleństwa, ponieważ pojawiały się one u małych uczonych języka symbolicznego. Np. szympanseca Washoe, uczona przez Rogera Fouts języka migowego, posługiwała się gestem „dirty” („brudny”), którym początkowo określała swoje odchody. Potem spontanicznie zaczęła łączyć ten gest z innymi, gdy była zirytowana – np. mówiła „brudny Roger”, gdy ten odmawiał spełnienia jakiejś jej zachcianki.

Washoe była wychowana przez ludzi, więc mogła się tego jakoś nauczyć od nas. U dzikich małp, gdy dochodzi do konfliktów, zdarzają się głośne krzyki – pohukiwanie – które wyrażają silny poziom emocji. U naszych przodków, zanim powstał język, mogło to wyglądać tak samo. Potem mogły się pojawić okrzyki wzbożone przekleństwami.

Na ból – przynajmniej zęba – od dawna istniały lekarstwa. Neandertalczyki stosowali pozyskany z topoli kwas salicylowy, który my mamy w aspirynie.

Niektórym się wydaje, że medycynę stworzył człowiek współczesny. Oczywiście, dzisiejsi łowcy-zbieracze też używają różnych substancji, głównie roślinnych, ponieważ wiedzą, że łagodzą one ból, zmniejszają temperaturę czy objawy infekcji. Ale medycyna pierwotna istnieje od dawna. Dzisiaj w Nepalu jest np. kilka systemów medycznych – system zachodni, chiński oraz naturalna medycyna nepalska. Ludzie wiedzą, że medycyna zachodnia jest świetna na złamanie, ale np. w kwestii bólów brzucha skutecznie kon-

kuruje z nią nepalska. Ludzie z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie ustnie tę wiedzę.

Krótko mówiąc: nasi odlegli przodkowie musieli mieć całkiem niezłą wiedzę o świecie.

Owszem, świetną, o ile przeżyli do 15-20. roku życia – śmiertelność była wtedy wysoka i dlatego nie było dużego przyrostu naturalnego, bombę demograficzną mamy dopiero od kilku tysięcy lat. Na dobrą sprawę mieli nawet większe mózgi niż my. Od okresu, kiedy człowiek zaczął parzyć się rolnictwem (ok. 10 tys. lat temu), doszło do zmniejszenia mózgowia – niewielkiego, ale jednak.

Powstanie cywilizacji wiązało się z przestawieniem się ze zbieractwa-łowiectwa na rolnictwo i wytwórstwo. Wiemy, do czego to w końcu doprowadziło. Ale jak ta zmiana wyglądała na początku?

Pierwsi rolnicy mieli bardzo ciężko. To było właściwie jak wypędzenie z raju

– choć może nie aż z raju, gdyż mówiliśmy, że ich życie nie było sielankowe. Byli niżsi, mieli więcej oznak stresu fizjologicznego – problemy z niedoborem nie tylko białka, ale też makro- czy mikroelementów, bo mieli uboższą, mniej zróżnicowaną dietę. Nierzadko groził im nieurodzaj i głód, a także nowe choroby i infekcje. Udomowienie zwierząt, choć znacznie ułatwiło życie, spowodowało na nas np. odrę czy ospę. Wcześniej nie było również malarii – stała się ona problemem dopiero, gdy zaczęły znikać lasy, przez co zwiększyły się środowiska, w których mogły się rozmnażać komary.

Łowcy-zbieracze jedli w zasadzie wszystko: owady, owoce, miód, małe kęgowce, a jak się udało, także większe zwierzęta. Rzadko spotykamy na ich kościach objawy zaburzeń, próchnicy czy awitaminozy. Byli sprawni fizycznie, szczupli. Często jednak chodzili głodni, np. gdy panowała susza lub gdy długo padał deszcz. Zmiana sposobu życia na rolniczy musiała być w jakiś sposób wy-

muszona – czy to zwiększeniem własnej populacji, czy zdziesiątkowaniem źródeł żywności dla łowców-zbieraczy. Kto bowiem rezygnuje z krótkiego „dnia pracy” na rzecz harówki, której efekty nie do końca da się kontrolować, choćby ze względu na pogodę? Okazało się jednak, że zmiana się opłaciła – ale była to droga przez cierpienia do gwiazd. U naszego prapradziada technologicznego byli ludzie, którzy sobie gorzej radzili ze środowiskiem niż łowcy-zbieracze.

Czasami, gdy chcemy komuś ubliżyć, to mówimy, że jest troglodytą czy neandertalczykiem. Nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo obrażamy te istoty.

© P Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK

Pierwsza wersja wywiadu ukazała się w „TP” 23/2017

■ W ramach Copernicus Festival: Czas prof. Pawłowski wygłosi wykład „O milionach lat ewolucji ludzkiego mózgu i kosztach wzrostu jego rozmiarów”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WSPÓŁWYDAWCY



Copernicus
College

**STUDIUM Z NAMI
PRZEZ INTERNET,
CAŁKOWICIE BEZPŁATNIE!**

**Pierwszy
polski e-universytet**

Na naszej platformie znajdziecie między innymi następujące kursy:



Neurobiologia i życie



Ewolucja: mechanizmy i konsekwencje



Filozofia nauki



Wprowadzenie do prawa karnego



Wprowadzenie do psychologii poznawczej



copernicuscollege.pl

Co nas dzieli

BARTOSZ KABAŁA

**Komórki macierzyste mogą bez końca ulegać podziałom
i tworzyć dowolne tkanki naszego ciała.
To na nich będzie oparta medycyna przyszłości.**

Każdego dnia w szpiku kostnym powstaje 100 miliardów nowych komórek krwi, mniej więcej tyle samo buduje naszą skórę. Ciało człowieka składa się z 80 organów zbudowanych z 10 bilionów komórek, które można podzielić na około 200 rodzajów. To wszystko powstaje z jednej komórki jajowej, do której kiedyś wniknął jeden plemnik. Komórka ta, zwana zygota, dzieli się, i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z genetycznym planem, na świecie pojawi się wkrótce kolejny organizm złożony z 10 bilionów komórek.

Komórki zmieniają swoje funkcje i specjalizują się, najczęściej aż do swojej ściśle zaprogramowanej komórkowej śmierci wykonując określone zadania. Za powstanie organizmu i jego ciągłą odbudowę odpowiadają komórki macierzyste. Po angielsku zostały nazwane znacznie bardziej obrazowo: *stem cells*, czyli komórki pnia.

Pień z konarami

Po raz pierwszy termin *stem cell*, a właściwie w niemieckiej formie *Stammzelle*, pojawił się w literaturze naukowej w 1868 r. Pracujący wówczas na Uniwersytecie w Jenie Ernst Haeckel był biologiem, fascynowanym niedawno ogłoszoną teorią ewolucji. Jak wielu ówczesnych naukowców zajmujących się anatomią porównawczą i pochodzeniem gatunków, pracował nad własną klasyfikacją istot żywych. Tworzył drzewa rodowe zwane *Stammbaume*, w których wykazywał pochodzenie współczesnych organizmów od wspólnych przodków. W jednej z tych prac pojawia się termin *Stammzelle*, oznaczający początkowo jednokomórkowy organizm, z którego powstały wszystkie chodzące, pływające i latające istoty na Ziemi. Haeckel był przekonany, że poszczególne etapy ewolucyjnej historii ga-

tunków (filogenezy) odtwarzane są także w życiu osobniczym organizmów (ontogenezie) – głosiła to tzw. teoria rekapitulacji. W 1877 r. użył słowa *Stammzelle* w nowym znaczeniu, bliższym współczesnej definicji komórki macierzystej – nazwał tak zapłodnioną komórkę jajową, z której rozwija się organizm z całym bogactwem rozmaitych, wyspecjalizowanych komórek.

Jeśli wyobrazić sobie procesy podziałów komórkowych i różnicowania w postaci drzewa, komórki macierzyste stanowią gruby pień, od którego odchodzą coraz mniejsze gałązki – coraz bardziej wyspecjalizowane komórki. Przy czym poszczególne klasy komórek macierzystych różnią się pod kątem tego, ile rodzajów „gałązek” może z nich wyrosnąć. Lepiej więc myśleć o nich nie jako o samym pnieniu, ale także o jego najgrubszych konarach.

Z definicji komórki macierzyste spełniać muszą dwa kryteria. Muszą być zdolne do nieograniczonych podziałów i odnawiania populacji, a także muszą mieć możliwość różnicowania się w komórki budujące tkanki i spełniające określone funkcje w organizmie. Innymi słowy, komórka macierzysta musi podzielić się na taką, która dalej będzie macierzystą, i taką, która – pod wpływem aktywacji określonych genów i sygnałów z otoczenia – przekształci się w komórkę skóry, mięśnia, mózgu itp. Większość zwyczajnych, wyspecjalizowanych komórek ciała także potrafi się dzielić, ale tylko na taki sam typ komórek i tylko skończoną liczbę razy. Komórki macierzyste są pozbawione tych ograniczeń.

Ze względu na ich potencjał różnicowania się, wyróżnia się kilka klas komórek macierzystych. Istnieją komórki: totipotencjalne, multipotencjalne i unipotentne.

Komórkami o największym potencjale (najbardziej uniwersalnymi) są komórki totipotencjalne. Powstają z nich wszystkie typy komórek, w tym łożysko, niezbędne w rozwoju płodowym. Komórkami totipotencjalnymi są zygota i komórki budujące zarodek, aż do piątego dnia ciąży, kiedy powstaje blastocysta, złożona z tzw. trofoblastu (prekursor łożyska) i skupiska pluripotencjalnych komórek macierzystych. Z nich również może powstać każda komórka organizmu, ale już nie łożysko.

Komórka multipotencjalna jest prekursorem różnych typów komórek, ale wyłącznie w obrębie danej tkanki. Najmniejszą zdolność różnicowania się ma komórka unipotentna. Jest to tzw. komórka prekursorowa (blast), powstaje z niej tylko jeden rodzaj komórek, np. hepatoblast przekształca się w hepatocyt, budujący wątrobę.

Ze względu na pochodzenie komórki macierzyste można podzielić na dorosłe (somatyczne), które są multi- lub unipotentne, oraz toti- lub pluripotencjalne zarodkowe komórki macierzyste. Te pierwsze można znaleźć w wielu miejscach organizmu, gdzie odpowiadają za jego ciągłą odbudowę. W kryptach jelitowych odtwarzają nabłonek, który jest bez przerwy złuszczyany przez masy pokarmowe, w warstwie podstawowej naskórka odtwarzają naskórek i warstwę rogową, w szpiku kostnym – krwinki itd.

Każde życie z jaja

O ile pierwsze użycie terminu *Stammzelle* można określić na osi czasu i wskazać jednoznacznie na jego twórcę, o tyle przyznanie zaszczytu odkrywcy komórek macierzystych nie jest takie proste. Pojęcie komórki macierzystej, jak już się przekonaaliśmy, jest bardzo pojemne.

Sybilla Kumańska na fresku namalowanym
przez Andreę del Castagno
(ok. 1450, Galeria Uffizi, Florencja).

Tysiącletnie życie nie przyniosło jej szczęścia.
Otrzymała je w darze od zauroczonego nią
Apolla, któremu służyła jako kapłanka
w jednej z wyroczni. Zapomniła jednak
poprosić również o wieczną młodość.

O rozwoju zarodkowym wiedzieli już starożytni Grecy. Arystoteles prowadził przecież badania nad embriologią zwierząt i tworzył teorie dziedziczenia. Prace nad komórką jajową i zygotą trwały w Europie od dawna. William Harvey, XVII-wieczny angielski lekarz, stworzył zasadę *ex ovo omne vivum*. Twierdził, że każde, w tym „ssacze” życie pochodzi z jaja. Komórkę jajową u ssaka jako pierwszy odkrył Niemiec Karl Ernst von Baer w 1827 r. Natomiast ludzka komórka jajowa została opisana już po drugiej stronie Atlantyku przez odkrywcę estrogenów, Edgara Allena, w 1928 r. Przełomowym badaniom nad zygotami poświęcili się uczniowie Ernsta Haeckla, bracia Oskar i Richard Hertwigowie. Komórki prekursorowe krwi (czyli komórki macierzyste o stosunkowo niewielkim potencjale różnicowania się) zidentyfikowane zostały przez Ernesta McCullocha i Jamesa Tilla u myszy w połowie XX w. Ci sami badacze popchnęli naprzód przeszczepy szpiku.

Embrionalne komórki macierzyste myszy wyizolowano po raz pierwszy w 1981 r. Po mysich embrionach przyszła pora na ludzkie. W 1996 r. embriolog z Wisconsin James Thompson zebrał 36 ludzkich zarodków pozostałych po procedurze zapłodnienia *in vitro* i z 14 z nich udało mu się wyizolować komórki macierzyste. Osadzone w idealnych do rozwoju warunkach inkubatora wytworzyły kolonie. Następnie Thompson umieścił w mysich macicach pojedyncze ludzkie komórki macierzyste, z których powstały trzy listki zarodkowe, czyli komórki prekursorowe dla skóry, kości, krwi, mózgu, mięśni i wszystkich innych tkanek.

Badania nad zarodkowymi komórkami macierzystymi, czyli tymi o największym potencjale różnicowania się, →



→ otwierają drogę do wielu terapeutycznych zastosowań, ale wywołują etyczne kontrowersje. Od niedawna znana jest jednak metoda, która pozwala całkowicie zrezygnować z wykorzystywania zarodków.

W 2006 r. japoński lekarz Shinya Yamanaka (nagroda Nobla w 2012 r.) opublikował w „Nature” pracę opisującą niezwykle osiągnięcie – przekształcenie mysiej dorosłej komórki w komórkę macierzystą o podobnym potencjale co komórka zarodkowa. To trochę tak, jakby z jajecznicy, jajka ugotowanego na twardo albo omletu uzyskać z powrotem świeże jajko – z którego można przyrządzić dowolną jajeczną potrawę. Yamanace udało się znaleźć sposób, by tak postერować uaktywnianiem się konkretnych genów, by dorosłe, wyspecjalizowane komórki cofnąć w rozwój.

W tym przypadku były to pobrane ze skóry myszy fibroblasty, które w normalnych warunkach przez resztę swojego komórkowego życia produkowałyby kolagen (białko zapewniające m.in. elastyczność ścięgien i skóry), nie mając żadnych szans, by zostać jakąś inną komórką organizmu.

Po czasie te wyspecjalizowane komórki cofały się w rozwoju do komórek macierzystych, mogących przekształcić się w dowolny rodzaj komórek organizmu. Przeprogramowane w ten sposób komórki macierzyste zaczęto nazywać „indukowanymi”. Rok później dwa zespoły, amerykański Thompsona i japoński Yamanaki, stworzyły ludzkie indukowane pluripotencjalne komórki macierzyste (iPSC) z fibroblastów.

Metoda nie okazała się ani przesadnie droga, ani skomplikowana. Naukowcy na całym świecie wkrótce zaczęli ją udoskonalać sprawdzając, które dojrzałe komórki można przekształcić w iPSC, czym iPSC różnią się od embrionalnych komórek macierzystych i w jakie komórki można je zróżnicować. Komórki macierzyste indukowano m.in. z keratynocytów, czyli komórek naskórka, hepatocytów występujących w wątrobie, limfocytów T pobranych z krwi obwodowej, a nawet z nerkowych komórek nabłonkowych uzyskanych z próbki moczu. Okazało się też, że iPSC nie różnią się praktycznie niczym od embrionalnych komórek macierzystych. Wyglądały tak samo pod mikroskopem. Produkowały te same białka i identyczne markery na swojej powierzchni. Tak samo mogły dzielić się w nieskończoność.

Nowotwory

Poza somatycznymi komórkami macierzystymi, które odnawiają ludzkie tkanki, i embrionalnymi – budującymi zarodki – istnieją również nowotworowe komórki macierzyste. Termin ten zaproponowany w 2001 r. przez profesora Irvinga Weissmana (z angielskiego *Cancer Stem Cells* – CSC) określa grupę komórek w masie nowotworowej, którą cechują właściwości nieco odmienne od reszty komórek rakowych. Po raz pierwszy CSC odkryto w 1994 r. wśród komórek białaczkowych. Później znaleziono je także w guzach litych, takich jak rak jelita grubego, trzustki czy piersi. Uważa się, że to CSC odpowiadają za wznowy miejscowe i przerzuty, które są ogromnym problemem w terapii onkologicznej. Komórki te bywają odporne na działanie chemioterapii i zdolne są do tworzenia przerzutów w miejscach odległych od pierwotnego guza, czego dowodzą badania na zwierzętach. Jeśli przeszczepić CSC myszom z upośledzoną odpornością, rozwija się nowotwór. To odróżnia je od zwykłych komórek rakowych, które choć potrafią się dzielić (i nie chcą poddać się procesom zaprogramowanej śmierci komórkowej), nie są w stanie stworzyć w nowych warunkach guza. © BK

Cudowne terapie

Te wszystkie odkrycia, dokładne poznanie procesów różnicowania się komórek i ich przekształcania w komórki wysoko wyspecjalizowane, a także coraz większe możliwości edycji genów – to inna wielka rewolucja naukowa ostatnich lat – rozbudziły ogromne nadzieje. W dalekiej przyszłości można wyobrazić sobie w zasadzie wszystko. Hodowlę narządów do przeszczepu w szalkach, wypełnianie martwic po zawale serca komórkami macierzystymi, odbudowę mózgu po udarze, regenerację zwyrodniałych stawów i przerwanego rdzenia kręgowego. Niczym nieograniczona możliwość naprawy własnego ciała, wymiany zepsutych części, załatania rozmaitych dziur. Przedłużania życia (w nieskończoność?).

W dzisiejszych czasach najważniejsza okazała się odbudowa szpiku kostnego u chorych na nowotwory krwi. Tacy pacjenci po bardzo intensywnej chemio- i radioterapii są niemal całkowicie pozbawieni własnego szpiku, a w efekcie – odporności na infekcje.

Co ciekawe, pierwsze próby terapeutycznego wykorzystania szpiku (i zawartych w nim komórek macierzystych, o czym jeszcze nie wiadomo) podejmowano na początku ubiegłego wieku. Szpik pobrany od zdrowych pacjentów był jednak podawany doustnie, przez co jego efekt terapeutyczny można porównać do podania szpiku wołowego na toście z warzywami albo porcji kaszanki. Pierwszy udany przeszczep szpiku wykonano w 1956 r. w Nowym Jorku pomiędzy bliźniakami, z których jeden zachorował na białaczkę. Dwa lata później we Francji Georges Mathé przeprowadził pierwszy przeszczep szpiku pomiędzy niespokrewnionymi osobami. Wówczas po terapii u sześciu pracujących wcześniej przy reaktorze jądrowym Jugosłowian wystąpiła choroba „przeszczep przeciwko gospodarzowi”. Komórki układu odpornościowego zawarte w przeszczepionym szpiku zaatakowały organizm biorcy. To wszystko odbywało się bez pełnego zrozumienia ze strony lekarzy, czym właściwie są komórki macierzyste i jak działają.

Dopiero odkrycia wspomnianych wcześniej Tilla i McCullocha, a także kolejne dokonania naukowców, takie jak znalezienie innych źródeł komórek macierzystych krwi, i to o większym potencjale różnicowania się, opracowanie metod izolowania komórek macierzystych i wykrycie białek sygnałowych kierujących ich rozwojem – pozwoliły na upowszechnienie terapii z wykorzystaniem tych komórek. Niebagatelny wkład w rozwój tej dziedziny medycyny miał zespół Irvinga Weissmana, obecnie dyrektora Instytutu Biologii Komórek Macierzystych i Medycyny Regeneracyjnej na Uniwersytecie Stanforda. Weissmanowi udało się nie tylko jako pierwszemu wyizolować ze szpiku (najpierw myszy, potem ludzi) komórki macierzyste produkujące różne krwinki – w tym komórki układu odpornościowego – ale także drobiazgowo opisać poszczególne stadia ich rozwoju.

Komórki macierzyste krwi poza szpikiem obecne są we krwi pępowino-

wej, a nawet we krwi obwodowej dorosłych osób. Odpowiednio pozyskane od dawcy (którym może być sam pacjent), poddane pewnym procesom i zaaplikowane choremu – potrafią w dość złożonym procesie zagnieździć się w niszy szpiku kostnego (w jamach szpikowych w kościach) i podjąć funkcję krwiotwórczą. Pacjent pozbawiony narządu, po przeszczepie komórek macierzystych znów go posiada.

Po sukcesach w dziedzinie regeneracji szpiku kostnego i komórek krwi celem wielu naukowców stała się odbudowa uszkodzonych organów. Podjęto prace nad regeneracją właściwie wszystkich układów. Ten boom na medycynę regeneracyjną zaowocował wieloma istotnymi odkryciami.

W 2015 r. Komisja Europejska dopuściła do sprzedaży preparat Holoclar, w którym znajdują się komórki macierzyste rąbka rogówki. Ze zdrowego oka pacjenta pobiera się fragment rąbka, a zawarte w nim komórki macierzyste (unipotentjalne) namnaża i osadza na specjalnej membranie uformowanej w kształt nowej rogówki. Po usunięciu zniszczonej rogówki wszczepia się tę wyhodowaną.

Inny kierunek badań wyznaczają próby pobudzenia dorosłych komórek macierzystych do podziałów i różnicowania. Sukcesem, na razie na niewielką, eksperymentalną skalę, staje się wykorzystanie komórek macierzystych w leczeniu oparzeń. Prowadzone są też badania nad połączeniem przerwanego rdzenia kręgowego za pomocą takich komórek.

Podobnych terapii jest znacznie więcej. Od 2018 r. w bazie PubMed pojawiło się ponad 66 tys. nowych artykułów naukowych na temat komórek macierzystych, a łącznie można ich tam znaleźć prawie 360 tys. Próby stosowania tych terapii podejmowane są we wszystkich medycznych specjalizacjach od neurologii po ortopedię.

Złudne nadzieje?

Według wyszukiwarki clinicaltrials.gov obecnie na całym świecie prowadzonych jest ponad 6 tys. badań klinicznych nad komórkami macierzystymi, ich efektywnością i skutkami. W tym twórczym chaosie, jak to często bywa, pojawiają się także metody pseudonaukowe. Wykorzystując nadzieję związaną z medycyną



KELLY GORHAM / MONTANA STATE UNIVERSITY

IRVING WEISSMAN kieruje Instytutem Biologii Komórek Macierzystych i Medycyny Regeneracyjnej na Uniwersytecie Stanforda. Jest jednym z najbardziej wpływowych badaczy komórek macierzystych, zwłaszcza tych występujących w szpiku oraz tych związanych z powstawaniem nowotworów. Jego badania cytowane były ponad 192 tys. razy. Laureat wielu prestiżowych wyróżnień, m.in. nagrody Roberta Kocha (2008 r.). Prof. Weissman jest jedną z gwiazd tegorocznej edycji Copernicus Festival.

regeneracyjną, próbuje się sprzedać metody niesprawdzone i nieskuteczne, a czasem groźne. W amerykańskiej prasie co jakiś czas przeczytać można informacje o nieudanych, „eksperymentalnych” terapiach komórkami macierzystymi. Jedną z głośniejszych spraw została opisana w 2017 r. przez medyczne czasopismo „New England Journal of Medicine”.

Trzy starsze kobiety zgłosiły się do jednej z klinik, by wziąć udział w próbie terapii zwyrodnienia plamki żółtej za pomocą komórek macierzystych. Już od początku ten „eksperyment” mógł budzić podejrzenia, ponieważ przed leczeniem pacjentki miały wpłacić po 5 tys. dolarów na konto kliniki. Poważne i wiarygodne ośrodki naukowe nigdy nie pobie-

rają opłat za zgłoszenie się do badań klinicznych.

U chorych okulistycznie kobiet wykonano odsysanie niewielkiej ilości tkanki tłuszczowej, by z niej wyizolować komórki macierzyste. Następnie wszczepiono te komórki do obu oczu jednocześnie, co również nie jest typową praktyką w badaniach klinicznych. Wkrótce kobiety straciły wzrok, bowiem taki zabieg wiąże się z niebezpiecznymi komplikacjami: odklejenie siatkówki, krwotoki do gałki ocznej itd.

Komórki macierzyste w pewnym sensie podzieliły los witamin C lub D3. Niektórzy, ignorując wyśrubowane standardy badań klinicznych, próbują leczyć nimi wszystko, od autyzmu po zaburzenia erekcji. W USA w drugiej dekadzie XXI w. powstało mnóstwo klinik oferujących właśnie takie leczenie: w 2009 r. były dwie, a już w 2018 r. działało ich ponad 700. Najwięcej na Florydzie i w Kalifornii, gdzie często przenoszą się bogaci emeryci. Są łatwym łupem dla ośrodków oferujących wieczną młodość i długie życie bez nieuleczalnych chorób.

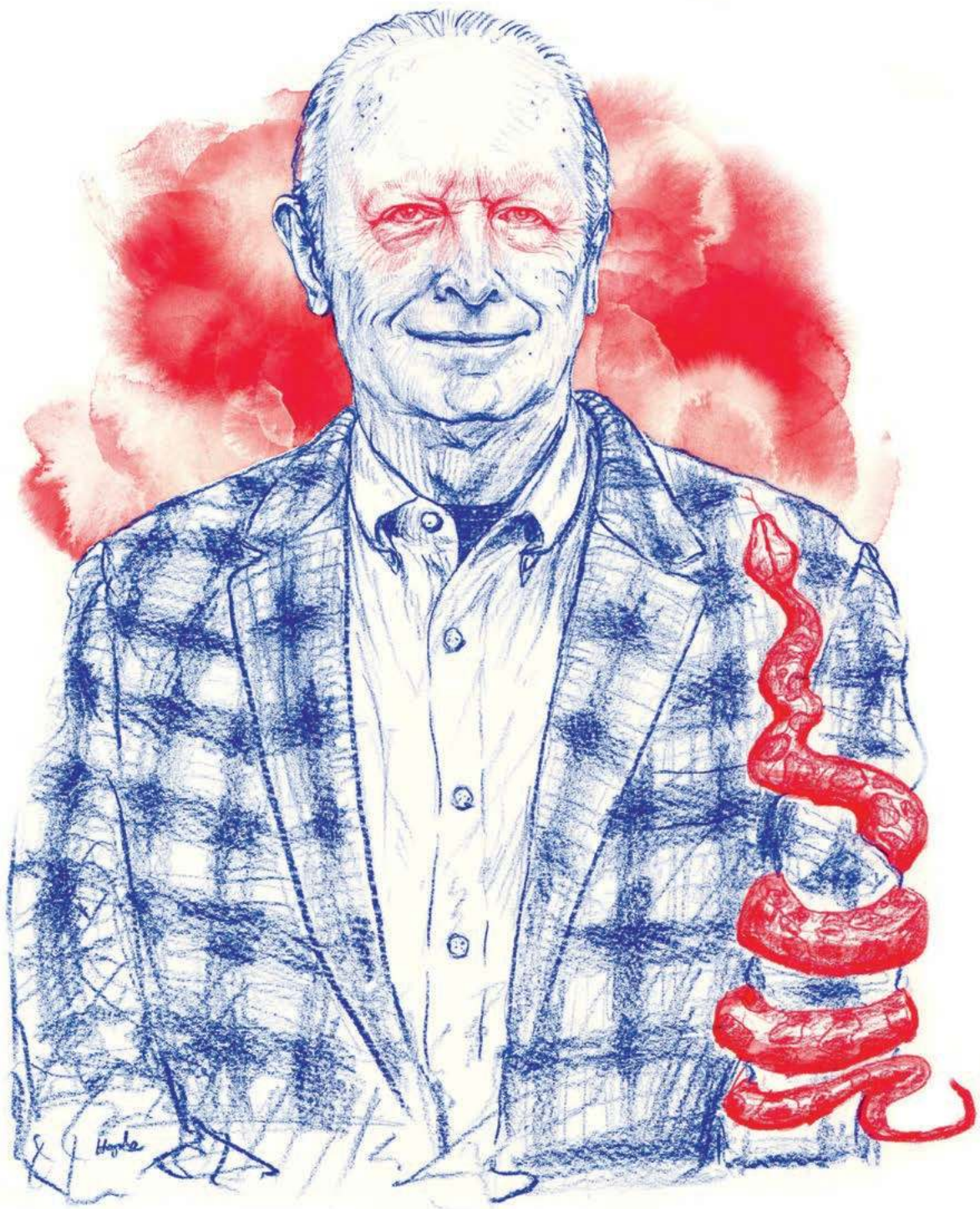
Coraz częściej także w Polsce pojawiają się kliniki na modłę zachodnią, oferujące za 2 tys. zł wygładzenie pomarszczonej twarzy dzięki komórkom macierzystym uzyskanym z krwi. Z kolei komórki pobrane z tłuszczu wyleczą stawy za 12 tys. Strony internetowe obiecuja cuda, choć nie podają wielu faktów.

Profesor Andrzej Szczeklik, który jak nikt inny potrafił łączyć nowoczesną medycynę z humanistycznym i filozoficznym spojrzeniem, mówiąc o medycynie regeneracyjnej przytoczył kiedyś mit o Sybilli Kumańskiej. Apollo próbował uwieść Sybillę i obiecał, że spełni jej dowolne życzenie. Sybilla poprosiła o długie, tysiącletnie życie. Bóg spełnił jej życzenie, ale nie otrzymał w zamian jej serca. Sybillę spotkał gniew Apolla. A ponieważ nie poprosiła o wieczną młodość, starzała się w nieskończoność. Błagała Apolla o śmierć, ale obrażony bóg pozostał niewzruszony.

Komórki macierzyste uchylily przed człowiekiem drzwi do wiecznego życia w zdrowiu, dały szansę na stanie się Sybillą Kumańską XXI w. – tysiącletnią i zawsze młodą. Problem w tym, że może być to droga złudna, a drzwi wciąż są tylko uchylone.

© BARTOSZ KABAŁA

Pierwsza wersja tekstu ukazała się w „TP” 5/2019



ARKADIUSZ HAPKA DLA „JP”

Jesteśmy dinozaurami

JOSEPH LEDOUX, NEUROBIOLOG:

U twoich stóp pojawia się wąż. Serce zaczyna bić szybko,
zostają uwolnione hormony stresu, ale to jeszcze nie jest odczucie strachu.
Ono wymaga uświadomienia sobie,
że to wszystko się dzieje, a wąż zaraz cię ukąsi.

MARIA HAWRANEK: Co to za zielono-czerwone sieci się za Tobą wiją?

JOSEPH LEDOUX: Neurony. Tło Zooma.

A napis na koszulce?

No self, no fear. Nie ma „ja”, nie ma strachu. To temat przewodni mojej ostatniej książki – „ja” jest kluczowe, bez niego nie ma uczuć. One nie mogą być nieświadome. Jeśli nie wiesz, że to „ty” jesteś zakochana lub przestraszona, to tego nie ma.

Kiedy w latach 90. ukazała się Twoja bestsellerowa książka „Mózg emocjonalny”, u wielu osób utrwaliła ona przekonanie, że emocje i uczucia są tym samym, a przynajmniej, że odpowiadają za nie te same struktury mózgowe.

Zdarzało się, że nawet profesor na konferencji naukowej przedstawiał mnie jako naukowca, który odkrył, że ciało migdałowe sprawia, iż odczuwamy strach. Dziennikarze też to podłapali. Nie byłem w stanie z takimi błędnymi uproszczeniami walczyć.

To wytłumacz, dlaczego ciała migdałowego nie powinno się nazywać mózgowym ośrodkiem uczucia strachu.

Rozważmy taką sytuację: u twoich stóp pojawia się wąż. Możesz znieruchomieć, twoje serce może zacząć szybko bić, mogą zostać uwolnione hormony stresu, ale to jeszcze nie jest uczucie strachu. Uczucie strachu to osobista świadomość tego, że twoje serce bije szybciej, a wąż cię ukąsi. To nie tak, że aktywuje się ciało migdałowe, więc automatycznie odczuwasz strach. Uczucie strachu to twoja poznawcza interpretacja tego, co dzieje się wokół ciebie i w tobie. Wiemy, że różni ludzie reagują na węże w różny sposób. Niektórych ich widok paraliżuje, inni się nimi nie przejmują. Wszystko zależy od poznawczej interpretacji. Ciało migdałowe kontroluje cielesną reakcję strachu, ale nie wytwarza świadomego uczucia strachu.

Dla rozjaśnienia wprowadzasz pojęcia: zachowania przetrwaniowe i obwody przetrwaniowe.

Co to takiego?

Obwody przetrwaniowe to sieci neuronalne kontrolujące zachowania instynktowne, związane np. ze zdobywaniem pożywienia, seksem czy pojawieniem się za-

grożenia. Ich ewolucyjna historia jest bardzo długa, występują u wszystkich istot wyposażonych w układ nerwowy. Kontrolują reakcje emocjonalne, ale nie są odpowiedzialne za uczucie czy też uświadamianie sobie strachu. A zatem choć ciało migdałowe – będące częścią takiego obrotu – przyczynia się do twojej reakcji strachu, nie określa w pełni towarzyszących temu doświadczeń. Twoje doświadczenie strachu obejmuje twoje poznawcze zrozumienie, że „ty” – to, kim wiesz, że jesteś – znajduje się w niebezpieczeństwie. Ale to, co uważasz za niebezpieczne

JOSEPH LEDOUX jest neuronaukowcem, profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego, dyrektorem Emotional Brain Institute. Poszukuje mózgowych i ewolucyjnych podstaw emocji i naszej świadomości. Autor książek „Mózg emocjonalny”, „Lęk” i „Historia naszej świadomości”. Wokalista i autor piosenek zespołu rockowego The Amygdaloids, opowiadających o funkcjonowaniu mózgu. Do ostatniej książki nagrał minialbum „Life”.

dla siebie, różni się od tego, co ja uznaję za niebezpieczne dla mnie. Doświadczenie strachu jest bardzo indywidualne, jak zresztą każde doświadczenie emocjonalne. Informacja o niebezpieczeństwie musi być zintegrowana z jakąś poznawczą reprezentacją własnego „ja”.

Mówisz, że niekoniecznie coś, co wygląda na strach, jest odczuwaniem strachu. A jednak jak patrzę na mojego dwulatka, to mam poczucie, że doskonale wiem, kiedy się boi. Na przykład dużego psa, który go trącił.

Pozwól, że podam inny przykład. Wychodzisz na ulicę w Krakowie i zauważasz psa, którego właśnie potrącił samochód. Widzisz, że pies płacze, wyje – to odruchy spowodowane zranieniem. Nie widzisz jego odczucia strachu czy bólu, tylko reakcje cielesne, polegające na tym, że zwierzę trzęsie się i płacze. To błąd mówić, że to emocja powoduje te wszystkie reakcje. Mogłabyś odciąć mu głowę, a te reakcje ciała również by wystąpiły. Nie

wszystko, co wygląda na strach, wynika z doświadczania uczucia strachu.

Musimy rozdzielić naukowe rozumienie strachu od praktycznego, życiowego doświadczenia. Opowiem ci o moim kocie – wracam do domu, głaszczę go, mruczy, myślę, że jest szczęśliwy; daję mu jedzenie, bo wygląda na głodnego, a jeśli miauczy, sądzę, że coś go martwi. Mogę traktować kota w ten sposób jako osobę, ale nie jako naukowca. To dwa różne kapelusze, które muszę zakładać na głowę. Nie możemy być poprawnymi naukowcami w każdej chwili naszego życia, byłoby wówczas nieskończenie nudne.

Ale wróćmy do twojego syna – mówisz, że widzisz, gdy się boi – prawdopodobnie tak właśnie jest.

Staram się pomóc mu nazywać te sytuacje: „przestraszyłeś się dużego psa, tak?”. Żle robisz?

Nie, bo jeśli się porozumiecie, możecie o tym pogadać, poradzić sobie z tym problemem. Nie musicie wcale używać poprawnej terminologii naukowej. Naukowcy muszą jednak umieć rozdzielić stan świadomości i reakcję: czy uciekasz przed niedźwiedziem, bo się go boisz? William James, jeden z twórców psychologii, uważał, że jest wręcz przeciwnie: czujemy strach, bo uciekamy. I choć to całe rozważanie może być nieistotne dla codziennego życia większości ludzi, ma znaczenie dla tych, którzy doświadczają niekontrolowanego lęku i niepokoju. Cały dotychczasowy program badawczy, który stworzył leki przeciwłękowe na podstawie eksperymentów na zwierzętach, głównie szczurach i myszach stawianych w sytuacji zagrożenia, skupiał się na tym, jak zmniejszyć poziom zachowań lękowych poprzez oddziaływanie na ciało migdałowe. Tylko że to nie jest cały problem. Bo, upraszczając, te leki mogą sprawić, że osoby lękowe pójdą na imprezę, czego inaczej by nie zrobiły, ale nie znaczy zarazem, że przestaną odczuwać lęk. Nawet osoby z uszkodzonym ciałem migdałowym mogą odczuwać lęk, bo wiedzą, czym jest, choć przejawiają one zredukowane reakcje lękowe.

Skoro, jak podkreślasz, przeżywamy emocje i towarzyszące im odczucia w tak indywidualny sposób, to znaczy, że nie ma oślawionych sześciu emocji podstawowych, wspólnych dla wszystkich kultur?

→ Nie wierzę w ich istnienie. Jedną z emocji podstawowych miał być strach. Ja skłaniałbym się raczej ku interpretacji, że czymś uniwersalnym jest napotykanie na niebezpieczeństwo, a ponieważ jest to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu człowieka i każdego żywego organizmu, w każdej kulturze znajdziemy odpowiednie słowo. Jestem jednak przekonany, że doświadczenie lęku w społeczności, która żyje w izolacji od zachodniej cywilizacji, np. gdzieś wysoko w górach Nowej Zelandii, może się mocno różnić od naszego. Lęk jest nie tylko osobisty, jest też kulturowo uwarunkowany – bo zależy od poznawczego rozumienia zjawiska, a to zależy od kultury, w jakiej dorastałaś.

António Damásio postawił hipotezę markerów somatycznych. Według niej otrzymujemy z ciała, z trzewi, rozmaite sygnały, które wpływają na nasze zachowania. Jednak czasami, kiedy nie ma sygnałów z ciała, nasz umysł sam może je wytworzyć, bo wiemy, jakie powinny one być. Według mnie tak jest ze wszystkimi emocjami i ich odczuciami: tworzymy umysłowe modele sytuacji i niezależnie od tego, czy napływają jakieś doświadczenia z ciała, czy ich nie ma, konstruujemy emocje w naszych umysłach. Czyli w sytuacji z wężem: widzę go, serce wcale nie przyspieszyło, ale wciąż mogę odczuwać strach – bo to przecież wąż, a ja się ich boję. To coś w rodzaju automatycznej interpretacji danego wzorca. Psychologowie mówią tu o schematach.

Wytłumacz, proszę.

Te schematy obejmują wspomnienia przeszłych sytuacji niebezpieczeństwa, którymi poznawczo „domykamy” to, co przytrafia się nam aktualnie. Bardzo istotna jest tutaj osobista narracja, czyli „ja”. „Ja” jest fundamentem schematu, tym, co napędza świadome doświadczenie danej emocji.

Możesz opowiedzieć o tym na jakimś przykładzie?

W latach 70. uczestniczyłem w badaniach pacjentów z rozszczepionymi mózgami. Poddawali się oni operacji, ponieważ cierpieli na ciężką padaczkę, której wówczas nie można było wyleczyć lekami. Aby zapanować nad napadami, przecięto wiązki aksonów, tzw. spoidło wielkie, łączące obie półkule. Mowa jest kontrolowana zwykle przez lewą półkulę. Pacjenci z rozszczepionym mó-

99 proc. wszystkich gatunków, które kiedykolwiek żyły, wyginęło. Jeśli patrzysz na średnią długość występowania podobnych gatunków, **my już chyba naszą przekroczyliśmy.**

zgiem potrafią opisać tylko to, co zostało im zaprezentowane w prawej części pola widzenia (bo przetwarzane jest to w lewej półkuli). Nie potrafią natomiast nazwać bodźców, które zaobserwowali w lewej części pola widzenia.

Pod kierunkiem Michaela Gazzanigi zrobiłem doktorat na temat tego, jak lewa półkula mózgowa radzi sobie z reakcjami wygenerowanymi na podstawie przetwarzania informacji przez prawą półkulę. Z punktu widzenia lewej reakcje ruchowe z prawej wydawały się zupełnie nieświadome. Jednak okazało się, że lewa półkula zmyśla dla nich historię, która czyni zachowania sensownymi. Np. pokazaliśmy pacjentowi w lewym polu widzenia (a więc adresowany do prawej półkuli) napis „wstań”. Zrobił to. Gdy go zapytaliśmy, dlaczego to zrobił, odpowiedział, a właściwie odpowiedziała jego lewa półkula: chciałem rozprostować kości. To była czysta konfabulacja. Lewa półkula nie wiedziała przecież o tym, że powiedzieliśmy prawej, żeby wstał. Zrozumieliśmy, że nasze mózgi ciągle generują odpowiedzi, do których nie mamy świadomego dostępu ani zrozumienia, a jednym z zadań świadomości jest ich wyjaśnianie poprzez tworzenie spójnej opowieści. Mówiliśmy o tym jako o świadomej narracji. Obecnie uważam jednak, że ta narracja jest właściwie nieświadoma.

Jak to?

Znasz krytyka literackiego i literata Rolanda Barthes’a? Powiedział, że to nie pisarz pisze opowieść – ona pisze się sama, pisarz jest tylko narzędziem. Nie planuje wszystkich myśli i treści, po prostu pisze. A skąd pochodzi treść? Z umysłowego

modelu, który twój mózg konstruuje nieświadomie, a ty polegasz na nim, gdy piszesz. I sądzę, że tak właśnie wyglądają wszystkie nasze świadome doświadczenia. Bazują na nieświadomych informacjach, które dochodzą do głosu w świadomości. Nasze „ja” jest jak kierowca automatycznej tesli: przejmuje kierownicę tylko wtedy, kiedy to konieczne [mimo że kierunek ruchu tego samochodu jest zaprogramowany, kierowca musi trzymać ręce na kierownicy i zatwierdzić każdy manewr – red.].

Czyli co stoi za moją myślą?

Masa nieświadomie gromadzonych i przetwarzanych przez mózg informacji, która pozwala na sformułowanie spójnej opowieści. To coś jak przedświadomy model umysłowej sytuacji, który prócz narracji werbalnej obejmuje również dźwięki i obrazy. Wszystko, co niesie za sobą sensowną opowieść. Świadomość może wydawać się źródłem naszych myśli i decyzji, ale w dużej mierze jest tylko odbiorcą nieświadomych procesów mózgowych.

W „Historii naszej świadomości” sięgasz do Głębokiego Czasu. Piszesz o protoplaście wszelkiego życia, pierwotnym organizmie zwanym LUCA, czyli ostatnim uniwersalnym wspólnym przodku całego życia. Jego pierwsze dzieci, bakterie i archeony, powstały 3,8 miliarda lat temu. Dużo, dużo później pojawiliśmy się my – świadome istoty zdolne o tym wszystkim rozmawiać. Dlaczego sięgasz aż tak daleko wstecz?

Żeby umieścić nas w szerszym kontekście istot żywych. Zachowania służące przetrwaniu sięgają początków życia. Mózgowe obwody przetrwaniowe, o których już mówiliśmy, tylko zwiększyły skuteczność tych zachowań. Oczywiście bakterie się nie boją, ale potrafią reagować na zagrożenie. Potrafią też dożyć do pożywienia, reprodukować się, choć na to wszystko mają zaledwie kilka godzin. Przejawiają one nawet pewną plastyczność zachowania – jeśli napotkają szkodliwe dla nich związki chemiczne, potrafią unikać ich w przyszłości. My również wykrywamy zagrożenie, odnajdujemy pożywienie, regulujemy temperaturę, rozmnażamy się. Tylko że kiedy wykrywamy zagrożenie, nazywamy to strachem, gdy szukamy jedzenia – głodem.

dem, gdy chce nam się pić – pragnieniem, kiedy uprawiamy seks – przyjemnością. Projektujemy subiektywne stany, których doświadczamy w związku z tymi rzeczami, jako przyczynę zachowań, a następnie projektujemy to również na inne organizmy. Te projekcje są nieuprawnione. Nawet jeśli te stany umysłowe i doświadczenia są u nas powiązane, niekoniecznie jest tak u innych organizmów.

Chcemy widzieć emocje takie jak smutek czy radość u innych zwierząt, tak jak Ty u swojego kota.

Jane Goodall jest przekonana, że szympanse matki odczuwają żal po śmierci swoich dzieci. Odcinasz się od tego grubą kreską? Mówisz, że zwierzęta nie mają emocji?

Wcale tak nie mówię! Choć wielu mi to zarzuca. Mówię: nie wiem, czy odczuwają emocje. Być może zwierzęta mają świadome przeżycia i uczucia, ale ponieważ ich mózgi są zorganizowane nieco inaczej, te doświadczenia są prawdopodobnie bardzo odmienne od naszych.

Co wyróżnia mózg człowieka?

Pewne obszary, które wydają się być zaangażowane w świadome doświadczenia, również emocji, np. części kory przedczołowej, istnieją też u innych małp, dlatego ich badanie może nam pomóc zrozumieć poznawczą bazę świadomych doświadczeń. Jednak biegun czołowy, najbardziej wysunięta do przodu okolica płata czołowego, to struktura, której nie znajdziemy, przynajmniej w takiej samej formie, w mózgach innych gatunków. Ludzka kora przedczołowa posiada cechy nie spotykane nawet u małp człekokształtnych, np. unikalne wzorce rozmieszczenia neuronów.

Piszesz, że ważną rolę na drodze do powstania ludzkiej świadomości odegrały parzydełkowce, którym zawdzięczamy pojawienie się neuronów i mięśni. Ze ślimakiem morskim z kolei mamy wspólny mechanizm zapisywania informacji w pamięci. Okazuje się też, że być może nie byłoby nas, gdyby nie małutkie myszy, które przetrwały ostatnie wielkie wymieranie 65 milionów lat temu.

Zniknęły wtedy z powierzchni Ziemi nie tylko dinozaury. Wymarły wszystkie zwierzęta, które ważyły więcej niż 25 kilo-

Czy uciekasz przed
niedźwiedziem,
bo się go boisz?
William James, jeden
z twórców psychologii,
uważał, że jest wręcz
przeciwnie:

**czujemy strach,
bo uciekamy.**

gramów. Prawdopodobnie chmura pyłów utrudniła fotosyntezę, dlatego było mniej pokarmu. Przetrwały te zwierzęta, które potrzebowały go najmniej i były stałocieplne, m.in. małeńkie, nocne ssaki – myszy.

Ze ślimakami, o których wspomniałaś, dzielimy te same molekuly. Pojawiły się jeszcze przed gąbkami, u pierwotniaków, to im zawdzięczamy podstawy umiejętności przechowywania informacji. Pierwotniaki to organizmy jednokomórkowe, nie mają zatem systemu nerwowego – ani żadnego innego. A jednak mogą się uczyć. Mechanizmy molekularne, które się u nich wykształciły, służyły przetrwaniu – nie powstały po to, by mogły z nich wyewoluować w odległej przyszłości neurony czy całe mózgi. Tak właśnie działa dobór naturalny – przekształca coś, co już istnieje, nadając temu nowe funkcje. Impulsy elektryczne, które są kluczowe dla komunikacji neuronów, pojawiły się pierwszy raz w komórkach po to, by regenerować ich zniszczoną membranę.

A kiedy na tej długiej drodze wydarzyła się nasza świadomość? Czy rzeczywiście zawdzięczamy ją przypadkowej mutacji genów u Homo sapiens, jakieś 70-30 tysięcy lat temu?

To zabawny pomysł, ale tylko pomysł. Przedstawiam wiele teorii, ale nie dałbym sobie uciąć za nie ręki. Nie mamy pojęcia, która jest prawdziwa.

Czy to prawda, że tylko człowiek jest w stanie popełnić samobójstwo?

Troszkę się cofnę. Spójrzmy najpierw na organizmy jedno- i wielokomórkowe.

Jednokomórkowce tworzą kolonie, np. bakterie skupiają się na ścianie pryzmatycznej. Mogą się poruszać, funkcjonują jak organizm – jedne zajmują się poruszaniem, inne przyjmują pożywienie, a jeszcze inne się reprodukują. Jeśli wyciągniesz jedną komórkę, to dalej może żyć ona na własną rękę, bo wszystkie te komórki pochodzą z innych komórek matek, które się podzieliły, mają inne genomy.

U wielokomórkowego organizmu, takiego jak człowiek, te wszystkie komórki pochodzą od jednej komórki matki: zapłodnionego jaja. Ten sam genom oznacza fizjologiczną kompatybilność w całym organizmie. Kiedy to się załamuje, np. kiedy pojawia się rak, wtedy część komórek przestaje pracować na rzecz dobra całego organizmu i może go zabić. Jednak generalnie komórki naszego ciała są zaprojektowane do współpracy: serce pompuje natlenioną krew do całego ciała, by mógł zostać przeprowadzony metabolizm, który trzyma nas przy życiu. W książce stawiam hipotezę, że ludzki mózg wytwarza pewien rodzaj świadomości, który pozwala mu podejmować decyzje sprzeczne z dobrostanem całego organizmu. To umożliwia nam niewyobrażalną elastyczność – możemy podejmować ryzyko, którego inne organizmy nie są w stanie podjąć. Im bardziej rozwinięta zdolność poznania, tym bardziej możemy sobie szkodzić, czyli działać przeciw własnemu przetrwaniu.

Poproszę o przykład.

Powiedzmy, że jesteś pionierką na kontynencie amerykańskim. Zdecydowałaś się wsadzić rodzinę na pokład i przepłynąć trzy tysiące mil oceanu w nieznane. Podjęłaś ogromne ryzyko, prawda? Zrobiłaś to, ponieważ sądzisz, że jeśli się uda, to będzie najlepsze dla twojej rodziny – będziesz miała ziemię, której nie mogłaś mieć, zaczniesz nowe życie. Dzięki takim ryzykantom powstały Stany Zjednoczone. Podejmowanie ryzyka jest bardzo użyteczne. Robimy to też dla przyjemności – wspina się, skaczemy ze spadochronem, możemy też zażywać narkotyki, których nawet pojedyncza dawka bywa śmiertelna. Inne zwierzęta prawdopodobnie tak nie postępują. Stawiamy na szali przetrwanie całego organizmu z powodu komórek w korze przedczołowej, które zaangażowane są w podejmowanie

→

→ decyzji. Sądę, że w historii ewolucyjnej to dość nietypowe zjawisko.

Teraz podejmujemy decyzje sprzeczne z dobrostanem nie tylko naszym, ale i całej planety. Nie potrafimy użyć naszego ogromnego mózgu dla dobra nas wszystkich.

Niektórzy na szczęście potrafią... Jednak rzeczywiście częściej podejmowane są krótkowzroczne decyzje, przysparzające korzyści jedynie ograniczonej liczbie osób. Niektórzy ludzie wątpią w globalne ocieplenie, ale co gorsza, to zwątpienie podsyca się w rozgrywce politycznej dla osiągnięcia globalnych korzyści. Dawniej w senacie Stanów Zjednoczonych zasiadali roztropni ludzie, teraz też głupi nie są, ale bardziej interesuje ich polityczne przetrwanie niż czynienie tego, co słuszne. To dziwne, bo Republikanie chcą być postrzegani jako osoby moralne i religijne.

Umysł ludzki jest dziwny, jest bardzo samolubny. Posiadanie samoświadomości

meo umysłu pozwala nam na podążanie za celami, które nie zawsze sprzyjają naszemu przetrwaniu.

Dalsze podążanie tą ścieżką może sprawić, że nie przetrwamy jako gatunek. Nasze środowisko znajduje się w kiepskiej formie. Mamy rządzących, którzy najbardziej interesują się własnymi korzyściami. Mamy globalną wioskę, ale nie mamy globalnej jedności. Nawet poczucie wspólnoty, które wykształciło się w czasie pandemii, okazało się bardzo wątłe. Żyjemy w niebezpiecznym czasie, nie tylko w kontekście tego, co już przytrafia się ubogim ludziom, ale i przyszłości – czy zostawimy po sobie planetę, na której nasi potomkowie będą w stanie żyć?

Bakterie są tu od dawna i zostaną na długo. Mam wrażenie, że my nie.

99 proc. wszystkich gatunków, które kiedykolwiek żyły, wyginęło. Jeśli patrzysz na średnią długość występowania danego gatunku, my już swoją chyba

nawet przekroczyliśmy. Nie ma żadnej gwarancji, że będziemy dalej istnieć. Ale to nie znaczy wcale, że Ziemia zostanie zniszczona. Ziemia da sobie radę, tylko my już tego nie zobaczymy. Bakterie na pewno tu zostaną.

I wszystko zacznie się na nowo? Te wszystkie mutacje, adaptacje?

Być może, ale na pewno nie wydarzy się w ten sam sposób. Każdy krok to nowa szansa. Nie ma takiej możliwości, by cała sekwencja się powtórzyła. Punkt startowy świata będzie też zupełnie inny – to już nie będzie wynurzenie się z wody.

Prawdopodobnie wszystkiego nie stracimy. W czasie ostatniego wielkiego wymierania przetrwały te organizmy, które nie zużywały dużo energii. Teraz to my jesteśmy ogromnymi dinozaurami, które potrzebują mnóstwa energii i zasobów. A zatem to my będziemy pierwszymi, którzy znikną.

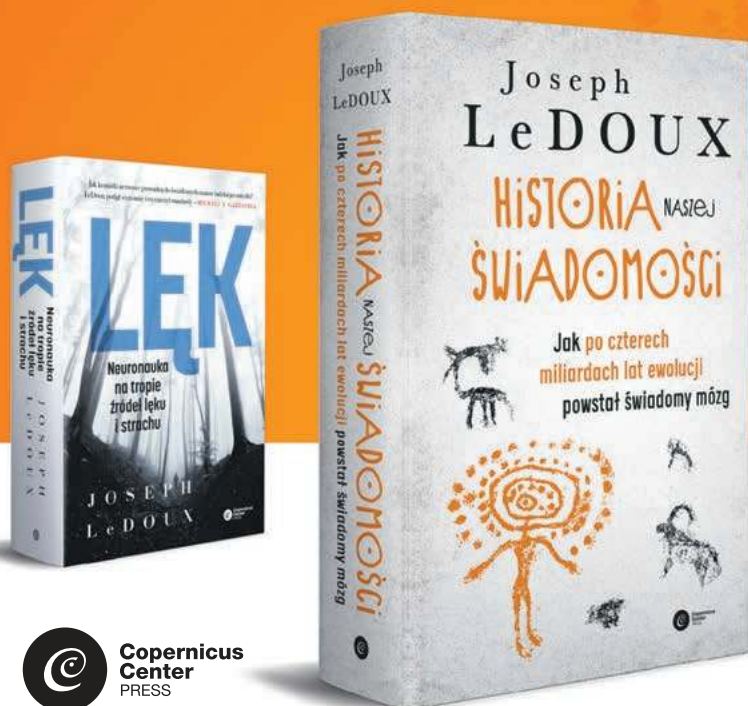
© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

REKLAMA

WYDAJEMY DO MYŚLENIA

NOWA KSIĄŻKA

Prof.
Josepha
LeDOUX



www.ccpres.pl

tel.: 12 448 14 12

zamowienia@ccpress.pl



COPERNICUS FESTIVAL 2020 / CZAS

Festiwal w całości odbywa się w formule online.

Oznaczone wydarzenia transmitowane są na żywo – w ich przypadku zachęcamy do aktywnego uczestnictwa: zadawania pytań, które zostaną przekazane prelegentom. W przypadku pozostałych wydarzeń podajemy termin premiery przygotowanego wcześniej materiału. Program może ulec zmianie – najbardziej aktualna wersja dostępna jest na stronie www.copernicusfestival.com, gdzie znaleźć można także szczegółowe opisy wszystkich wydarzeń.

6 października, wtorek

8.00–9.00

Śniadanie Mistrzów:
Justyna Kowalczyk
Prowadzenie: Katarzyna Kubisiowska
Spotify, RMF Classic

9.00–9.30

Nauka czytania:
Lewis Carroll, „Alicja w Krainie Czarów”
Prowadzenie: Bartosz Janik
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

10.00–10.45 **NA ŻYWO**

Lekcja przyrody:
Benjamin Bergen, „What the F.”
Prowadzenie: Małgorzata Majewska
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

11.00–11.45 **NA ŻYWO**

Lekcja czytania:
Ted Chiang, „Historia twojego życia”
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
[Facebook.com/LekcjeCzytania](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania)

12.00–12.30 **NA ŻYWO**

Studio festiwalowe
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

13.00–14.00 **NA ŻYWO**

„Widelcem po epokach”
Warsztaty kuchni dawnej

Prowadzenie: Maciej Nowicki
Zoom, zapisy:
warsztaty@copernicusfestival.com

14.00–15.30

Nauka w Art Inkubatorze:
„Na styku nauki i literatury”
Urszula Zajączkowska
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

16.00–16.45

Perceptio:
„Ewolucja: jak cenny jest czas?”
Szymon Drobnia, Łukasz Kwiatek
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

18.00–19.30 **NA ŻYWO**

Wykład: Joseph LeDoux
„As Soon As There Is Life, There Is Danger: An Exploration of Where Conscious Feelings of Fear Come From”
Rozmowę po wykładzie poprowadzi Mateusz Hohol
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

21.00–22.00

Rozmowy na czasie: Stefan Chwin
„Co nam zabiera czas”
Prowadzenie: Dominika Dudek
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

7 października, środa

8.00–9.00

Śniadanie Mistrzów:
Szymon Malinowski
Prowadzenie:
Grzegorz Jasiński
Spotify, RMF Classic

9.00–9.30

Nauka czytania:
Charles Dickens,
„Opowieść wigilijna”
Prowadzenie:
Marek Jakubiec
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

Zapraszamy na wystawy

6–11 października

„Kronos wyzwolony – jak zmienia się czas?”

Esej komiksowy.
Scenariusz: Marcin Mleczak i Maja Starakiewicz, grafika: Jakub Woynarowski
Plac Szczepański w Krakowie

5–31 października

„Między-czas”

Prace Andrzeja Bednarczyka, Michała Bratki, Diany Lelonek, Izabeli Łęskiej, Krzysztofa Maniaka, Kingi Nowak, Mikołaja Smoczyńskiego, Łukasza Stokłoty, Mikołaja Szpaczyńskiego, Michała Zawady
Cricoteka, poziom -1
Nadwiślańska 2-4, Kraków



Diana Lelonek, „Ministerstwo Środowiska porośnięte przez środkowoeuropejski las mieszany” (fragment)

Pasmo „Społeczeństwo przyszłości”

realizowane jest w partnerstwie z Priorytetowym Obszarem Badawczym „Society of the Future” Uniwersytetu Jagiellońskiego

„Rozmowy na czasie” – festiwalowa adaptacja cyklu „Rozmów o człowieku”, organizowanego przez Katedrę Psychiatrii Collegium Medicum UJ, Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych UJ i Polską Akademię Umiejętności

Cykl „Nauka w Art Inkubatorze”

organizowany jest w partnerstwie z Goyki 3 Art Inkubatorem w Sopocie



Copernicus Festival

W

RMF

Classic

Festiwalowe
Śniadanie
Mistrzów
codziennie
od 8.40

Rozmowy
dostępne
również na

rmfclassic.pl



10.00–10.45 NA ŻYWO

Lekcja przyrody:
Joseph LeDoux, „Lęk”
Prowadzenie: Mateusz Hohol
Facebook.com/CopernicusFestival

11.00–11.45 NA ŻYWO

Lekcja czytania:
Jorge Luis Borges, „Tajemny cud”
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Facebook.com/LekcjeCzytania

12.00–12.30 NA ŻYWO

Studio festiwalowe
Youtube.com/CopernicusCenter

13.00–14.00 NA ŻYWO

Warsztaty fotograficzne:
„Czas wywołujący obraz”
Prowadzenie: Grażyna Makara
Zoom, zapisy:
warsztaty@copernicusfestival.com

15.00–15.40

Społeczeństwo przyszłości
(POB FutureSoc UJ):
„Robotyzacja pracy? Co mówią
na ten temat powieści i filmy,
media i nauki społeczne”
Barbara Czarniawska
Facebook.com/CopernicusFestival

16.00–17.00 NA ŻYWO

Perceptio:
„Zagraj w szachy z arcymistrzem”
Prowadzenie: GM Mateusz Bartel
Chess.com
Youtube.com/CopernicusCenter

18.00–19.30 NA ŻYWO

Wykład: Irving Weissman
„Stem Cells and the Future
of Humanity”
Rozmowę po wykładzie
poprowadzi
Krzysztof Szade
Youtube.com/CopernicusCenter

21.00–22.00

Rozmowy na czasie: Czesław Lang
„Jazda pod górkę”
Prowadzenie: Dominika Dudek
Youtube.com/CopernicusCenter

8 października, czwartek

8.00–9.00

Śniadanie Mistrzów: Ewa Lipska
Prowadzenie: Bogdan Zalewski
Spotify, RMF Classic

9.00–9.30

Nauka czytania
Stanisław Lem, „Dzienniki
gwiazdowe”
Prowadzenie:
Tomasz Miller
Facebook.com/CopernicusFestival

10.00–10.45 NA ŻYWO

Lekcja przyrody:
Emil Cioran, „Upadek w czas”
Prowadzenie:
Marta Soniewicka
Facebook.com/CopernicusFestival

11.00–11.45 NA ŻYWO

Lekcja czytania:
Margaret Atwood, „Czas się zwija”
Prowadzenie:
Grzegorz Jankowicz
Facebook.com/LekcjeCzytania

12.00–12.30 NA ŻYWO

Studio festiwalowe
Youtube.com/CopernicusCenter

13.00–14.00 NA ŻYWO

Warsztaty:
„Stres – jak go ograniczać
i trzymać w ryzach”
Prowadzenie: Patryk Lange
Zoom, zapisy:
warsztaty@copernicusfestival.com

FESTIVAL 2020 / CZAS

15.00–16.00 NA ŻYWO

Warsztaty: „Czy design może być ponadczasowy?”

Prowadzenie:

AdMind

Zoom, zapisy:

warsztaty@copernicusfestival.com

16.00–17.00

Perceptio:

„Tempus fugit. Przedstawienia czasu w sztuce średniowiecznej i nowożytnej”

Magdalena Łanuszka

Youtube.com/CopernicusCenter

18.00–19.30 NA ŻYWO

Wykład: Leszek Sokołowski

„O względności czasu”

Rozmowę po wykładzie

poprowadzi Sebastian Szybka

Youtube.com/CopernicusCenter

21.00–22.00

Rozmowy na czasie:

Norman Davies

„Czy państwa są nieśmiertelne?”

Prowadzenie:

Dominika Dudek

Youtube.com/CopernicusCenter

9 października, piątek**8.00–9.00**

Śniadanie Mistrzów: January

Weiner (2), January Weiner (3)

Prowadzenie:

Łukasz Kwiatek

Spotify, RMF Classic

9.00–9.30

Nauka czytania:

J.K. Rowling, „Harry Potter i Komnata Tajemnic”

Prowadzenie:

Małgorzata Krzeczowska

Facebook.com/CopernicusFestival

10.00–10.45 NA ŻYWO

Lekcja przyrody:

Sabine Hossenfelder,

„Zagubione w matematyce”

Prowadzenie: Sebastian Szybka

Facebook.com/CopernicusFestival

11.00–11.45 NA ŻYWO

Lekcja czytania:

Joseph Conrad, „Tajny agent”

Prowadzenie:

Grzegorz Jankowicz

Facebook.com/LekcjeCzytania

12.00–12.30 NA ŻYWO

Studio festiwalowe

Youtube.com/CopernicusCenter

15.00–16.00

Społeczeństwo przyszłości (POB FutureSoc UJ):

„Uczenie maszynowe i przyszłość algorytmów: czy sztuczna inteligencja może zrozumieć zachowania konsumentów?”

Ireneusz Gawlik (Allegro)

Prowadzenie: Anna Prokop

Youtube.com/CopernicusCenter

16.00–17.00

Perceptio:

„Bezsensowność: fakty i mity”

Magdalena Komsta

Prowadzenie: Diana Salacka

Youtube.com/CopernicusCenter

18.00–19.30 NA ŻYWO

„Czas. Nadzieja i strata”

Jelena Czyżowa

Rozmowę poprowadzi

Małgorzata Nocuń

Youtube.com/CopernicusCenter

21.00–22.00

Rozmowy na czasie:

Paulina Młynarska

„Czas mroku, czas mocy”



Partnerem pasma
Nauka Czytania jest

Przecinek i Kropka

Twórca cyklu
warsztatów online

#wiemikropka

 / Przecinek i Kropka

empik



Prowadzenie:
Dominika Dudek
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

10 października, sobota

9.00–9.30

Nauka czytania:
Janusz Korczak, „Król Maciuś Pierwszy”
Prowadzenie:
Michał i Agata Zabdyr-Jamróż
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

10.00–10.45 NA ŻYWO

Lekcja przyrody:
Lydia Pyne, „Siedem szkieletów”
Prowadzenie:
Łukasz Kwiatek
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

11.00–11.45 NA ŻYWO

Lekcja czytania:
Clarice Lispector, „Dzień za dniem”
Prowadzenie:
Grzegorz Jankowicz
[Facebook.com/LekcjeCzytania](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania)

12.00–12.30 NA ŻYWO

Studio festiwalowe
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

13.00–14.00 NA ŻYWO

Warsztaty: „Spacer tropem śladów przeszłości po krakowskim Rynku Głównym”
Prowadzenie:
Ciekawi Krakowa
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

16.00–17.00 NA ŻYWO

Perceptio:
„Jak trenują astronauty?”
Agata Kołodziejczyk
i Matt Harasymczuk
Prowadzenie:
Tomasz Miller
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

18.00–19.30 NA ŻYWO

Wykład: Bogusław Pawłowski
„O milionach lat ewolucji
ludzkiego mózgu i kosztach
wzrostu jego rozmiarów”
Rozmowę po wykładzie
poprowadzi Łukasz Kwiatek
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

21.00–22.00

Rozmowy na czasie:
Tomasz Stawiszyński
„O zatrzymywaniu czasu”
Prowadzenie: Dominika Dudek
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

11 października, niedziela

12.00–12.30 NA ŻYWO

[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

14.00–15.30

Nauka w Art Inkubatorze:
„O bioarcie”
Elvin Flamingo, Jowita
Nowakowska-Gołacka
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

16.00–16.55

Społeczeństwo przyszłości
(POB FutureSoc UJ)
„Kiedy nauka staje się
science fiction?”
Norman Leto, Klaudia
Żerańska-Chudek
[Facebook.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)

18.00–19.00

Na zakończenie: „O wieczności”
Michał Heller, Wojciech Bonowicz
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)

Od soboty 10 października na antenie
Radiofonii cykl rozmów „Mania Nauki”,
realizowany w ramach POB FutureSoc UJ

Copernicus Festival organizowany jest
we współpracy z Popularisation Gate
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Inventio

Pasmo technologiczne
tym razem poświęciliśmy tajemnicom
i eksploracji kosmosu.
Premiery nagranych wcześniej
materiałów (zawsze na
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)):

Wtorek, 6 października, godz. 17
Łukasz Lamża, „W poszukiwaniu
czasu (1): przyszłość”

Środa, 7 października, godz. 17
Joanna Kozakiewicz, „Miliardy lat
historii Marsa ukryte w ziarenkach
piasku”

Czwartek, 8 października, godz. 17
Łukasz Lamża, „W poszukiwaniu
czasu (2): przeszłość”

Piątek, 9 października, godz. 17
Sebastian Szybka, „Podróże
międzygwiazdne”



ARCHIWUM PRYWATNE

Sobota, 10 października, godz. 16
„Fakty i mity na temat kosmosu”
Piotr i Ola Stanisławscy
(Crazy Nauka)

Sobota, 10 października, godz. 17
Łukasz Lamża, „W poszukiwaniu
czasu (3): teraźniejszość”

Niedziela, 11 października, godz. 17
Piotr Kosek (Astrofaza), „Czym są
czarne dziury”



Thomas Bernhard. Wiedeń, 1970 r.

Powieści długiego zdania

JAN BALBIERZ

Apokalipsa jest już u progu, ale trudno dociec, skąd i dlaczego przyjdzie. Jej zapowiedzią jest nie tylko trupa cyrkowa wystawiająca truchło największego wieloryba świata, ale również beśńieźna zima i panujący w miasteczku letarg.

James Wood, profesor krytyki literackiej na Uniwersytecie Harvarda, w jednym z esejów rozróżnia dwa kierunki w literaturze postawangardowej: literaturę nadmiaru i literaturę redukcji. Z jednej strony mamy neo-barokowe w swych ambicjach i rozmiarach powieści encyklopedyczne, akumulujące naszą wiedzę na temat świata – albo przynajmniej jakiegoś jego wycinka – z drugiej zaś literaturę minimalizmu, mało mówności i aforystycznego skrótu. Miejsce osobne zajmuje kategoria, którą nazwać można powieściami długiego zdania. Wszystko to, co najważniejsze, rozgrywa się w nich w samej materii języka, w niekończących się, pozbawionych pauz, meandrycznych zdaniach wyrzucanych z siebie przez narratorów i bohaterów.

Z niezliczonych odmian czasu literackiego w powieściach tego typu pojawia się przede wszystkim jedna: powolność (hiszp. *lento*). Spowolnienie i zastyganie są tutaj podstawowymi aspektami światów przedstawionych. A co jeszcze ważniejsze – tasiemcowe zdania zmuszają do powolnego czytania. Tekstem fundatorskim projektu filologii opartej na spowolnieniu jest fragment przedmowy Nietzschego do tomu „Ju-trzenka. Myśli o przesądach moralnych”:

„Przedewszystkiem mówmy powoli... Niniejsza przedmowa jawi się późno, ale nie za późno, bo i cóż w istocie rzeczy znaczy pięć lub szesć lat? Taka książka, takie zagadnienie nie zna pośpiechu; przytem ja i moja książka, oboje lubimy *lento*. Niedarmo byłem filologiem, może jestem nim →

→ jeszcze, a filolog jest nauczycielem powolnego czytania: w końcu przywykłem też pisać powoli. Obecnie nie tylko z przyzwyczajenia, lecz także z upodobania – złośliwego snadź upodobania? – kreślę jeno to, co każdego człowieka, któremu »się spieszy«, doprowadza do rozpacz. Filologia jest bowiem ową czcigodną sztuką, która od swego czciela domaga się przede wszystkim jednego, by stał na uboczu, by nie liczył się z czasem, by nawykł do cichości i powolności – sztuka to złotnicza i znawstwo Słowa, li delikatnej i przecznej oddane pracy, która niczego nie osiągnie, jeżeli nie sięga *lento*. Aliści właśnie dlatego jest potrzebniejsza dziś niż kiedykolwiek, właśnie dlatego czaruje i najsilniej pociąga nas ku sobie w tem stuleciu »pracy«, chcę rzec: pośpiechu, nieprzyzwoitego i uznajonego pośpiechu (...)» (przeł. Stanisław Wyrzykowski).

Nietzsche – zgodnie z powszechnymi intuicjami – identyfikuje nowoczesność z szybkością, dynamizmem i pośpiechem. To w nich przejawia się nowoczesna dekadencja, której filozof był niestrudzonym diagnostykiem; powolność, zwłaszcza powolne czytanie, staje się częścią terapii, która ma doprowadzić do wielkiego ozdrowienia kultury Zachodu.

Spływające linijki

Tworzący pod koniec XX w. i na początku XXI w. pisarze długiego zdania – László Krasznahorkai, Javier Marias, W.G. Sebald, Thomas Bernhard – wyciągają, każdy na swój sposób, lekcję z pism z niemieckiego filozofa: mówią powoli i wymagają powolnej lektury. Oto pierwsze zdanie „Melancholii sprzeciwu”, pozbawione akapitów, czterystustronicowej powieści Krasznahorkaia, bodaj najwybitniejszego w tej chwili prozaika Europy Wschodniej (to jemu poświęcony jest wspomniany esej Wooda):

„Kiedy mimo zawiłych wyjaśnień kolejarza drepającego bezzadnie wzdłuż torów i coraz bardziej stanowczych obietnic nerwowo wbiegającego raz po raz na peron naczelnika stacji osobowy kursujący pomiędzy zastygłymi na mrozie osiedlami południowej Niziny, ciągnącymi się od Cisy aż do podnóża Karpat, ciągle nie nadjeżdżał („No proszę, znów się gdzieś zawieruszył...” ze złością machnął ręką osowiały kolejarz), awaryjny skład, złożony z rozklekotanego, używanego jedynie w tak zwanych »szczególnych przypadkach« wagonu z drewnianymi ławkami i starego, sfatygowanego wagonu o numerze 424, wreszcie ruszył z niemal dziewięćdziesięciominutowym opóźnieniem w stosunku do nieobowiązującego zresztą, a i tak niezbyt dokładnego rozkładu jazdy, by miejscowi przyjmujący do wiadomości najpierw niepewnie, potem z obojętną rezygnacją, że oczekiwany z zachodniego kierunku osobowy nie przybędzie do stacji, jakoś jednak dotarli do celu, odległego o pięćdziesiąt kilometrów stąd, na drodze, do której prowadziła boczna linia” (przeł. Elżbieta Sobolewska).

Kolubryny zdań wielokrotnie złożonych budowane przez pisarza (jego angielski tłumacz George Szirtes nazywa ten proces „powolnym wylewem lawy słów”) opisują świat w całkowitym rozpadzie – na wpół senną, dystopijną rzeczywistość, w której obsługa konduktorska pociągów nie pamięta już, co to rozkład jazdy, telefony przestają działać, na chodnikach zalegają stopy śmieci, nie ma węgla do ogrzewania, a po ulicach wałęsają się bojówki nie-domytych, młodych mężczyzn. Ten krajobraz, te niekoń-

czące się równiny, błoto i powiatowa beznadzieja są w dużej mierze autentycznym pejzażem dogorywającego socjalizmu realnego (powieść ukazała się w 1989 r.), węgierski autor jest jednak też wizjonerskim apokaliptykiem, łączącym kosmologię z muzykologią.

Wśród ludzkiego panoptikum zaludniającego świat „Melancholii...” – pobudzonych seksualnie, a wyglądających „jak worek z kartoflami” starszych kobiet i zapijaczonych, pachnących tanią wodą kolońską, zdeformowanych cieleśnie mężczyzn – wyróżniają się dwie postaci. Pierwsza to emerytowany nauczyciel muzyki György Eszter, za sprawą znajomego striciela fortepianów dochodzący do wglądu, że skala diatoniczna jest jedynie podtrzymywaną przez tradycję ułudą, a harmonia kapryśnym wyjątkiem w porządku świata, a nie jego zasadą. Drugi to listonosz János Valuska, małomiasteczkowy *juródi-wyj*, święty szaleniec, w podłym szynku wieczorem, „przed ostatnim szprycerem”, w towarzystwie odzianych w kożuchy, „opitych winem woźniców, ładowaczy, malarzy i piekarzy”, z pomocą zataczających się w pijanym zwidzie, usiłujących zapanować nad

Powolność, w szczególności powolne czytanie, staje się częścią terapii, która ma doprowadzić do wielkiego ozdrowienia kultury Zachodu.

opadającymi powiekami „otępiątych chłopów” wprawiający w ruch groteskowy i wzniosły zarazem spektakl o tym, „jak to jest z tą Ziemią i Księżyce” – inscenizujący żywe obrazy o całkowitym zaćmieniu Słońca. Wszyscy skazani są na to, by spoglądać w „bezkresne niebiosy”, wypełnione wyłącznie milcząco i obojętną wobec naszych trosk i lęków materią wszechświata; zamiast muzyki sfer: głuche milczenie albo kakofonia. Możemy

się domyślać, iż jest to proza dni ostatnich, że apokalipsa jest już u progu, ale trudno dociec, skąd i dlaczego przyjdzie; jej zapowiedzią jest nie tylko dziwaczna trupa cyrkowa, wystawiająca truchło największego wieloryba świata (do zobaczenia za 50 forintów), ale również nagła, beśniezna zima i panujący w miasteczku powszechny letarg, spowolnienie, zamieranie.

Pod kopułą czaszki

Ekscesy długiego zdania odczytywać można jako alternatywę dla powszechnego przyspieszenia, programowej niecierpliwości, kompulsywnego klikania myszką, przerzucania kanałów telewizyjnych, neurotycznej krzątaniny, błyskawicznej lektury pasków z newsami, deadline’ów, nieustannego rozgorączkowania środków masowego przekazu. Zawierają też wyrazisty estetyczny *statement*: z jednej strony mamy zatem notoryczną treść prozy współczesnej, pisanie bez jakiegokolwiek świadomości, że sztuka powieściowa to przede wszystkim forma i tkanka języka, oportunistyczne narracje pękające w szwach od ciekawych i mniej ciekawych anegdotek, podkupywanie czytelnika dowcipną historią i celną aluzją do aktualnych wydarzeń, z drugiej zaś strony *gravitas* długiego zdania; z jednej strony tingel-tangel promocji, spotkań autorskich

i nagród literackich, raban literackiej giełdy, z drugiej zaś ignorujące czytelniczne oczekiwania i zachcianki otchłanie zdań wielokrotnie złożonych, parataksy i hipotaksy, łańcuchy wtrąceń i niekończące się tryby przypuszczające, gąszcz przecinków, średników i myślników. Długie zdania są bezkompromisowe, zmuszają do zahamowania, namysłu i skupienia, rozpoczynania ciągle na nowo, do trudu wielokrotnej repetycji.

Wydana w 1975 r. „Korekta” Thomasa Bernharda zaczyna się następująco:

„Po lekkim na początku, ale skutek zwlekania i przez niedbalstwo nagle ciężkim zapaleniu płuc, które zaatakowało cały organizm i zatrzymało mnie na co najmniej trzy miesiące w położonym niedaleko mojej rodzinnej miejscowości szpitalu w Wels, słynnym w dziedzinie leczenia tak zwanych chorób wewnętrznych, wypuszczony nie, jak radzili lekarze, pod koniec października, tylko, czego sam się domagałem, już z początkiem października, i to na tak zwaną własną odpowiedzialność, przyjąwszy zaproszenie od tak zwanego preparatora zwierząt Höllera z doliny Aurach, nie zatrzymując się po drodze w Stocket u moich rodziców, pojechałem prosto do doliny Aurach, do domu Höllera, udając się od razu na tak zwaną Höllerowską mansardę, gdzie miałem posegregować, po samobójstwie mojego przyjaciela Roithamera, również zaprzyjaźnionego z preparatorem zwierząt Höllem, i w miarę możliwości także uporządkować, zostawioną mi, mocą tak zwanej ostatniej woli, spuściznę, na którą składały się sporządzone na tysiącach kartek zapiski Roithamera, a oprócz tego obszerny manuskrypt zatytułowany »O Altensam i wszystkim, co ma związek z Altensam, ze szczególnym uwzględnieniem Stożka«” (przeł. Marek Kędzierski).

Nie jest to bynajmniej przykład ekstremalny... Zdanie początkowe z „Korekty” nie tylko swą strukturą składniową, ale i problematyką wprowadza nas w samo sedno Bernhardowskiej powolności. W jego świecie powieściowym niewiele się dzieje, jeśli chodzi o zewnętrzne wydarzenia; jest to rzeczywistość uboga w akcesoria i przedmioty, w ich zastępstwie pojawiają się maniackalne tyrady o tym, co kłębi się „pod kopułą czaszki” (jak brzmi wyrażenie samego pisarza) bohaterów i narratorów. Bez ustanku perorując o upadku cywilizacji, powszechnym ośłupieniu gatunku ludzkiego w ogólności, a Austriaków w szczególności, skarżąc się na powszechne zdżyczenie obyczajów uciekają oni w miejsca spowolnienia, samotności i medytacji; tylko tutaj możliwa jest wysiadka z rozpędzonego ekspresu nowoczesności, tylko tutaj można oddawać się nicnierobieniu. Inercja życia praktycznego pozwala – podług nietzscheańskiej recepty – „stać na uboczu i nie liczyć się z czasem” oraz sprzyja ruchowi myśli. W „Dawnych mistrzach” przestrzenią taką jest sala muzealna w Kunsthistorisches Museum, gdzie Reger wysiaduje godzinami przed obrazem Tintoretta „Siwobrody mężczyzna”, w „Korekcie” zagadkowa budowla w kształcie stożka, *opus magnum* Roithamera, w „Bratanku Wittgensteina” izolotka w pawilonie Ludwiga szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych, w „Amras” wieża, w której bracia K. i Walter zamknięci zostaną po zbiorowym samobójstwie rodziny.

Przykrywka dla upadków

Studiowanie to naczelne zajęcie przebywających w tych miejscach odosobnienia bohaterów, u Bernharda nie ma jed-

nak miejsca na częściowe chociaż spełnienie przez sztukę czy naukę. Tytaniczne pomnażanie wiedzy prowadzi nie do estetycznego czy intelektualnego przełomu, a jedynie do obłądu lub samobójstwa. Pisanie studiów i monografii to projekt dożywotni i z góry skazany na niepowodzenie. Długoletnie, wnikliwe i szczegółowe badania nie prowadzą do jakichkolwiek konkluzji, ich materialnym rezultatem są w najlepszym przypadku stosy zapisanych drobnym maczkiem, nieuporządkowanych manuskryptów, wstępne szkice i prolegomena starannie układane w tysiącach skoryzowanych. Niebywała skrupulatność w wyznajdowaniu źródeł, spisywaniu wyimków i zestawianiu cytatów jest w ostatecznym rozrachunku niczym innym jak akrybią wariata. Konrad, protagonista powieści „Kalkwerk”, ukończył w zasadzie swoje, obejmujące dziewięć obszernych rozdziałów, monumentalne studium na temat różnych aspektów słuchu, „ale te wszystkie rozdziały ma jedynie w głowie, dziesięciolecia w głowie, od dawna ma gotowe w swojej głowie wszystkie rozdziały studium, a to niesamowity wysiłek umysłu, nosić takie kompletne studium całe dziesięciolecia w głowie, być zmuszonym do nieustannego noszenia w głowie przy ciągłym, wciąż nasilającym się, poczuciu strachu, że studium w jednej chwili może się rozsypać i obrócić w niwecz, gdyż bez przerwy zaprzepaszcza się sprzyjającą jego zapisaniu chwilę” (przeł. Ernest Dyczek i Marek Feliks Nowak).

Bernhardowscy obłąkani są jedynymi, którzy pozwolić mogą sobie na luksus powolności. Napięcie pomiędzy surową racjonalnością a ewidentnym szaleństwem postaci jest przy tym źródłem historycznego nieraz komizmu powieści austriackiego pisarza.

Skandalista Bernhard – w czasie spacerów po Wiedniu emerytki spontanicznie okładały go parasolkami; alpejscy chłopcy rozładowywali przed Burgtheater, w którym Claus Peymann wystawiał jego sztuki, furi z gnojem – przyćmiewa czasami egzystencjalistę Bernharda. Hiperboliczny kaznodzieja naszego bycia-ku-śmierci i zamknięcia w kręgu bólu i cierpienia (schopenhauerowskie inspiracje są tutaj oczywiste, ojciec ekscentrycznego księcia w „Zaburzeniu” wyznaje: „Schopenhauer był dla mnie zawsze najlepszym pokarmem” [przeł. Sława Lisiecka], po czym wyrzyna i zjada „decydujące strony” ze „Świata jako woli i wyobrażenia”) prowadzi niekończące się diatryby o szaleństwie świata i absurdzie egzystencji ludzkiej. W wywiadzie dla tygodnika „Die Zeit” ujmował tak: „jest błędem, kiedy ludzie myślą, że wydają na świat dzieci. To frazes. Wydają na świat dorosłych, nie dzieci. Rodzą jakiegoś spoconego, paskudnego oberzystę z brzuchem albo masowego mordercę, nie żadne dzieci. Ludzie powiadają sobie, że urodziło im się słodkie małeństwo, a w rzeczywistości urodził się osiemdziesięcioletni facet, któremu cieknie z każdego otworu, który cuchnie, jest ślepy, utyka i z powodu artretyzmu nie może się poruszać, oto co sprowadzili na świat. Ale ludzie tego nie widzą, bo natura musi się dalej rozwijać, a kupa gówna coraz bardziej rosnać” (przeł. Małgorzata Łukasiewicz).

W tym schorzałym świecie, w którym wszystko ciąży ku dołowi, ku śmierci i rozkładowi, w którym pogrążeni w absolutnej samotności i rozpaczcy bohaterowie nieuchronnie osuwają się w obłąd powolność, *lento* jest być może nie rozwiązaniem, ale przynajmniej paliatywem.

© JAN BALBIERZ

Wysłane do przyszłości

ZUZANNA LAMŻA

**Wierzimy, że dla przychodzących po nas będziemy ważni.
Przynajmniej ciekawi. Choćby śmieszni.
Dlatego zostawiamy im nieznanne nam dzieła literackie.
I rolę papieru toaletowego.**

To, co teraz przeżywasz, przejdzie do historii – pierwotnie słowa te graficzka Natalie Long, pomysłodawczyni książki „My 2020 COVID-19 Time Capsule”, zaadresowała do dwójki swoich dzieci. Chciała dać im (i sobie) możliwość uzewnętrznienia i nazwania uczuć, jakie budził w nich *lockdown*, a jednocześnie zachować w pamięci najbardziej uderzające elementy „nowej normalności”. Ale udostępniony na Facebooku plik niemal natychmiast stał się wiralem, dorobił się własnego miejsca w internecie, hiszpańskiego i francuskiego wydania oraz wersji dla dorosłych.

Ani w poczuciu wyjątkowości epoki pandemii, ani w potrzebie zachowania tego poczucia dla przyszłych pokoleń Long nie była oczywiście osamotniona. Podobne do zaproponowanej przez nią, gotowe do wypełnienia „kapsuły czasu” pojawiały się na stronach przedszkoli, szkół i placówek medycznych na całym świecie: miały pomóc maluchom oswoić się z nową sytuacją. Jak stwierdziła Megan DeFrain ze Szpitala Dziecięcego św. Jana w Springfield, „doświadczenie życia w czasach COVID-19 to coś, czym nasze dzieci będą się dzielić ze swoimi wnukami”.

Niektórzy uważają jednak, że prywatne koronapamiętniki spisywane w zaciśniętym kwarantanny czy – równie popularne – wideoblogi rejestrujące spostrzeżenia z zamknięcia nie są w stanie oddać wszystkich aspektów pandemicznego szaleństwa ani nie gwarantują przetrwania wspomnień o nim.

COVID-19 zasłużył na prawdziwe kapsuły czasu.

Bomba czasu

Jest rok 1939. Wystawa Światowa w Nowym Jorku pokazuje milionom zwiedza-

jących „Świat jutra”. Westinghouse Electric & Manufacturing Company produkuje mierzący 2,3 m i ważący około 360 kg pojemnik. George Edward Pendray, ówczesny rzecznik firmy, określa go mianem „kapsuły czasu” – potem okaże się, że to właśnie ta nazwa, nie zaś alternatywna *time bomb*, zawładnie powszechną wyobraźnią. Zewnętrzne ścianki przypominającego pocisk cylindra, wytrzymałe jak stal, lecz całkowicie odporne na korozję, wykonane są ze specjalnie na tę okazję wynalezionej stopu miedzi. Mają przetrwać 5000 lat, by w 6939 r. ukazać ludziom przyszłości to, co chronią w swoim wnętrzu.

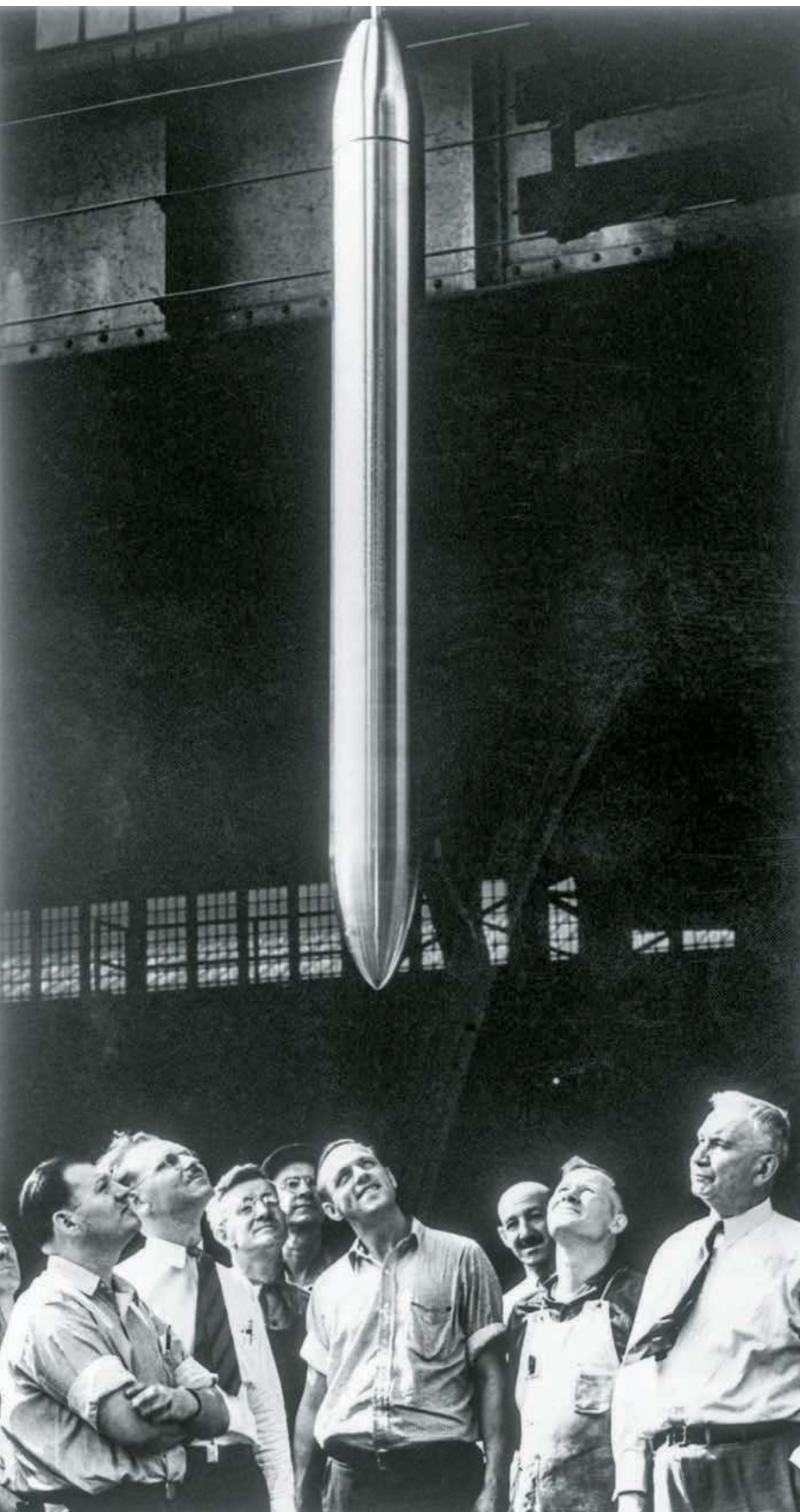
Parę egzemplarzy „Life Magazine”. Lalkę z popularnej serii i nakręcany samochodzik. Jednodolarówkę. Paczkę camel. Jednorazową maszynkę Gillette. Zegarek z Myszką Miki.

Tak naprawdę w pawilonie wystawieniczym prezentowano widzom jedynie model kapsuły. Prawdziwą Westinghouse I (bliźniaczą Westinghouse II złożono nieopodal trzydzieści pięć lat później) starannie zapieczętowano i zakopano 15 metrów pod ziemią dokładnie w południe 23 września 1938 r., w dzień równonocy jesiennej. 5000 lat to długo. Aby miejsce jej złożenia nie popadło w niepamięć, stworzono książkę-świadectwo, „Book of Record of the Time Capsule of Cupaloy”, którą wydrukowano w ponad 3000 egzemplarzy i rozesłano do bibliotek, klasztorów i muzeów na całym świecie. Oprócz informacji dotyczących samego przedsięwzięcia, położenia, momentu umieszczenia i zawartości cylindra oraz fonetyki i słownictwa języka angielskiego, „Book of Record” zawiera trzy krótkie przesłania podpisane przez Alberta Einsteina (z poświadczonym tłumaczeniem na angielski), Roberta Andrews Millikana i Tomasza Manna.

Dzięki wszystkim tym zabiegom Westinghouse I ma szansę uniknąć dwóch z największych zagrożeń czyhających na kapsuły czasu, zarówno takie „z terminem ważności” (których autorzy chcą, by otwarto je za 10, 100 czy 1000 lat), jak i te „bezterminowe” (jak dyski niesione przez sondy Voyager czy słynne plakietki z sond Pioneer): rozkładu zawartości spowodowanego przechowywaniem w niewłaściwych warunkach i... zapomnienia. Dziś w walce z tymi problemami nadawcom listów do przyszłości pomagają specjaliści. Na swojej oficjalnej stronie internetowej Smithsonian Institution podaje konkretne wskazówki dotyczące ich właściwego konstruowania, zabezpieczania i komponowania zawartości. Jedną z misji statutowych działającego od 1990 r. International Time Capsule Society jest zaś utrzymywanie rejestru wszystkich znanych kapsuł.

Mulista woda i guziki

Jednak ani muzea, ani stowarzyszenia nie są w stanie wyeliminować *a priori* mimowolnego rozczerowania, jakie często towarzyszy otwieraniu przesłerek z przeszłości. Według Williama Jarvisa, autora monografii „Time Capsules: a Cultural History”, większość z zamykanych we współczesnych kapsułach przedmiotów nie będzie miała większej wartości dla przyszłych badaczy: są zwyczajnie banalne i nie mówią zbyt wiele o życiu, jakie prowadzimy. Oczywiście w Westinghouse I poza wymienionymi powyżej znalazły się również inne, nieco poważniejsze artefakty: nasiona powszechnie występujących roślin i próbki materiałów czy mikrofilm zawierający m.in. słownik (i katalog domu handlowego Sears). Niemniej jednak, gdy przyjrzymy się zawartości większości otwieranych



Pracownicy Westinghouse Electric sprawdzają ważącą 360 kg kapsułę czasu, która zostanie zakopana z okazji Wystawy Światowej w Nowym Jorku.

niejednokrotnie z wielką pompą „wycinków naszego czasu, które wysyłamy w przyszłość”, jak określa je Jarvis, wśród losowych fragmentów gazet i niewyraźnych fotografii znajdujemy zwykle jakiś czarny męski kapelusz (kapsuła z 1965 r. otwarta pół wieku później w Long Island), linijkę z temperówką (otwarta również w 2015 r., szumnie zapowiadana John F. Kennedy Peace Capsule), puste butelki po toniku (kapsuła na MIT, która ma zostać rozpieczętowana w 2957 r., ale choć postanowiono nie otwierać chroniącego ją przezroczystego cylindra, co nieco udało się podejrzec) czy 65-letni kawałek ciasta (kapsuła odkryta w 2013 r. w kanadyjskim domu pogrzebowym). Czasem – jak w przypadku budzącej wielkie nadzieje nowozelandzkich naukowców stuletniej kapsuły otwartej w 1995 r. – historykom, zamiast ważnych dokumentów i doniosłych świadectw, zostaje w rękach jedynie mulista woda i guziki.

Kapsuły „covidowe” niczym nie różnią się od swoich poprzedniczek. Mają być trwałe i ukryte w bezpiecznym miejscu, najlepiej pod ziemią – jak choćby w głębokich na 15 metrów piwnicach hiszpańskiej winnicy Murillo Viteri, w których na pięćdziesiąt lat zamknięto 15 tys. wiadomości i zdjęć związanych z pandemią. Powinny zawierać przedmioty dla nas istotne (zbierać w jednym miejscu nasze „marzenia, uczucia i pragnienia”), choć ich waga dla przyszłych pokoleń może nie być do końca jasna – trudno powiedzieć, co pomyślą prawnicy obecnych mieszkańców Walencji, kiedy 18 maja 2120 r. otworzą tamtejszą Cápsula del Tiempo COVID-19 i wśród gazet, listów oraz plakatów dodających otuchy sąsiadom i wspierających służby medyczne znajdą rolkę papieru toaletowego.

Prawo do informacji

Stając wobec przyszłości, ewidentnie nie umiemy się zdecydować: z jednej strony jesteśmy uroczyści, oświadczamy, jak w „Book of Record”, że „nasi naukowcy zmierzylili prędkość światła →

→ i odległości między planetami”, „nasi lekarze leczyli chorych i przynosili ulgę w bólu”, „uczyniliśmy metale naszymi niewolnikami” i „zapanowaliśmy nad procesem rozkładu”, z drugiej – jak dzieci – nie możemy powstrzymać się przed pokazaniem światu najnowszej zabawki. W pewnym sensie kapsuły czasu są świadectwem naszego skrajnego optymizmu i egocentryzmu jednocześnie: nie tylko wierzymy, że ktoś je w przyszłości odnajdzie, ale także, że zainteresuje go ich wartość.

Z jednym wyjątkiem. Naukowcy i inżynierowie wypowiadający się w dokumencie Michaela Madsena „Jądro wieczności” zgodnie twierdzą, że mają szczerą nadzieję, iż na kapsułę czasu, nad którą pracują – choć w założeniu ma ona przetrwać nie tysiąc, a dziesiątki tysięcy lat – nikt się nigdy nie natknie.

Onkalo, bo o nim mowa, to powstające właśnie w Finlandii składowisko odpadów radioaktywnych zlokalizowane w głębokich warstwach geologicznych. W przeciwieństwie do wykorzystywanych najczęściej składowisk naziemnych, gdzie sztab ludzi bez przerwy czuwa nad kondycją specjalnych zbiorników z wodą, w których przechowywane są odpady jądrowe, Onkalo po wypełnieniu i zalaniu betonem ma docelowo być całkowicie samowystarczalne i bezobsługowe. Zamknięte głęboko w podziemnych tunelach, w skałach, które liczą ponad miliard lat, niezależne od szalejących na powierzchni żywiołów i wojen, miedziane puszki wypełnione materiałem promieniotwórczym miałyby spokojnie leżeć, nietknięte i zapomniane, nie stanowiąc zagrożenia dla kwitnącej wysoko nad nimi biosfery. I dla nas.

Problem w tym, że ludzie są ciekawscy. Wtargnięcie człowieka to największe zagrożenie dla Onkalo. Nie tylko zresztą dla niego – wszystkie składowiska odpadów radioaktywnych borykają się z tymi samymi pytaniami. Co się stanie, jeśli za kilka tysięcy lat ktoś zacznie kopać w dół granitowej ściany (Onkalo) lub solnego wysadu (Asse II i Morsleben w dawnych kopalniach soli w Niemczech czy Waste Isolation Pilot Plant w Nowym Meksyku w USA) i odpieczętuje to, co powinno na wieki zostać odizolowane? Jak chronić przyszłe pokolenia? Pozwolić im zapomnieć czy wręcz przeciwnie – podsycać pamięć, szanując ich prawo do informacji?

Stojąc wobec przyszłości, nie umiemy się zdecydować.

Czasem uroczymie oświadczamy, że nasi naukowcy zmierzili prędkość światła. Czasem, jak dzieci, nie potrafimy się powstrzymać przed pokazaniem światu najnowszej zabawki.

Radioaktywne koty

Kiedy 15-letnia Zuza Lamża wysłała list do 30-letniej Zuzy Lamży, ma święte prawo spodziewać się, że zostanie zrozumiana. Kiedy w 1901 r. dziennikarze „Boston Daily” umieszczają swój list do przyszłości w miedzianej puszcze tuż pod koroną wieńczącą głowę złotego lwa, który za chwilę zostanie umieszczony nad wejściem do ratusza, mogą żywić uzasadnioną nadzieję, że gdy kiedyś nadejdzie pora renowacji posągu, ich przesłanie wrzuci zgromadzoną publiczność (tak też się stało w 2015 r.). Co jednak z wiadomościami wysyłanymi 10 tys. lat na przód, jeśli cała pisana historia ludzkości liczy ich sobie zaledwie 5 tys.?

Departament Energii USA przedstawił takie zagadnienie grupie inżynierów, antropologów, fizyków jądrowych, behawiorystów i innych naukowców już na początku lat 80. XX w. Celem Human Interference Task Force (zespołu specjalnego ds. wtargnięcia człowieka) było opracowanie „semiotyki nuklearnej”: skutecznego sposobu ostrzeżenia przyszłych pokoleń przed niebezpieczeństwem związanym ze składowanymi na danym terenie odpadami. W wydanym w 1986 r. specjalnym numerze berlińskiego „Zeitschrift für Semiotik” zatytułowanym „Do wieczności... Komunikacja za 10000 lat: jak powiemy dzieciom naszych dzieci, gdzie są odpady radioaktywne?” językoznawcy, pisarze i fizycy opublikowali swoje propozycje rozwiązań. Amerykański semio-

tyk Thomas Sebeok postulował utworzenie swoistego „zakonu nuklearnego” na wzór Kościoła katolickiego. Jego członkowie – eksperci nominowani przez specjalną radę – byłiby zobowiązani do przekazywania z pokolenia na pokolenie wiedzy na temat położenia składowisk odpadów i związanych z nimi zagrożeń. Mieiliby oni, mówiąc słowami bohaterów dokumentu Madsena, „pamiętać, żeby zapomnieć”. Stanisław Lem proponował posadzenie wokół niebezpiecznych terenów „roślin informacyjnych”, „atomowych kwiatów”, w których DNA w matematyczny sposób zakodowane byłyby niezbędne dane. Być może najoryginalniejszy był pomysł przedstawiony przez pisarkę Françoise Bastide i semiotyka Paolo Fabriego. Według nich częścią naszej kultury miały stać się „radioaktywne koty” – zwierzęta należało zmodyfikować genetycznie tak, żeby w pobliżu promieniowania zmieniały kolor: wiedza o możliwości tej zmiany i związanym z nią niebezpieczeństwem miałyby krążyć w legendach i stać się częścią rytuałów.

Jak na razie inżynierowie pracujący w Onkalo czy na pustyni solnej w Nowym Meksyku podchodzą do sprawy znacznie mniej wizyjnie: bazują na informacji i strachu. Planują ustawianie specjalnych oznaczeń informujących o zagrożeniu w powszechnie występujących na świecie językach: miałyby one przybrać formę wysokich, złowróżbnych, spiczastych steli i ścian z wykutymi na nich napisami czy rozrzuconych tu i ówdzie dysków ostrzegawczych. Rozważa się także użycie znaków graficznych i rysunków, w tym – jako najbardziej uniwersalnie przerażającego – „Krzyku” Edwarda Muncha.

Czy jednak odstrasżające napisy i obrazy zniechęciły odkrywców piramid? Czy jesteśmy w stanie zaufać przyszłym pokoleniom? Przedstawiciele Onkalo wobec tak zadanego pytania milczą. „To wszystko decyzje podjęte z braku pewności”.

Dzieła nieznanne

Na zaufaniu i braku pewności jest oparty również inny skandynawski projekt dla przyszłości: tu te podstawy mają jednak zupełnie inny wydźwięk. Jeśli Onkalo i jemu podobne są puszką Pandory, którą podrzucamy naszym praprawnukom z cichą nadzieją, że nigdy jej nie znajdą, Future Library jest pieczęcią przygotowywanym Sezamem, za którego

drzwiami zostawiamy im to, co w nas najlepsze.

Chyba.

Katie Paterson, szkocka artystka wizualna, wpadła na pomysł stworzenia biblioteki przyszłości, mieszczącej dzieła największych żyjących obecnie pisarzy i poetów. Dodajmy: dzieła jeszcze nieistniejące. Począwszy od 2014 r. Paterson każdej jesieni zwraca się do jednego wybranego autora z prośbą o dostarczenie wiosną oryginalnego, niepublikowanego dotąd tekstu. Do tej pory nikt jej nie odmówił. W bibliotece znajdują się już książki m.in. Margaret Atwood, Davida Mitchella, Elif Shafak, Karla Ovego Knausgård i Han Kang. Ostatnia pozycja zostanie zamówiona w 2114 r. i dopiero wtedy, po wydrukowaniu całej antologii (na papierze z tysiąca specjalnie posadzonych świerków rosnących równoległe z liczbą manuskryptów), nasi potomkowie dostaną do rąk 100 znanych nam jedynie z tytułu książek.

W pewnym sensie Biblioteka Przyszłości stanowi lustrzane odbicie Onkalo. O ile tam mamy do czynienia z końcem, z odpadami, z niechcianą pozostałością – tu stoimy wobec początku, narodzin, rozciągniętego na sto lat tworzenia. Tam to my wiemy wszystko o zawartości kapsuły i to nas niepokoi, tu – intryguje nas to, że nie wiemy nic. Możemy tylko liczyć na to, że odpowiednio wybraliśmy osoby, których ustami za sto lat opowiemy przyszłości o wrażliwości naszych czasów. To o niej również opowiadamy, zamykając w Westinghouse I mikrofilmy z Dickiem Tracym i proszek do mycia zębów. Wierzmy, że dla przychodzących po nas będziemy ważni. Przynajmniej ciekawi. Choćby śmieszni.

Niezależnie od konkretnych motywacji prowadzących do powstania tych wszystkich mniejszych i większych, mniej i bardziej prywatnych, kanonicznych i metaforycznych kapsuł czasu, u podłoża ich wszystkich leży ta sama nieuświadomiona, potężna, przejmująca nadzieja, to samo podskórne przeświadczenie. Po pierwsze: przez czasy, przez kraje, przez języki, przez zmieniające się mody – coś nas łączy. Jakoś się dogadamy.

Po drugie – przetrwamy.

© ZUZANNA ŁAMŻA



Miniatura ukazująca styczeń, Psalterz Fécamp (Psalterz Eleonory Akwitańskiej), ok. 1185, Koninklijke Bibliotheek w Hadze

Upadki i odrodzenia

MAGDALENA ŁANUSZKA

Pory roku, etapy ludzkiego życia, lęk przed śmiercią, ulotność, przemijanie. Motyw czasu w sztuce powraca często i na wiele sposobów.



czasie myśleć można na różne sposoby: np. jako o niszczycielu, którego bieg prowadzi każde życie w kierunku nieuchronnego końca. W takim rozumieniu czas płynie linearnie, ale równie dobrze można wyobrazić sobie, że ma on charakter cykliczny – co odzwierciedlają regularnie powracające miesiące czy pory roku. Oba te wyobrażenia czasu były

częstym motywem w sztuce europejskiej i pojawiały się w różnych odsłonach.

Obrazy miesięcy

W średniowiecznej sztuce cykl roku ukaazywano najczęściej pod postacią tak zwanych „prac miesięcy” – choć nie jest to nazwa precyzyjna, ponieważ nie wszystkie aktywności w tych zestawieniach można określić mianem „pracy”. Od romańskich

→ rzeźb po późnogotyckie ilustracje kalendarzy w rękopisach, na przestrzeni stuleci powtarzano mniej więcej bez zmian ustalony schemat kolejnych przedstawień związanych z miesiącami roku. Najczęściej towarzyszyły im odpowiednie dla każdego z nich znaki zodiaku.

Styczeń obrazowała scena ucztování: to miesiąc karnawałowego obżarstwa, konsumpcji świątecznych zapasów. Daty obchodów Bożego Narodzenia oraz karnawału osadzone są w przedchrześcijańskich tradycjach antycznych: rzymskich Saturnaliach i greckich Dionizjach Wiejskich; ucztování o tej porze roku ma zatem pradawne korzenie. Echem wierzeń starożytnych jest ukazywanie w niektórych średniowiecznych ilustra-

cjach styczenia dwutwarzowego boga Janusa: patrona początków, jednocześnie patrzącego w przeszłość i przyszłość (il. 1). W lutym w średniowiecznych cyklach przedstawiano postać grzejącą się przy ogniu; najczęściej był to starzec. W marcu natomiast pojawiały się przedstawienia pierwszych prac w polu – zazwyczaj przycinanie gałązek w winnicy i okopywanie krzewów, choć mogła się też trafić orka. Kwiecień to miesiąc związany z kwitnieniem: najczęściej po prostu uosobiony przez postać trzymającą kwiaty. Maj postrzegano jako miesiąc miłości oraz miłego spędzania czasu w ogrodzie; to także miesiąc polowania (jako rozrywki arystokracji). Dlatego też ilustracją maja było przedstawienie młodzieńca z soko-

łem, najczęściej konno, czasami w towarzystwie damy. Sokół zresztą był w ówczesnej kulturze atrybutem kochanka, ponieważ symbolizował „polowanie” na serce damy (sokoła w wielu średniowiecznych wizerunkach trzyma Tristan spotykając się z Izoldą). W miesiącach letnich w iluminacyjnych cyklach powracają prace rolnicze: w czerwcu sianokosy, w lipcu żniwa, w sierpniu młócka. Wrzesień zawsze ilustrowało winobranie – nawet w sztuce północnych obszarów Europy, niekoniecznie będących regionami winiarskimi. Na październik przypadały czasem dalsze prace przy produkcji wina, a czasami siew; na listopad – siew lub tuczenie świń, na grudzień zaś – świniobiście.

Obraz roku jako cyklu powracających miesięcy (ze znakami zodiaku) był elementem średniowiecznego przedstawienia Universum – stworzonego przez Boga wszechświata, w którego dzieje wpisana jest historia upadku ludzkości i Odkupienia. Stąd obecność przedstawień prac miesięcy w ramach dekoracji romańskich portali, które często zawierały w sobie opowieść o całości dziejów: od Adama i Ewy, poprzez zbawczą ofiarę Mesjasza, aż po oczekiwany Sąd Ostateczny.

W sztuce nowożytnej prace miesięcy znajdziemy przede wszystkim w cyklach grafik – podobnie zresztą jak przedstawienia czterech pór roku. Te ostatnie mogły być ukazywane pod postacią pejzażu i prac właściwych dla każdej z nich lub jako personifikacje. W nowożytnym malarstwie wyjątkowo ciekawym przykładem są obrazy Giuseppego Arcimboldo (1527-1593), który tworzył popiersia postaci ułożonych z przedmiotów czy owoców. W przypadku jego czterech pór roku (w cyklach, które powielał kilkakrotnie) każda personifikacja zbudowana jest z właściwych dla siebie roślin, w określonym stadium wegetacji (il. 2).

Trzej Królowie

Upływ czasu bywał także przedstawiany w postaci motywu zwanego etapami życia ludzkiego. W sztuce średniowiecznej występował on często w kostiumie religijnym, ukryty w postaciach składających pokłon Nowonarodzonemu Dzieciątku Jezus – Trzech Królach. Chociaż tak naprawdę przekaz ewangeliczny mówi nie o królach, lecz o mędrcach, a do tego nie podaje ich liczby. Te informacje

Giuseppe Arcimboldo, „Lato”,
cykl czterech pór roku, 1572, muzeum Luwr w Paryżu





Mikołaj Obilman, „Pokłon Trzech Króli”, kwatera polptyku z kościoła śś. Piotra i Pawła w Legnicy, 1466, Muzeum Narodowe w Warszawie



Hans Baldung zw. Grien, „Trzy etapy życia i śmierć”, ok. 1509-10, Kunsthistorisches Museum w Wiedniu

uściśliły apokryfy – zapewne ze względu na trzy dary, które przynieśli (złoto, kadzidło i mirrę).

Kosztowne podarunki sugerowały, że mędrcy byli bogaci; za określeniem ich jako „królów” stoi także zapewne powiązanie typologiczne sceny Epifanii z werselem z Psalmu 72 („Królowi Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą mu pokłon wszyscy królowie, wszystkie narody będą mu służyły”). W sztuce zaś przyjęło się, że owi trzej królowie reprezentują trzy etapy życia ludzkiego. Jako pierwszy pokłon Mesjaszowi składa starzec; za nim zazwyczaj podąża król w średnim wieku, na końcu zaś – młodzieniec bez zarostu (il. 3).

W sztuce nowożytnej, szczególnie w ramach tak zwanego północnego renesansu, czyli w twórczości artystów północnoeuropejskich (głównie niemieckich) XVI w., motyw etapów życia ludzkiego często powracał – etapy mogły być trzy, ale mogło być ich także więcej. Szczególnie wanitatywny wydźwięk miały przedstawienia etapów ży-

cia kobiety: ukazywały bowiem niszczący wpływ czasu na erotyczne piękno kobiecego ciała. Słynnymi przykładami takich wizerunków są obrazy Hansa Baldunga zwanego Grien (1484/85 – 1545): „Siedem etapów życia kobiety” (1544, Museum der bildenden Künste w Lipsku) albo „Trzy etapy życia i śmierć” (ok. 1509-10, Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, il. 4). W tym drugim dziele szczególnie wyeksponowane jest zestawienie cielesnej urody młodej dziewczyny (przegląda się w lustrze, co ma być przejawem próżności i zalotności) z personifikacją śmierci, która potrząsa klepsydrą nad jej głową. Wiąże się to z osobnym tematem „Dziewczyna i Śmierć”, popularnym szczególnie w sztuce niemieckiej, jako że w tym języku śmierć (*der Tod*) jest rodzaju męskiego, a więc może występować w roli uwodzącego młodą kobietę kochanka.

Memento mori

Czas od zawsze wiązał się kulturowo właśnie ze śmiercią: już w średniowieczu popularne były tematy odwołujące się do

czasu w kontekście nieuchronnego przemijania. Jedną z najsłynniejszych historii wpisujących się w ten nurt była „Legenda o Trzech Żywych i Trzech Umarłych”. Prawdopodobnie powstała ona w XI lub XII w., choć najstarszy zachowany tekst (francuski) pochodzi ze stulecia XIII. Opowieść ta była tłumaczona na wiele języków, a w sztuce (głównie w dekoracjach rękopisów) pojawiała się przede wszystkim w późnym średniowieczu i u progu nowożytności. Historia jest bardzo prosta: oto trzech żywych spotkało trzech umarłych, którzy niestety byli niczym zombie. Owi żywi byli przedstawicielami elit (wedle różnych wersji legendy to bogaci młodzieńcy, królowie, lub też król, książę i biskup), podobnie jak niegdyś zmarli. Ci ostatni przedstawili żywym swoje historie, kończąc je ostrzeżeniem: „Takimi niegdyś byliśmy, jakimi wy dziś jesteście. / Jakimi jesteśmy teraz, takimi i wy będziecie!”. Morał historii polega zatem głównie na przypomnieniu o przemijalności doczesnych dóbr i nieuchronności śmierci w kontekście



Pierre Mignard, „Czas podcinający skrzydła Amora”, 1694,
Denver Art Museum



„Memento mori”, XVIII w., Muzeum Okręgowe
w Nowym Sączu



„Legenda o Trzech Żywych i Trzech Umarłych”, Modlitewnik Bony Luksemburskiej,
atryb. Jean le Noir, przed 1349, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku

⇒ upływającego czasu. Dodatkowo ów aspekt niszczyielskiego działania czasu bywał w ilustracjach tej opowieści podkreślony poprzez ukazanie umarłych jako zwłok w trzech różnych stadiach rozkładu: od ciała, po którym chodzą rozbaki, po wysuszony szkielet (il. 7).

Przedstawienia o treściach wanitatycznych oraz rozmaite wersje *memento mori* cieszyły się dużą popularnością w czasach nowożytnych, szczególnie w XVII i XVIII w. – być może m.in. ze względu na liczne zarazy i wojny dziesiątkujące w tym okresie ludność Europy. To wła-

śnie w ówczesnych dziełach sztuki odnajdziemy zarówno atrybuty przemijania, jak i inskrypcje odnoszące się do upływającego czasu. Prowincjonalnym, lecz bardzo ciekawym przykładem może być XVIII-wieczny obraz z Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu: w górnej części przedstawia on grzech pierworodny i Odkupienie, a w dolnej przypomina o nieuchronności śmierci wobec upływającego czasu (il. 6). Na damskiej głowie, będącej w połowie czaszką, stoi zegar, otaczają ją zaś inskrypcje: „Memento Mori, Venit hora homo ora” (łac. „Pamiętaj o śmierci, Przychodzi godzina módl się człowiecze”) oraz „Hodie michi [ten napis zawiera błąd; powinno być: hodie mihi] – cras tibi” (łac. „Dzisiaj mnie – jutro tobie”). Motyw zegara w kontekście śmierci znajdziemy zresztą także w staropolskiej literaturze; jednym z wielu przykładów jest poemat Jakuba Teodora Trembeckiego (1643-1719/20) „Zegar bojaźni bożej”, który zawiera wersy: „Zegar bije, / godzina żywota uchodzi / Czuj o sobie; śmierć z łuku w serce twoje godzi”, albo: „Zegar bije, śmierć drzewo podcina żywota / Biada tobie, jeśli cię nie odkupi cnota”.

Jakkolwiek w cytowanym poemacie śmierć godzi z łuku, to jednak jej najpopularniejszym atrybutem stała się kosa. Choć narzędzie to może mieć także inną symbolikę, zwłaszcza w sztuce nowożytnej, czerpiącej z greckiej i rzymskiej mitologii.

Olimp i Panteon

Rzymski bóg Saturn był traktowany jako odpowiednik greckiego Kronosa, a ten ostatni został połączony z bogiem czasu Chronosem; i w efekcie wszystkie te postacie, pierwotnie odmienne, zaczęły funkcjonować w europejskiej sztuce niczym jedno bóstwo. Ich wspólnym atrybutem był sierp lub kosa.

Chronos to grecka personifikacja czasu – ukazywano go jako skrzydatego starca. Popularnym w malarstwie nowożytnym tematem był „Czas podcinający skrzydła Amora”: chodzi oczywiście o to, że upływ czasu ma na miłość (zwłaszcza rozumianą jako zauroczenie czy też nagłe pożądanie) wpływ destrukcyjny (il. 5). Najczęściej u stóp Czasu w tych przedstawieniach leży właśnie kosa oraz inne atrybuty odnoszące się do przemijania, na przykład klepsydra albo czaszka.

Już w starożytności łączono postać Chronosa z mitologicznym tytanem Kronosem – synem Uranosa (bóstwa nieba) i Gai (bóstwa Ziemi). Kronos pokonał swego ojca i wykastrował go za pomocą sierpa, który stał się jego głównym atrybutem. Uranos przeklął Kronosa, zapowiadając mu, że i on zostanie pokonany przez swego syna, w związku z czym Kronos profilaktycznie połykał swe kolejne dzieci zaraz po narodzinach. Przepowiednia dokonała się jednak w osobie Zeusa, którego matka zdołała ocalić przed połknięciem. Ostatecznie Kronos stał się uosobieniem lęków przemijania, szczególnie w aspekcie zastępowania jednego pokolenia przez kolejne. W wierzeniach Rzymian sierp lub kosa były atrybutami Saturna – bóstwa z czasem utożsamionego z Kronosem, ale pierwotnie związanego z płodnością ziemi, odradzaniem się przyrody oraz rolnictwem, siewem i zbiorami (il. 9).

Ostatecznie jednak upływ czasu jest zagadnieniem raczej depresyjnym. Saturn stał się także patronem planety, pod której wpływem mieli pozostawać melancholicy. Temperament melancholyczny

wynikać miał m.in. z przewagi czarnej żółci w organizmie człowieka (gr. *melas chole* – czarna żółć), a liczne w sztuce nowożytnej przedstawienia personifikacji Melancholii ukazywały ją z atrybutami powiązanymi z upływem czasu, zwłaszcza z klepsydrą (il. 8).

Wydaje się, że w sztuce nowożytnej czas częściej występował w roli niszczyciela: podcinając skrzydła miłości i zapowiadając nieuchronną śmierć. Na tym tle średniowieczne „prace miesięcy” jawią się jako znacznie bardziej optymistyczna wizja upływu czasu: cykl wegetacji zakłada wprawdzie obumieranie przyrody, ale odradza się ona w każdym kolejnym roku. Czas w średniowiecznej wizji wszechświata stanowi element bożego zamysłu, a jako taki nie może być ukazywany całkowicie negatywnie. Zwróćmy także uwagę na to, że ów odwieczny cykl miesięcy zakłada pewną równowagę pomiędzy pracą a odpoczynkiem na przestrzeni roku. Doprawdy nie wiem, dlaczego tak wiele osób wciąż uważa, że *media aetas* były to wieki ciemne oraz ponure.

© MAGDALENA ŁANUSZKA



Heinrich Aldegrever, „Saturn” z serii „Siedmiu planet”, miedzioryt, 1533, Gabinet Rycin, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie

Albrecht Dürer, „Melancholia”, miedzioryt, 1514, Gabinet Rycin, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie

Wszystkie reprodukcje dostępne w domenie publicznej





Czego nie pamiętają najstarsze sosny

ŁUKASZ KWIATEK

W przyrodzie ożywionej nie obowiązuje uniwersalna skala czasu. Przedstawiciele każdego gatunku myślą i żyją w różnym tempie.

Sosny długowieczne – uznawane za rekordzistki pod tym względem – potrafią dożyć 5 tys. lat. Co najmniej. Po prostu najstarsze osobniki, które znamy, rosnące w kalifornijskich Białych Górach, aktualnie mają tyle lat na karku (na pniu?). Musiały być już bardzo wyrośniętymi drzewami, gdy egipcscy robotnicy kończyli pracę nad Wielką Piramidą Cheopsa. Ile jeszcze porosną – nie wiadomo. Tak czy inaczej, żadne zwierzę nie może pochwalić się choćby zbliżonym wynikiem. Do tych najdłużej żyjących należą rekiny grenlandzkie, które mogą osiągać wiek kilkuset lat. Na drugim końcu skali długowieczności znajdują się m.in. muszki owocowe, przechodzące pełny cykl życiowy: od zapłodnionego jaja, po osobnika umierającego ze starości, w ciągu 40 dni. Wśród kręgowców tylko nieco lepszy wynik – około 8 tygodni – osiąga *Eviota sigillata*, maleńka ryбка koralowa.

Nie wiemy oczywiście, jak to jest być osobnikiem należącym do innego gatunku, zwłaszcza tak różnego od nas jak muszka owocowa, ryбка koralowa czy rekin. Możemy więc tylko spekulować, czy im samym całe ich życie będzie wydawać się krótkie, czy długie (zakładając, że posiadają jakąś formę subiektywności). Nasze spekulacje możemy jed-

nak podeprzeć wynikami naukowych eksperymentów.

Żółw w kinie

W 2013 r. Kevin Healy z Trinity College w Dublinie i współpracownicy przeanalizowali raporty z pomiarów tzw. efektu zlewania się światła (ang. *flicker fusion rate*) u ponad trzydziestu gatunków kręgowców. Uczestnikom eksperymentu wyświetla się obrazek lub kształt, który miga z różną częstotliwością – w pewnym momencie tak szybko, że mózg nie jest w stanie nadążyć, a osobnikom zaczyna się wydawać, że widzą obraz wyświetlany ciągle. Występowanie tego efektu można potwierdzać m.in. w testach behawioralnych. Wystarczy nauczyć zwierzę (nagradzając je za poprawną reakcję), by za każdym razem spośród dwóch prezentowanych obrazków wskazywało ten, który miga, a nie ten wyświetlany stale, a potem sukcesywnie zwiększać częstotliwość migania. Gdy ta częstotliwość wzrośnie powyżej progu zlewania się światła, zwierzę przestanie poprawnie wskazywać pożądany obrazek – ponieważ oba będą wyglądać na wyświetlane ciągle.

Dla przedstawicieli różnych gatunków próg zlewania się światła przekroczony zostaje przy różnej częstotliwości migania. Jest ona tym wyższa, im szybciej oko dostarcza nowych obrazów do mózgu (albo im szybciej mózg potrafi analizować sygnały napływające z otoczenia). Oczywiście, w praktyce trudno taki schemat eksperymentalny zastosować u wszystkich gatunków, od muszki owocowej po wieloryba, dlatego dane naukowe w tym zakresie są dość ograniczone.

Jednak wnioski z analizy Healy'ego i współpracowników i tak można uznać za co najmniej bardzo interesujące.

Badacze ustalili, że wysokość progu zlewania się światła (szybkość przetwarzania sygnałów wzrokowych przez mózg) w największym stopniu zależy od rozmiarów ciała zwierzęcia i jego tempa metabolizmu. Stosunkowo małe zwierzęta o szybkim metabolizmie, takie jak szpaki, postrzegają zmiany w środowisku z o wiele wyższą rozdzielczością czasową niż zwierzęta o dużych rozmiarach i zwolnionym tempie przemiany materii, takie jak np. ważące blisko pół tony żółwie skórzaste. Te różnice mogą być wielokrotne. Co one w praktyce znaczą? Wyobraźmy sobie, że oglądamy film w kinie, siedząc obok szpaka i żółwia skórzastego. W dużym przybliżeniu: szpak postrzeżałby film tak, jakby był odtwarzany w dwukrotnie zwolnionym tempie, a żółw – jakby został przyspieszony czterokrotnie. Tylko my bawilibyśmy się dobrze. Ta analogia z wielu powodów może nie być zbyt dokładna, ale niestety trudno o lepszą.

Ile spała koliber

W zidentyfikowanym powiązaniu tempa metabolizmu i rozmiarów ciała z szybkością przetwarzania informacji wzrokowych nie należy doszukiwać się bezwzględnego prawa przyrody. Chodzi raczej o ograniczenie albo „dylemat”, który napotykają gatunki w swoich historiach ewolucyjnych. Drapieżnik o sporych rozmiarach może wyspecjalizować się w polowaniu na małe, zwinne ofiary, prowadzące szybki metabolizm i rejestrujące zmiany otoczenia w nawet bardzo krótkich porcjach czasu. Jednak →

W głębokich, zimnych i ciemnych wodach Atlantyku i Oceanu Arktycznego znalazły swoją niszę rekiny grenlandzkie. Wiodą najbardziej powolne życie spośród wszystkich kręgowców. Ich tempo metabolizmu jest niskie, a czas dojrzewania bardzo długi. Mogą dożyć nawet 500 lat.

→ prawdopodobnie będzie musiał dokonać jakiejś udanej „inwestycji ewolucyjnej” – np. wytworzyć adaptacje, które czasowo zwiększą jego możliwości percepcyjne.

Przykładem takiej inwestycji w szybsze przetwarzanie informacji wzrokowych jest „system grzewczy”, który wyewoluował u miecznika (ryby-miecz). Drapieżniki te potrafią podnieść temperaturę komórek systemu wzrokowego nawet o kilkanaście stopni powyżej temperatury wody. Wyższa temperatura oznacza przyspieszony metabolizm – a to przekłada się na lepszą rozdzielczość czasową napływających do mózgu obrazów. Czas subiektywny miecznika prawdopodobnie zwalnia, a szanse na złapanie ofiary – rosną. Aktywacja tego systemu następuje wyłącznie podczas polowania. Gdy ryba po prostu odpoczywa, nie ma sensu tracić energii na podkręcanie metabolizmu i podgrzewanie oka.

Także u tych gatunków, których przedstawiciele padają ofiarami polowań, ewolucja w kierunku szybszego metabolizmu oraz percepcji wzrokowej o wyższej rozdzielczości czasowej może być postrzegana jako inwestycja zwiększająca szanse w zmaganiach z drapieżnikami. Jeśli ich czas subiektywnie zwalnia, mogą skutecznie odpierać ataki, niczym Neo w filmie „Matrix” aktywujący słynny *bullet time*, podczas którego może spokojnie przyglądać się lecącym w powietrzu kulom. Ewolucyjne inwestycje zawsze wymagają jednak ponoszenia jakichś kosztów. Jeśli tempo przemiany materii jest wysokie, to organizm zużywa więcej energii. To zaś oznacza, że trzeba mu dostarczyć więcej pożywienia – albo przynajmniej powinno być ono lepszej jakości (np. dojrzałych owoców, a nie mało kalorycznych liści). Ale zmiana sposobu odżywiania nie jest prosta.

Jakimś rozwiązaniem byłoby np. nauczenie się nowych umiejętności albo utrzymanie kosztownego organu, który pozwala sprawniej zbierać żywność. Można też pójść w kierunku zmniejszenia rozmiarów ciała – małe organizmy mają małe potrzeby – lub wynaleźć jakiś sposób na zaoszczędzenie energii. Właśnie tak robią żyjące w Peru kolibry z gatunku *Metallura phoebe*. Te małe ptaki wchodzą w torpor – potrafią obniżyć temperaturę ciała do zaledwie 3,3 stopni Celsjusza, co prowadzi do

Czas, jaki dane zwierzę ma do dyspozycji, jest zasobem

– w tym samym sensie, w jakim zasobem jest drzewo owocowe, na którym można żerować, czy dziupla, w której można się schować.

gwałtownego spowolnienia ich metabolizmu. Oczywiście, w takim stanie nie potrafią wiele zrobić – po prostu leżą jak nieżywe. Ale dzięki temu zachowaniu nie umrą z głodu i wycieńczenia w czasie zimnych, górskich nocy. Normalne tempo metabolizmu kolibrów jest ponad 70-krotnie większe od ludzkiego. Gdy są przytomne, muszą jeść w zasadzie bez przerwy.

Długowieczne rekiny grenlandzkie obrały odmienną strategię: w zimnej, ciemnej wodzie na sporych głębokościach (przekraczających nawet tysiąc metrów) prowadzą bardzo powolne życie. Uważa się, że samice osiągają dojrzałość płciową dopiero w wieku 150 lat. Ich tempo życia energii jest bardzo niskie, dlatego mogą się zadowolić posiłkami jedzonymi dość rzadko. Nie żeby miały jakiś wybór – płyną tak wolno, że właściwie nie wiadomo, jakim cudem udaje im się czasem upolować dorsze atlantyckie lub foki. Niedługo uważano, że żywią się wyłącznie padliną.

Koszty iskania

Gdybyśmy zatem chcieli pospekulować na temat subiektywnego doświadczania upływu czasu przez zwierzęta, nie powinniśmy brać pod uwagę jedynie tego, ile dni albo lat jest w stanie przeżyć osobnik danego gatunku. Ważne jest także tempo, w jakim wiecie swoje życie, a zwłaszcza – jak się wydaje – tempo, w jakim rejestruje i przetwarza sygnały

z otoczenia. Nie ma algorytmu przeliczania takich danych, ale nie da się wykluczyć, że rekinowi grenlandzkiemu dzieś lat może mijać szybciej niż muszce owocowej tydzień.

Różnice w tempie życia organizmów – dojrzewania, przetwarzania materii i sygnałów wzrokowych, rozmnażania się – zależą od skomplikowanych historii ewolucyjnych, jakie każdemu gatunkowi kreśli naturalna selekcja. Bogactwo stylów życia gatunków wynika z bogactwa niszy ekologicznych, jakie te gatunki zajmują. Nie ma uniwersalnych rozwiązań dla wyzwania, jakie niesie środowisko; nie ma adaptacji, które będą działać zawsze, w każdych warunkach. Ich kształt zależy od przypadkowych mutacji genetycznych, będących źródłem ewolucyjnej nowości, oraz od siły naturalnej selekcji, wyławiającej te mutacje, które przyczyniają się do tego, że organizmy nieco sprawniej radzą sobie w swoim środowisku. Zdobywają więcej pożywienia, skuteczniej unikają drapieżników, płodzą więcej potomstwa czy nawet... lepiej zarządzają czasem.

Z ewolucyjnego punktu widzenia czas, jaki dane zwierzę ma do dyspozycji, jest bowiem zasobem – w tym samym sensie, w jakim zasobem jest drzewo owocowe, na którym można żerować, czy dziupla, w której można się schować. Ekolodzy ewolucyjni od dawna zajmują się ustaleniem tzw. budżetów czasowych zwierząt – sprawdzają, jak wiele czasu członkowie gatunku muszą poświęcać na odpoczynek, podróżowanie, żerowanie, a nawet utrzymywanie relacji społecznych. Jeśli budżet się nie „spina”, czyli gdy brakuje czasu na niezbędne czynności, pojawiają się presje selekcyjne. Populacja musi ewoluować.

Przynależenie do dużego stada samo w sobie zmniejsza prawdopodobieństwo tego, że dany osobnik padnie ofiarą drapieżnika – zwierzęta nie muszą więc inwestować w przyspieszony metabolizm (albo przestawiać się na nocny tryb życia) – równie dobrze mogą łączyć się w grupy. Ale i to wiąże się z kosztami, które najlepiej wyrazić można właśnie w postaci traczonego czasu.

Każde stado, rozsadzane wewnętrznymi konfliktami, może się rozpaść. Żeby do tego nie doszło, zwierzęta muszą się angażować w zachowania, które prowadzą do rozładowywania grupowych napięć. Z reguły tym dłużej, im

większe jest stado. Przykładem takich zachowań są małpie relaksacyjne sesje iskania – czyli wyczesywania futer innych osobników i wyłapywania z nich pasożytów. Żyjące w ogromnych stadach dżelady przeznaczają na iskanie nawet 10 proc. doby. To poważna inwestycja – osobniki mogłyby przecież przeznaczać ten czas na inne czynności, choćby zdobywanie pożywienia, znajdowanie partnera i płodzenie potomstwa. A jednak ta inwestycja musi się w tych konkretnych warunkach środowiska opłacać. Małpa, która rezygnuje z iskania, najwyraźniej ostatecznie radzi sobie gorzej niż inne osobniki. Gdyby tak nie było, dobór naturalny doprowadziłby do zaniku tego zachowania.

W kontekście ewolucyjnym znaczenie ma zatem nie tylko to, jak zwierzę postrzega upływ czasu, ale także to, jak ten czas spędza. Każda wykonywana czynność kosztuje zwierzę zarówno energię, jak i czas. Osobnik, który go marnuje, może tak samo zostać odsiany przez naturalną selekcję jak ten, który marnuje

żywność, nie potrafi obronić terytorium czy zabija własne potomstwo.

Życie wieczne

Można się jednak zastanawiać, dlaczego osobniki w ogóle muszą martwić się upływem czasu i jego ubocznymi skutkami. Czy nie byłoby prościej, gdyby nikt nie umierał z powodu starości? Istnieje przecież klasa komórek [komórki macierzyste – zob. artykuł Bartosza Kabały na s. 16], które potencjalnie mogą dzielić się w nieskończoność i regenerować każdy organ. Czy u zwierząt nie mogłyby po prostu powstać mutacje genetyczne sprawiające, że komórki macierzyste wiecznie odnawiałyby nasze psujące się ciała? Czy takie mutacje nie byłyby nadzwyczajnie korzystne dla ich posiadaczy – oraz ich potomstwa?

Selekcja naturalna stawia każdego osobnika przed dylematem: czy inwestować zasoby w siebie (naprawianie ciała i długowieczność), czy we własne potomstwo? Jeśli wokół krążą drapieżniki i zdarzają się wypadki, to zasoby często lepiej

przeznaczać na wyprodukowanie kilku swoich kopii – własnych dzieci – niż na samego siebie. Z długowieczności nie będzie przecież pożytku, gdy w końcu i tak skończy się w cudzym żołądku albo zginie w płomieniach. Co więcej, jeśli historia ewolucyjna danego gatunku już tak się potoczyła, że osobniki stosunkowo szybko płodzą potomstwo, to naturalna selekcja w dużej mierze pozostanie „ślepa” na ich późniejsze, starcze potrzeby. Zmiany ewolucyjne zachodzą w końcu między pokoleniami, a nie w ramach cyklu życiowego osobnika.

Tylko w bardzo specyficznych środowiskach organizmy potrzebują wiele czasu na to, by się rozmnożyć – np. dlatego, że trudno znaleźć partnera albo wychować potomstwo. Jeśli przy okazji nie zagrażają im drapieżniki albo wypadki (tak jak sośnom), to rośnie szansa na to, że naturalne procesy starzenia się będą u nich hamowane – lub nawet wyeliminowane na dobre. W warunkach ziemskich wieczna młodość zazwyczaj nie jest jednak dobrą inwestycją. © P ŁUKASZ KWIATEK

OGŁOSZENIE WŁASNE WSPÓŁWYDAWCY



**De
Revolutionibus**
Books&Café

**Jedno z niewielu miejsc w galaktyce, gdzie
dobra książka spotyka się z dobrą kawą**

ul. Bracka 14, Kraków



Zapraszamy do odwiedzin:
od 9:00 do 20:00 (pn-pt)
od 10:00 do 19:00 (sb-nd)

oraz pod adresem:
www.derevolutionibus.pl



Natalia Polasik, „W służbie czasu”, 2020

Co nadaje sens

PIOTR SIKORA

Doświadczenie upływu czasu jest jednym z najgłębszych przeżyć egzystencjalnych. Dlatego odgrywa ono ważną rolę w myśleniu religijnym.

Bogactwo języka najczęściej odzwierciedla przenikliwość, z jaką posługująca się nim wspólnota postrzegała opisywane przez siebie aspekty rzeczywistości. Starożytni Grecy byli więc bardziej przenikliwi od nas, Polaków, jeśli chodzi o postrzeganie czasu. Podczas gdy my używamy jednego terminu „czas”, oni wyraźnie rozróżniali *chronos* i *kairos*. Ten pierwszy mierzył klepsydry, wraz z piaskiem przesypywał się jednostajnie i dla wszystkich tak samo. Drugi miał zupełnie inną naturę.

Święty moment

Naturę tę, nieuchwytną nie tylko dla klepsydr, ale i atomowych zegarów, ujawniała jego personifikacja, bóg Kairos. Uskrzydłony, poruszał się szybko. Miał bujną grzywkę, poza tym był łysy – dało się go złapać jedynie z przodu. *Kairos* symbolizował szczególnie ważny moment: pojawiając się jakby na mgnienie. Można chwycić go tylko, gdy się do nas zbliża – gdy przejdzie, nic już nie poradzimy.

Istnienie momentów niosących szczególne znaczenie sprawia, że nie wszystkie chwile są równie ważne. Jedna chwila namysłu pozwala stwierdzić, że jest to coś niezwykle ważnego w ludzkim egzystencjalnym doświadczeniu czasu. Owszem, przeważnie musimy mierzyć płynący *chronos*. Jednak to *kairos* czyni nas ludźmi, nadaje życiu sens, decyduje o jego całościowym kształcie.

Tradycje nazywane religijnymi różnią się między sobą na tyle, że niektórym wydaje się wątpliwe, czy można mówić o nich wszystkich jako o jednym zjawisku. Jeśli już szukać czegoś, co mogłoby być uznane za wspólną, wyróżniającą cechę bycia religią, to jako pierwsze nasuwa się sięganie do najbardziej fundamentalnych wymiarów egzystencji człowieka.

Jesteśmy zaś, my ludzie, bytami zanurzonymi w czasie. Niektórzy filozofowie twierdzą nawet, że czasowość to istota bycia człowiekiem. Jeśli tak, odniesienie do czasu i jego interpretacja musi stanowić jeden z najważniejszych elementów każdego religijnego uniwersum. Jest to, oczywiście, wiza nie tylko tego, czym jest *chronos*, lecz przede wszystkim – jaką naturę ma *kairos* i jak go rozpoznać. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że religijne znaczenie czasu jest ujawnieniem kairosu w jego najczystszej postaci.

Religie są zróżnicowane, ale możemy pokusić się o typologię obecnych w nich wizji czasu.

Koło

Pierwszy typ, prawdopodobnie najstarszy, postrzega *kairos* – święty czas – jako koło. Można spotkać się z poglądem, że jest to pierwotny religijny sposób postrzegania czasu. Pierwotny – być może – lecz wcale nie prymitywny.

Jeśli ktoś obserwowałby wschody słońca z krakowskiego kopca Krakusa, 2 maja i 10 sierpnia zobaczyłby pierwszy blask naszej gwiazdy dokładnie nad kopcem Wandy. Obserwujący zaś zachody słońca z kopca Wandy zauważą, że zniknie ono za kopcem Krakusa 4 listopada i 6 lutego. To dni dokładnie pomiędzy równonocą wiosenną i jesienną oraz letnią i zimową przesileniem. Jedna linia łącząca wierzchołki starożytnych ziemnych budowli wyznacza daty dzielące rok na osiem równych części.

Wiele jest na Ziemi podobnych miejsc, w których dawni ludzie tworzyli z zamieszkiwanej przez siebie przestrzeni precyzyjny kalendarz, stawiali monumentalne budowle – jak Stonehenge – w zadziwiająco dokładny sposób wyznaczające określone daty w roku. Nasi przodkowie posiadali niewątpliwie sporą wiedzę astronomiczną. Wiele równie starożytnych mitów wskazuje jednak, że wiedza ta była elementem znacznie szerszego obrazu świata, w którym najważniejsza była nie astronomia, lecz fundamentalna mądrość życiowa, którą dziś nazwalibyśmy religijną.

Większość dat wyróżnionych w starożytnych kalendarzach ma szczególne znaczenie dla przetrwania ludzkich wspólnot, ściśle uzależnionych od przyrody. Ta właśnie egzystencjalna waga sprawiała, że owe momenty obrastały w mity i rytuały. Mity bardzo często opowiadały o „czasie pierwotnym”, złotym wieku, w którym Bóg albo bogowie uporządkowali chaos, tworząc kosmos.

Jedną z podstawowych cech tak przeżywanego kosmosu jest cykliczny powrót takich samych zmian – pór roku, skracania się i wydłużania dnia. Cykliczność ta jest święta, gdyż jej rozpoznanie pozwala trwać w harmonii ze światem i zachować w ten sposób życie. Największym wrogiem są więc niespodziewane, nowe wydarzenia, które zakłócają rytm wiecznego powrotu tego samego. Z tego właśnie powodu cykliczna koncepcja świętego czasu łączy się często z ideą złotego wieku: im dalej od mitycznego początku, tym bliżej pod powierzchnię zjawisk podpełzają siły chaosu. Stąd rytualne działanie, które ma jakby przenieść nas w czasy świętego początku albo – patrząc z drugiej strony – uobecnić go wciąż na nowo.

Linia

Inne doświadczenie czasu jest charakterystyczne dla tzw. religii historycznych. Ich początków można upatrywać w kulturach pasterskich, wędrownych, a nie tych zależnych od uprawy roli. Najbardziej znaną tradycją, w której dominuje to właśnie doświadczenie czasu, jest tradycja biblijna. Symboliczną narracją, która opowiada o narodzinach tego doświadczenia, jest saga o Abrahamie. Jej bohater usłyszał boski głos, który kazał mu wyjść ze swojej ziemi rodzinnej i wyruszyć na poszukiwanie obiecane nowego miejsca zamieszkania.

Sacrum, Bóg objawia się tu nie w cyklicznym powrocie, odtwarzającym mniej lub bardziej udanie złoty wiek, lecz w konkretnym, nowym wydarzeniu. Czas święty przestaje być kołem – staje się linią prostą. Nie staje się jednak po prostu chronosem, wpływającym jednostajnie, w którym każda chwila jest równie (nie)ważna. Można powiedzieć, że dopiero teraz może pojawić się *kairos* we właściwym sensie – taki, jaki jest zobrazowany w starogreckiej personifikacji pod postacią bóżka, którego chwycić można tylko, zanim nas minie. Ponieważ to właśnie w linearnej wizji czasu pojawiają się specjalne momenty, w których świętość w niepowtarzalny sposób wdzierza się w życie całych wspólnot i poszczególnych jednostek; momenty, które jeśli przejdą niezauważone, nigdy już nie powrócą.

Wychowanym w kulturze ukształtowanej – w dużej mierze – przez tradycję biblijną znane są z pewnością takie święte wydarzenia: spotkanie Mojżesza z Bogiem w płonącym

→ krzewie, wyjście Izraela z Egiptu, babilońskie wygnanie i odbudowa Świątyni. Dla chrześcijan, oczywiście, to życie Jezusa.

Linearna wizja świętego czasu, którego bieg zawiera szczególnie ważne momenty, wprowadza bardzo ciekawe napięcie pomiędzy przeszłością a przyszłością, religijnym wspomnianiem a oczekiwaniem. Zarówno we wspólnotach, jak w przypadku pojedynczych ludzi pojawia się tendencja do powracania do tych szczególnych wydarzeń, do wspomniania ich, rozważania ich znaczenia, wreszcie – do podejmowania prób rytualnego ich uobecniania.

Z drugiej strony linearne postrzeganie religijnego czasu, w którym istnieje zawsze otwarta możliwość nadejścia nowego momentu epifanii świętej Rzeczywistości, zwraca uwagę ludzi religijnych ku przyszłości, rodzi postawę oczekiwania na nowe objawienie. Może mieć ono charakter podobny do dotychczasowych. Może jednak być i tak, że oczekiwanie skierowane jest w nadchodzące wypełnienie, ko-



niec czasu – objawienie ostateczne, kończące historię (przynajmniej taką, jaką znamy i jaką możemy sobie wyobrazić i pojąć). To oczekiwanie, że czas zmieni się w wieczność.

Kropka

Idea wieczności – jako czegoś, co nie przynależy do czasu, przekracza go – nie została w żadnej tradycji religijnej precyzyjnie wyjaśniona. Jest raczej ujmowana za pomocą metafor czy pewnych założeń metafizycznych teorii. W większości wskazują one, że to, co religijnie najważniejsze, nie może zmieścić się w czasie. Przyjmując tę perspektywę człowiek religijny powinien dążyć do przekroczenia czasu.

Różne są jednak koncepcje tego, jak owa wieczność, pozaczasowy wymiar rzeczywistości, jest dla nas dostępna. Niektóre tradycje – o nich pisałem wyżej – kierują się przekonaniem, że wieczność czeka na końcu czasu. Może to być koniec czasu osobistego – koniec indywidualnego życia. Może to być koniec czasu w ogóle. Są też jednak religie, w których za najważniejsze odkrycie uznaje się rozpoznanie, iż możliwość kontaktu z pozaczasowym wymiarem świata, uczestnictwa w nim nie otwiera się dopiero „po skończeniu się” czasu. Nie polega także po prostu na uczestnictwie w kolistym powrocie wciąż tego samego. Droga poza czas są specyficzne ćwiczenia duchowe, takie jak wy-

cofanie świadomości z przestrzeni zmysłów, introspekcja czy medytacyjne skupienie.

Czas jako taki ulega w tej perspektywie znaczącej relatywizacji. W gruncie rzeczy przynależy w całości do sfery *profanum*. Kontakt z boską rzeczywistością nie szuka się ani w stale nawracającym cyklu zmian, ani w żadnych konkretnych wydarzeniach historycznych. „Miejscem” epifanii jest raczej wewnętrzna przestrzeń ludzkiego ducha – a ostatecznie nieruchomy punkt, w którym ustaje doświadczenie upływu czasu.

Pojawia się tutaj jednak paradoks. Uznanie, iż Boska Rzeczywistość nie przejawia się w żaden szczególnie sposób ani w cyklicznych przemianach, ani konkretnych wydarzeniach historycznych, prowadzi do swoistej sakralizacji każdej chwili. *Kairos* staje się współzakresowy z *chronosem* – każdy aktualny moment (i tylko on, wszak innego nie ma) staje się okazją do wyjścia (albo trwania) w pozaczasowy wymiar. By doświadczyć Ostatecznej Rzeczywistości, nie trzeba czekać na wiosenne przesilenie ani na szczególne historyczne wydarzenie. Do wnętrza ducha można wejść tylko teraz. Ale przecież zawsze jest teraz.

Spór i integracja

Wydaje się zatem, że z religijnego punktu widzenia to, co zmienne, przypadkowe, przemijające, nie powinno stanowić życiowego celu. Religie mówią: trzeba to przekroczyć, dotrzeć do Rzeczywistości nieziennej, koniecznej, nieprzemijającej. O ile czas pojmemy jako istotny wymiar zmienności i przemijania, trzeba przekroczyć czas. Po drugiej jego stronie czeka wieczność.

Wszystkie opisane wyżej religijne sposoby pojmowania czasu można zinterpretować właśnie jako sposoby kontaktu z wiecznością. Czas jako koło: to wieczność w po-

staci powrotu tego samego. Czas jako linia: obejmuje w sobie wyróżnione punkty, które w swojej istocie mają skierować ludzkie życie ku końcowi czasu – koniec jest czasu spełnieniem. Czas jako punkt: koncentracja na „teraz”, jedynej chwili, która istnieje (w odróżnieniu od tego, czego

Do wnętrza ducha
można wejść
tylko teraz.

**Ale przecież
zawsze jest
teraz.**

nie ma, bo było, albo jeszcze się nie stało), jest osiągnięciem lub odsłonięciem wieczności przez zniesienie jakiegokolwiek rozciągłości czasu.

Pomiędzy wspomnianymi sposobami „uwiecznienia” czasu istnieje zarówno napięcie, jak i komplementarność. W historii religii można więc spotkać się zarówno z polemikami, który sposób jest tym najważniejszym, jak i z próbami ich integracji w jednym „systemie” praktyk. Zobaczmy, jak wygląda to w przypadku tradycji w Polsce dominującej – w chrześcijaństwie.

Integracja dotyczy przede wszystkim wizji kolistej i linearnej. Doskonale widać ją np. w treści roku liturgicznego.

Z jednej strony jest on cyklem, a najważniejsze jego święta mają miejsce w kluczowych momentach dla religijności przeżywającej czas jako koło: Boże Narodzenie związane jest z przesileniem zimowym, Wielkanoc z równonocą i odradzającą się na wiosnę przyrodą. Z drugiej strony ich pierwszoplanowym i zasadniczym znaczeniem jest rytualna „pamiętka”, czyli związek z konkretnymi, kluczowymi wydarzeniami historii zbawienia. W Adwencie ujawnia się dodatkowo powiązanie historycznych wydarzeń z ostatecznym wypełnieniem się czasu: jest to symboliczne oczekiwanie jednocześnie narodzin Jezusa oraz jego przyjścia „na końcu czasu”.

Tradycja chrześcijańska obejmuje w sobie także trzecią wizję: wieczności dziejącej się teraz – choć w tym przypadku oprócz prób integracji pojawiały się także napięcia. Z jednej strony Paweł (przynajmniej na początku działalności misyjnej) wyraźnie głosił wypełnienie się czasu w pewnej (niedalekiej) przyszłości. W swoim najwcześniejszym liście, do Tesaloniczan, pisał: „Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem” (1 Tes 4, 16-17). Autor Ewangelii Jana nauczał zaś swych czytelników, że na wieczne życie nie muszą wcale czekać: „Kto wierzy, ma życie wieczne” (J 6, 47). Jeszcze wyraźniej – i bardziej polemicznie – ów istniejący i zawsze dostępny charakter wieczności głosił autor apokryficznej Ewangelii Tomasza: „Zapytali go uczniowie: »Kiedy nastanie odpocznienie umarłych i kiedy przyjdzie nowy świat?« Jezus odrzekł: »To, czego szukacie, nadeszło, lecz nie rozpoznajecie tego.«” (EwT 51).

Ewangelia Tomasza, choć najprawdopodobniej starsza niż Jana, nie weszła do kanonu, a wspólnoty, które się nią posługiwały, nie przetrwały w integralnej postaci. Dominujące w chrześcijaństwie stały się inne wizje czasu i wieczności: linearna i kolistą. Ale także i ta, by tak rzec: punktowa, nie zaginęła całkiem. Zawsze obecna była w nurtach mistycznych. Jak np. w XIV w. pisał Mistrz Eckhart: „On, nieprzerwanie i poza czasem, ciągle na nowo, otrzymuje swój byt od swego niebieskiego Ojca, a w tej samej chwili nieustannie też się rodzi dla Ojcowskiego majestatu, w doskonały sposób, przez dziękczynne uwielbienie, równy Mu godnością. Taką samą postawę powinien przybierać człowiek, który chce się otworzyć na przyjęcie najwyższej Prawdy i w niej żyć, bez »przed« i »po«, bez żadnej przeszkody ze strony tych wszystkich uczynków i obrazów, które kiedyś miał, wyczuł i wolny, w owym »teraz« otrzymując ciągle na nowo Boży dar i z kolei rodząc go bez przeszkód w tym samym świetle, w Panu naszym, Jezusie Chrystusie”.

■■■

„Czymże więc jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem” – przyznaje Augustyn w „Wyznaniach”. Dla człowieka głęboko religijnego, jakim był biskup z Hippony, ważniejsze od uzyskania teoretycznej odpowiedzi jest nieprzeoczenie chwili, w której otwiera się przed nim Święta Rzeczywistość. Taki jest właśnie sens delfickiej sentencji: „*Kairon gnoti*” – (roz)poznaj ten moment.

©© PIOTR SIKORA

Tym/czasem

KS. MICHAŁ HELLER

**Pewnego świętego zapytano:
co byś zrobił,
gdyby ci powiedzieli,
że za dwie godziny
będzie koniec świata?
Odparł: dalej grałbym
w szachy. To bardzo
mądra odpowiedź.**

WOJCIECH BONOWICZ: Od kilku miesięcy znajdujemy się w dziwnym czasie. Zostałmy wytrąceni z rutyny, zmuszeni do zmiany zachowań. Jedni cierpią z powodu bezczynności, inni – z nadmiaru nowych obowiązków. Nie wiadomo, ile to wszystko jeszcze potrwa i czy nie wrócą większe obostrzenia. Jak Ty się w tym odnajdujesz?

MICHAŁ HELLER: Czuję się trochę tak, jakbym był zamknięty w kapsule czasu. Ale to nic nadzwyczajnego, zawsze jesteśmy zamknięci w czasie. W moim prywatnym życiu niewiele się zmieniło. Jak się pracuje naukowo – zwłaszcza w takiej dziedzinie jak kosmologia – pracuje się w samotności. Podobnie, kiedy pisze się artykuł czy książkę. Izolacja doskwiera mi chyba mniej niż innym. Odwołano też rozmaite konferencje, więc mam więcej czasu na myślenie.

I o czym myślisz?

Jestem, więc myślę. O różnych rzeczach. Z chaosu nieorganizowanych myśli, jakie zawsze błakają się w głowie, czasem wyodrębnia się wątek, który daje początek nowym pomysłom. Jakiś czas temu taki wątek mi się wyodrębnił. Może wyjdzie z tego książka...

Msze odprawiasz w domu?

Z początku odprawiałem w domu. Ale teraz chodzę odprawiać w kościele.

A jak ten czas dobrze przeżyć? Co zrobić, żeby wyjść z niego lepszym, mądrzejszym?

Przypomina mi się historia o pewnym świętym. Ktoś go zapytał: co byś zrobił, gdyby ci powiedzieli, że za dwie godziny będzie koniec świata? Odpowiedział: dalej grałbym w szachy – bo akurat to robił. To bardzo mądra odpowiedź. Trzeba robić swoje, przede wszystkim – nie dać się zwariować. Kto ma siedzieć w kapsule czasu i izolować się, niech to robi, trudno. Kto musi podejmować ryzyko, niech uważa →

→ i maksymalnie się zabezpiecza. Niech spełnia swoje zadania ze świadomością, że służy innym. A ogólna recepta jest prosta: rób to, co zawsze, tylko staraj się to robić lepiej. Zawsze staraj się to robić lepiej – nie tylko w czasie epidemii. Nic mądrzejszego nie wymyślę. To chyba jest wystarczająco mądre.

A czy ten czas kojarzy Ci się jakoś z innymi Twoimi przeżyciami? Myślę np. o dzieciństwie, które naznaczyła wojna i związane z nią poczucie niepewności, nieprzewidywalności, o wiele większe niż dzisiaj.

Mam takie skojarzenia, ale nie z dzieciństwa. Gdy byłem dzieckiem, faktycznie przeżywalismy jako rodzina ucieczkę, naloty, deportację na Sybir. W takich sytuacjach dziecko, jeśli ma rodziców, jest przez nich chronione. To starsi mają problem. Dziecko się cieszy, że ma piękne widoki przez okno w pociągu. Gdy zobaczyłem Bajkał, to strasznie mi się spodobał, i dziwiłem się, czemu ludzie płaczą.

Widzę natomiast pewne podobieństwo z okresem, gdy byłem po operacji serca. Wtedy też musiałem żyć w takiej kapsule czasu. Byłem skazany na mieszkanie w pokoju – wygodnym, ale takim, którego nie wolno mi było opuszczać. Potem mogłem wychodzić, ale tylko w ściśle określonym celu. Codziennie miałem do przejścia wyznaczoną liczbę kroków czy schodów, z książkami pod pachą dla dodatkowego obciążenia. Musiałem się poddać surowej dyscyplinie. Było to bardzo ciekawe doświadczenie – i w sumie pozytywne. Nie wspominałbym go źle.

Miałem to szczęście, że kłopoty sercowe dopadły mnie w USA. Operacja była robiona w trybie pilnym w klinice w Georgetown. Podziwiałem amerykańską służbę zdrowia. Bardzo dbali tam o psychikę chorego: wszystko było tak zorganizowane, żeby chory nie miał czasu i okazji do zdenerwowań.

Po operacji nigdy na nic się nie czekało, wszystko było na określonej godzinę. To bardzo odśrodkowuje, nawet jeśli ma się świadomość, że nasze życie jest w jakimś stopniu zagrożone. Powiedzieli mi, że prawdopodobieństwo śmierci w czasie operacji wynosi dwa procent. Dano mi do podpisania oświadczenie, czy chcę nadzwyczajnych środków utrzymywania przy życiu, gdyby coś poszło nie tak.

I podpisałeś?

Tak – że rezygnuję z tych środków.

Najsilniejsze doświadczenie przemijania czasu miałem po operacji, kiedy budziłem się z narkozy. To była podróż na granicy dwóch światów. Trwała bardzo długo: kilka, nawet kilkanaście godzin świadomość wracała mi i znowu się cofała. A ja starałem się jakby z boku obserwować, co się ze mną dzieje. W łóżku nie mogłem się ruszać, ale pamiętam, że na wprost mnie na białej ścianie wisiał zegar – biały, z czarnymi wskazówkami. Kiedy obudziłem się po raz pierwszy, wskazywały szóstą rano. Za drugim razem było już południe. Kontrola czasu odgrywała ważną rolę. Czas wiązał mnie ze światem. Gdy traciłem świadomość – bo jeszcze działał środek odurzający – to czas jakby się wyłączał. Ale zegar biegł naprzód. To doświadczenie dało mi sporo na przyszłość, jakoś oswoiło mnie z przemijaniem, ale też z myślą, że czas nie jest czymś absolutnym.

Przy okazji obecnej pandemii pojawiły się głosy, że pozbawiła nas złudzeń co do ludzkich możliwości. Owszem, nauka i technika nas chronią, ale tylko w ograniczonym stopniu. Ja miałem inną refleksję: że dzięki nauce i technice jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek. Potrafimy szybko zareagować, ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa, od razu w wielu laboratoriach rozpocząć prace nad szczepionką. Gdyby nie posiadana wiedza, ofiar byłoby znacznie więcej. To czas klęski nauki czy jej triumfu?

Kiedy pisałem książkę „Filozofia przypadku”, musiałem podjąć rozmaite studia, m.in. z historii rachunku prawdopodobieństwa i statystyki. Dowiedziałem się wtedy ciekawej rzeczy. W 1603 r. wybuchła w Londynie epidemia dżumy. Zresztą był to kolejny nawrót; począwszy od połowy XIII w. dżuma przechodziła przez Europę kilkakrotnie, aż do XVII w. Ogromna liczba ludzi umierała. I właśnie w 1603 r. władze Londynu postanowiły spisywać liczbę narodzin i zgonów, a uczeni rzucili się na te statystyki. Po raz pierwszy zaczęto robić to, czym my żyjemy na co dzień, gdy nam podają, ilu mamy nowych zakażonych, ile osób zmarło itd. Pionierem tych badań był John Graunt. Dzięki zestawom statystycznym odkryto, że dżuma rozprzestrzenia się

tam, gdzie są szczury. Dzisiaj wiemy, że to owady przenoszą dżumę ze szczurów na człowieka. Wówczas narodziła się statystyka i jednocześnie zaczęła się obrona przed pandemią. Wcześniej ludzie byli bezradni.

Co ciekawe, po lekarzach statystykami zainteresowała się branża ubezpieczeniowa. Banki i prywatni ubezpieczyciele chcieli wiedzieć, jaka jest średnia długość życia ludzi. M.in. zajmował się tym Edmond Halley – ten, którego imieniem nazwana została słynna kometa. Jego ulubionym miastem do prowadzenia badań statystycznych był Wrocław. Dlaczego? Bo było to miasto na tyle duże, by być statystycznie znaczącym, a jednocześnie położone gdzieś w zakamarkach Europy i przez to na tyle izolowane od reszty świata, że ruchliwość mieszkańców była stosunkowo mała. Cała ta historia to piękny przykład tego, co może osiągnąć nauka. Tylko trzeba jej pomóc – postępować zgodnie z jej ustaleniami, stosować się do zaleceń lekarzy.

A czy nauka może nam dać nadzieję? Nie myślę nawet o nadziei na nieśmiertelność, chociaż są ludzie, którzy słuchając doniesień naukowych, zaczynają myśleć o tym, że kiedyś granicą życia będzie nie sto, ale np. dwieście lat. Chodzi mi raczej o taką bardziej podstawową nadzieję – na spokojne, w miarę bezpieczne i sensowne życie.

Zacznijmy od tego, że czy to będzie 80, 100 czy 200 lat, to niewielka różnica – bo jak się te 199 już przejdzie, to dokładnie tak samo będzie się przeżywać zbliżający się kres.

Według mnie nauka nie jest po to, żeby dawać ludziom nadzieję. Nauka jest po to, żeby świat rozumieć. Jeżeli się go rozumie, to lepiej ustawia się swoje życie, lepiej się je przeżywa. Lepiej się wkomponowuje siebie w ten świat. To się łączy z nadzieją – bo nadzieja to coś osobistego. Lepsze rozumienie świata jest sposobem na zabezpieczanie się przed osobistymi i społecznymi kryzysami.

Musimy większy nacisk kłaść na edukację. Moim zdaniem wciąż nie spełnia ona swojej roli tak, jak powinna. Chciałoby się, żeby obejmowała znacznie szersze kręgi niż dzisiaj i żeby w poszczególne problemy wprowadzała znacznie bardziej gruntownie. Ludzie, zamiast

KS. MICHAŁ HELLER (ur. 1936) jest filozofem i kosmologiem. Autor ponad 80 książek i setek naukowych publikacji. Fundator i założyciel Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych (obecnie działającego w ramach Uniwersytetu Jagiellońskiego), na które przeznaczył otrzymaną w 2008 r. Nagrodę Templetona. Dyrektor programowy Copernicus Festival.

wiedzy, fundują sobie czasem „artykuły zastępcze”, które mają im pomóc w rozumieniu świata. Często takim zastępczym artykułem jest religia. Jeśli religia jest traktowana jako erzac nauki, to jest to bardzo niebezpieczne – i dla rozumienia świata, i dla przeżywania religii. To powinno iść w parze. Jak głosi słynne powiedzenie Einsteina: „Nauka bez religii jest kulawa, a religia bez nauki jest ślepa”. Albo na odwrót – już nie pamiętam. To powiedzenie działa zresztą w obie strony.

Idąc za Twoim rozumowaniem – nauka wprawdzie nie jest po to, by dawać nadzieję, jednak edukacja jest jakąś podstawą, na której można osobistą nadzieję zbudować.
Tylko tę nadzieję trzeba odpowiednio rozumieć.

Czyli jak?

Taka nadzieja, że wszystko będzie dobrze i nie ma się czym martwić, to żadna nadzieja. To po prostu brak rozsądku. O nadziei mogę mówić wtedy, gdy mój światopogląd daje mi fundament, na którym mogę oprzeć przekonanie, że wszystko ma sens. Na tym polega głębokie znaczenie religii – że takiego fundamentu nam dostarcza.

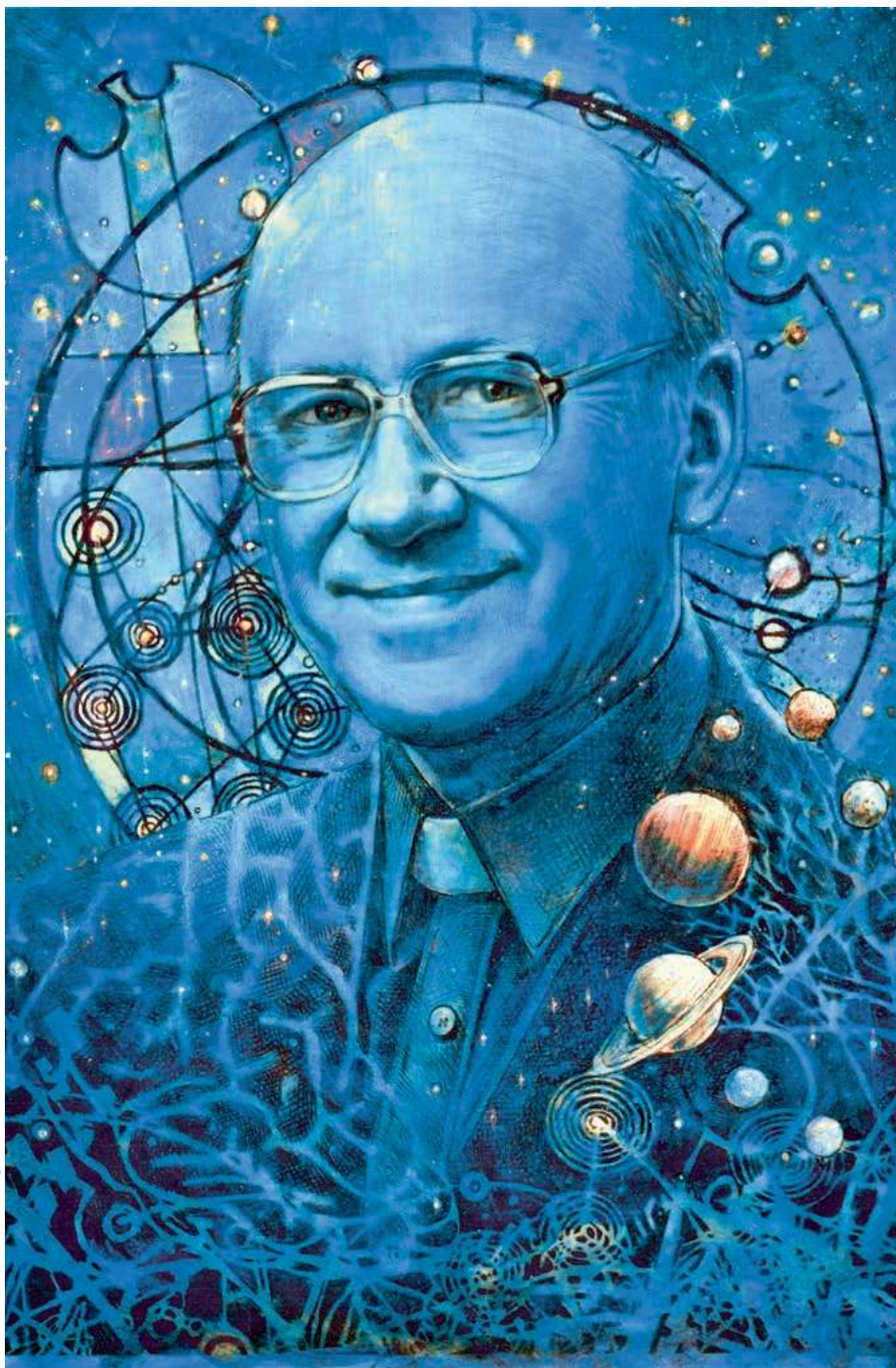
Religia nadzieję opiera na wizji wieczności. Ciekaw jestem, czy z naukowego punktu widzenia pojęcie wieczności ma w ogóle sens. Czy rodzi się tu napięcie między nauką a religią, którego nie da się w żaden sposób rozładować.

To trochę jak z nadzieją. Fizyka nie jest po to, by budzić w nas nadzieję, i tak samo nie jest po to, by nam odsłaniać wieczność. Pojęcie wieczności należy do filozofii i teologii. Ale przypominam sobie, że przed wielu laty w Lublinie odbywał się kongres

filozoficzno-fizyczny na temat czasu. Ktoś mówił o pojęciu wieczności jako beczasowości, aczasowości. I był tam pewien filozof marksistowski, który wstał i powiedział: ja tego pojęcia nie rozumiem. Gdy filozof albo matematyk mówi, że czegoś nie rozumie, to znaczy, że według niego to nie ma sensu. On chciał powiedzieć, że pojęcie aczasowości nie ma sensu. Dzisiaj by tak nie mógł powiedzieć.

Fizyka sugeruje, że nasz świat wprawdzie jest związany z czasem, ale łatwo sobie wyobrazić, że poza tym światem – jeśli ktoś uznaje coś takiego – czasu nie ma, jest jakieś inne trwanie. Niektórzy mówią o możliwości istnienia nieskończonego wielu wszechświatów. W tych innych wszechświatach z czasem może się dziać coś zupełnie innego niż w naszym wszechświecie. A w zbiorze wszystkich →

MARCIN BONDAROWICZ DLA „TP”



→ wszechświatów prawie na pewno nie ma jakiegos takiego metaczasu. To wszystko są oczywiście filozoficzne dywagacje, raczej obrzeża nauki niż jej rdzeń, ale dzisiaj trudno byłoby powiedzieć, że to wszystko nie ma sensu.

Kiedy mówimy o czasie, posługujemy się rozmaitymi metaforami. Jedną z najpopularniejszych jest metafora rzeki. Mówimy: czas płynie. Wyobrażamy go sobie jako rzekę, do której w pewnym momencie wskakujemy czy zostajemy wrzuceni, ona nas niesie swoim nurtem i w którymś momencie wyrzuci nas na brzeg. Ta metafora miała swoje konsekwencje – ludzie zaczęli się zastanawiać, czy taką rzeką nie dałoby się popłynąć pod prąd. Pamiętam wydaną przed kilkunastu laty książkę rosyjskiego astrofizyka Igora Nowikowa. Nosiła tytuł „Rzeka czasu” właśnie. Wedle Nowikowa odkrycia fizyki pozwalają nam myśleć o tym, że może kiedyś uda się wyskoczyć z tego czasu, w którym żyjemy, i wskoczyć w inny. Co o tym sądzisz?

Rzeczywiście są takie dywagacje. Ale musimy pamiętać, że w fizyce rozważa się nie sam czas, lecz czasoprzestrzeń. Czasoprzestrzeń to rodzaj przestrzeni, ale takiej, która ma cztery wymiary; czwartym wymiarem jest czas. Przestrzeń zaś podlega geometrii. Gdy mamy jakąś powierzchnię, to możemy ją wyginać czy robić inne geometryczne sztuczki. To samo można robić z czasoprzestrzenią, nie nożyczkami i palcami, tylko matematyką. Można wyliczać np. różne tuby czasoprzestrzenne, które miałyby łączyć odległe regiony czasoprzestrzeni „na skróty”. O tym właśnie pisał Nowikow.

Wyobraźmy sobie, że ktoś wjeżdża do takiej tuby i wyjeżdża z drugiej strony. Teoretycznie to mogłoby się dziać pod prąd czasu. Można takie matematyczne modele robić, ale inna rzecz, czy one odpowiadają rzeczywistości. Są poważne przesłanki za tym, że rzeczywistość ma pewne ograniczenia, których nie da się przeskoczyć. W takiej tubie np. złamana zostałaby zasada przyczynowości. Gdybyś się mógł przenieść w przeszłość, to mógłbyś tatusia zamordować przed twoim urodzeniem – i co by wtedy było? Rzeczywistość prawdopodobnie wyklucza takie możliwości. Przy czym, powtórzę, to już nie jest nauka, tylko jej marginesy.

Nauka nie jest po to, żeby dawać ludziom nadzieję.

Nauka jest po to, żeby świat rozumieć. Jeżeli się go rozumie, to lepiej ustawia się swoje życie.

Taka nadzieja, że wszystko będzie dobrze i nie ma się czym martwić, to żadna nadzieja.

To po prostu brak rozsądku.

Ale te marginesy poszerzają naszą wiedzę?

I wiedzę, i wyobraźnię. Bez trudu zresztą znajdują się filozofowie i fizycy, którzy powiedzą: tak na pewno musi gdzieś być.

W dawnej literaturze i sztuce pojawiał się obraz „sadzawki młodości”. Z jednej strony wchodziło się do niej starym, z drugiej – wychodziło już odmłodzonym. W Galerii Malarstwa w Berlinie wisi obraz Łukasza Cranacha Starszego, który przedstawia taką sadzawkę. Co ciekawe, wchodzi do niej i wychodzi z niej jedynie kobiety... A Ty, gdybyś miał okazję stanąć nad brzegiem takiej sadzawki, to chciałbyś wejść czy nie?

Pierwsza moja refleksja jest taka, że wszedłbym, ale pod warunkiem, że po wyjściu będę wiedział tyle samo, ile wiem teraz, a nie tyle, ile wiedziałem, gdy byłem młody.

No, tak to każdy by chciał.

Ale mam też drugą refleksję: nawet jeśli ja bym wszedł, to co z innymi ludźmi,

z którymi się spotykam? Nie wiem, czy chciałbym się z nimi rozstać.

Myślę, że takie ćwiczenia wyobraźni są pożyteczne o tyle, o ile skłaniają nas do refleksji nad tym, jak nasz czas dobrze przeżyć. Czas jest wielką wartością. To jest coś, co nas może wzbogacać, ale też zubażać. Mówimy np., że kto stoi w miejscu, ten się cofa – bo czas płynie naprzód, a ten, kto stoi, zostaje w tyle. Czujemy to zwłaszcza wtedy, gdy tego czasu mamy więcej, tak jak teraz. Mamy go więcej w tym sensie, że jesteśmy mniej zajęci różnymi zewnętrznymi obowiązkami. A im więcej go mamy, tym bardziej natrączywe staje się pytanie: co zrobić, żeby go nie zmarnować?

A gdy pracujesz naukowo – gdy np. angażujesz swój umysł w rozwiązanie jakiegoś problemu – to czas płynie wolniej czy szybciej?

To zależy. Dla mnie pracą naukową *par excellence* są matematyczne obliczenia. Często mam do dyspozycji, powiedzmy, półtorej godziny, bo potem czekają inne obowiązki, a ja akurat mam przed sobą jakieś trudne równania. Wtedy czas płynie strasznie szybko. Nawet się nie obejrzę, a już jest za pięć i muszę wstać. Natomiast kiedy nie mam ograniczeń czasowych, wtedy zapominam o czasie, wydaje się, jakby on w ogóle nie płynął. Jestem skupiony wyłącznie na tym, co robię. Dopiero gdy kończę, patrzę na zegarek: o, to już tyle czasu upłynęło! Wynurzam się z aczasowości i wracam do tej rzeki, o której mówiłeś.

Wyjaśnij mi coś jeszcze. Ilekroć dzwonię do Ciebie, zazwyczaj na koniec mówisz tylko jedno słowo: „Tymczasem”. Wiem, że nie tylko ze mną żegnasz się w ten sposób. Mam wrażenie, że lubisz to słowo. Dlaczego?

Ono jest wygodne. Można je skierować do każdego. Może nie do papieża czy prezydenta, ale do większości ludzi można powiedzieć: tymczasem! A lubię je, bo jest dobrym podsumowaniem. Zawiera w sobie trochę filozofii – myśl o przemijalności. I trochę obietnicy – teraz się żegnamy, ale niebawem znowu się zobaczymy czy usłyszymy. Dla mnie to słowo klucz, dzięki któremu mogę powiedzieć, że cieszę się „tym czasem”, który razem spędziliśmy. I mam nadzieję na więcej.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ



**Copernicus
Center**



Miej oko na naukę

Wykłady na żywo, programy popularnonaukowe
i pytania filozoficzne aktualne od 2,5 tys. lat

 youtube.com/copernicuscenter

 **SUBSKRYBUJ**



ORGANIZATORZY



PRZY WSPARCIU



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



PARTNERZY

Admind_



Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
1818

allegro

ASTROFAZA



cricoteka



**Copernicus
Center
PRESS**



**Copernicus
College**

CRAZYNAUKA



**De
Revolutionibus**
Books&Café



FNP Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej



**Goyki 3
Art Inkubator**



kbf:



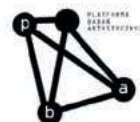
KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE



**MADRA
KSIĄŻKA
ROKU**



**Muzeum
Inżynierii
Miejskiej**



FS PROJEKTOWY ODDZIAŁ BADAWCZY
FutureSoc



S-NET
GRUPA TOYA

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie



**Wielkie
Pytania
.PL**

PARTNERZY MEDIALNI

empik



KSIAZKI



onet



**NAUKA
W POLSCE**

POLITYKA



RMF *Classic*

psychologia dla ciebie
sens

zwierciadło